

JUAN GÓMEZ-JURADO

EMBLEMAT ZDRAJCY

EL EMBLEMA DEL TRAIADOR

Z języka hiszpańskiego przełożyła Bożena Sęk

SONIA DRAGA



*Zdrada z morderstwem zawsze biegły w parze,
Niby dwa diabły połączone w jarzmie
Wspólnym zamysłem, a tak dla nich zwykłym,
Że nie wzbudzają okrzyku zdumienia.
Lecz ty, przeciwko wszelkim przyrodzonym
Prawom, zdumienie umiałeś wywołać,
Kaząc mu służyć zdradzie i morderstwu.
I mniejsza o to, jaki chytry diabeł
Umiał usidlić cię aż tak przewrotnie...*

WILLIAM SZEKSPIR, *Król Henryk V*
(przeł. M. Słomczyński)

PROLOG

CIEŚNINA GIBRALTARSKA

12 MARCA 1940 R.

KIEDY UDERZENIE FALI RZUCIŁO NIM O POSZYCIE, KAPITAN GONZÁLEZ instynktownie przytrzymał się drewnianej burty, zdzierając sobie skórę z całej ręki. Jeszcze kilkadziesiąt lat później, gdy był najbardziej poważanym księgarzem w Vigo, zawsze z drżeniem wspominał tamtą noc, najokropniejszą i najdziwniejszą w swoim życiu. Stary i posiwiwały siedział w fotelu, jak wtedy czując znowu w ustach smak krwi, soli morskiej i strachu. W uszach miał łoskot *vuelcatontos*, zdradzieckiej potężnej nawałnicy, która urasta w niecałe dwadzieścia minut i której marynarze z cieśniny - a także wdowy po nich - nauczyli się bać, przed osłupiałymi zaś oczami coś, co po prostu nie miało prawa tam się znajdować.

Na ten widok kapitan González zapomniał, że silnik ledwie dyszy, że załoga okrętu liczy raptem siedmiu ludzi, podczas gdy powinno ich być co najmniej jedenastu, i że pół roku wcześniej tylko jego nie mdliło pod natryskiem. Zapomniał też, że miał ochotę obić wszystkim pyski za to, że kiedy zaczęło kołysać, nie obudzili go.

Uczepił się bulaja, aby się obrócić i stanąć przodem do mostka. Wpadł do środka razem z wichrem i potokami deszczu, który przemoczył sternika do suchej nitki.

- Odejdź od steru, Roca - polecił sternikowi, odpychając go. - Jesteś do niczego.

- Kapitanie... kazał pan się budzić, dopiero gdyby kanonierka szła na dno - powiedział sternik drżącym głosem.

I zaraz pójdzie na dno, pomyślał kapitan, kręcąc głową. Załogę w większości tworzyli przeciętniacy ocalali w wojnie, która niedawno spustoszyła kraj. Nie mógł ich winić, że nie potrafili wyczuć nadejścia nawałnicy, tak jak jego nikt nie mógłby winić, gdyby po prostu zawrócił, by nie narażać okrętu. Najsensowniej byłoby w ogóle nie brać pod uwagę tego, co właśnie zobaczył. Bo alternatywa była samobójstwem. Czymś, na co tylko głupiec mógłby się porwać.

I ja jestem takim głupcem, pomyślał González.

Sternik gapił się na niego z otwartymi ustami, kiedy kapitan manewrował, ustawiając

okręt dziobem do fali. „Esperanza” była kanonierką zbudowaną w końcu zeszłego wieku, jej kadłub z drewna i stali groźnie trzeszczał.

- Do diabła, kapitanie! - wrzasnął sternik. - Co pan robi? Przewrócimy się!

- Obserwuj bakburkę, Roca - odparł kapitan. On także umierał ze strachu, chociaż na okazanie tego nie mógł sobie pozwolić.

Sternik usłuchał przekonany, że kapitan zwariował.

Parę sekund później zwątpił w pełnię swoich władz umysłowych.

W odległości niecałych trzydziestu sążni między grzbietami fal kołysała się płaskodenna barka z kilem ustawionym pod nieprawdopodobnym kątem. Wyglądała, jakby zaraz miała się wywrócić, i chyba tylko cudem jeszcze do tego nie doszło. W świetle błyskawicy sternik naraz zrozumiał, dlaczego kapitan, mając tak słabą kartę, ryzykuje życie ośmioosobowej załogi.

- Tam są ludzie, kapitanie!

- Wiem, Roca. Zawiadam Castilla i Pascuala. Niech zostawią pompy, wyjdą na pokład z dwiema linami i trzymają się burt mocno jak dziwka swojej torebki.

- Rozkaz.

- Nie... czekaj! - Kapitan chwycił go za rękę, zanim Roca zdążył zejść z mostka.

Wahał się chwilę. Nie mógł trzymać steru i równocześnie kierować ratowaniem barki. Jeśli dziób okrętu utrzyma się prostopadle do fali, wszystko będzie dobrze. Ale jeśli stanie dęba, któryś z jego chłopaków gotów wylądować w morzu.

A niech to wszyscy diabli!...

- Zostań, Roca. Sam to zrobię. Trzymaj koło.

- Długo tak nie damy rady, kapitanie.

- Jak tylko znajdziemy się przy barce, na pierwszej fali tuż przed wierzchołkiem ster prawo na burt. I módl się!

Marynarze weszli na pokład spięci, zaciskając zęby, na ich twarzach malowało się zdecydowanie, lecz ciała mieli stężałe ze strachu. Kapitan stanął między nimi, gotów dyrygować niebezpiecznym tańcem.

- Na mój znak rzucić haki. Już!

Stalowe zęby wbiły się w dwa końce barki; liny się napięły.

- Ciągnąć!

Kiedy barka była już blisko, kapitanowi się wydało, że słyszy krzyki, widzi machające ręce.

- Przywiążcie ją dobrze, ale żeby się za bardzo nie zbliżyła! - Schylił się i podniósł

bosak dwa razy dłuższy niż on. - Jeśli w nas uderzą, roztrzaskają się!

I pewnie nam przedziurawią kadłub, dodał w duchu, czując, jak pod śliskim pokładem poszycie okrętu trzeszczy coraz bardziej przy każdym uderzeniu fali.

Zdołał zahaczyć bosak o nadburcie barki. Długi drąg zakończony hakiem utrzymywał łódź w stałej odległości od kanonierki. González rozkazał marynarzom przywiązać liny do polerów i spuścić drabinę sznurową, sam zaś cały czas mocno trzymał bosak, który szarpał mu się w rękach z siłą zdolną roztrzaskać ludzką czaszkę.

Kolejna błyskawica oświetliła całe dno łodzi. Kapitan dojrzał wyraźnie cztery sylwetki. I w końcu zrozumiał, dlaczego w tej podskakującej na falach balii jeszcze są żywi ludzie.

Wariaci! Przywiązali się do łodzi.

Ktoś okryty ciemnym sztormiakiem pochylał się z nożem w rękę nad pozostałymi i nerwowo rozcinał sznury, którymi tamci byli przywiązani. Z jego przegubów zwisały resztki linek.

- Właźcie, nim łódź zatonie!

Rozbitkowie podeszli do burty, lecz wyciągnąwszy ręce, ledwie muskali palcami drabinę. Mężczyzna z nożem zdołał ją w końcu złapać i przytrzymał teraz towarzyszem. Marynarze pomagali im wejść na pokład kanonierki. W końcu na barce został już tylko człowiek z nożem. Uchwycił się drabinki, kiedy jednak naparł na nadburcie, żeby się odbić i podciągnąć, bosak się ześliznął. González próbował go na nowo zahaczyć, ale jakaś wyższa od innych fala podniosła barkę i cisnęła nią w burtę „Esperanzy”.

Rozległ się trzask i krzyk.

Przeżaszony kapitan wypuścił bosak. Nadburcie barki trafiło rozbitka w nogę. Zwiślał teraz z drabinki, trzymając się tylko jedną ręką, przyciśnięty plecami do kadłuba kanonierki. Barka się odsunęła, lecz było pewne, że lada chwila fale znowu nią rzucą o okręt, a wtedy przygniecie człowieka.

- Cumy! - ryknął kapitan do marynarzy. - Ciąć je, na Boga!

Znajdujący się bliżej burty marynarz wyszarpnął zza pasa nóż i zaczął przecinać liny. Drugi próbował przeprowadzić uratowanych do luku, zanim kolejna fala zmyje ich z pokładu.

Z duszą na ramieniu kapitan zaczął macać przy burcie, gdzie od dziesięciu lat rdzewiała siekiera.

- Odsuńże się, Pascual!

Ze stalowych polerów strzeliły błękitne iskry, ale uderzenia siekiery ledwie było słyhać pośród coraz gwałtowniejszego sztormu. Chwilowo nie przynosiło to żadnego efektu.

I naraz rozległ się łomot.

Pokład zadrżał Gonzálezowi pod nogami, kiedy uwolniona z więzów barka uniosła się na fali i roztrzaskała o dziób „Esperanzy”. Kapitan wychylił się przez burtę przekonany, że zobaczy tylko rozkołysaną drabinę. Mylił się jednak.

Rozbitek nadal z niej zwiślał na prawej ręce, wymachując lewą, aby wreszcie oburącz uczeplić się szczebla. Kapitan wyciągnął do niego dłoń, lecz od czubków palców człowieka mogącego lada chwila wylądować w odmętach dzieliły go przeszło dwa metry.

Mógł zrobić tylko jedno.

Przełożył nogę przez burtę i uchwycił drabinę skaleczoną dłonią, mamrocząc jakąś dziwną mieszaninę modlitwy i złorzeczeń pod adresem Boga, który tak pilnie starał się ich potopić. Zachwiał się niebezpiecznie, ale Pascual w porę go przytrzymał. González zszedł trzy szczeble, tak że gdyby stracił równowagę, zdołałby się uchwycić wyciągniętych rąk Pascuala. Nie odważył się zejść niżej.

- Złap się! - krzyknął.

Rozbitek próbował się obrócić, by złapać go za rękę, ale bezskutecznie. Ze szczebla drabinki ześliznął mu się jeden palec.

Kapitan zapomniał o modlitwach, koncentrując się na złorzeczeniach. Aczkolwiek bluźnił po cichu. W końcu nie był na tyle szalony, by w takiej chwili jeszcze bardziej się narażać Panu Bogu. Był za to dość szalony, aby zejść szczebel niżej i złapać nieszczęśnika za górę sztormiaka.

Przez trwającą wieczność sekundę dwaj ludzie na rozkołysanej drabince utrzymywani byli przez dziewięć palców, jeden but ze zdartą podeszwą i nieprzebrane pokłady siły woli.

W końcu rozbitek zdołał się podciągnąć na tyle, że się uczeplił kapitana. Zahaczył stopy o szczebel drabinki i obaj zaczęli się wspinać.

Sześć minut później kapitan, pochylony pod pokładem nad własnymi wymiocinami, ledwie mógł uwierzyć w szczęście, jakie im dopisało. Walczył o odzyskanie zimnej krwi. Ciągle jeszcze nie bardzo pojmował, jakim cudem ten niedojda Roca zdołał ustawić okręt rufą do fali, lecz fale już uderzały w kadłub z mniejszą siłą i stawało się jasne, że „Esperanza” wyjdzie cało z opresji.

Otoczający go półkolem wyczerpani marynarze wpatrywali się w niego z napięciem. Ktoś podał mu ręcznik. González odsunął go gestem.

- Sprzątnijcie to świństwo - powiedział, wskazując na podłogę i prostując się.

W najciemniejszym kącie skupili się ociekający wodą rozbitkowie. W drżącym

światelku pojedynczej żarówki oświetlającej pomieszczenie González z trudem rozróżniał ich twarze.

Postąpił trzy kroki w ich kierunku.

Jeden z uratowanych wysunął się naprzód i wyciągnął rękę.

- *Danke schön.*

Podobnie jak pozostali był od stóp do głów okryty czarnym sztormiakiem z kapturem. Od reszty odróżniał go tylko jeden szczegół: skórzany pas w talii. Wisiał na nim błyszczący nóż z czerwoną rękojeścią, którego użył, by przeciąć sznury.

Kapitan nie zdołał się pohamować.

- Ty skurwysynu! Mogliśmy wszyscy zginąć!

Zamachnął się i uderzył rozbitka w głowę, powalając go na ziemię. Kaptur się zsunął, odsłaniając blond włosy oraz twarz o kanciastych rysach. I jedno zimne niebieskie oko.

W miejscu drugiego widniał płat pomarszczonej skóry.

Rozbitek się podniósł i naciągnął opaskę, która musiała spaść przy uderzeniu. Następnie sięgnął do noża. Dwaj marynarze czujnie wysunęli się naprzód, na wypadek gdyby chciał się rzucić na kapitana, obcy jednak końcami palców wyjął tylko nóż i cisnął na ziemię. Ponownie wyciągnął rękę.

- *Danke schön.*

Kapitan uśmiechnął się mimo woli. Ten cholerny szkop miał jaja z granitu! Pokręcił głową i podał mu rękę.

- Skąd wyście, u diabła, płynęli?

Tamten wzruszył ramionami. Jasne było, że nie rozumie ani słowa po hiszpańsku. González przyglądał mu się uważnie. Miał jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat, pod sztormiakiem widać było ciemne ubranie i solidne wysokie buty.

Kapitan postąpił krok w stronę pozostałych rozbitków, chcąc zobaczyć, dla kogo narażał okręt i życie załogi, lecz jednooki rozłożył ramiona i przesunął się nieco, zagradzając mu drogę. Zaparł się mocno nogami, a przynajmniej próbował. Stanie musiało go męczyć, na twarzy widniało błaganie.

Nie chce podważać mojego autorytetu w obecności załogi, pomyślał González, ale nie życzy sobie też, żebym się zbliżył do jego tajemniczych towarzyszy. Proszę bardzo, wedle życzenia, do diabła. Już sobie z wami pogadają w komendanturze.

- Pascual!

- Tak, kapitanie?

- Każ sternikowi, żeby wziął kurs na Kadyks.

- Wedle rozkazu - rzucił marynarz i zniknął w luku.

Kapitan miał zamiar pójść w jego ślady i udać się do swojej kajuty, zatrzymał go jednak głos Niemca, który usłyszawszy nazwę miasta, zmienił się na twarzy.

- *Nein. Bitte. Nein Cadis.*

Czemu tak się boisz, szkopie? - zastanowił się González.

- *Komm. Komm. Bitte* - rzekł Niemiec, gestem prosząc, żeby się przybliżył. Kiedy kapitan nachylił się do niego, szepnął mu do ucha: - *Nein Cadis. Portugal. Bitte, Kapitan.*

González odsunął się od Niemca i przyglądał mu się dobrą minutę. Był pewien, że niczego więcej się nie dowie, ponieważ jego znajomość niemieckiego ograniczała się do „tak”, „nie”, „proszę” i „dziękuję”. Raz jeszcze stanął wobec dylematu i znowu najłatwiejszym wyjściem było to, które najmniej mu się podobało. Raz jeszcze powiedział sobie, że zrobił dosyć, ratując im życie.

Co ty ukrywasz, szkopie? - zastanawiał się. - Kim są twoi towarzysze? Dlaczego czterej obywatele najpotężniejszego narodu, który ma największą armię na świecie, wypuszczają się na morze w barce? Czyżbyście chcieli dotrzeć tą balią do Gibraltaru? Nie, nie sądzę, Gibraltar należy do Anglików, a to wasi wrogowie... I czemu nie chcecie wylądować w Hiszpanii? Jeśli dalej będziemy tańczyli tak, jak nam gra osławiony generalissimus, wkrótce przekroczymy Pireneje i będziemy wam pomagać w zabijaniu żabojadów, chociaż strzelać chyba będziemy kamieniami. Przecież jesteśmy wiernymi przyjacielami waszego Führera... Choć oczywiście wam może z nim nie po drodze...

Szlag by to trafił.

- Pilnujcie tych ludzi - polecił. - Otero, zadbaj, żeby dostali koce i coś ciepłego na ząb.

Kapitan wrócił na mostek, gdzie Roca sterował w stronę Kadyksu, starając się schodzić z kursu nawałnicy, która już się przenosiła w głąb Morza Śródziemnego.

- Kapitanie - rzekł sternik, stając na baczność - pozwolę sobie wyrazić podziw...

- Dobrze, dobrze, Roca. Bardzo dziękuję. Jest kawa?

Roca podał mu parujący kubek i kapitan się rozsiadł z aromatycznym napojem. Zrzucił sztormiak i zupełnie przemoczony sweter, który miał pod spodem. Na szczęście w sterówce nie było zimno.

- Zmiana planów, Roca. Jeden ze szkopów, których wyłowiliśmy, ostrzegł mnie, że u ujścia Gwadiany grasują przemytnicy. Popłyniemy do Ayamonte, może uda nam się przemknąć.

- Tak jest, kapitanie - odparł sternik trochę zły, że będzie musiał wytyczyć nowy kurs.

Zatroskanym wzrokiem González wpatrywał się w kark chłopaka. Nie z każdym mógł

pogadać o pewnych rzeczach, zastanawiał się więc teraz, czy aby Roca nie jest szpiegiem. Bo przecież to, co zamierzał zrobić, było nielegalne. Mógł za to trafić za kratki albo i zostać gorzej ukarany. Tyle że bez udziału swojego zastępcy na pokładzie nic nie działo.

Między jednym a drugim łykiem kawy uznał, że może Roce zaufać. Parę lat temu po zajęciu Barcelony nacjonałiści zabili mu ojca.

- Byłeś w Ayamonte, Roca?

- Nie, kapitanie - odpowiedział chłopak, nie odwracając głowy.

- To piękne miejsce. Trzy mile w górę Gwadiany. Mają tam dobre wino, a w kwietniu cała okolica pachnie kwiatem pomarańczy. Drugi brzeg rzeki to już Portugalia. - Upił łyk kawy. - O rzut beretem, jak to mówią.

Roca odwrócił się zdziwiony, a kapitan posłał mu znużony uśmiech.

Piętnaście godzin później pokład „Esperanzy” świecił pustką. Słychać było tylko śmiechy dobiegające z mesy, gdzie zadowoleni marynarze raczyli się wczesną kolacją. Kapitan obiecał im, że zaraz po posiłku rzucą kotwicę w porcie Ayamonte, toteż czuli już pod nogami trociny, którymi wysypywano podłogi w tawernach. Naturalnie kapitan osobiście czuwał na mostku, a Roca miał pilnować czterech rozbitków.

- To naprawdę konieczne, kapitanie? - spytał sternik ze strachem.

- Lekko cię stuknę. Nie bądź takim tchórzem, chłopie. To powinno wyglądać prawdziwie. Musisz chwilę poleżeć na ziemi.

Rozległo się suche uderzenie, a moment później z luku wychyliła się głowa. Zaraz potem na pokładzie pojawili się rozbitkowie. Zaczynało zmierzchać.

Kapitan i jednooki spuścili na wodę szalupę ratunkową z bakburty, najbardziej oddalonej od mesy. Trzej rozbitkowie usadowili się w środku i czekali na jednookiego, który naciągnął kaptur na głowę.

- Dwieście metrów w linii prostej - powiedział kapitan, wskazując w stronę Portugalii.

- Szalupę zostawcie na plaży, będzie mi potrzebna. Potem ją zabiorę.

Niemiec wzruszył ramionami.

- Wiem, że nie rozumiesz ani słowa. Bierz - rzucił González, zwracając mu nóż.

Jednooki lewą ręką wsunął nóż za pas, prawą szukając czegoś pod sztormiakiem. Wydobył w końcu coś niedużego i wetknął kapitanowi do ręki.

- *Verrat* - powiedział, stukając się w pierś palcem wskazującym. - *Rettung* - dodał, tym samym palcem dziabiając w pierś Hiszpana.

González uważnie przyjrzał się podarunkowi. Było to coś w rodzaju odznaczenia.

Zbliżył się do łuny światła padającego od latarni w sterówce i przedmiot zaśnił blaskiem niewątpliwie złotym.

Był z litego złota.

- Nie no, nie mogę przyjąć...

Nikt go już jednak nie słuchał. Szalupa się oddalała, żaden z płynących nią ludzi nawet się nie obejrzał.

Do końca swoich dni Manuel González Pereira, były kapitan Hiszpańskiej Floty Wojennej, każdą chwilę wolną od pracy w księgarni z niesłabnącym zainteresowaniem poświęcał badaniu złotego orderu: na tle krzyża teutońskiego widniał dwugłowy orzeł. Orzeł podtrzymywał miecz, nad głowami umieszczono liczbę 32, a na piersi został wprawiony w złoto wielki diament.

González odkrył, że to symbole masońskie najwyższej rangi, ale wszyscy eksperci, z którymi rozmawiał, twierdzili, że order na pewno jest fałszywy, głównie z powodu użycia złota. Niemieccy wolnomularze nigdy nie wykorzystywali metali szlachejnych w regaliach swoich wielkich mistrzów. Na ile jubiler był w stanie ocenić, nie wymontowując kamienia, szlif diamentu pozwalał go datować na przełom XIX i XX wieku.

W długie bezsenne noce księgarz rozmyślał nad rozmową, którą odbył na pokładzie kanonierki z Tajemniczym Jednookim, jak go pieszczotliwie ochrzcił synek Gonzáleza, Juan Carlos.

Chłopiec mógł bez końca słuchać tej opowieści i wymyślał nedorzeczne teorie na temat tożsamości rozbitków. Szczególnie go jednak fascynowały ostatnie słowa Niemca. W słowniku niemieckim znalazł ich znaczenie i często je powtarzał, skandując, jakby w ten sposób lepiej do niego docierały:

- *Verrat*, zdrada. *Rettung*, ocalenie.

Księgarz umarł, nie rozwikławszy tajemnicy orderu. Jego syn Juan Carlos odziedziczył pamiątkę i sam także został księgarzem. Pewnego wrześniowego popołudnia w 2002 roku nieznanemu leciwy autor miał w jego księgarni prezentować swoje najnowsze dzieło na temat wolnomularstwa. Na spotkanie z nim nikt nie przyszedł, toteż dla zabicia czasu i aby poprawić samopoczucie gościa, który wyraźnie czuł się skrepowany, Juan Carlos postanowił mu pokazać fotografię orderu. Zobaczywszy ją, pisarz zmienił się na twarzy.

- Skąd ma pan to zdjęcie?

- Order należał do mojego ojca.

- Ma go pan jeszcze?

- Tak. Ten trójkąt z liczbą trzydzieści dwa świadczy, że...

- ...to symbol masoński. Na pewno fałszywy, zarówno ze względu na kształt krzyża, jak i na diament. Wyceniał go pan?

- Tak. Kruszec i kamień warte są około trzech tysięcy euro. Nie wiem, czy ma też jakąś wartość historyczną.

Pisarz kilka chwil wpatrywał się w zdjęcie. Dolna warga mu drżała.

- Nie. Nie, na pewno nie. Może jako ciekawostka... ale wątpię. Mimo to chętnie go kupię. Wie pan, przyda mi się do badań. Dam za niego cztery tysiące euro.

Juan Carlos uprzejmie odrzucił ofertę, pisarz zaś pożegnał się obrażony. I odtąd codziennie przychodził do księgarni, mimo że nie mieszkał w tym mieście. Udawał, że szpera w książkach, a w rzeczywistości szpiegował Juana Carlosa, zerkając na niego znad grubych okularów w plastikowych oprawkach. Księgarz zaczął się czuć nękany. Pewnego zimowego wieczoru, kiedy wracał do domu, wydało mu się, że słyszy czyjeś kroki za sobą. Schował się w bramie i czekał. Po chwili pojawił się pisarz, zwinna zjawa dygocząca w wytartym prochowcu. Juan Carlos wyszedł z bramy i przyparł go do muru.

- Dostyc tego, jasne?

Starzec się rozpląkał i osunął na ziemię, czepiając się kolan Juana Carlosa, bełkotał:

- Pan nie rozumie... Muszę go mieć...

Juan Carlos zmiękł. Zabrał staruszkę do baru i postawił mu lampkę koniaku.

- No dobra, a teraz szczerze: ten order ma wielką wartość, tak?

Zanim pisarz odpowiedział, przyjrzał się bacznie księgarzowi, młodszemu od niego o trzydzieści lat i wyższemu o piętnaście centymetrów. W końcu uznał walkę za przegraną.

- Jest bezcenny. Ale nie dlatego chcę go mieć - powiedział, lekceważąco machając ręką.

- Więc dlaczego?

- Dla chwały. Chwały z odnalezienia go. Będzie tematem mojej następnej książki.

- Order?

- Jego właściciel. Udało mi się odtworzyć jego losy w ciągu tych lat, kiedy grzebałem w dziennikach, archiwach prasowych, prywatnych zbiorach, bląkając się po poboczach historii. Na całym świecie zna je najwyżej dziesięć osób, które bardzo niechętnie na ten temat rozmawiają. Wszyscy ci ludzie są masonami najwyższych stopni i oprócz mnie nikt nie zna tej historii w całości. Dlatego nikt mi nie wierzy, gdy o tym mówię.

- Może ja uwierzę. Spróbuje pan?

- Tak, jeśli w zamian coś mi pan obieca: że mi go pokaże, pozwoli dotknąć. Tylko raz. Juan Carlos westchnął.

- Załatwione. Ale pod warunkiem, że pańska opowieść faktycznie mnie zainteresuje.

Staruszek pochylił się nad stolikiem i przyciszonym głosem zaczął opowiadać księgarzowi historię okrytą tajemnicą, dotąd przekazywaną z ust do ust przez ludzi, którzy przysięgli, że nigdy jej nie ujawnią. Historię kłamstw, nieprawdopodobnej miłości, zapomnianego bohatera, śmierci tysięcy niewinnych za sprawą jednego tylko człowieka. Historię orderu zdrady...

PROFAN
1919-1921

O tym, że rozum nie przejdzie samego siebie

*Symbolem profana jest wyciągnięta otwarta dłoń, samotna,
lecz zdolna uchwycić wiedzę.*

ROZDZIAŁ 1

NA SCHODACH PAŁACU VON SCHROEDERÓW BYŁA KREW.

Dreszcz przeszedł Paula Reinera na jej widok. Oczywiście nie pierwszy raz oglądał krew. Między początkiem kwietnia a majem 1919 roku, czyli w ciągu zaledwie trzydziestu dni, monachijczycy doświadczyli wszelkich potworności, których oszczędziły im cztery lata wojny. W czasie pomiędzy upadkiem cesarstwa a proklamowaniem Republiki Weimarskiej rozmaite grupy interesów próbowały narzucić miastu swoją wolę. Zajęli je komuniści i ogłosili Bawarię republiką sowiecką. Rozbojów i morderstw przybywało, w miarę jak dla freikorpsów malał dystans między Berlinem a Monachium. Rebelianci świadomi, że zostało im niewiele czasu, starali się jak najszybciej rozprawić z jak największą liczbą przeciwników politycznych. Nocami likwidowano zwłaszcza cywilów.

Paul zatem nieraz już oglądał krew, ale nigdy w progu domu, w którym mieszkał. A ślad, chociaż niewielki, widniał w dole framugi okazałych dębowych drzwi.

Może jakimś cudem Jürgen się wywalił na pysk i powybił sobie zęby - pomyślał. - Przynajmniej przez parę dni zostawi mnie w spokoju. Zaraz jednak smętnie pokręcił głową. Raczej na tyle szczęścia nie mógł liczyć.

Miał dopiero piętnaście lat, lecz serce spowijała mu gorycz ciemna jak chmury przesłaniające ciężkie słońce tego dnia w połowie maja. Zaledwie pół godziny wcześniej wałęsał się pośród zarośli Ogrodu Angielskiego, wracając ze szkoły zadowolony dlatego, że skończyła się rewolucja, a nie dlatego, że musi uczęszczać na lekcje. Zawsze był lepszy od kolegów, był lepszy nawet od profesora Wirtha, który wybitnie przynudzał. Paul czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, chłonąc wiedzę jak pijak gorzałkę w dzień wypłaty. W klasie symulował uwagę i zawsze był celującym uczniem.

Nie miał przyjaciół, chociaż starał się zbliżyć do kolegów. Mimo wszystko jednak cieszył się, że chodzi do szkoły, ponieważ czas lekcji był czasem bez Jürgena, który uczęszczał do akademii, gdzie na podłogach nie leżało linoleum, a blaty ławek nie miały poszczerbionych brzegów.

W drodze powrotnej do domu Paul zawsze zahaczał o Ogród Angielski, największy

park w Europie, który tego popołudnia wydawał się niemal zupełnie wyludniony, zabrakło nawet zawsze tam obecnych strażników w czerwonych kurtkach upominających go, ilekroć zszedł ze ścieżki. Skorzystał zatem z okazji i zzuł znoszone buty. Z przyjemnością spacerując boszo po trawie, schylał się z roztargnieniem i zbierał żółte ulotki, które samoloty freikorpsów zrzuciły tysiącami na Monachium w poprzednim tygodniu. Ulotki zawierały żądanie, aby komuniści bezwarunkowo się poddali. Paul wrzucał ulotki do koszy na śmieci i chętnie by wysprzątał z nich cały park, lecz tego dnia był czwartek, czekało go więc woskowanie podłóg na czwartym piętrze pałacu, co zajmie mu czas aż do kolacji.

Żeby go nie było... - pomyślał. - Ostatnio zamknął mnie w schowku na szczotki i przewrócił wiadro z brudną wodą na marmurową posadzkę. Całe szczęście, że mama usłyszała moje krzyki i wypuściła mnie, zanim ciotka się dowiedziała.

Paul szukał w pamięci czasów, kiedy kuzyn nie tak się do niego odnosił. Przed laty, gdy obaj byli mali i Eduard prowadził ich do parku za rękę, Jürgen raz się do Paula uśmiechnął. Było to ulotne wspomnienie jednej chwili - i chyba jedyne przyjemne. Potem przysła wojna, koncerty orkiestr i parady. Eduard wyjechał szeroko uśmiechnięty, machając ręką na pożegnanie, gdy ciężarówka, która go zabrała, rozpędzała się coraz bardziej, a Paul biegł obok, marząc o tym, aby pojechać na front z najstarszym kuzynem, siedzieć obok niego w takim samym olśniewającym mundurze.

Dla Paula wojna się sprowadzała do wiadomości, które przez cztery lata po drodze do szkoły czytał co rano na murze komisariatu, nieraz przedzierając się przez chaszcze, co nie sprawiało mu większych problemów, ponieważ był chudy jak szczapa. Z zadowoleniem dowiadywał się o postępach cesarskiej armii, która co dzień brała tysiące jeńców, zajmowała kolejne miasta i powiększała granice cesarstwa. W szkole szkicował potem mapę Europy i wyobrażał sobie, gdzie też może się odbyć kolejna wielka bitwa i czy Eduard będzie brał w niej udział. Aż tu zupełnie niepostrzeżenie „zwycięstwa” zaczęto odnosić coraz bliżej domu, a depesze wojenne prawie zawsze oznajmiały „wycofanie oddziałów na z góry upatrzone pozycje”. W końcu pewnego dnia ogromny afisz ogłosił, że Niemcy przegrały wojnę. Pod spodem widniała lista tego, co powinny zapłacić. Długa lista.

Czytając afisz i wykaz na dole, Paul poczuł się strasznie oszukany. Znikł gdzieś naraz miękki materac fantazji, który łagodził ból coraz częstszych cięgów zbieranych od Jürgena. Niosąca chwałę wojna nie zaczeka, aż on dorośnie i dołączy do Eduarda na froncie.

Paul doszedł zarazem do wniosku, że wojna wcale nie przynosi chwały.

Przez kilka chwil wpatrywał się w krew przy wejściu. Nie sądził, żeby rewolucja na nowo się

zaczęła, po Monachium bowiem krążyły liczne patrole freikorpsów. Ale plama wyglądała na świeżą, nieduże zabrudzenie na kamiennych schodach frontowych o tak szerokich stopniach, że na każdym swobodnie mogło stanąć w poprzek obok siebie dwóch mężczyzn.

Lepiej już się pospieszę - pomyślał. - Jeśli znów się spóźnię, ciocia Brunhilda mnie zabije.

Jeszcze chwilę walczył w nim strach przed nieznanym i przed ciotką, aż zwyciężyło to ostatnie. Wyjął z kieszeni klucz od drzwi dla służby i wszedł do pałacu. Wewnątrz panował spokój. Ruszył w kierunku schodów i wtedy z części domu dla państwa dobiegły go pełne napięcia głosy.

- Wyśliznął nam się z rąk, kiedyśmy wchodzili, proszę pani. Niełatwo go nieść, a my jesteśmy słabi. Rany od miesiący nie chcą się zasklepić.

- Nieudolni głupcy! Nic dziwnego, żeśmy przegrali tę wojnę.

Paul przeciął korytarz, starając się iść jak najciszej. Krew, której podłużną plamkę widział przy drzwiach, tutaj kroplami znaczyła co kawałek drogę do głównego salonu. W pomieszczeniu znajdowała się ciocia Brunhilda i dwaj żołnierze schyleni nad sofą. Paul energicznie zatarł ręce, by w salonie zauważono jego obecność, po czym ukrył je w fałdach ubrania. Nawet mając tyły zabezpieczone węgarem drzwi, mimowolnie kulił się ze strachu na widok ciotki. Jej oczy przemieniły się teraz w szare szparki, usta, które zazwyczaj ledwie świadczyły o wieku, wykrzywił wyrażający pytanie grymas, a władczy głos drżał z gniewu.

- Patrzcie tylko, jak poplamiliście mi dywan. Marlis!

- Jaśnie pani?... - odezwała się służąca, wchodząc w pole widzenia Paula.

- Przynieś szybko jakiś pled. Wezwij ogrodnika, niech zabierze jego ubrania, roi się w nich od wszy. I niech ktoś powiadomi barona.

- Panicza Jürgena też, jaśnie pani?

- Nie! Jego w żadnym razie, rozumiesz? Przyszedł już ze szkoły?

- Dzisiaj ma lekcję szermierki, jaśnie pani.

- Niedługo tu będzie. Przed jego powrotem cały ten bałagan ma być uprzątnięty - przykazała Brunhilda. - No już, ruszaj się!

Służąca z furkotem spódnicy i fartucha przebiegła obok Paula, który ani drgnął, ponieważ między nogami żołnierzy dostrzegł właśnie twarz Eduarda. Serce zabiło mu mocniej. A więc to jego żołnierze przynieśli i ułożyli na sofie! Dobry Boże! Więc to jego krew.

- Jak to się stało?

- Pocisk moździerzowy, proszę pani.

- To wiem. Pytam, czyja to wina, że dopiero teraz i w takim stanie przywozicie mi syna. Od siedmiu miesięcy, odkąd skończyła się wojna, nie miałam o nim wieści! Wiecie, kim jest jego ojciec?

- To baron, już słyszałem. A ten tu Ludwig jest murarzem, ja jestem subiektem. Tyle że armat nie obchodzą tytuły, proszę pani. Z Turcji droga daleka. I tak ma pani szczęście, że wrócił, bo mojemu bratu się nie udało.

Brunhilda pobladła jak kreda.

- Idźcie stąd - powiedziała słabym głosem.

- Ładnie to tak, jaśnie pani? Przywozimy pani syna, a pani nas odprawia, nie proponując nawet szklanki piwa.

Przez twarz Brunhildy przemknął cień wyrzutów sumienia, lecz zaraz stłumiła je wściekłość. Niezdolna dobyć z siebie głosu, wyciągnęła tylko palec i wskazała drzwi.

- Pieprzone szlachciury!... - warknął jeden z żołnierzy, spluwając na dywan.

Odwrócili się i ze zwieszonymi głowami, ciągnąc za sobą nogi, ruszyli do wyjścia. W podkrążonych oczach mieli zmęczenie i niesmak, nie było w nich jednak zdziwienia. Tych ludzi chyba już nic nie przestraszy, pomyślał Paul. A kiedy ich obszerne ciemnoszare peleryny przestały mu zasłaniać widok, nareszcie zrozumiał całą tę scenę.

Eduard, pierworodny syn barona von Schroedera, leżał na sofie ułożony pod dziwnym kątem. Lewą rękę miał opartą na poduszkach. W miejscu, gdzie powinna być prawa, zwisał sfastrygowany niedbale rękaw bluzy. Zamiast nóg miał dwa kikuty okutane brudnymi bandażami, z jednego sączyła się krew. Chirurg obciął nogi nierówno: lewą nad kolaniem, a prawą niżej.

Okaleczenie asymetryczne - pomyślał Paul, nieoczekiwanie wspomniawszy poranną lekcję historii sztuki, na której nauczyciel opowiadał im o Wenus z Milo. I naraz zdał sobie sprawę, że płacze.

Słyszając pochlipywanie, Brunhilda podniosła głowę i szybkim krokiem podeszła do Paula. Lekceważące spojrzenie, którym zazwyczaj go obdarzała, teraz tchnęło nienawiścią i wstydem. Przez chwilę Paul sądził, że ciotka go uderzy, osłonił więc głowę zgiętym ramieniem i cofnął się tak gwałtownie, aż upadł na ziemię. Rozległ się potężny łoskot.

Drzwi salonu zamknęły się z trzaskiem.

ROZDZIAŁ 2

TEGO SAMEGO DNIA - A BYŁO TO TYDZIEŃ PO TYM, JAK WŁADZE ogłosiły Monachium miastem bezpiecznym i zaczęły grzebanie ciał ponad tysiąca dwustu komunistów - do domów wrócili także inni synowie.

W przeciwieństwie do powrotu Eduarda von Schroedera ich powrót został starannie przygotowany. Dla Alys i Manfreda Tannenbaumów podróż do domu zaczęła się od rejsu „Macedonia” z New Jersey do Hamburga. Potem zajęli miejsca w luksusowym przedziale pierwszej klasy pociągu do Berlina, gdzie zastali telegram od ojca nakazujący, aby stanęli w hotelu Esplanade i czekali na dalsze wskazówki. Dla Manfreda był to najszczęśliwszy zbieg okoliczności w jego dziesięcioletnim życiu, ponieważ w sąsiednim apartamencie zatrzymał się Charlie Chaplin. Aktor obdarował chłopca jedną ze swoich słynnych bambusowych lasek, a na koniec, w dniu kiedy wreszcie przyszła od ojca depesza z wiadomością, że mogą już bezpiecznie odbyć ostatni etap podróży, odprowadził jego i jego siostrę do taksówki.

Tym sposobem 13 maja 1919 roku, po przeszło pięciu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych, dokąd wysłał ich ojciec w przewidywaniu bliskiego wybuchu wojny, dzieci największego w Niemczech żydowskiego przedsiębiorcy znalazły się na peronie trzecim monachijskiego dworca głównego.

I już wtedy Alys przeszło przez myśl, że nie wszystko pójdzie gładko.

- Pospiesz się z łaski swojej, Doris. To zostaw, ja wezmę - powiedziała, biorąc pudło z kapeluszami z rąk służącej, którą ojciec przysłał, by ich odebrała, i ustawiając je na szczycie wózka z bagażami. Wózek wzięli od jednego z chłopców bagażowych, którzy zaroiłi się wokół nich jak muchy, by pozwolono im zająć się walizami. Alys przepędziła wszystkich. Nie mogła znieść, gdy próbowano ją kontrolować, a tym bardziej gdy uważano, że czegoś nie potrafi sama zrobić.

- Ścigamy się, kto pierwszy, Alys! - zawołał Manfred, ruszając biegiem. Chłopiec nie miał takich ambicji jak siostra, toteż zatroszczył się tylko o nieodłączną laskę.

- Poczekaj, a zobaczysz, pędzaku! - zawołała Alys, popychając wózek. - Nie wlecz się tak, Doris.

- Panu by się nie spodobało, że panienka sama taszczy bagaże. Panienko, proszę... -

mówiła służąca, nadaremnie próbując dotrzymać kroku dziewczynie i gromiąc wzrokiem tragarzy, którzy ze znaczącym poszturchiwaniem wskazywali sobie Alys.

Na tym właśnie zasadzał się problem Alys z ojcem: miał zaplanowaną każdą chwilę życia. Josef Tannenbaum był mężczyzną z krwi i kości, lecz matka Alys zawsze powiadała, że wydaje się raczej zbudowany z trybików i śrubek.

- Wedle twego ojca można nastawiać zegarek - szeptała córce na ucho i obydwie chichotały. Cichutko, ponieważ pan Tannenbaum nie lubił żartów.

W grudniu roku 1913 zabrała ją grypa. Alys nie mogła wyjść ze zdumienia i zapanować nad smutkiem, póki cztery miesiące później wraz z bratem nie wyruszyła w drogę do Columbus w stanie Ohio. Zamieszkali u państwa Bushów, ludzi należących do średniej klasy wyższej, członków Kościoła episkopalnego. Samuel Bush, głowa rodziny, był dyrektorem generalnym Buckeye Steel Castings, huty, która zawierała lukratywne kontrakty z Josefem Tannenbaumem. W roku 1914 Samuel Bush został powołany na rządowe stanowisko doradcy do spraw broni i amunicji i ojciec Alys zaczął nabywać u niego zupełnie inne towary. Konkretnie miliony sztuk amunicji, która pokonywała drogę przez Atlantyk, po czym jechała w skrzyniach na front zachodni, dopóki Stany Zjednoczone zachowywały neutralność, i w żołnierskich ładownicach na wschód od roku 1917, gdy prezydent Wilson postanowił zaprowadzić w Europie demokrację.

W roku 1918 Bush i Tannenbaum wymienili listy, ubolewając, że „z powodu niedogodności politycznych” muszą chwilowo zawiesić interesy. Wznowili je piętnaście miesięcy później, co zbiegło się w czasie z powrotem młodych Tannenbaumów do Niemiec.

Kiedy od Josefa przyszedł list wzywający dzieci do powrotu, Alys myślała, że umrze. Tylko piętnastoletnia panienka, która podkochała się skrycie w jednym z synów goszczącej ją rodziny, może tak solennie uwierzyć, że jej życie dobiegło kresu, gdy się dowiaduje, iż oto musi wyjechać na zawsze. - Prescott... - łkała w swojej kabinie na statku. - Że też nie mogłam z nim dłużej pogadać... Gdybym lepiej potrafiła ściągnąć na siebie jego uwagę, jak przyjechał z Yale na swoje urodziny, zamiast upodabniać się do wszystkich na przyjęciu...

Wbrew swoim przewidywaniom Alys przeżyła i kryjąc twarz w wilgotnej od łez poduszce, poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie cierpiała z powodu mężczyzny. Odtąd sama będzie decydowała o swoim życiu, nie bacząc, co inni powiedzą. A szczególnie ojciec.

Poszukam sobie pracy - postanowiła. - Nie, papa nigdy na to nie pozwoli... Lepiej poproszę, żeby mnie zatrudnił w którejś ze swoich fabryk, i zacznę oszczędzać na bilet do

Stanów. A jak się znajdę w Ohio, rzucę się Prescottowi na szyję i dotąd go będę ścisnąć, aż poprosi mnie o rękę. Tak zrobię i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Jednakże kiedy mercedes dotarł do Prinzregentenplatzu, z postanowienia Alys uszło powietrze jak z dziurawego balonika. Dziewczyna oddech miała urywany i ledwie zauważała nerwowe podskakiwanie brata na siedzeniu. Wydawało jej się niewiarygodne, że trwała przy swej decyzji przez całe cztery tysiące kilometrów - od połowy Atlantyku - i pozwoliła jej wyparować na dystansie czterech kilometrów między dworcem a luksusową kamienicą. Strażnik w liberii otworzył jej drzwi auta i zanim Alys zdała sobie sprawę, już wchodzili do windy.

- Alys, myślisz, że papa przygotował przyjęcie? - paplał Manfred. - Umieram z głodu.

- Ojciec panicza był ostatnio bardzo zajęty - oznajmiła Doris. - Za to ja kupiłam ciastka z kremem na podwieczorek.

- Dziękuję, Doris - mruknęła Alys, kiedy winda się zatrzymała ze zgrzytem metalu.

- Dziwnie mi będzie mieszkać na piętrze po domu w Columbus - rzekł Manfred. - Mam tylko nadzieję, że niczego nie zmienili w moim pokoju.

- A jeśli coś zmienili, nie będziesz pamiętał, szkrabie - powiedziała siostra, na chwilę zapominając o swoich obawach przed spotkaniem z ojcem i pieszczotliwie czochrając Manfredowi włosy.

- Nie mów do mnie „szkrabie”. I wszystko p r e f e k c y j n i e pamiętam.

- Perfekcyjnie - poprawiła.

- No przecież mówię, p r e f e k c y j n i e . Ściany były w niebieskie statki. A w nogach łóżka była małpka, która grała na czynelach. Papa nie pozwolił mi jej zabrać, mówił, że to by przeszkadzało panu Bushowi. Zaraz ją przyniosę! - zawołał i ledwie drzwi się otworzyły, przesmyknął się między nogami lokaja.

- Niech panicz zaczeka! - krzyknęła za nim służąca, lecz chłopiec już biegł korytarzem.

Apartament Tannenbaumów mieścił się na ostatniej kondygnacji. Na powierzchni ponad trzystu metrów kwadratowych znajdowało się dziewięć pokoi, a więc śmiesznie mało w porównaniu z domem, w którym rodzeństwo mieszkało w Stanach, tyle że Alys zupełnie inaczej postrzegała rozmiary mieszkania. Kiedy w roku 1914 wyjeżdżała, była niewiele starsza niż Manfred teraz i z takiej też perspektywy obecnie patrzyła - jakby zmaląła o trzydzieści centymetrów.

- ...panienko?

- Przepraszam, Doris, co mówiłaś?

- Jaśnie pan przyjmie panienkę w gabinecie. Ma teraz gości, ale chyba zaraz go pożegna.

W korytarzu ktoś się pojawił. Odziany w elegancki czarny surdut wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, którego Alys nie znała. Za nim podążał Josef Tannenbaum. Kiedy znaleźli się w przedpokoju, gość przystanął - tak nieoczekiwanie, że ojciec Alys niemal na niego wpadł - i wlepiwszy w dziewczynę wzrok, przyglądał się jej przez monokl ze złotym łańcuszkiem.

- Ach, córeczko! Jak dobrze, że już jesteś - ucieszył się Tannenbaum, porozumiewawczo zerkając na mężczyznę w surducie. - Panie baronie, proszę pozwolić, że mu przedstawię moją córkę Alys, która właśnie przyjechała z bratem ze Stanów. Alys, poznaj barona von Schroedera.

- Miło mi - rzekła Alys chłodno. Darowała sobie zwyczajowe dygnięcie, wobec szlachcica niemal obowiązkowe, nie spodobała jej się bowiem wyniosłość barona.

- Piękne dziewczę. Aczkolwiek zdaje mi się, że przesiąkła amerykańskimi manierami.

Tannenbaum ze zgorzaniem w oczach popatrzył na córkę.

Dziewczyna z przykrością stwierdziła, że ojciec prawie się nie zmienił w ciągu tych pięciu lat. Był tak samo przysadzisty i niezgrabny, włosy tak samo zaczesywał do tyłu. A sposób bycia miał równie służalczy wobec wyżej postawionych, jak rygorystyczny wobec bliskich.

- Niezmiernie ubolewam... - mówił. - Upraszam pana barona o wyrozumiałość. Matka młodo ją odumarła i córka niewiele bywała w towarzystwie. Jeśli będzie miała okazję przestawać z ludźmi swojego stanu, dobrze wykształconymi...

Baron wydał z siebie pełne rezygnacji westchnienie.

- Może zechce pan z córką odwiedzić nas we wtorek około osiemnastej? Obchodzimy urodziny mojego syna Jürgena.

Po tym jak ojciec i baron wymienili spojrzenia, Alys odniosła wrażenie, że wszystko to zostało z góry ukartowane.

- Nie omieszkamy, ekscelencjo. To nadzwyczaj uprzejme ze strony pana barona, jesteśmy zaszczytni. Ekscelencja pozwoli, że odprowadzę go do drzwi.

- Jak mogłaś być taka nieuprzejma, córko?

- Przykro mi, papo.

Siedzieli w gabinecie, jasnym pomieszczeniu z jedną ścianą zastawioną regałami,

które Tannenbaum wypełnił książkami kupowanymi na metry, kierując się kolorem ich grzbietów.

- Przykro mi!... Takie „przykro mi” niczego nie załatwia, Alys. Musisz wiedzieć, że właśnie negocjuję duże kontrakty z baronem von Schroederem.

- Żelazo i stal? - spytała, stosując starą sztuczkę matki, która wyrażała zaniepokojenie interesami Josefa, gdy wpadał w gniew. Kiedy zaczynał mówić o pieniądzach, mógł się rozwodzić o tym godzinami, aż w końcu zapominał, co go rozgniewało. Tym razem sposób nie zadziałał.

- Nie, ziemie... ziemie i inne rzeczy. Dowiesz się w swoim czasie. A wracając do tematu: liczę, że będziesz miała stosowny strój na przyjęcie.

- Papo, dopiero co przyjechałam i naprawdę nie bardzo mam ochotę na przyjęcie, na którym nikogo nie znam.

- Nie bardzo masz ochotę? To przyjęcie w rezydencji barona von Schroedera, na miłość boską!

Alys wzdrygnęła się lekko, słysząc ostatnie słowa. Praktykujący żyd nigdy nie wzywał imienia Boga nadaremno. I wtedy wspomniała szczegół, który jej umknął, gdy wchodziła do domu. Przy drzwiach nie było mezuzy. Rozejrzała się wokół i ze zdumieniem zauważyła krzyż zawieszony na ścianie w sąsiedztwie portretu matki. Oniemiała ze zdziwienia. Nie była szczególnie religijna - weszła w końcowy etap dojrzewania, kiedy to czasami kwestionuje się istnienie boskości - jej matka natomiast była pobożna. Krzyż wiszący na ścianie obok portretu wydał się Alys zniewagą nie do przełknięcia.

Josef poszedł za jej wzrokiem i miał dość przyzwoitości, by przez kilka chwil okazać zawstydzenie.

- Takie mamy czasy, Alys. Trudno robić interesy z chrześcijanami, nie będąc jednym z nich.

- Dawniej je robiłeś, papo. I szły chyba nieźle - zauważyła Alys, wskazując ręką dokoła.

- Kiedy cię tu nie było, sprawy się bardzo pogmatwały dla naszych. A będzie jeszcze gorzej.

- Jest tak źle, że wyrzekasz się wszystkiego, ojczyzny? Zostałeś przechrztą dla... pieniędzy?

- Nie chodzi o pieniądze, zuchwała dziewczyno! - odparł Tannenbaum, rezygnując z zawstydzenia w głosie i waląc pięścią w stół. - Człowiek o mojej pozycji ma obowiązki i ponosi odpowiedzialność. Wiesz, ilu robotników zatrudniam? Niewdzięczni głupcy, zapisują

się do tych śmiesznych komunistycznych związków i wierzą, że w Moskwie jest raj! Codziennie muszę się gimnastykować, żeby zapłacić im pensję, a oni potrafią się tylko skarżyć. Dlatego nie waż się więcej wyrzucać mi, że robię coś nie tak, kiedy staram się zapewnić wam dach nad głową.

Alys odetchnęła głęboko i znów sobie pozwoliła ulec swej ulubionej ułomności: mówieniu, co myśli, w najmniej odpowiednim momencie.

- Jeśli o to chodzi, możesz być spokojny, papo. Mam zamiar szybko stąd wyjechać. Chcę wrócić do Stanów i tam ułożyć sobie życie.

Kiedy Tannenbaum to usłyszał, twarz mu spurpurowiała. Podetknął gruby palec pod nos Alys i groźnie nim pomachał.

- Ani się waż o tym wspominać, słyszysz? Pójdiesz na przyjęcie i będziesz się zachowywała jak dobrze ułożona panna, rozumiano? Mam w związku z tobą plany i nie udaremniam ich kaprysy rozpuszczonej dziewczuchy, słyszysz?

- Nienawidzę cię - oświadczyła Alys, patrząc mu w oczy.

Josef ani trochę się nie przejął.

- Jest mi to obojętne, byleś zrobiła, co powiedziałem.

Ze łzami w oczach dziewczyna biegiem wypadła z gabinetu.

To się jeszcze okaże, pomyślała. Och, jeszcze się okaże.

ROZDZIAŁ 3

- ŚPISZ?

Ilsa Reiner obróciła się w łóżku.

- Już nie. Czego chcesz, Paul?

- Zastanawiałem się, co zrobimy.

- Jest wpół do dwunastej w nocy. Może byś wreszcie zasnął?

- Mówiłem o przyszłości.

- O przyszłości... - powtórzyła jego matka, wypluwając jakby te słowa.

- Chodzi mi o to, że nie musiałybyś pracować tutaj, u cioci Brunhildy, prawda, mamó?

- W przyszłości będę patrzyła, jak chodzisz na uniwersytet, który przypadkiem mieści się w sąsiedniej dzielnicy, i jak wracasz do domu na obfitą kolację, którą sama ci przygotowuję. A teraz dobranoc.

- To nie jest nasz dom.

- Mieszkamy tutaj, pracujemy i dziękujemy za to niebiosom.

- Gdyby się nadarzyła okazja... - szepnął Paul.

- Słyszałam, synu.

- Przepraszam, mamó.

- Co cię napadło? Znowu się pokłóciłeś z Jürgenem? I dlatego wróciłeś przemoczony?

- To nie była kłótnia. Gonił mnie z dwoma kolegami po parku.

- Tylko się bawili, synu.

- Wrzucili mnie w spodniach do stawu.

- A może najpierw ty im dokuczyłeś?

Paul parsknął tylko, lecz nic nie powiedział. Typowe dla matki. Ilekroć miał jakiś problem, zawsze próbowała winą obarczyć jego i tylko jego.

- Lepiej już śpij, Paul. Jutro ważny dzień.

- A tak, urodziny Jürgen. Świetnie.

- Będą ciasta.

- Niech je sobie zjedzą.

- Nie rozumiem, dlaczego w ten sposób na wszystko reagujesz.

Paul pomyślał, że nie uchodzi, by sto osób bawiło się na przyjęciu na parterze, podczas gdy Eduard - z którym dotąd nie pozwolono mu się zobaczyć - cierpi na czwartym piętrze, wolał to jednak przemilczeć.

- Jutro będę miała dużo pracy - zakończyła Ilsa, odwracając się.

Chłopak jeszcze dobrą chwilę wpatrywał się w plecy matki. Pokoje w skrzydle dla służby mieściły się w suterenie. Mieszkanie tutaj, poza częścią rezydencji przeznaczoną dla państwa, Paulowi w zasadzie nie wadziło, ponieważ innego domu nigdy nie znał. Od urodzenia tu żył i od urodzenia oglądał matkę w sytuacji co najmniej dziwnej - w charakterze posługaczki u jej siostry Brunhildy.

Wątle światło wpadało przez prostokątne okienko pod sufitem. Żółtawy stłumiony blask szedł od latarni i mieszał się z migotaniem świeczki, którą Paul zawsze zostawiał zapaloną przy łóżku, ponieważ w ciemnościach ogarniał go zwierzęcy strach. Reinerowie zajmowali jedną z najmniejszych izdebek, w której stały tylko dwa łóżka, szafa oraz stolik zarzucony kajetami i podręcznikami Paula.

Chłopaka męczyła ciasnota. Jakby mało było wolnych pokojów. Majątek barona już przed wojną zaczął topnieć, czemu Paul przyglądał się z takim samym spokojem, z jakim się patrzy na puszkę rdzewiejącą w polu. To proces trwający lata, lecz nieuchronny.

„Karty”, szeptano wśród służby, kręcąc głową, jakby chodziło o jakąś zaraźliwą śmiertelną chorobę. „To wszystko przez karty”. Od małego Paul tyle się o tym nasłuchał, że gdy pewnego razu kolega przyniósł do szkoły francuską talię kart znalezionej w domu, Paul wybiegł z klasy i zamknął się w łazience. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, na czym polega problem jego wuja barona: niby nie zaraźliwy, a przecież straszny.

Kiedy narosły należności w wypłacie uposażeń, ludzie zaczęli odchodzić. Teraz spośród dziesięciu izb w skrzydle dla służby tylko trzy były zajęte: pokojówki, kucharki oraz Paula i jego matki. Chłopak często nie dosypiał, ponieważ Ilsa zawsze wstawała godzinę przed świtem. Póki służących było pod dostatkiem, pełniła funkcję gospodyni i zawiadywała prowadzeniem domu. Kiedy jednak zaczęło brakować rąk do pracy, musiała wykonywać różne inne obowiązki.

Paul początkowo za normalne miał takie życie: ciężką wyczerpującą pracę matki i swoje obowiązki wykonywane, odkąd pamiętał. W szkole rozmawiał o tym wszystkim z kolegami, aż urósł na tyle, że potrafił porównywać i oceniać otoczenie - wtedy zdał sobie sprawę, jak dziwne jest to, że siostra baronowej mieszka ze służbą.

Parokrotnie doszły jego uszu trzy słowa określające Ilsę i Paula, rzucone ponad ławami w szkole lub za jego plecami niczym zamykające się drzwi.

Sierota.

Służąca.

Dezerter.

Ostatnie było najgorsze, ponieważ odnosiło się do jego ojca. Do człowieka, którego nie znał, o którym matka nigdy nie mówiła, on zaś wiedział tylko jedno: że się nazywa Hans Reiner.

Ze łzami w oczach składając fragmenty podsłuchanych rozmów, Paul dowiedział się tym sposobem, że jego ojciec zrobił coś strasznego (w koloniach w Afryce, mówiono), że stracił wszystko (doprowadził się do ruiny, został tylko w koszuli), a jego żona znalazła się na łasce swojej siostry Brunhildy (posługaczka u własnego szwagra, i to przecież barona, dacie wiarę?). Jako że Ilsa nie dostawała ani marki wynagrodzenia za pracę, nie świadczyło to o przyzwoitości jej siostry. A podczas wojny musiała pracować w fabryce amunicji, aby „mieć swój wkład w utrzymanie domu”. Fabryka miała siedzibę w Dachau, miejscowości odległej od Monachium o szesnaście kilometrów, tak że Ilsa co dzień wstawiała dwie godziny przed świtem, wykonywała przypadające na nią prace domowe i ledwie zdążała na pociąg, którym dojeżdżała na swoją zmianę rozpoczynającą się o dziesiątej.

Właśnie gdy kiedyś wróciła z fabryki z włosami i palcami zielonymi od prochu strzelniczego, z błędnym wzrokiem po całym dniu wdychania chemikaliów, Paul po raz pierwszy zapytał, czemu nie znajdą sobie innego mieszkania. Takiego, gdzie nie byłiby oboje ciągle upokarzani.

- Nic nie rozumiesz, Paul - usłyszał.

Wielokrotnie tak mu odpowiadała, zawsze umykając wzrokiem i wychodząc z pomieszczenia, w którym się znajdowali, albo odwracając się tyłem, jak zrobiła teraz.

Paul przez kilka chwil spoglądał na plecy matki. Oddech miała spokojny i miarowy, chłopak jednak wiedział, że udaje, i zastanawiał się, jakie myśli ją dręczą w środku nocy.

Oderwał od niej wzrok i wlepił go w ścianę. Gdyby spojrzenie miało ciężar, metr kwadratowy tynku nad wezłowiem Paulowego łóżka już dawno by odpadł. W ten bowiem kawałek sufitu chłopak się wpatrywał, snując fantazje na temat ojca w noc, kiedy nie mógł zasnąć. Wiedział o nim tylko, że był kapitanem cesarskiej floty i dowodził fregatą w Afryce Południowo-Zachodniej. Umarł, gdy Paul miał dwa lata, a jedyną pamiątką po nim była wyblakła fotografia: ciemnookiego mężczyzny w mundurze, z sumiastymi wąsami, dumnie wpatzonego w obiektyw.

Ilsa każdej nocy wsuwała fotografię pod poduszkę. Największą przykrość Paul sprawił

matce nie w dniu, kiedy Jürgen zepchnął go ze schodów, w wyniku czego złamał sobie rękę. Nie, stało się to w dniu, gdy ukradkiem zabrał fotografię do szkoły, aby pokazać ją tym wszystkim, którzy za plecami nazywali go sierotą. Ilsa po powrocie do domu przetrząsnęła cały pokój, szukając zdjęcia. Wyjąwszy je w końcu ostrożnie z podręcznika do matematyki, dała Paulowi w twarz i wybuchnęła płaczem.

- To jedyne zdjęcie - powiedziała. - Jedyne.

Oczywiście zaraz uściskała syna. Ale najpierw zabrała fotografię.

Paul często próbował sobie wyobrazić, jaki był ten niesamowity człowiek. Wpatrzony w szary sufit w świetle padającym od latarni ulicznej, rysował w myślach kształty fregaty noszącej imię „Kiel”, na której Hansa Reintera „wraz z całą załogą pochłonął Atlantyk”. Wymyślał setki najrozmaitszych przyczyn mających wytłumaczyć te kilka słów, które na temat jego śmierci usłyszał od matki. Piraci, rafy, bunt załogi... od czegokolwiek zaczął, jego rojenia zawsze się kończyły tak samo: dzierząc ster, Hans wyciąga rękę w pożegnalnym geście i niknie pod wodą.

Dotarwszy do tego miejsca, Paul zapadał w sen.

ROZDZIAŁ 4

CZASAMI OTTO VON SCHROEDER NIE MÓGL JUŻ ZNIEŚĆ TEGO ŻYDA. Patrzył, jak się opycha bułeczkami maślanymi. Gors koszuli miał poplamiony polewą waniliową.

- Brunhildo, bądź tak miła i mów ciszej, uspokój się. Równie dobrze jak ja wiesz, że potrzebujemy Tannenbauma. Na to przyjęcie splukaliśmy się do ostatniego feniga. Co oczywiście było twoim pomysłem.

- Jürgen zasługuje na wszystko co najlepsze. Sam wiesz, jaki jest wzburzony, odkąd jego brat wrócił... taki.

- No to nie uskarżaj się na Żyda.

- Nie masz pojęcia, jak trudno być gospodynią przy takim gościu, znosić te jego wieczne pochlebstwa, absurdalne komplementy, jakby prócz niego nikogo nie było na świecie. Łącznie z tym, że przed chwilą miał czelność mi zaproponować, by jego córkę wydać za Jürgena - powiedziała Brunhilda, oczekując, że Otto wyrazi oburzenie.

- Mogłoby to zakończyć nasze kłopoty.

Te słowa minimalnie naruszyły uśmiech przyklejony do ust Brunhildy, która spojrzała na barona ze zdumieniem.

Stali w drzwiach salonu, w napięciu rozmawiając przez zęby i przerywając wymianę zdań, by witać kolejnych gości. Baronowa już miała odpowiedzieć mężowi, lecz znowu musiała przyoblec twarz w życzliwy grymas.

- Witamy, pani Gerngross... pani Sagebiel... Jak miło, że panie przyszły.

- Przepraszamy za spóźnienie, droga Brunhildo.

- Mosty, ach, wszystko przez te mosty.

- Tak, komunikacja jest po-twor-na. Literalnie kosz-mar-na.

- Moja droga, kiedyż porzucisz ten stary zimny dom i przeniesiesz się na lewy brzeg rzeki?

Baronowa uśmiechnęła się z zadowoleniem na tę uszczypliwość podyktowaną zawiścią. Każdego z zaproszonych na przyjęcie nowobogackich kłuła w oczy klasa i siła emanująca z tarczy herbowej jej męża.

- Proszę się poczęstować ponczem, jest wyborny - rzekła Brunhilda, wskazując środek

salonu, gdzie pysznił się ogromny stół zastawiony potrawami i napojami i otoczony tłumem gości. Nad wazą z ponczem galopował rumak z lodu, a w głębi pomieszczenia kwartet smyczkowy przygrywał bawarskie melodie ludowe wplatające się w gwar.

Kiedy miała pewność, że nowo przybyłe jej nie usłyszą, baronowa odwróciła się do Ottona i ostrym tonem, który niewiele dam z monachijskich wyższych sfer uznałoby za stosowny, powiedziała:

- Układałeś się w sprawie ożenku naszego syna, nic mi o tym nie wspominając? Dopniesz swego po moim trupie!

Baron ani mrugnął. Po dwudziestu pięciu latach pożycia małżeńskiego nauczył się, jak reaguje żona, gdy ktoś wkracza na jej terytorium. Tym razem jednak będzie musiała ustąpić, ponieważ w grę wchodziło znacznie więcej niż jej głupia duma.

- Kochanie, nie powiesz chyba, że nie widziałas, jak ten Żyd kręci się koło nas. Stroił się w swoim mniemaniu elegancko, co niedziela bywał w tym samym kościele co my, udając, że nie słyszy, ilekroć mówiono o nim „przechrztą”, i podpierał się naszą pozycją w towarzystwie.

- Oczywiście, że to widziałam, nie jestem głupia.

- Pewnie, że nie jesteś, b a r o n o w o . Potrafisz dodać dwa do dwóch. I wiesz, że jesteśmy bankrutami. Konta w bankach są wyczyszczone.

Brunhildzie krew odpłynęła z twarzy. Musiała się przytrzymać alabastrowego gzymsu, by nie upaść.

- Niech cię diabli, Otto.

- Ten wytworny czerwony strój, który masz na sobie... Krawcowa zażądała zapłaty gotówką. Zaraz się to rozeszło po mieście, a kiedy coś takiego się zaczyna, nie ustaje, póki nie trafisz na bruk.

- Myślisz, że nie wiem? Myślisz, że nie czuję, jak nas obserwują, jak przyklejają nam łatki i szkalują nas, i popatrują po sobie, gdy sobie uświadomią, że nie należą do rodu takiego jak nasz? Wiem doskonale, co szepczą te stare kwoki, jakby mi krzychały do ucha, Otto. Ale to jedno, mój drogi, pozwolić zaś, żeby mój syn, mój Jürgen, ożenił się z brudną Żydówką...

- Nie ma innej rady. Został nam tylko ten dom i grunty, które przepisałem na Eduarda, kiedy się urodził. Jeżeli nie zdołam pożyczyć od Tannenbauma kapitału, który pozwoli wybudować fabrykę na tych terenach, będziemy skończeni. Pewnego ranka przyjdzie po mnie policja i pozostanie mi tylko postąpić jak przystało na porządnego chrześcijańskiego szlachcica: palnąć sobie w łeb. A ty skończysz jak twoja siostra: jako czyjaś posługaczka. Tego chcesz?

Brunhilda zabrała rękę z gzymsu. Przerwę w rozmowie wymuszoną przybyciem nowych gości wykorzystała na zgromadzenie w duchu wystarczającej dawki gniewu, po czym zniecka cisnęła nim w Ottona niczym kamieniem.

- Przez ciebie i przez twoją namiętność do gry wpadliśmy w tarapaty, ty przepuściłeś rodzinny majątek. Załatw to teraz tak, jak trzynastcie lat temu załatwiłeś z Hansem.

Baron ze strachem cofnął się o krok.

- Nie waż się więcej wymieniać tego imienia!

- Kiedyś się tego nie bałeś. I na co to było? Od piętnastu lat znoszę siostrę w swoim domu!

- Nie przychodzi mi karta. A chłopak dorasta. Może teraz...

Brunhilda nachyliła się do niego. Otto przewyższał ją prawie o głowę, mimo to przy niej wydawał się niski.

- Moja cierpliwość ma swoje granice.

Z ujmującym wyrazem twarzy Brunhilda dzielnie wkroczyła między gości, zostawiając barona, który z zimnym uśmiechem przyklejonym do twarzy walczył z krzykiem narastającym w gardle.

W drugim końcu gwarne salonu Jürgen von Schroeder odstawił trzeci kieliszek szampana, aby rozpakować prezent, który podawał mu jeden z kolegów.

- Nie chciałem go zostawiać z innymi - wyjaśnił, wskazując stół za sobą zarzucony paczkami owiniętymi w błyszczący kolorowy papier. - To coś specjalnego.

- Co wy na to, chłopaki? Mam prezent od Krohna otworzyć jako pierwszy?

Otoczyło go pół tuzina rówieśników, wszyscy w eleganckich niebieskich marynarkach ze złotym godłem szkoły. Wszyscy pochodzili z dobrych rodzin, wszyscy Jürgenowi ustępowali urodą i wzrostem, wszyscy wybuchali śmiechem, kiedy Jürgen zażartował. Młodszy syn barona niewątpliwie miał dar otaczania się ludźmi, którzy nigdy nie spychali go w cień, aby później chępić się między sobą.

- Dobra, otwórz, ale potem obejrzyj mój!

- I mój!... I mój!... - zawtórowali inni.

Ależ się dopominają, żeby rozpakować ich prezenty - pomyślał Jürgen. - Przepadają za mną, bez dwóch zdań.

- Bez nerwów - rzekł, unosząc ręce w geście, który uważał za uspokajający. - Naruszmy troszkę tradycję i teraz rozpakujemy prezenty od was, a po toście od reszty gości.

- Doskonały pomysł, Jürgen!

- No dobra, ciekawe, Krohn, co tu mamy... - mówił Jürgen, otwierając pudełeczko, po czym podniósł jego zawartość na wysokość oczu.

Trzymał w palcach złoty łańcuszek, na którym zawieszono dziwny znak: dwa czarne skrzyżowane ramiona zagięte w połowie i tworzące niemal kwadrat.

- To swastyka. Symbol antysemityzmu. Mój ojciec mówi, że jest w modzie.

- Twój ojciec się myli - rzekł Jürgen, zakładając wisior na szyję. - Dopiero t e r a z będzie w modzie. Idę o zakład, że zobaczymy ich tu sporo.

- Jasne!

- Trzymaj, Jürgen, otwórz mój prezent. Chociaż lepiej, żebyś go publicznie nie oglądał...

Jürgen odwinął pakunek wielkości mniej więcej paczki papierosów - w środku było skórzane etui z wieczkiem na zawiasach. Otworzył je teatralnym gestem. Otaczający go koledzy zachichotali nerwowo, ujrawszy, co jest w środku: cylindryczny kapturek z wulkanizowanego kauczuku.

- No, no, spory.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem!

- Baaardzo osobisty prezent, co, Jürgen?

- Czy to propozycja?

Przez chwilę Jürgen czuł, że traci kontrolę nad kolegami, którzy naraz gotowi byli się z niego natrzęsać. To niedopuszczalne - uznał. - Wykluczone i nie pozwolę na to. Narastał w nim gniew, odwrócił się więc do autora ostatniego komentarza. Prawą nogą całym ciężarem przydeptał jego lewą stopę. Chłopak zbladł, lecz zacisnął zęby.

- Na pewno chcesz się wytłumaczyć z tego niefortunnego żartu.

- Jasne!... Wybacz, Jürgen. Nigdy bym nie śmiał wątpić w twoją męskość... Auuu!

- Tak myślę - łaskawie rzekł Jürgen, wolno podnosząc nogę. W otaczającym go kręgu kolegów zapadła cisza, którą podkreślały odgłosy towarzyszące przyjęciu. - No, ale nie sądzicie chyba, że nie chwyciłem żartu. Ten... hm... przedmiot na pewno niedługo dobrze wykorzystam - ciągnął, wodząc spojrzeniem dookoła. - Na przykład z nią. - Wskazał wzrokiem szczupłą śniadą dziewczynę o marzycielskich oczach zagubioną w tłumie ze szklanką ponczu w ręku.

- Małe cycki - szepnął jeden z akolitów.

- Ktoś się założy, że wykorzystam prezent i zdążę wrócić na toast?

- Stawiam pięćdziesiąt marek na Jürgeną - podchwycił natychmiast ten, któremu Jürgen przydeptał stopę, pragnąc powrócić do łask.

- Trzymam zakład - rzekł inny kolega stojący za Jürgenem.

- No to czekajcie tutaj i uczcie się.

Jürgen powoli przełknął ślinę, zadbawszy, aby koledzy tego nie zauważyli. Nie cierpiał rozmawiać z dziewczynami, zawsze bowiem dawały mu odczuć, że jest niezgrabny i gorszy. Jego jedyny intymny kontakt z płcią przeciwną miał miejsce w burdelu w Schwabingu, gdzie doświadczył więcej wstydu niż rozkoszy, aczkolwiek wspomnienie w sumie było miłe. Do burdelu kilka miesięcy wcześniej zabrał go ojciec, obaj przywdziali wtedy nie rzucające się w oczy czarne palta i kapelusze. Kiedy Jürgen robił swoje, ojciec czekał na dole przy lampce koniaku. Po wszystkim klepnął go w plecy i oświadczył, że jest teraz mężczyzną. Taki był początek i koniec edukacji Jürgena von Schroedera we wszystkim, co dotyczy miłości i kobiet.

Pokażę im, jak postępuje prawdziwy mężczyzna, postanowił Jürgen, czując na karku spojrzenia kolegów.

- Dzień dobry. Jak się pani bawi?

Spojrzała na niego bez uśmiechu.

- Niespecjalnie, prawdę mówiąc. Znamy się?

- Widzę, że niespecjalnie. Jestem Jürgen von Schroeder.

- Alys Tannenbaum - przedstawiła się, bez entuzjazmu ściskając mu rękę.

- Zatańczysz?

- Nie.

Opryskliwa odpowiedź dziewczyny sprawiła, że Jürgen zastygł z otwartymi ustami.

- Wiesz, że jestem gospodarzem przyjęcia? Że to moje urodziny?

- Winszuję - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - W tym salonie na pewno jest mnóstwo panien, które marzą, żebyś je poprosił do tańca. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

- Ale powinnaś się zgodzić na przynajmniej jeden taniec.

- Czyżby? Niby dlaczego?

- Tak nakazuje dobre wychowanie. Przecież kiedy dżentelmen prosi damę...

- Wiesz, Jürgen, co mnie najbardziej męczy? Liczba rzeczy, które uważacie za ustalone raz na zawsze. Przyjmij więc do wiadomości, że świat nie jest taki, jaki ci się wydaje. Coś mi się zdaje poza tym, że twoi przyjaciele szturchają się znacząco, nie spuszczać cię z oczu.

Jürgen kątem oka zerknął za siebie. Nie mógł sobie pozwolić na porażkę, na upokorzenie przez tę zuchwałą dziewczuchę. Udaje nieprzystępną, bo się jej podobam - uznał. - Pewnie jest z tych, które uważają, że najlepsza metoda, by podniecić mężczyznę, to odtrącać

go do utraty zmysłów. Dobra, wiem, jak z takimi postępować.

Postąpił o krok, prawą ręką otoczył dziewczynę w talii, a lewą ujął ją za prawą dłoń i przyciągnął.

- Co ty wyczyniasz, u licha? - zdumiała się.
- Uczę cię tańczyć.
- Jeśli natychmiast mnie nie puścisz, zacznę krzyczeć.
- Nie chcesz zrobić sceny, prawda, Alys?

Dziewczyna próbowała oswobodzić rękę i odepchnąć Jürgena, chociaż nie mogła się równać z nim siłą. Chłopak przyciągnął ją jeszcze bliżej, tak że przez ubranie czuł jej piersi i własną erekcję na wysokości jej żołądka. Z uśmiechem na ustach zaczął się poruszać w rytm muzyki, wiedząc, że jego partnerka nie podniesie krzyku. Wywołanie skandalu na takim przyjęciu naraziłoby tylko na szwank dobre imię panny i jej rodziny. Widział, jak w jej oczach narasta zimna nienawiść, i naraz uznał, że taka zabawa z nią może się okazać nadzwyczaj ciekawa, dużo ciekawsza, niż gdyby bez oporu przyjęła zaproszenie do tańca.

- Życzy pani sobie kieliszek szampana?

Jürgen zastygł w miejscu. Obok stał Paul z napełnionymi szampanem kieliszkami na tacy i zaciśniętymi ustami.

- Proszę, proszę, mój kuzyn lokaj!... Spadaj, durniu - warknął Jürgen.

- Oczywiście, ale najpierw chcę się upewnić, czy pani nie jest spragniona - odparł Paul, podsuwając tacę.

- Tak, bardzo - podchwyciła Alys. - Szampan bardzo apetycznie wygląda.

Jürgen przymrużył oczy, gorączkowo myśląc. Jeśli Alys prawą ręką sięgnie, by wziąć kieliszek z tacy, będzie mogła wystarczająco się odsunąć i uwolnić. Rozluźnił zatem nieco uchwyt na jej plecach, tak że oswobodziła lewą rękę, prawą natomiast Jürgen równocześnie ścisnął mocniej. Dziewczynie koniuszki palców aż zsiniały.

- Proszę, Alys, poczęstuj się. Podobno to poprawia humor - rzekł na pozór wesoło.

Alys przechyliła się odrobinę ku tacy. Spróbowała się oswobodzić, lecz nadaremno. Nie pozostało jej nic innego, jak wziąć lampkę lewą ręką.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem.

- Życzy pani sobie może serwetkę? - spytał Paul, podnosząc drugą rękę, w której trzymał tacę z płóciennymi serwetkami. Okrążył parę i teraz z drugiej strony podsuwał serwetki.

- Bardzo chętnie - oświadczyła Alys, patrząc w oczy synowi barona.

Przez kilka sekund żadne z trojga ani drgnęło. Jürgen niespiesznie analizował

sytuację. Ponieważ w lewej ręce trzymała kieliszek, serwetkę mogła wziąć tylko do prawej. Ostatecznie, gotując się ze złości, musiał się przyznać do porażki. Puścił rękę Alys, która cofnęła się o dwa kroki i wzięła z tacki serwetkę.

- Muszę wyjść na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem - oznajmiła z godnością.

Jürgen wzgardliwie okręcił się na pięcie, by wrócić do przyjaciół. Mijając Paula, przytrzymał go za ramię i szepnął:

- Zapłacisz mi za to.

Jakimś cudem Paulowi udało się utrzymać równo tacę, tak że kieliszki z szampanem tylko zadzwoniły. Inaczej się miały sprawy z jego równowagą wewnętrzną, która się rozchwiała niczym kot balansujący na końcu cienkiej gałązki.

Jak mogłem być taki głupi? - pomyślał.

Na co dzień stosował się do jednej żelaznej zasady: trzymać się jak najdalej od Jürgena. Nie było to łatwe, skoro mieszkali pod jednym dachem, lecz przynajmniej jasne i proste. Niewiele był w stanie zrobić, jeśli kuzyn postanowił uprzykrzyć mu życie, ale w sumie mógł schodzić mu z drogi, a tym bardziej nie upokarzać go publicznie, co właśnie uczynił. Dużo go to będzie kosztowało.

- Dziękuję.

Paul podniósł wzrok i na chwilę zapomniał absolutnie o wszystkim: o strachu przed Jürgeniem, o ciężkiej tacy i stopach obolałych po dwunastu godzinach pracy przy przygotowaniach do przyjęcia. To wszystko rozwiało się jak dym, ponieważ o n a uśmiechała się do niego.

Alys nie była dziewczyną, której widok zapierałby mężczyźnie dech w piersiach od pierwszego wejrzenia. Kto jednak po raz drugi na nią popatrzył, zatrzymywał wzrok na dłużej. Kto posłuchał jej chrapliwego głosu, mógł poczuć do niej pociąg. A jeśli kogoś obdarzyła uśmiechem takim jak teraz Paula...

Paul zatem wpadł na całego: zakochał się na zabój.

- Ach... nie ma za co - bąknął.

Później wielokrotnie przeklinał tę chwilę, tę rozmowę i ten uśmiech, które stały się przyczyną tylu problemów. Ale w tym momencie o niczym jeszcze nie miał pojęcia. O niczym nie wiedziała także Alys, szczerze wdzięczna szczuplutkiemu nieśmiałemu chłopakowi o inteligentnych niebieskich oczach. Oczywiście Alys natychmiast na powrót stała się sobą.

- Nie myśl, że sama bym sobie z nim nie poradziła - oświadczyła.

- Jasne - przyświadczył wciąż oszołomiony Paul.

Alys zamrugala; nie przywykła do tak łatwych zwycięstw. Wolala zatem zmienić temat.

- To nie jest miejsce na rozmowy. Oczekaj minutę i spotkajmy się w garderobie.

- Bardzo chętnie...

Paul wrócił do salonu i obszedł go jeszcze raz, by opróżnić tacę i mieć pretekst do zniknięcia. Na początku przyjęcia krążył między gośćmi i słuchał rozmów, z zaskoczeniem stwierdzając, jak niewielką uwagę zwracają na niego. Naprawdę czuł się jak niewidzialny, toteż zdumiał się bardzo, kiedy go zagadnięto. Uczynił to gość, który wziął ostatnią lampkę z tacy. Uśmiechnął się i powiedział:

- Dobra robota, synu.

- Proszę?

Był to dojrzały mężczyzna, siwowłosy i siwobrody, z odstającymi uszami. Obrzucił Paula osobliwie baczny spojrzeniem.

- „Żaden jeszcze rycerz tak mężnie i dwornie nie ratował damy”. To cytat. Wybacz, nazywam się Sebastian Keller, jestem księgarzem.

- Miło mi pana poznać.

Mężczyzna kciukiem wskazał na drzwi.

- Lepiej się pospiesz. Będzie na ciebie czekała.

Zdziwiony Paul wsunął tacę pod pachę i wyszedł z salonu. Garderobę urządzono w przedpokoju - tworzył ją wielki stół oraz dwa ogromne okrągłe wieszaki z okryciami setki gości. Dziewczyna odebrała już płaszcz z rąk szatniarki, którą baronowa zatrudniła na przyjęcie, i czekała na niego przy drzwiach.

- Nazywam się Alys Tannenbaum - przedstawiła się, lecz nie wyciągnęła ręki.

- Paul Reiner.

- On naprawdę jest twoim kuzynem?

- Niestety tak.

- Nie wyglądasz...

- ...na siostrzeńca baronowej? - wpadł jej w słowo Paul, wskazując swój strój lokaja. -

To najnowszy krzyk mody, prosto z Paryża.

- Chodziło mi o to, że nie wyglądasz jak on.

- Bo nie jestem taki jak on.

- Miło mi to słyszeć. Chciałabym ci jeszcze raz podziękować. Trzymaj się, Paul.

- Jasne, dziękuję.

Wyciągnęła rękę do klamki, jednakże zanim otworzyła drzwi, obróciła się szybko i pocałowała Paula w policzek, po czym zbiegła po schodach i zniknęła. Przez kilka chwil Paul zachłannie wpatrywał się w ulicę, jakby się spodziewał, że Alys wróci. W końcu zamknął drzwi, oparł czoło o futrynę i westchnął.

Czuł dziwnie błogi ciężar na sercu i w żołądku, jakby jakieś zwierzątko ułożyło się nareszcie w norce, która zawsze należała do niego, choć nigdy dotąd w niej nie było. Nie potrafił tego nazwać, toteż z braku lepszego miana uznał - i słusznie - że to miłość. Ogarnęło go szczęście.

- No proszę, wygląda na to, że błędny rycerz otrzymał nagrodę, prawda, chłopaki?

Usłyszawszy znajomy głos, Paul czym prędzej się odwrócił.

I w jednej chwili szczęście ustąpiło miejsca strachowi.

ROZDZIAŁ 5

STALI TAM W SIEDMIU.

Utworzyli w przedpokoju szeroki półokrąg, blokując wejście do salonu. Jürgen znajdował się pośrodku, lekko wysunięty do przodu, jakby się nie mógł doczekać, kiedy dostanie Paula w swoje ręce.

- Tym razem przesadziłeś, kuzynie. Nie lubię, jak ktoś nie umie się trzymać miejsca, które zajmuje w życiu.

Paul się nie odezwał, świadom, że cokolwiek powie, i tak niczego to nie zmieni. Jürgen bowiem najbardziej na świecie nie znosił upokorzenia. A już zupełnie mu się w głowie nie mieściło, że doznał go publicznie, na oczach kolegów, od ubogiego krewnego, służącego, familijnej czarnej owcy. Kiedy do tego doszło, klamka zapadła: sprawcę będzie bolało. I im bardziej będzie to widoczne, tym lepiej.

- Zaraz ci pokażę, że nie warto odgrywać błędnego rycerza, gnoju.

Paul z rozpaczą rozejrzał się dokoła. Szatniarka gdzieś zniknęła, bez wątplenia na polecenie Jürgena. Jego koledzy zastawiali środek przedpokoju, odcinając wszelką drogę ucieczki, i powoli coraz bardziej się przybliżali. Gdyby się odwrócił i próbował wydostać przez drzwi na ulicę, dopadliby go i powalili, zanimby zdążył wybiec.

- Ktoś tu robi w portki - zanucił Jürgen.

Paul wykluczył ucieczkę korytarzem, który prowadził do części służbowej, jedyną wolną drogę, ponieważ był to praktycznie ślepy zaułek.

Chociaż nigdy w życiu nie uczestniczył w polowaniu, przy rozmaitych okazjach słyszał opowieści barona, w jaki sposób zdobywał poszczególne trofea zdobiące ścianę jego gabinetu. Teraz kuzyn chciał, by Paul uciekł właśnie tam, gdzie nikt nie usłyszy jego krzyków.

Dlatego pozostawała mu jedna tylko możliwość.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, rzucił się pędem prosto na chłopaków.

Jürgena tak zaskoczyło, gdy Paul przemknął obok, że tylko obrócił za nim głowę. Krohn natomiast, który znajdował się jakieś dwa metry dalej, miał więcej czasu, aby

zareagować. Stał mocno na nogach i gotów był wymierzyć cios biegnącemu wprost na niego, ale kiedy jego pięść już miała wylądować na twarzy Paula, ten runął na ziemię nogami do przodu. Upadł na lewe biodro - siniak na nim nosił przez dwa tygodnie - lecz siłą rozpędu przejechał po wypolerowanych marmurowych płytach niczym kawałek masła po rozgrzanej blasze i zatrzymał się na końcu przedpokoju, u stóp schodów prowadzących na wyższe piętra.

- Na co czekacie, kretyni? Łapać go! - wrzasnął Jürgen rozwścieczony.

Nie oglądając się za siebie, Paul zerwał się i pobiegł schodami na górę. Nie myślał teraz, poruszał nogami, kierując się wyłącznie instynktem samozachowawczym. Stopy, które dokuczały mu przez cały dzień, zaczęły teraz bardzo boleć. Kiedy się znalazł w połowie schodów na drugim piętrze, potknął się i omal nie poleciał w dół, ale zdołał odzyskać równowagę w samą porę, by umknąć przed już-już doganiającym go jednym z kolegów Jürgena. Chwyając się poręczy z brązu na zakrętach, wbiegał coraz wyżej, aż między trzecim a czwartym piętrem, na ostatnim ciągu schodów, czubkiem buta zawadził o stopień. Z rękami do przodu poleciał na twarz, omal nie wybijając sobie zębów na krawędzi.

Pierwszy z prześladowców dopadł go zadyszany, lecz gdy już miał go złapać, on również się potknął, tak że zdołał uchwycić tylko skraj fartucha.

- Mam go! Szybko!... - krzyknął, przytrzymując się drugą ręką balustrady, aby ścigany się nie wyrwał.

Paul usiłował się podnieść na nogi, ale napastnik szarpnął za fartuch i chłopak osunął się o stopień, waląc o schody głową. Wierzgał nogami na oślep, trafiając prześladowcę w ramiona i ręce, nie mógł się jednak wyrwać. Przez kilka trwających wieczność sekund zmagął się z węzłem fartucha zawiązanego w pasie, słysząc coraz bliższy tupot reszty prześladowców. Cholera, że też tak mocno go ściągnąłem, pomyślał.

Wtem natrafił palcami na właściwą część węzła, pociągnął i pozbył się fartucha. Zerwał się na nogi, by dotrzeć do czwartego piętra, ostatniego. Tutaj nie bardzo miał gdzie uciekać, wbiegł zatem w pierwsze drzwi i zatrzasnąwszy je, zamknął zasuwkę.

- Gdzie on jest? - huknął Jürgen, znalazłszy się na podeście między trzecim i czwartym piętrem.

Kolega, który zdołał złapać Paula za fartuch, wskazał lewą stronę korytarza, pocierając stłuczone kolano.

- Za mną! - zawołał Jürgen do kompanów, którzy się zatrzymali kilka stopni niżej.

Żaden się nie ruszył.

- Do diabła, co wam... - urwał. Ze szczytu schodów patrzyła nań matka.

- Rozczarowujesz mnie, Jürgenie - rzekła lodowatym tonem. - Zaprosiliśmy najznacznější osoby z monachijskiego towarzystwa, żeby uczcić twoje urodziny, a ty przez pół przyjęcia gonisz się z kolegami po schodach.

- Właściwie...

- Dosyć. Proszę, żebyście wszyscy natychmiast zeszli na dół i dołączyli do reszty gości. Później o tym jeszcze porozmawiamy.

- Już idziemy, proszę mamy - powiedział Jürgen potulnie, po raz drugi tego dnia upokorzony w obecności kolegów. Zaciśnawszy zęby, ruszył z powrotem do salonu.

Jeszcze się spotkamy - rzekł do siebie. - I za wszystko mi zapłacisz, Paul.

ROZDZIAŁ 6

- JAK MIŁO CIĘ WIDZIEĆ!

Paul, który starał się uspokoić nerwy i odzyskać oddech, dopiero po chwili zrozumiał, skąd dochodzi głos. Siedział na podłodze oparty o drzwi, z drżeniem czekając, że w każdej chwili Jürgen w nie załomocze. Usłyszawszy te słowa, skoczył na równe nogi.

- Eduard!

Nieświadomie wtargnął do pokoju starszego kuzyna, do którego od miesiący nie wchodził. Wszystko tu wyglądało tak samo jak przed wyjazdem Eduarda - panował ład i spokój, pomieszczenie tchnęło osobowością właściciela. Była tu kolekcja minerałów zgromadzona przez Eduarda, na ścianach wisiały ryciny z anonsami filmów, ale królowały widoczne wszędzie książki. Paul dobrze je znał, ponieważ większość przeczytał: powieści szpiegowskie i fantastyczne, westerny, książki filozoficzne i historyczne... Zajmowały półki, stół, zarzucona nimi była nawet podłoga przy łóżku, na którym leżał Eduard oczywiście z książką - musiał ją odkładać na materac, aby mając jedną rękę, przewrócić kartkę. Obłożony był poduszkami, które pomagały mu utrzymać pozycję siedzącą, smutny uśmiech błąkał mu się po bledziutkiej twarzy.

- Nie lituj się nade mną, Paul. Nie zniósłbym tego.

Paul popatrzył mu w oczy i zrozumiał, że Eduard z napięciem wyczekuje jego reakcji i dziwi się pewnie, iż młodszy kuzyn nie jest zaskoczony jego widokiem.

- Już cię widziałem - wyjaśnił zatem. - W dniu kiedy wróciłeś.

- I nie przyszedłeś do mnie pogadać? Odkąd wróciłem, widuję w zasadzie tylko twoją matkę. Prócz niej towarzystwa mi dotrzymują starzy przyjaciele: May, Salgari, Verne i Dumas - powiedział, podnosząc książkę, którą czytał, by kuzyn zobaczył tytuł na okładce. Był to „Hrabia Monte Christo”.

- Nie pozwolili mi.

Spuścił głowę zawstydzony. Chociaż ciotka i matka zabroniły mu odwiedzać Eduarda, nie musiał przecież okazywać aż takiego posłuszeństwa. Szczerze mówiąc, bał się oglądać Eduarda w takim stanie po tym, co zobaczył w dniu jego powrotu z wojny. Kuzyn patrzył teraz na niego z goryczą, przejrzawszy go z pewnością.

- Wiem, że matka się mnie wstydzi. Nie zauważyłeś tego? - powiedział Eduard, wskazując tacę, na której stał talerz z nietkniętymi ciastami z przyjęcia. - Moje kikuty nie prezentowałyby się dobrze na przyjęciu urodzinowym Jürgena, dlatego nie zostałem zaproszony. A przy okazji, jak tam zabawa?

- Tłum ludzi, piją, politykują i krytykują wojsko, że przegrało wojnę, którą mieliśmy wygraną.

Eduard prychnął.

- Łatwo krytykować, siedząc w domu. Co jeszcze mówią?

- Wszyscy gadają o negocjacjach w Wersalu i cieszą się, że odrzuciliśmy proponowane warunki.

- Przeklęte głupki - rzekł Eduard z goryczą. - Skoro nie padł nawet jeden pocisk na ziemię niemiecką, wszyscy święcie wierzą, że niezasażenie przegraliśmy wojnę. W sumie przypuszczam, że atmosfera jest jak co dzień, tyle że z muzyką i szampanem. Powiesz, przed kim tak uciekałeś?

- Przed dzisiejszym jubilatem.

- Twoja matka mówiła mi, że niezbyt się dogadujecie.

Paul kiwnął głową.

- Nie tknąłeś ciasta.

- Nie jem teraz wiele. Sporo mnie ubyło. Poczęstuj się, proszę, wyglądasz na głodnego. I podejdz bliżej, niech ci się przyjrzę... Mój Boże, ależ urosłeś!

Paul przysiadł na skraju łóżka i zaczął łapczywie jeść. Od śniadania nic nie miał w ustach, nie poszedł nawet do szkoły, ponieważ musiał pomagać w przygotowaniu przyjęcia. W tej chwili matka pewnie go szukała, lecz było mu to obojętne. Skoro pokonał strach, jaki w nim budził okaleczony Eduard, nie mógł teraz przepuścić okazji, by znowu pobyć z kuzynem, którego tak bardzo mu brakowało.

- Eduard, chcę... wybaczyć, że nie odwiedzałem cię dotąd. Mógłbym się wymykać po południu, kiedy ciocia Brunhilda wychodzi na spacer...

- Daj spokój, Paul. Jesteś tu i tylko to się liczy. Ja ciebie powinienem przeprosić, że nie pisałem, chociaż obiecałem przed wyjazdem.

- Co ci przeszkodziło?

- Mógłbym powiedzieć, że ostrzał Anglików, ale skłamałbym. Jakiś mędrzec powiedział swego czasu, że wojna składa się w siedmiu częściach ze znużenia i w jednej z potworności. I to święta prawda. Mieliśmy w okopach tyle czasu, że zaczęliśmy w końcu skakać sobie do gardeł.

- Więc czemu nie pisałeś?

- Zwyczajnie nie byłem w stanie. Nawet na samym początku tej absurdalnej niesłusznej wojny, z której wróciła tylko garstka tchórzy.

- Co ty gadasz, Eduard? Jesteś bohaterem! Na ochotnika poszedłeś na front jako jeden z pierwszych!

Na te słowa Eduard zachichotał jakoś nieludzko, mechanicznie, aż Paulowi włos się zjeżył na głowie.

- Bohaterem!... Chcesz wiedzieć, kto za ciebie decyduje i sprawia, że się zgłaszasz na ochotnika? Twój nauczyciel, kiedy opowiada ci o chwale ojczyzny, cesarstwa i cesarza. Twój ojciec, kiedy ci mówi, że postępujesz jak na mężczyznę przystało. Twój kolega, z którym niedawno na lekcjach gimnastyki toczyłeś zmagania o to, kto jest sprawniejszy. Oni wszyscy ciskają ci w twarz słowo „tchórz”, jeśli okażesz choćby cień niezdecydowania, i obwiniają cię o klęskę. Nie, kuzynie, w czasie wojny nie ma ochotników, są tylko głupcy i ludzie podli. Ci ostatni zostają w domu.

Paul siedział oniemiały. Naraz jego dotychczasowe zauroczenie wojną, mapy rysowane w zeszytach, przejęcie, z jakim codziennie w gazecie śledził informacje o postępach armii, wszystko to wydało mu się śmieszne i naiwne. Chciał o tym opowiedzieć, lecz bał się, że kuzyn wyśmiej go i wyrzuci z pokoju. W tej chwili poczuł, że mierzy się twarzą w twarz z wojną, która dla niego przestała być suchym wykazem zdobyczy na terytorium wroga, nie była już także strasznymi kikutami skrywanymi pod pościelą.

Wojna przybrała oblicze pustych, wypełnionych łzami oczu Eduarda.

- Mogłeś... mogłeś odmówić. Mogłeś zostać w domu.

- Nie, nie mogłem - odparł Eduard, odwracając głowę. - Okłamałem cię, Paul, przynajmniej częściowo. Wyjechałem, żeby być od nich daleko. Żeby nie być taki jak oni.

- Czyli kto?

- Wiesz, jak to się stało? - mówił Eduard, nie odpowiadawszy na pytanie. - Do końca wojny było jeszcze pięć tygodni, a wszyscy wiedzieliśmy, że przegraliśmy ją na całej linii. Że lada chwila każą nam wracać do domu. I coraz mniej nam zależało. Nie zwracaliśmy uwagi na tych, którzy obok nas padali, bo ostatecznie tak niewiele nas dzieliło od momentu, gdy będziemy mogli wrócić. I pewnego dnia w trakcie odwrotu pocisk spadł trochę za blisko.

Odtąd Eduard mówił tak cicho, że Paul musiał się przysunąć, aby słyszeć.

- Setki razy się zastanawiałem, co by było, gdybym się wtedy znalazł dwa metry dalej na prawo. Albo gdybym przed wyjściem z okopu przystanął, żeby się stuknąć dwa razy w hełm, jak zwykle robiliśmy. - Pięścią puknął Paula dwa razy w czoło. - Takie dwa uderzenia

sprawy, że byliśmy niepokonani. I wiesz, że tamtego dnia nie zrobiłem tego?

- Szkoda, że w ogóle poszedłeś na wojnę.

- Nie, Paul, uwierz mi. Zaciągnąłem się, żeby nie być jednym z von Schroederów, a wróciłem tylko po to, by się upewnić, że dobrze zrobiłem, idąc na wojnę.

- Nie bardzo rozumiem...

- Ach, mój drogi, ty bardziej niż ktokolwiek powinieneś rozumieć. Po tym, co ci zrobili. Po tym, co zrobili twojemu ojcu.

Ostatnie słowa zakłuły Paula w serce jak stalowy hak. Drasnęły go tylko powierzchownie, lecz przysze wydarzenia miały ów hak wbić głęboko.

- Co masz na myśli, Eduard?

Kuzyn przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, przygryzając dolną wargę. W końcu potrząsnął głową i przymknął oczy.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. Proszę.

- Nie mogę! W ogóle go nie znałem, nikt mi o nim nie mówi, chociaż szepczą za plecami. Wiem tylko to, co powiedziała mi mama: że zatonął ze swoim okrętem, wracając z Afryki. Dlatego musisz mi powiedzieć, co zrobiono mojemu ojcu.

Znowu zapadła cisza, tym razem o wiele dłuższa. Paul już się zaczął zastanawiać, czy Eduard aby nie zasnął, gdy kuzyn w końcu otworzył oczy.

- Będę się za to smażył w piekle, ale inaczej nie ulęę swojemu sumieniu. Przedtem jednak proszę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Co tylko zechcesz.

- Idź do gabinetu mojego ojca i wysuń drugą szufladę po prawej. Jeśli będzie zamknięta, klucz powinien być w środkowej szufladzie. Znajdziesz czarne zakładane etui ze skóry. Przynieś mi je.

Paul spełnił prośbę Eduarda. Na paluszkach zszedł na dół do gabinetu, drżąc, że kogoś spotka po drodze, chociaż w tej chwili zabawa na przyjęciu trwała w najlepsze. Okazało się, że szuflada jest zamknięta, klucza nie widział w miejscu, które wskazał mu Eduard, w końcu znalazł go w drewnianej szkatułce. Szufladę wypełniały dokumenty. Na spodzie Paul natrafił na czarny filc ozdobiony dziwnym złotym znakiem: cyrkiel i węgielnica z wpisaną w nią literą G. Pod spodem spoczywało skórzane etui.

Chłopak wsunął je za koszulę i wrócił do pokoju Eduarda. Czuł na brzuchu ciężar etui i drżał na samą myśl, że ktoś mógłby go nakryć w korytarzu z ukrytym za pazuchą przedmiotem nienależącym do niego. Z ogromną ulgą przekroczył próg pokoju kuzyna.

- Masz?

Paul dobył etui spod koszuli. Idąc do łóżka, potknął się o stertę książek, którymi zastawiona była podłoga. Książki się rozsypały, etui wyleciało mu z ręki. Otworzyła się jego zakładana część.

- Nie!... - wykrzyknęli zgodnie Eduard i Paul. Pierwszy ze smutkiem, drugi niedowierzająco.

Etui leżało między egzemplarzem „Lwa krwawej zemsty” Karola Maya a „Diablami eliksirami” Hoffmanna. Widać było kawałek jego zawartości, na czarnej skórze coś zalśniło perłowo.

Kolba pistoletu.

- Po co ci broń? - zapytał Paul drżącym głosem.

- Przecież wiesz... - Eduard znacząco podniósł kikut ramienia.

- Nie ma mowy, nie dam ci pistoletu.

- Posłuchaj, Paul, wcześniej czy później jakoś go zdobędę, bo teraz pragnę już tylko pożegnać się z tym światem. Możesz dzisiaj stąd uciec i odłożyć broń na miejsce, a mnie zmusić, żebym się czołgał po nocy do gabinetu ojca. Ale w takim wypadku nie usłyszysz ani słowa z tego, co mam ci do powiedzenia.

- Nie!

- Albo możesz zostawić pistolet pod łóżkiem, wysłuchać, co chcę ci powiedzieć, i dać mi swobodę godnego wyboru. Ty decydujesz, ale ja tak czy owak dopnę swego. I zrobię, co uważam za stosowne.

Paul usiadł, a raczej osunął się na podłogę z etui w rękach. Przez kilka długich minut w pokoju rozlegało się tylko metaliczne tykanie budzika. Eduard leżał z zamkniętymi oczami, póki nie poczuł drgnienia łóżka.

Jego kuzyn rzucił skórzane etui na materac w zasięgu ręki Eduarda.

- Niech Bóg mi wybaczy... - wyszeptał Paul. Płakał, stojąc u wezgowia łóżka, nie śmiąc popatrzeć Eduardowi w oczy.

- Jemu na pewno jest obojętne, co robimy - rzekł Eduard, gładząc palcami delikatną skórę etui. - Dziękuję, kuzynie.

- Powiedz... Powiedz wszystko, co wiesz.

Eduard odchrząknął, zanim zaczął. Mówił powoli, jakby każde słowo raczej siłą wrywał sobie z gardła, niż dobrowolnie wypowiadał.

- Był rok tysiąc dziewięćset piąty, tak jak ci mówiono, i dotąd wszystko jest zgodne z prawdą. Dobrze pamiętam, że wujek Hans był z misją w Afryce Południowo-Zachodniej,

ponieważ ta nazwa działała mi na wyobraźnię i często ją powtarzałem, kiedy dla zabawy wyszukiwałem różności na mapach. Pewnej nocy, gdy miałem dziesięć lat, usłyszałem jakieś krzyki w bibliotece i poszedłem zobaczyć, co się tam dzieje. Bardzo się zdziwiłem, widząc twojego ojca u nas o tak późnej porze. Dyskutowali z moim ojcem, siedząc przy okrągłym stole. Prócz nich w bibliotece były jeszcze dwie osoby. Jednego z tych ludzi widziałem: niskiego mężczyznę o delikatnych, jakby dziewczęcych rysach. Ten się nie odzywał. Drugiego słyszałem, ale od drzwi go nie widziałem. Chciałem się przywitać z twoim ojcem, który zawsze przywoził mi jakiś prezent z podróży. Zanim zdążyłem to zrobić, matka złapała mnie za ucho i zagoniła do mojego pokoju. „Widzieli cię?” zapytała. Pokręciłem głową. „Nikommu nie wolno pisać o tym ani słowa, słyszysz?”. I... i przyrzekłem, że nigdy o tym nikomu nie powiem.

Eduard przerwał, a Paul złapał go za rękę. Ze wszystkich sił pragnął usłyszeć ciąg dalszy, chociaż miał świadomość, jak bolesne jest dla kuzyna wyciągnięcie tego na światło dzienne.

- Ty i twoja matka zamieszkaliście u nas dwa tygodnie później. Dopiero co odrosłeś od ziemi, ale cieszyłem się, bo miałem własny oddział dzielnych żołnierzy, z którymi mogłem się bawić. W ogóle nie myślałem o oczywistym kłamstwie, jakim nakarmili mnie rodzice: że fregata wujka Hansa poszła na dno. Ludzie gadali różne rzeczy, mówiono, że twój ojciec zdezerterował, że wszystko przegrał w karty, że zniknął gdzieś w Afryce... To wszystko była nieprawda, ale nie zwracałem na to uwagi, w ogóle o tym nie pamiętałem. Tak samo jak nie pamiętałem o tym, co usłyszałem w bibliotece, zanim matka mnie stamtąd odciągnęła. A raczej udawałem, że źle usłyszałem, chociaż o pomyłce nie mogło być mowy przy tak dobrej akustyce tego domu. Łatwo było patrzeć, jak rośniesz, oglądać twój szczęśliwy uśmiech, kiedy bawiliśmy się razem w chowanego, i oszukiwać samego siebie. Szybko urosłeś, szybko stałeś się dość duży, aby zrozumieć, miałeś tyle lat co ja tamtej nocy. I wtedy poszedłem na wojnę.

- Powiedz, co usłyszałeś - poprosił Paul cichutko.

- Tamtej nocy usłyszałem strzał, kuzynie.

ROZDZIAŁ 7

OD DŁUŻSZEJ JUŻ CHWILI PAULOWI KRĘCIŁO SIĘ W GŁOWIE, JEGO świat drżał w posadach niczym porcelanowy wazon ustawiony na stopniu schodów, na których ktoś tupie bez ustanku. Ostatnie słowa były jak decydujące tupnięcie i wymaginowany wazon runął w dół, rozbijając się w drobny mak. Paul ze zmienioną twarzą wsłuchiwał się w brzęk rozbijanej porcelany.

- Wybacz, Paul - powiedział Eduard, widząc jego minę. - I na rany Chrystusa, idź już stąd.

Chłopak się podniósł i nachylił nad łóżkiem. Eduard miał chłodną skórę, toteż gdy Paul całował kuzyna w czoło, odnosił wrażenie, że całuje szkło. Niepewnym krokiem doszedł do drzwi, na poły tylko był świadom, że zostawia je za sobą otwarte i osuwa się na chodnik w korytarzu.

Kiedy huknął strzał, ledwie go usłyszał.

Jak powiedział Eduard, akustyka w pałacu istotnie była znakomita. Pierwsi z gości, którzy akurat zegnali się w sieni, wymieniając zdawkowe cmoknięcia w powietrzu i składając obietnice bez pokrycia, usłyszeli huk co prawda przytłumiony, lecz jednoznacznie brzmiący. W ostatnich tygodniach takich dźwięków dosyć się nasłuchali, trudno je było zatem pomylić z innymi. Gwar rozmów przycichł akurat w chwili, gdy drugie i trzecie echo kończyło się odbijać w studni okazałych schodów z marmuru.

Brunhilda, która nie wychodząc z roli doskonałej pani domu, pozbyła się właśnie znieawidzonego lekarza i jego żony, zidentyfikowała dźwięk, natychmiast jednak uruchomiła w sobie automatyczny mechanizm obronny.

- Z pewnością chłopcy bawią się petardami - skwitowała.

Wokół niej jak grzyby po deszczu wyrosły zaniepokojone twarze. W sieni znajdowało się zaledwie z dziesięć osób, ale już następni goście stawali w drzwiach salonu. Ani chybi wszyscy zaraz się dowiedzą, że w jej domu coś się wydarzyło.

W j e j d o m u !

Jeśli od razu czegoś nie zrobi, za dwie godziny w całym Monachium będzie to

tematem rozmów.

- Proszę, żeby państwo zechcieli tu poczekać, to na pewno nic takiego.

Przyspieszyła kroku, gdy zaleciał ją smród prochu wyczuwalny już w połowie schodów. Co śmielsi goście zaczęli wyciągać głowy, czekając chyba, aż Brunhilda zapewni, że się przesłyszeli, nikt jednak nie ruszał na schody - zbyt mocno wszystkim pętało towarzyskie tabu, które podczas przyjęcia zabraniało wstępu do prywatnych pokojów. Poszeptywania narastały, toteż baronowa modliła się w duchu, by Otto nie wykazał się nierozwagą i głupotą i nie poszedł za nią, ponieważ w takim wypadku nieuchronnie ktoś by mu towarzyszył.

Kiedy znalazła się na górze i ujrzała zapłakanego Paula na korytarzu, wiedziała, co się stało, nie musiała nawet dochodzić do drzwi pokoju Eduarda.

Niemniej weszła do środka.

Poczuła, że wzbiera w niej żółć. Opanowało ją przerażenie i jakieś jeszcze nie pasujące do okoliczności uczucie, które dopiero dużo później z odrazą zdołała nazwać - mianowicie ulga. Zelzał w każdym razie ciężar w piersiach, który ją dusił, odkąd jej syn wrócił z wojny okaleczony.

- Coś ty zrobił? - zapytała, patrząc na Paula. - Mów zaraz, coś ty zrobił?

Chłopak nie podniósł głowy ukrytej w dłoniach.

- A co wyście zrobili z moim ojcem, wiedzmo?

Brunhilda postąpiła krok do tyłu. Po raz drugi tego wieczoru ktoś się cofał, gdy wspomniano Hansa Reinera, i o ironio! teraz była to osoba, która wcześniej wymówiła jego nazwisko z pogrózką.

Ile wiesz, gówniarzu?... - przemknęło jej przez głowę. - Ile ci powiedział, zanim...

Miała ochotę krzyknąć, lecz ani nie była w stanie, ani nie miała odwagi.

W zamian zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w dłonie, próbowała odzyskać panowanie nad sobą i równocześnie gorączkowo myślała, co zrobić, podobnie jak pewnej nocy przed czternastu laty.

Odzyskawszy minimum równowagi, ruszyła na dół. Czekający w sieni goście ujrzeli ją z szerokim uśmiechem na ustach, w który przyoblekła twarz na ostatnim biegu schodów.

- Prosimy państwa o wybaczenie. Koledzy syna bawili się petardami, jak podejrzewałam. Pozwolą państwo, że pójde ocenić rozmiar szkód, które spowodowali. - Skinęła dłonią na matkę Paula. - Ilso, moja droga...

Na te słowa goście się wypogodzili i uspokoili, widząc, że pani domu ze swoją gospodynią spokojnie wracają na górę. Mieli już dosyć plotkowania na temat przyjęcia,

spieszno im było wrócić do domu, by dla odmiany zanudzać gadaniem rodzinę.

- Nie waż się krzyczeć - powiedziała tylko Brunhilda.

Ilsa spodziewała się śladów chłopięcych psot, toteż kiedy ujrzała na korytarzu Paula, ogarnął ją strach. Uchyliwszy drzwi pokoju Eduarda, musiała przygryźć pięść, aby nie krzyknąć. Gdyby ktoś ją obserwował z boku, stwierdziłby, że reaguje podobnie jak baronowa, z tym że Ilsa czuła w sobie raczej żal niż przerażenie.

- Biedak... - szepnęła, załamując dłonie.

Brunhilda spoglądała na siostrę z rękami na biodrach.

- Zapytaj swojego syna, kto przyniósł Eduardowi pistolet.

- Dobry Boże!... Paul, powiedz, że to nieprawda!

Mówiła błagalnie, lecz w jej głosie nie było nadziei. Chłopak nie potwierdził, Brunhilda zaś podeszła bliżej, celując weń palcem.

- Wezwę policję. Trafisz do więzienia za to, że dałeś pistolet nieszczęsnemu kalece.

- Coście zrobili z moim ojcem, wiedźmo? - powtórzył Paul pytanie, podnosząc się z wolna i stając twarzą w twarz z ciotką, która tym razem się nie cofnęła, choć obleciał ją strach.

- Hans umarł w koloniach - odparła z przekonaniem.

- Nieprawda. Mój ojciec był w tym domu tuż przed zniknięciem. Twój syn mi to powiedział.

- Eduard wrócił okaleczony na ciele i umyśle. Zmyślał najróżniejsze nieprawdopodobne historie w efekcie cierpień, których doznał na froncie. Chociaż lekarz zabronił mu przyjmować gości, twoja wizyta go pobudziła, co więcej, dostarczyłeś mu broń.

- Kłamiesz!

- Zabiłeś go.

- To kłamstwo - powiedział chłopak, którego naraz przeszły ciarki i ogarnął niepokój.

- Paul, przestań!

- Wynoście się z mojego domu.

- Nigdzie nie pójdziemy - oświadczył Paul.

- Decyzja należy do ciebie - zwróciła się Brunhilda do siostry. - Sędzia Strohmeyer jeszcze jest na dole, na przyjęciu. Za dwie minuty dowie się o wszystkim. Jeśli nie chcesz, żeby twój syn spał tej nocy w celi w Stadelheim, odejdźcie z własnej woli.

Ilsa pobladła, słysząc nazwę więzienia. Sędzia Strohmeyer był przyjacielem barona i z pewnością niewiele by trzeba, aby się zdecydował oskarżyć Paula o morderstwo. Chwyliła

syna za rękę.

- Idziemy, Paul.

- Najpierw...

Wymierzyła mu policzek tak silny, aż ją palce zaboląły. Paul zastygł, patrząc na matkę, z wargi puściła mu się krew.

W końcu poszedł za nią.

Ilsa nie pozwoliła synowi spakować rzeczy, nie zajrzeli nawet do swojej izdebki. Zeszli schodami dla służby, opuścili pałac przez tylne drzwi i chyłkiem ruszyli bocznymi uliczkami.

Jak przestępcy.

ROZDZIAŁ 8

- MOŻNA WIEDZIEĆ, GDZIEŚ TY SIĘ PODZIEWAŁA, U LICHA?

Baron był zmęczony i wściekły, surdut miał pognieciony, wąsy zmierzwił, monokl dyndał mu na łańcuszku. Upłynęła godzina, odkąd Ilsa i Paul odeszli, a przyjęcie przez ten czas toczyło się nadal. Baron musiał dwoić się i troić, aby pożegnać wszystkich gości po kolei.

Dopiero wtedy ruszył na poszukiwanie żony. Znalazł ją w korytarzu na czwartym piętrze, siedziała na krześle, które sobie przyniosła, przy zamkniętych drzwiach pokoju Eduarda. Chociaż Brunhilda dysponowała potężną siłą woli, nie zdołała wrócić na przyjęcie. Gdy zjawił się jej mąż, powiedziała mu, co się stało. Otto poczuł ból i wyrzuty sumienia.

- Rano wezwiesz sędziego - powiedziała Brunhilda beznamiętnym zimnym głosem. - Powiemy, że został znaleziony, kiedy przyniesiono mu śniadanie. W ten sposób zminimalizujemy skandal. Może nawet nic się nie wyda.

Otto kiwnął głową. Zdjął rękę z klamki drzwi do pokoju Eduarda. Nie miał dość odwagi, aby wejść do środka, nigdy się nie przełamał. Nawet gdy na ścianach i podłodze nie pozostanie żaden ślad po tym tragicznym wydarzeniu.

- Sędzia jest mi winien przysługę i myślę, że będzie mógł to załatwić. Zastanawia mnie tylko, kto mu dostarczył broń. Sam nie mógł sobie wziąć.

Kiedy Brunhilda opowiedziała, co uczynił Paul, i przyznała się, że wyrzuciła Reinerów z domu, baron się wściekł.

- Masz pojęcie, co ty zrobiła?

- Przecież tutaj stanowiliby zagrożenie.

- A nie pamiętasz, o co idzie gra? Po cośmy w takim razie przez tyle lat trzymali ich u siebie?

- Żeby mnie dręczyć i uspokoić twoje sumienie - odparła Brunhilda z goryczą od dawna hamowaną i teraz próbującą znaleźć ujście.

Otto nie dyskutował na ten temat, ponieważ tak istotnie było.

- Ale i dla czegoś jeszcze... Eduard rozmawiał z moim siostrzeńcem.

- O Boże!... Wiesz może, co mu naopowiadał?

- To nieważne. Skoro właśnie się wynieśli, stali się podejrzani, ale nikomu na nich nie doniesiemy. Nie odważą się słowa pisnąć, a dowodów nie mają żadnych. O ile chłopak niczego nie znajdzie.

- Tym akurat w ogóle się nie martwię. Musiałby dotrzeć do Clovisa Nagela. A Nagela od dawna nie ma w Niemczech. Tyle że to nie rozwiązuje naszego problemu. Jedynie twoja siostra wie, gdzie jest mapa Hansa Reinera.

- Trzeba ich więc pilnować. Z dala i dyskretnie.

Otto zastanawiał się chwilę.

- Znam człowieka, który świetnie się do tego nada.

Przy tej rozmowie był jeszcze ktoś, aczkolwiek ukryty za załomem korytarza. Słuchał, niczego nie rozumiejąc, a gdy w końcu Schroederowie udali się do swojej sypialni, odczekał jeszcze chwilę i wszedł do pokoju Eduarda.

Nogi się pod nim ugięły i osunął się na podłogę na widok tego, co zobaczył w środku. Kiedy się podniósł, resztki niewinności, które nie poddały się jeszcze zgubnemu wpływowi matki, ostatki duszy nie zatrute w ciągu tych lat nienawiścią i zawiścią wobec kuzyna szczyły w nim nieodwracalnie.

Zabiję za to Paula Reinera... Teraz ja jestem dziedzicem. Będę baronem.

Nie potrafił zdecydować, która z tych myśli wydaje mu się bardziej ekscytująca.

ROZDZIAŁ 9

PAUL REINER DYGOTAŁ W DROBNYM MAJOWYM DESZCZU. MATKA nie ciągnęła go teraz, szli ramię w ramię przez Schwabing, dzielnicę bohemy, serce Monachium, okolicę, w której złodzieje i poeci pospołu z malarzami i dziewczkami okupowali knajpy aż do bladego świtu. Nieliczne lokale były już otwarte, lecz nie wstąpili do żadnego, ponieważ nie mieli ani feniga przy duszy.

- Schowajmy się w tej bramie - odezwał się Paul.
- Zaraz będzie przechodziła nocna straż i znowu nas przegonią.
- Nie możesz tak iść, mamó. Złapiesz zapalenie płuc.

Wcisnęli się w wąską bramę budynku, który czasy świetności dawno miał za sobą. Występ fasady chronił ich przynajmniej przed deszczem moczącym wyludnione chodniki i nierówny bruk. Mdłe światło latarni odbijało się w mokrych ulicach, tworząc osobliwe refleksy, jakich Paul nigdy nie widział.

Ogarnął go naraz strach, więc przysunął się bliżej matki.

- Masz przy sobie zegarek ojca, prawda?
- Tak - potwierdził Paul nieco spłoszony.

W ciągu ostatniej godziny trzykrotnie zadawała mu to pytanie. Była przygaszona i nieobecna, jakby spoliczkowanie syna i wyciągnięcie go bocznymi uliczkami daleko od pałacu Schroederów nieodwracalnie pochłonęło całą energię, jaką dysponowała. Miała oczy wpadnięte i drżące ręce.

- Rano damy go w zastaw i wszystko się ułoży.

Ręczny zegarek z bransoletą nie przedstawiał większej wartości, nie był nawet złoty. Paul się zastanawiał, czy uzyskana za niego kwota wystarczy na opłacenie jednego noclegu i chociaż ciepłą kolację.

- Świetny plan - rzekł z wysiłkiem.

- Musimy sobie znaleźć jakieś lokum. I poproszę, żeby mnie z powrotem przyjęli do pracy w fabryce amunicji.

- Ale mamó, ta fabryka nie istnieje. Zlikwidowali ją, jak wojna się skończyła - zauważył Paul. Sama mi o tym powiedziałaś, pomyślał teraz naprawdę zmartwiony.

- Słońce niedługo wzejdzie - zauważyła Ilsa.

Paul nie odpowiedział. Zwiesił głowę, nasłuchując szybkich miarowych kroków nocnej straży. Pragnął jedynie, aby ucichły na trochę i pozwoliły mu chociaż na chwilę przymknąć oczy. Taki jestem zmęczony... I w ogóle nie rozumiem, co tej nocy zaszło. Mama była taka dziwna... Na pewno teraz wyjawi mi prawdę.

- Mamo, co wiesz o tym, co się stało z tatą?

Ilsa na kilka chwil jakby wyszła z letargu. W oczach rozbłysł jej ogieniek, jak gdyby tchnienie wiatru roznieciło iskrę w polanie dawno wypalonym. Ujęła Paula pod brodę i pieśczośliwie pogładziła go po twarzy.

- Paul, proszę, zapomnij o wszystkim, co dzisiaj usłyszałeś, wyrzuć to z pamięci. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, który zginął w tragicznej katastrofie na morzu. Obiecuj mi, że tego będziesz się trzymał, że nie będziesz szukał prawdy, bo nie ma czego szukać, a ja bym nie przeżyła, gdyby coś ci się stało. Mam tylko ciebie. Mojego synka, mojego Paula.

Pierwsze światła brzasku wydłużyły na monachijskich ulicach cienie, które z wolna znikwały, a wraz z tym ustawał deszcz.

- Obiecuj mi - nalegała Ilsa coraz cichszym głosem.

Paul się zawahał.

- Obiecuję - rzekł wreszcie.

ROZDZIAŁ 10

- PRRR!

Wóz węglarza ze skrzypem kół zatrzymał się na Rheinstrasse. Obydwa konie parskały niespokojnie z klapkami na oczach i kłębami pokrytymi mieszaniną potu i pyłu węglowego. Węglarz zeskoczył na ziemię, niedbale przejechał ręką po burcie fury, gdzie wymalowane było jego nazwisko, Klaus Graf, lecz dawało się odczytać tylko dwie pierwsze litery.

- Wyczyść to! Klienci powinni wiedzieć, kto im dostarcza towar - polecił niemal pogodnie.

Towarzyszający mu na koźle mężczyzna zdjął kapelusz, wyciągnął z niego jeszcze nie całkiem wyblakłą szmatę i zaczął szorować drewno, pogwizdując. Tylko w ten sposób mógł cokolwiek wyrazić, ponieważ był niemową. Melodia była miła dla ucha, skoczna: on także wydawał się kontent.

Idealna chwila.

Paul ciągnął za nimi przez całe przedpołudnie, odkąd wyjechali z wozowni Grafa w Lehelu. Poprzedniego dnia także ich obserwował i doszedł do wniosku, że najlepszym momentem, aby poprosić węglarza o pracę, będzie pora przed pierwszą, tuż po południowej przerwie. Byli wtedy po obfitym drugim śniadaniu, do którego wypili po dwa litrowe kufle piwa. Dawno im przeszło poranne odrętwienie i burkliwość, nieodłączna towarzysząca oczekiwania w chłodzie wilgotnego poranka, aż otworzą skład z węglem. Nie byli też jeszcze tak utrudzeni jak u schyłku dnia, gdy w gospodzie znajdującej się najbliżej adresu, pod który na koniec dostarczyli towar, w milczeniu siorbali ostatnie przed nocą piwo, by splukać z gardeł węglowy pył.

Jeśli mi się nie uda, niech Bóg ma nas w swojej opiece, pomyślał zdesperowany Paul.

Od dwóch dni próbował znaleźć jakąś pracę, a jedli w tym czasie niewiele. Po oddaniu zegarka w zastaw mieli pieniądze na dwa noclegi w pensjonacie i śniadanie złożone z chleba i piwa. Matka w wielu miejscach pytała, lecz szybko się przekonali, że znalezienie w tych czasach jakiegokolwiek zajęcia graniczy z cudem. Kobiety straciły posady, które zajmowały podczas wojny, ledwie mężczyźni wrócili z frontu. Z czego zresztą pracodawcy wcale nie byli

zadowoleni.

- Niech diabli wezmą rząd i jego wytyczne - powiedział im piekarz, którego nadaremno prosili o zajęcie. - Każą nam zatrudniać weteranów, chociaż kobiety to samo robiły równie dobrze, a za mniejsze pieniądze.

- Kobiety robiły to samo co mężczyźni? - spytał Paul zaczepnie. Był zły. W brzuchu mu burczało, a od zapachu pieczywa aż mu się żołądek skręcał.

- To samo, a czasem nawet lepiej. Miałem jedną, która jak nikt potrafiła wyrabiać ciasto.

- Więc dlaczego zarabiała mniej?

- Cóż, chłopcze, to oczywiste - rzekł piekarz, wzruszając ramionami. - Bo są kobietami.

Jeśli była w tym jakaś logika, Paul nie potrafił jej uchwycić, chociaż jego matka i reszta obecnych przy tym pracowników piekarni pokiwali głowami.

- Zrozumiesz, jak dorośniesz - rzucił jeden z piekarczyków, kiedy wychodzili. I za plecami Paula i jego matki gruchnął głośny śmiech.

Paulowi również nie dopisało szczęście. Jeszcze zanim go zapytano, co umie robić, padało pytanie, czy jest weteranem wojennym. W ciągu paru godzin tyle razy się rozczarował, że postanowił bardziej racjonalnie podejść do problemu. Ufając, że mu się powiedzie, zdecydował się obserwować węglarza, po czym zagadnąć go o pracę jak najbardziej przekonująco. Udało im się trzecią noc spędzić w pensjonacie - uroczyście przysięgli, że zapłacą nazajutrz, i właścicielka zlitowała się nad nimi. Poczęstowała ich nawet talerzem gęstej zupy, w której pływały kawałki ziemniaków, dorzucając pajdę czarnego chleba.

I oto Paul przechodził na drugą stronę Rheinstrasse, ulicy tętniącej życiem i radością. Roilo się tu od wędrownych sprzedawców, gazeciarzy i szlifierzy, każdy zachwalał swój towar, wykrzykiwał najświeższe wiadomości, ogłaszał zalety dobrze naostrzonego noża... Zapachy rozchodzące się z piekarń mieszały się z woniami końskiego nawozu, w Schwabingu bowiem więcej było koni niż furmanek.

Paul wykorzystał chwilę, gdy pomocnik węglarza poszedł po dozorcę budynku, który zaopatrywali w węgiel, aby otworzył piwnicę. Węglarz tymczasem szykował wielkie kosze z brzoźowego łyka, w których mieli nosić towar.

Może jak będzie sam, okaże się miłszy - pomyślał Paul. - W obecności podwładnych ludzie inaczej się odnoszą do obcych.

- Dzień dobry - przywitał się grzecznie.
- Czemu się tu pętasz, synku?
- Potrzebuję pracy.
- Zmykaj, mały. Nie szukam nikogo.
- Jestem silny i mógłbym pomóc panu szybko rozładować ten wóz.

Węglarz raczył wreszcie spojrzeć na Paula, zmierzył go wzrokiem z góry na dół. Paul odziany był w czarne spodnie, białą koszulę i kamizelkę, tak że wyglądem przypominał kelnera. W porównaniu z korpulentnym człowieczkiem, przed którym stał, poczuł się jak chuchro.

- Ile masz lat, synku?
- Siedemnaście - skłamał Paul.
- Nawet biedaczka ciocia Berta, której marnie wychodziło ocenianie wieku po wyglądzie, nie dałaby ci więcej jak piętnaście. W dodatku chudy jesteś. Zmykaj.
- Za parę dni, dwudziestego drugiego maja, kończę siedemnaście lat - powiedział Paul z urazą.
- Tak czy owak nie przydasz mi się na nic.
- Bez problemu mogę nosić kosze z węglem.

Zwinnie wskoczył na furę, chwycił łopatę i napełnił kosz. Po czym uważając, by nie było widać, ile wysiłku go to kosztuje, ulokował rzemienie na ramionach. Czuł, jak ważący ponad pięćdziesiąt kilogramów ciężar miażdży mu barki i krzyże, lecz z uśmiechem poprawił tylko pasy.

- Widzi pan? - powiedział, angażując całą siłę woli, by ustać na wyprostowanych nogach.

- Synku, nie wystarczy udźwignąć kosz - rzekł węglarz, wyciągając z kieszeni paczkę tytoniu i nabijając sfatygowaną fajkę. - Miałem starą ciotkę, Lotte jej było na imię, która tak jak ty potrafiła podnieść kosz. Ale potem trzeba z nim iść po wilgotnych schodach śliskich jak tancerka w kroku. W piwnicach, do których schodzimy, rzadko pali się światło, bo właściciele budynków mają gdzieś, czy skręcimy sobie kark. No i może raz dałbyś radę zejść, może nawet dwa razy, ale za trzecim...

W tym momencie kolana i ramiona Paula odmówiły dźwignania takiego ciężaru i chłopak twarzą w dół runął na stertę węgla.

- ...padłbyś jak teraz. A gdyby to się stało na takich wąskich schodach, jakie są w piwnicach, nie tylko ty byś sobie rozbił łeb.

Chłopak z trudem dźwignął się na nogi.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”, synku. Zmiataj z mojej fury.

- Może... może bym panu podpowiedział, jak usprawnić interes.

- Też coś!... Jak mianowicie? - mimowolnie zaciekawił się węglarz, rechocząc ironicznie.

- Mnóstwo czasu pan traci między jedną dostawą a drugą, bo musi pan jechać do składu po węgiel. Gdyby kupić drugą furę...

- I to jest ten genialny pomysł? Dobra fura ze stalowymi osiami, żeby wytrzymały ciężar, jaki wozimy, kosztuje najmarniej siedem tysięcy marek, nie licząc uprzęży i koni. Masz siedem tysięcy marek w tych swoich wymiętych portkach, synku? Raczej nie.

- Ale pan...

- Mam z czego zapłacić za węgiel i wyżywić rodzinę. Myślisz, że nie myślałem o kupnie drugiej fury? Przykro mi, synku - złagodził nieco ton, widząc zasepioną minę Paula - nie mogę ci jednak pomóc.

Paul zwiesił głowę zniechęcony. Będzie musiał poszukać pracy gdzie indziej, i to szybko, ponieważ właścicielka pensjonatu niedługo straci cierpliwość.

Schodził z wozu, kiedy podeszła do nich grupka osób.

- Ho, ho, Klaus! Co to, nowa siła?

Pomocnik Klause wracał z dozorcą, szedł z nimi także starszy mężczyzna, niewysoki i łysy, w okrągłych okularach, ze skórzaną teczką. Właśnie on jowialnym tonem zagadnął węglarza.

- Nie, herr Finken. Chłopak prosił tylko o pracę, ale już odchodzi.

- Po twarzy mu widać, że z tego fachu.

- Uparł się, że pokaże, co potrafi. Czym mogę służyć?

- Widzicie, Klaus, mam inne rzeczy na głowie i pomyślałem, że zapłacę wam za węgiel na ten miesiąc. To cały ładunek?

- Tak, całe dwie tony, co do uncji.

- W pełni wam ufam, Klaus.

Usłyszawszy to, Paul się odwrócił. Zrozumiał właśnie, co naprawdę jest kapitałem węglarza: zaufanie.

I niech mnie diabli, jeśli nie zdołam wymienić tego na pieniądze. Pod warunkiem, że mnie wysłuchają, pomyślał, wracając do nich.

- Gdyby panu nie wadziło... - mówił akurat Klaus.

- Przepraszam bardzo...

- Można wiedzieć, czego tu szukasz, synku? Wyraźnie chyba powiedziałem, że nie jesteś mi potrzebny.

- Będę potrzebny, jeśli będzie pan miał drugi wóz.

- Czyś ty zgłupiał?... Nie mam drugiego wozu! Proszę o wybaczenie, herr Finken, smarkacz uczeplił się jak rzep.

Pomocnik węglarza, który już wcześniej nieufnie popatrywał na Paula, zamierzył się na niego, ale szef powstrzymał go gestem. Nie życzył sobie awantur w obecności klienta.

- Jeśli załatwię sposób zakupu drugiego wozu - zaczął Paul, odsuwając się od pomocnika i równocześnie starając się wypaść poważnie - zatrudni mnie pan?

Klaus podrapał się po głowie.

- No powiedzmy, że tak - burknął niechętnie.

- Świetnie... Może mi pan w takim razie powiedzieć, jaką marzę pan liczy na węglu?

- Taką jak wszyscy. Osiem procent.

Paul szybko policzył w myślach, po czym zwrócił się do Finkena:

- Czy zgodziłby się pan teraz wypłacić herr Grafowi zaliczkowo tysiąc marek? W zamian przez rok miałby pan węgiel tańszy o cztery procent.

- To dużo pieniędzy, synu - zauważył Finken.

- Co ty wygadujesz, chłopcze? Nie biorę zaliczek od klientów.

- Zasadniczo to bardzo kusząca propozycja, Klaus. Pozwoliłaby kamienicy dużo zaoszczędzić - powiedział stary zarządca.

- Widzi pan? - ucieszył się Paul. - To samo powinien pan zaproponować jeszcze sześciu klientom. Wszyscy się zgodzą. Zauważyłem, że ludzie panu ufają.

- Co do tego nie ma wątpliwości, Klaus.

Węglarz nadął się jak indor, po chwili wypuścił powietrze i nie bardzo to wszystko pojmując, jał wymyślać przeszkody:

- Jak mniejszą marzę, z czego będę żył?

- Z dwoma wozami będzie pan obracał towarem dwa razy większym. Szybko odzyska pan pieniądze. I po Monachium będą jeździły równocześnie dwie fury z pana nazwiskiem.

- Dwie fury z moim nazwiskiem...

- Oczywiście na początku nie będzie lekko. Przyjdzie panu płacić jednemu pracownikowi więcej.

Węglarz popatrzył na zarządcę, który się uśmiechnął.

- Na Boga, Klaus, jeśli wy nie zatrudnicie tego chłopaka, ja to zrobię. Ma łeb do interesów.

- No dobra, synku. Masz robotę. Ale pamiętaj, jak się nie uda, będę darł z ciebie skórę pasami.

Przez resztę dnia Paul jeździł z Klausem i to on wziął na siebie ciężar rozmów z zarządcami kamienic. Siedmiu z dziesięciu pierwszych przystało na jego propozycję, przy czym czterej zażądali pisemnej gwarancji.

- Wygląda na to, że będzie pan miał drugą furę, herr Graf.

- Będzie roboty od cholery i trochę. A ty poszukasz nowych klientów.

- Myślałem, że pan...

- Nic z tych rzeczy, chłopcze. Umiesz gadać z ludźmi, chociaż jesteś trochę nieśmiały, jak moja poczciwa ciotka Irmuska. Na pewno sobie poradzisz.

Chłopak milczał dłuższą chwilę, medytując nad sukcesami osiągniętymi tego dnia, po czym zwrócił się do węglarza:

- Mogę o coś zapytać?

- Co znowu chcesz? - rzucił Klaus niecierpliwie.

- Naprawdę ma pan tyle ciotek?

Węglarz zaśmiał się donośnie.

- Moja matka miała czternaście sióstr, chłopcze. Możesz wierzyć albo nie.

ROZDZIAŁ 11

Z PAULEM, KTÓRY DOGLĄDAŁ ZAŁADUNKU I POZYSKIWAŁ NOWYCH klientów, interes szedł znakomicie. Chłopak przywoził węgiel ze składu na brzegu Izary w miejsce, gdzie Klaus i Hulberttak miał na imię niemy pomocnik - mieli go wyładować. Najpierw szczotkował konie i przynosił im wodę w wiadrze, po czym przepręgał je do właśnie rozładowywanej fury i pomagał towarzyszom, by jak najszybciej odjechać pustym wozem. Początkowo przychodziło mu to z niejakim trudem, jednakże w miarę jak przywykał do ciężkiej pracy i nabierał siły w ramionach, coraz łatwiej radził sobie z wielkimi kosztami. Po opróżnieniu wozu pędził do składu, podśpiewując z zadowoleniem, jego towarzysze tymczasem szli tam, gdzie już czekała pełna fura.

Ilsa także znalazła zajęcie - w charakterze pomocnicy właścicielki pensjonatu, w którym mieszkali. W zamian gospodyni obniżyła im nieco opłatę, co dobrze się złożyło, ponieważ wynagrodzenie Paula jako węglarza ledwie im dwojgu wystarczało.

- Może i więcej mogłabym wam opuścić - powiedziała Paulowi - ale nie potrzebuję dużo pomocy.

Paul zgodnie kiwnął głową, świadom, że wielkiej pomocy z jego matki nie ma. Inni lokatorzy pensjonatu donosili mu, że czasami Ilsa staje zamyślona w połowie zamiatanego korytarza albo zastyga z częściowo obranym ziemniakiem, trzymając tylko szczotkę czy nóż i patrząc nieobecny wzrokiem.

Zmartwiony tym próbował porozmawiać z matką, lecz wyparła się wszystkiego. A kiedy nalegał, w końcu poniekąd się przyznała.

- Możliwe, że jestem ostatnio trochę roztargniona. Za dużo wrażeń - powiedziała, głaszcząc go po policzku.

Wszystko się z czasem ułoży - pomyślał Paul. - Ostatnio nie wiodło nam się dobrze.

Niemniej gnębiło go podejrzenie, że jest jeszcze coś, co matka przed nim ukrywa. Chętnie by wyjaśnił okoliczności śmierci ojca, lecz zupełnie nie wiedział, od czego zacząć. Do Schroederów nijak się nie mógł zbliżyć, przynajmniej póki się cieszyli przychylnością sędziego. Mogliby go bez problemu wtrącić do więzienia, tego zaś nie mógł ryzykować, zwłaszcza teraz, gdy matka była w takim stanie.

Tą kwestią gryzł się nocami. Tyle dobrego, że teraz mógł śnić bez obaw, że obudzi matkę, po raz pierwszy w życiu bowiem spali w osobnych pokojach. Paul wybrał sobie pokoik mniejszy niż matki, na drugim piętrze i od podwórza, pozwalający za to na odrobinę intymności.

- Nie wolno przyprowadzać dziewcząt do pokoi - powtarzała mu właścicielka co najmniej raz na tydzień.

A Paul, który miał wyobraźnię i potrzeby jak każdy siedemnastoletni chłopak, znajdował czas, by fantazjować na ten temat.

W następnych tygodniach państwo niemieckie, podobnie jak Reinerowie, zaznało wielkich przeobrażeń. Nowy rząd pod koniec czerwca 1919 roku podpisał traktat wersalski, który stanowił, że tylko Niemcy są winne wojny, i nakładał na nie obowiązek wypłaty ogromnych reparacji. Na ulicach panował nastrój spokojnego oburzenia na takie upokorzenie Niemców przez aliantów, na ogół jednak ludzie przez jakiś czas mogli oddychać spokojnie. W połowie sierpnia przyjęto nową konstytucję.

Paul czuł teraz, że w jego życiu zaczyna panować ład. Kruchy, ale rzeczywisty. Stopniowo zapominał także o tajemnicy związanej z ojcem. Czy to z powodu trudności, jakie nastęrczało zadanie, czy to ze strachu przed zmierzeniem się z prawdą, czy to ze względu na konieczność opieki nad matką.

Aż pewnego dnia podczas popołudniowej przerwy w pracy, jak ta, kiedy to Paul poprosił o zatrudnienie, Klaus Graf odsunął osuszony już kufel, zgniótł w kulkę papier po kanapce i przywołał chłopaka do rzeczywistości.

- Wyglądasz na mądrego chłopaka, Paul. Czemu się nie uczysz?

- Aaa, tak mi się w życiu ułożyło. Wojna, ludzie... - Paul wzruszył ramionami.

- Na życie i wojnę nic nie poradzisz, ale ludzie... ludziom możesz odplacić pięścią - rzekł węglarz, wydmuchując obłok błękitnego dymu. - Jesteś z tych, co odplacają pięścią?

Paula ogarnął naraz smutek i bezsilność.

- A jeśli wiesz, że oberwałeś, nie wiesz jednak, od kogo ani dlaczego?

- Ha, no to trzeba składać kawałki układanki, aż ułożysz całość.

ROZDZIAŁ 12

CAŁE MONACHIUM SPOWIJAŁA CISZA.

Jedynie z luksusowej kamienicy na wschodnim brzegu Izary dochodziły jakieś hałasy, nie na tyle wszakże głośne, by przeszkadzały mieszkańcom budynku. Przytłumione dźwięki dobiegały z jednego z pomieszczeń wychodzących na plac.

Był to pokój urządzony niemodnie, dziecięcy, niezbyt pasujący do wieku osoby, która go zajmowała. Opuściła go przed pięcioma laty i po powrocie nie miała jeszcze czasu zmienić tapet, zastawionych lalkami regałów czy łóżka z różowymi zasłonami. Ale w taką noc jak ta wrażliwa dziewczyna z całego serca wdzięczna była, że ma wokół siebie rzeczy, które jej dają poczucie bezpieczeństwa, jakie miała w świecie dawno już nieistniejącym. Niemniej zła była na siebie, że tak łatwo ustąpiła, wyrzekając się niezależności i rezygnując z postanowień.

Dobiegającym z pokoju hałasem było szlochanie tłumione przez poduszkę.

Na łóżku wśród pomiętej pościeli leżał list, z którego dawało się odczytać tylko kilka akapitów:

Columbus, Ohio, 7 kwietnia 1920 r.

Najdroższa Alys,

mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Nie masz pojęcia, jak za Tobą tęsknimy, zwłaszcza że prawie dwa tygodnie temu zaczął się sezon balów. W tym roku będziemy mogły bywać całą paczką bez rodziców, tylko z przyzwoitką. Przynajmniej uda nam się być na więcej niż jednym balu w miesiącu!

Ale wiadomość roku to ta, że mój brat Prescott zaręczył się z pewną panną ze Wschodniego Wybrzeża, niejaką Dotty Walker. Wszyscy gadają o fortunie jej ojca, Georgea Herberta Walkera, i o tym, jaka to dobrana para. Mama strasznie się cieszy z ich ślubu i bardzo byśmy się uradowali, gdybyś mogła przyjechać, ponieważ to pierwsze wesele w rodzinie, a Ty jesteś jedną z nas...

Łzy wolno spływały dziewczynie po policzkach, jakby miała w zapasie całe morze. Prawą ręką tuliła do siebie lalkę, a kiedy uświadomiła sobie, co robi, cisnęła zabawkę na

drugi koniec pokoju.

Jestem kobietą! Kobieta!...

Niespiesznie dłonią, którą odrzuciła lalkę, sięgnęła do dołu koszuli nocnej i podciągnęła ją. Drugą dłonią odciągnęła gumkę spodenek i odchyliła je, po czym wsunęła pod nie prawą rękę, gładząc delikatną skórę podbrzusza.

Zaczęła wolno poruszać palcami.

Prescott... Myślała o nim, a przynajmniej wspominała to, co pamiętała: szli razem aleją dębową posiadłości w Columbus, szeptał jej do ucha, obejmując ją. Ciało miał gorące i spocone. Kiedy jednak podniosła wzrok, stwierdziła, że chłopak nie jest dobrze zbudowanym brunetem jak Prescott, lecz szczupłym blondynem. O twarzy, której w tym rozmarzeniu nie potrafiła rozpoznać.

Jej dłonie naraz zaczęły się poruszać szybciej, umilkło stłumione szlochanie, chociaż w pokoju nie zapadła cisza.

Tylko że teraz nie rozbrzmiewał w nim płacz.

ROZDZIAŁ 13

WYDARZENIA POTOCZYŁY SIĘ TAK SZYBKO, ŻE ŻADNE PRZEZNACZENIE nie zdołałoby czegoś takiego nikomu zgotować.

- Niech to lichy, Paul, gdzieś ty był, u diabła?

Paul przyjechał właśnie na Prinzregentenplatz z pełnym wozem, a Klaus był w podłym humorze, jak zwykle gdy pracowali w bogatych dzielnicach. Panował tu potworny ruch uliczny. Samochody i tramwaje toczyły nieustającą walkę z dwukółkami piwowarów, ręcznymi wózkami ciągniętymi przez zawziętych dostawców, a nawet z rowerami urzędników. Strażnicy o nieprzeniknionych twarzach ocienionych skórzanym kaskiem co dziesięć minut zaglądali na plac, próbując jakoś zapanować nad tym chaosem. Już dwa razy zwracali uwagę Klausowi, że powinien się pospieszyć z rozładunkiem, jeśli nie chce zapłacić pokaźnej grzywny.

Na to węglarze nie mogli sobie pozwolić. Chociaż w tym miesiącu, w grudniu roku 1920, mieli dużo zamówień, musieli niespodzianie kupić dwa konie, ponieważ niecałe dwa tygodnie wcześniej padły im stare, które Hulbert oplakał rzewnymi łzami. Były jego oczkiem w głowie - nie miał rodziny, nawet więc sypiał z nimi w stajni. Klaus wydał wszystko do ostatniego feniga, by nabyć zwierzęta, dlatego teraz byle nieprzewidziany wydatek mógł ich doprowadzić do ruiny.

Nic zatem dziwnego, że tego popołudnia węglarz zrugął Paula, ledwie fura skręciła za róg.

- Straszny zator się zrobił na moście, szefie.

- Nic mnie to nie obchodzi! Złaź i pomóż nam, zanim te sępy wrócą.

Paul zeskoczył z kozła i zaczął ładować kosze. Teraz kosztowało go to dużo mniej wysiłku. Był wprawdzie bliżej siedemnastu lat niż szesnastu, lecz nie osiągnął jeszcze męskiej tężyzny - był raczej szczupłej budowy, jego ramiona i nogi składały się głównie ze ścięgien.

Zostało im jeszcze jakieś pięć, sześć koszy do zakończenia rozładunku, zwijali się zatem jak w ukropie, nasłuchując coraz bliższego stukotu końskich kopyt, który zwiastował nadejście straży.

- Zaraz tu będą! - wrzasnął Klaus.

Paul zlany potem niemal w biegu zrzucił z ramion przedostatni kosz, wysypał zawartość do węglarki i pognął schodami z powrotem na ulicę. Ledwie wystawił głowę z piwnicy, coś mocno uderzyło go prosto w twarz.

Na moment świat wokół niego zawirował. Ciało Paula pchane siłą bezwładu okręciło się w powietrzu, mokre schody ujechały mu spod stóp. Zamachał rękami, by złapać równowagę, lecz poleciał do tyłu. Nie zdążył poczuć bólu, ogarnęły go bowiem ciemności.

Dziesięć sekund wcześniej Alys i Manfred Tannenbaumowie przechodzili przez plac, wracając z pobliskiego parku, do którego dziewczyna zabrała brata, by pobiegał na powietrzu, póki ziemia nie jest zmrożona. Na tę noc zapowiadano pierwszy śnieg. I chociaż się nie zanosilo, że zaraz zetnie go mróz, już wkrótce chłopak przez trzy, może cztery tygodnie nie będzie mógł zażywać ruchu do woli.

Manfred do maksimum wykorzystał te ostatnie chwile znośnej pogody. Poprzedniego dnia wydobyl z szafy starą piłkę futbolową i teraz szedł, kopiąc ją i odbijając o mury domów, nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenia przechodniów. Kiedy indziej Alys miną dałaby do zrozumienia, co o nich myśli - nie znosiła ludzi, którzy uważają, że dzieci to męczące utrapienie - lecz tego dnia usposobiona była melancholijnie i czuła się niespokojna. W to zimne popołudnie szła skupiona w chmurze pary z oddechu, pogrążona w myślach, zważając na Manfreda tylko przed przejściem przez ulicę, kiedy nakazywała mu wziąć piłkę do ręki.

Mieli dosłownie parę metrów do domu, gdy chłopak ujrzał otwarte drzwi piwnicy - wyobraziwszy sobie, że to bramka na stadionie Grünwalder, z całych sił kopnął piłkę uszytą z twardej skóry. Piłka poleciała idealnie po łuku i trafiła w twarz człowieka, który akurat wyłonił się z podziemi.

- Manfred, uważaj! - zawołała ze złością Alys.

Wołanie dziewczyny przerodziło się w okrzyk przerażenia, kiedy się zorientowała, że kogoś uderzył. Jej brat zdjęty strachem stanął jak wryty na chodniku. Alys podbiegła do drzwi piwnicy, lecz jeden z towarzyszy poszkodowanego, niski człowieczek w zdeformowanym kapeluszu, zdążył ją wyprzedzić.

- Do diabła! Zawsze wiedziałem, że największy dureń pierwszy roztrzaska sobie łeb - skomentował to drugi węglarz, starszy już mężczyzna. Nie ruszył się z kozła, nerwowo wykręcając sobie ręce i rzucając niespokojne spojrzenia w kierunku rogu Possartstrasse, jakby się obawiał tego, co może się stamtąd wyłonić.

Alys zatrzymała się u szczytu schodów prowadzących w głąb piwnicy, nie odważyła

się jednak wejść dalej. Przez kilka strasznych sekund wpatrywała się w mroczny prostokąt, aż z ciemności ktoś się wyłonił. Był to towarzysz węglarza, ten, który wyprzedził Alys. Dźwigał poszkodowanego.

- Boże drogi, przecież to jeszcze dziecko...

Ręka zwisała rannemu pod dziwnym kątem, miał rozdarte spodnie i kurtkę, a na głowie i rękach krew, która wymieszana z pyłem węglowym utworzyła gęstą brunatną maź. Nie otworzył oczu, w ogóle się nie poruszył, kiedy towarzysz położył go na ziemi i próbował otrzeć mu krew brudną szmatą wyjętą z kapelusza.

Mam nadzieję, że jest tylko nieprzytomny, pomyślała Alys, pochylając się i ujmując jego zdrową rękę.

- Jak on się nazywa? - zapytała człowieka w kapeluszu.

Ów wzruszył ramionami, pokazał na swoje gardło i pokręcił głową. Alys zrozumiała.

- A słyszysz? - spytała niepewna, czy nie ma aby do czynienia z głuchoniemym. - Musimy mu pomóc.

Nie zważając na nią, człowiek w kapeluszu odwrócił się do fury z węglem i szeroko otworzył oczy. Oto bowiem drugi węglarz, starszy, wspiął się na kozioł pełnego wozu i zdesperowany złapał za lejce. Trzasnął z bata, rysując w powietrzu nieforemną ósemkę. Konie ze stęknieniem pociągnęły wóz.

- Jedziemy, Hulbert! - rozkazał.

Człowiek w kapeluszu wahał się chwilę. Postąpił krok w kierunku fury, stanął niezdecydowany i obrócił się. Wcisnął zakrwawioną szmatę w rękę Alys, której w głowie się nie mieściło, jak można być tak nieczułym, po czym dołączył do starego.

- Wracajcie! Nie możecie go tak zostawić! - zawołała za nimi Alys.

Tupnęła. Ze złości. Z bezsilności. I zupełnie niepotrzebnie.

ROZDZIAŁ 14

ALYS MNIEJ MIAŁA PROBLEMÓW Z PRZEKONANIEM STRAŻNIKÓW, BY pozwolili jej zabrać rannego do domu, niż z pokonaniem oporu Doris, która nie chciała jej wpuścić. Musiała na nią krzyknąć niemal równie głośno, jak wcześniej wrzasnęła na Manfreda, by ruszył tyłek i sprowadził pomoc. Ostatecznie brat zareagował jak należy, tak że dwaj służący przecisnęli się przez tłumek gapiów i ponieśli poszkodowanego węglarza do windy.

- Przecież panienska wie, że pan nie pozwala wpuszczać obcych do domu, a szczególnie kiedy jego nie ma. Stanowczo się sprzeciwiam - perswadowała Doris.

Węglarz zwisał bezwładnie w rękach służących, dość silnych, by utrzymać go dłuższą chwilę. Stali wszyscy na podeście przed drzwiami, których broniła gospodyni.

- Nie możemy go tu zostawić, Doris. Musi go zbadać lekarz.

- To nie należy do nas.

- Weź pod uwagę, że zawinił nasz Manfred - tłumaczyła Alys, wskazując brata, który stał obok poblady z piłką w odsuniętej daleko ręce, jakby się bał, że sama może polecieć i znowu kogoś skrzywdzić.

- Powiedziałam: nie. Są szpitale dla... dla takich jak on.

- W domu będzie miał lepszą opiekę.

Doris popatrzyła na nią uważnie, jakby własnym uszom nie wierzyła. W końcu wykrzywiła usta w pobłażliwym uśmiechu. Doskonale wiedziała, jakich słów użyć, by rozżłościć Alys, i dobrała je bezbłędnie:

- Panienska jest za młoda, żeby...

No nie!... Dotąd jakoś udawało nam się dogadać - pomyślała Alys, czując, jak złość zabarwia jej policzki czerwienią. - Ale tym razem nie ustąpię.

- Na litość boską, Doris, odsuńże się!

Podeszła i oburącz pchnęła drzwi. Gospodyni próbowała je przytrzymać, lecz na próżno - drewniane skrzydło uderzyło ją w ramię. Cofnęła się więc głębiej do przedpokoju i bezradnie patrzyła, jak młodzi Tannenbaumowie prowadzą służących z rannym w głąb mieszkania. Służący unikali wzroku gospodyni, która nabrała przekonania, że powstrzymują śmiech.

- Oj, nie zostawię tak tego. Doniosę panu o wszystkim - oświadczyła rozzłoszczona.

- Możesz się nie trudzić. Sama mu powiem, jak jutro wróci z Dachau - rzuciła Alys przez ramię.

W głębi ducha wcale nie była taka pewna swego. Wiedziała, że z ojcem będzie problem, w tej chwili jednak nie zamierzała pozwolić, by gospodyni postawiła na swoim.

- Proszę przymknąć oczy. Nie chcę ich zachłapać jodyną. O tak...

Alys wśliznęła się do pokoju gościnnego cichutko, starając się nie przeszkadzać lekarzowi, który opatrywał czoło rannego. Niekryjąca furii Doris tkwiła w kącie pokoju, co rusz pochrzając znacząco, szurając nogami i bez ustanku okazując zniecierpliwienie. Ujrawszy wchodzącą Alys, jeszcze zdwoiła swoje wysiłki. Dziewczyna ją zignorowała, obchodził ją tylko ranny chłopak wyciągnięty na łóżku.

Narzutę można spisać na straty - pomyślała. Naraz napotkała wzrok rannego i rozpoznała go. - Chłopak z przyjęcia! Nie, to nie może być on.

To jednak był on, ponieważ szeroko otworzył oczy i unióśł brwi. Upłynął ponad rok, lecz Alys nadal go pamiętała. Naraz pojęła, kim jest blondyn, który pojawiał się w jej marzeniach, kiedy usiłowała sobie wyobrazić Prescottta. Kątem oka stwierdziła, że Doris nie odrywa od niej spojrzenia, udała zatem, że ziewa, i otworzyła drzwi pokoju. Zasłonięta nimi przed wzrokiem gospodyni, popatrzyła znacząco na Paula i przyłożyła palec do ust.

- Co z nim? - spytała Alys lekarza, gdy wreszcie opuścił pokój.

Był to chudy człowieczek o rozbieganych oczkach, otaczał opieką medyczną Tannenbaumów jeszcze przed urodzeniem Alys. Kiedy jej matka umarła na gripę, dziewczyna niejedną noc nie przespalała z nienawiści do lekarza, że nie zdołał jej uratować. Teraz jego osobliwa powierzchowność wzbudzała w niej tylko dreszcz podobny do tego, jaki wywołuje stetoskop przyłożony do skóry.

- Lewą rękę ma złamaną, ale to czyste złamanie. Założyłem mu łubki i opatrunek, w ciągu sześciu tygodni ręka powinna się zrosnąć. Proszę dopilnować, żeby nią nie poruszał.

- A co z głową?

- Reszta to powierzchowne obrażenia, na pewno powstały, kiedy spadał ze schodów, niemniej stracił sporo krwi. Zdezynfekowałem ranę na czole, ale możliwie szybko chłopak powinien wziąć porządną kąpiel.

- Może chodzić, doktorze?

Lekarz skinieniem głowy pożegnał Doris, która zamykała właśnie drzwi pokoju,

wyraźnie pragnąc czym prędzej się znaleźć jak najdalej od rannego.

- Radziłbym nie ruszać go tej nocy. Do widzenia - powiedział, nakładając kapelusz.

- Zastosujemy się do pańskich wskazań. Bardzo dziękuję - odparła Alys, patrząc na Doris wyzywająco.

Paul wiercił się w niewygodnej wannie. Lewą rękę musiał trzymać nad wodą, aby łubki nie zamokły, a w poobijanym ciele w każdej pozycji odczuwał ból. Rozglądał się dokoła oszołomiony luksusem, który go otaczał. Pałac barona von Schroedera, choć swego czasu był jedną z najdroższych posiadłości w Monachium, nie oferował takich wygód, jakie były w tym mieszkaniu, poczynając od gorącej wody w kranie. Mieszkając u Schroederów, Paul często nosił zagrzaną wodę z kuchni, kiedy ktoś z rodziny chciał wziąć kąpiel, co zdarzało się niemal codziennie.

A już w ogóle nie było porównania między tą łazienką a komórką w pensjonacie mieszczącą umywalkę i klozet.

I to jest jej dom. Myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Ale przykre, że się wstydzi znajomości ze mną, pomyślał, wspominając ze smutkiem, jak nakazała mu milczenie.

- Woda jest czarna.

Zaskoczony Paul podniósł wzrok. Alys stała w drzwiach łazienki z rozbawieniem na twarzy. Mimo że wanna zasłaniała go niemal do ramion, a powierzchnię wody pokrywała szarawa piana, nie zdołał powstrzymać rumieńca.

- Co tu robisz?

- Rewanżuję się - odparła i uśmiechnęła się na widok załosnych wysiłków Paula, który jakoś chciał się zasłonić jedną ręką. - Jestem ci coś winna za to, że mnie wtedy uratowałeś.

- Jeśli doliczyć, że twój brat kopnął piłkę, która mnie trafiła, tak że spadłem ze schodów, powiedziałbym, że dalej jesteś mi winna przysługę.

Alys się nie odezwała. Przyglądała mu się uważnie, obrzucając wzrokiem jego barki i żylaste ramię z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Umytą z pyłu węglowego skórę miał bardzo jasną.

Ciekawe, czy jest gładka - pomyślała. - Niedługo się okaże.

- Tak czy owak dziękuję, Alys - rzekł Paul, wzięwszy jej milczenie za niemy wyrzut.

- Pamiętasz, jak mi na imię...

Teraz z kolei Paul się nie odezwał. Błysk w oczach Alys był tak osobliwy, że wołał odwrócić wzrok.

- Bardzo zmęźniałeś przez ten rok - powiedziała po chwili.

- To przez te kosze. Są ciężkie, więc po jakimś czasie człowiek wyrabia sobie mięśnie.

- Jak zostałeś węglarzem?

- To długa historia.

Przysunęła sobie taboret stojący w kącie łazienki i usiadła bliżej wanny.

- Opowiedz. Mamy czas.

- Nie boisz się, że cię tu nakryją?

- Położyłam się spać pół godziny temu. Gospodyni sprawdziła. Ale bez większego trudu się wymknęłam i przyszłam tu.

Paul wziął kostkę mydła i zaczął namydlać rękę. Piana prawie już zniknęła.

- Wtedy po przyjęciu miałem burzliwą rozmowę z ciotką.

- Z powodu kuzyna?

- Z powodu czegoś, co się zdarzyło wiele lat temu i miało związek z moim ojcem.

Matka mi zawsze mówiła, że utonął w katastrofie morskiej, ale w dniu przyjęcia się dowiedziałem, że od lat mnie okłamywano.

- Dorośli zawsze tak robią - westchnęła Alys.

- Okłamywano nas oboje, mnie i matkę. A praca... lepszej nie znalazłem.

- Chyba masz szczęście.

- To nazywasz szczęściem? - sarknął Paul. - Wstawanie przed świtem i harówka do zachodu słońca, a przyszłość proporcjonalna do zawartości portfela. Czyli żadna. Marne to szczęście.

- Masz pracę, niezależność i szacunek do siebie - wyliczała nietaktownie. - To już coś.

- Mógłbym się zamienić za odrobinę tego - odparł, wskazując dłonią dokoła.

- Chyba nie zrozumiałeś, o czym mówiłam, prawda?

- Zrozumiałem lepiej, niż ci się wydaje - warknął, nie mogąc się pohamować. - To co jest w tobie ładne i mądre, szpecisz tymi pozorami krnąbrnej płaksy, która więcej czasu poświęca na uzalanie się nad swoim luksusowym życiem i obserwowanie, jak ją widzą inni, niż na podjęcie walki o to, czego naprawdę pragnie... - urwał naraz, uświadomiwszy sobie, co powiedział. Spostrzegł, że w jej oczach zatańczyła emocja niczym płomyk wzniecony przez powiew wiatru. Otworzył usta, aby przeprosić, uznał to jednak za złe wyjście i nic nie powiedział.

Alys wolno podniosła się z taboretu. Przez moment Paul sądził, że wyjdzie, chociaż on tylko wyraził na głos to, co dziewczyna na pewno nieraz już słyszała. Ona tymczasem podeszła do wanny, przyklękła i nachyliwszy się nad wodą, pocałowała go w usta. W pierwszej chwili Paul zesztyniał, lecz zaraz odwzajemnił pocałunek.

Alys się odsunęła i popatrzyła mu w oczy. Paul zrozumiał, w czym się zasadza piękno tej dziewczyny: było w wyzywającym błysku, który pulsował w jej oczach. Uniósł się nieco i pocałował ją znowu, tym razem rozchylając lekko usta. Język Alys podążył mu na spotkanie, zrazu nieśmiały, potem pożądlivy. Po chwili Paul oderwał się od niej.

Znowu się w siebie wpatrzyli, po czym dziewczyna włożyła rękę do wody.

- Co robisz? - zapytał Paul chrapliwym głosem.

- Rzykuję.

Woda była chłodniejsza, niż się spodziewała.

Najpierw dotknęła jego brzucha - był płaski i twardy jak stół. Przesunęła dłonią po mięśniach, nie odrywając wzroku od jego oczu, nie zważając, że rękaw ubrania nasiąka wodą. Musnęła jego podbrzusze i natknęła się na członek twardy jak pal. Paul z jękiem przymknął oczy.

- Uraziłam cię?

- Nie... - Przełknął ślinę. - To nic.

Otoczyła członek palcami. Był dużo grubszy, niż sobie wyobrażała. Jej doświadczenie w tej materii ograniczało się do rycin w pismach, które ojciec trzymał w biurku w gabinecie. Czasami wymykała się nocą ze swojego pokoju, aby je pooglądać z sercem łomoczącym na każdy dźwięk ze strachu, że ktoś ją zastanie przycupniętą w oknie, czytającą przy świetle księżycy. Opowiadania, które towarzyszyły rysunkom, napisane były językiem wzbudzającym równocześnie śmiech i podniecenie, przesyconym dziwacznymi przymiotnikami.

W tej chwili tamte emocje wydawały jej się bladą namiastką tego, co przeżywała, pieszcząc Paula. To było rzeczywiste.

- Nie przestawaj - odezwał się Paul głosem dziwnym, nieswoim.

Jeszcze nigdy tego nie robiłam, pomyślała Alys dumna z siebie i podniecona.

Pragnęła zrzucić ubranie i wejść do wanny, wsunąć w siebie członek Paula. Sprawdziła, czy oczy wciąż ma zamknięte, wsunęła rękę pod odzienie i wolnymi ruchami zaczęła się pieścić.

Wtedy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

ROZDZIAŁ 15

ALYS W JEDNEJ CHWILI SKOCZYŁA NA NOGI I ODSUNĘŁA SIĘ OD Paula, lecz było za późno. Do łazienki wkroczył jej ojciec. Ledwie ją zobaczył, wiedział wszystko. Rękaw miała mokrateńki, toteż nawet człowiek tak pozbawiony wyobraźni jak Josef Tannenbaum zrozumiał, co tu się działo.

- Wracaj do swojego pokoju.

- Ale papo... - bąknęła Alys, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Natychmiast!

Dziewczyna wybuchnęła płaczem i wybiegła. Po drodze niemal wpadła na Doris, która posłała jej triumfujący uśmiech.

- Panienska już wie, że pan wrócił wcześniej, niż zapowiadał. Czy to nie dziwne?

Paul czuł się absolutnie bezbronny - nagi w coraz chłodniejszej wodzie. Kiedy Tannenbaum podszedł bliżej, próbował wstać, lecz poczuł na ramieniu żelazny uścisk jego ręki. Mimo że przedsiębiorca wzrostem znacznie ustępował Paulowi, był o wiele mocniejszy, niżby wskazywała jego pulchna aparycja. Chłopak usiłował się wyrwać, ale ponieważ siedział w śliskiej wannie i mógł się posługiwać tylko jedną ręką, nie zdołał się podnieść.

Pan domu przysiadł na taborecie, który kilka minut wcześniej zajmowała Alys. Ani na moment nie wypuścił ramienia Paula, mocno wystraszonego, że Tannenbaum gotów znieacka wepchnąć mu głowę pod wodę.

- Jak się zwiesz, węglarzu?

- Paul Reiner.

- Nie jesteś Żydem, prawda, Reiner?

- Nie.

- Posłuchaj uważnie, Reiner - rzekł Tannenbaum, łagodząc ton i przemawiając niczym treser do najgorszego w sforze psa, któremu najtrudniej przychodzi nauka. - Moja córka jest dziedziczką wielkiej fortuny, panną z klasy o wiele wyższej niż twoja. A ty jesteś zwyczajnym gównem, które się przykleiło do buta, rozumiesz?

Paul nie odpowiedział. Zdołał zapanować nad sobą w tej wstydlivej i upokarzającej

sytuacji, toteż patrzył Tannenbaumowi w twarz, zaciskając zęby. W tej chwili najbardziej na świecie nienawidził tego człowieka.

- Ty tego oczywiście nie rozumiesz - ciągnął Tannenbaum, puszcżając jego ramię. - No ale na szczęście zdążyłem wrócić, zanim moja córka popełniła jakieś głupstwo.

Sięgnął do kieszeni i wyjął gruby plik banknotów. Starannie złożył je na pół i umieścił na marmurowej umywalce.

- To za szkody na ciele spowodowane piłką Manfreda. Teraz możesz się wynieść.

Tannenbaum ruszył do drzwi, zanim jednak wyszedł, popatrzył jeszcze na Paula.

- Nie mam co prawda złudzeń, że to cię obchodzi, Reiner, niemniej wiedz, że spędziłem popołudnie z przyszłym teściem mojej córki, ustalając ostatnie szczegóły wesela. Alys na wiosnę wyjdzie za szlachcica.

Paul wspomniał, co Alys mu powiedziała: „Masz szczęście. Masz niezależność”.

- Czy Alys o tym wie? - spytał, gdy udało mu się rozewrzeć zęby na tyle, by przemówić.

Tannenbaum prychnął wzgardliwie.

- Nie waż się więcej wymówić jej imienia.

Paul wyszedł z wanny i nie wycierając się, narzucił na siebie ubranie. W tej chwili było mu obojętne, czy złapie zapalenie płuc. Wziął plik banknotów i wkroczył do przyległego pokoju, gdzie Doris spojrzała na niego z ukosa.

- Zaprowadzę do wyjścia.

- Proszę się nie fatygować - odparł, wychodząc na korytarz. Drzwi wyjściowe widoczne były w głębi.

- Och, nie chcielibyśmy, żeby przez pomyłkę zabrał coś do kieszeni - rzuciła gospodyni kpiąco.

- Oddajcie to swojemu pryncypałowi, dobra kobieto. Powiedzcie mu, że nie potrzebuję ich - rzekł na to Paul zduszonym głosem, wtykając jej do ręki plik banknotów.

Niemal pobiegł do wyjścia, chociaż Doris już na niego nie patrzyła. Teraz spoglądała na pieniądze i podstępny uśmiech wypływał jej na twarz.

ROZDZIAŁ 16

NASTĘPNE TYGODNIE BYŁY DLA PAULA NIEZNOŚNIE TRUDNE.

Kiedy się zjawił w wozowni, musiał ścierpieć wymuszone przeprosiny Klausa, który zdołał uniknąć grzywny, lecz dręczyły go wyrzuty sumienia, że zostawił chłopaka w potrzebie. Ale przynajmniej nie był bardzo zły z powodu złamanej ręki Paula.

- Hulbert i ja poradzimy sobie z rozładunkiem, choć to pełnia zimy i zamówień sporo - powiedział.

Paul powstrzymał się od uwagi, że mają tyle zleceń dzięki temu, że on przekonał go do zakupu drugiej fury. W gruncie rzeczy nie bardzo miał ochotę gadać i zrobił się milkliwy, oniemiał prawie jak Hulbert, przymarzając do kozła, gdy godzinami siedział na mrozie zapatrzony w dal.

Przy jakiejś okazji próbował się dostać do mieszkania przy Prinzregentenplatzu w porze, kiedy wydawało mu się, że Tannenbauma nie będzie w domu, lecz służący zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Do skrzynki pocztowej wrzucał bileciki dla Alys, prosząc, aby się z nim spotkała w pobliskiej cukierni, ale nigdy nie przyszła. W niedzielę zaś, jedyny dzień w tygodniu, kiedy o rozsądnej porze mógł przyjechać w tę okolicę i poczekać po drugiej stronie placu, ani razu się nie pojawiła. Pojawił się za to strażnik - bez wątplenia na polecenie starego Tannenbauma - i delikatnie zasugerował, by Paul więcej się nie pokazywał w tym rejonie, jeśli nie chce zbierać zębów z chodnika.

Paul coraz bardziej się w sobie zamykał, nawet do matki ledwie się odzywał, jeśli już chwilę byli razem. Niewiele jadł, źle sypiał, a furą powoził machinalnie, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Kiedyś zaokrąglonym tyłem wozu cudem nie zawadził o tramwaj. Wysłuchując złorzeczeń pasażerów - w ich mniemaniu omal wszystkich nie zabił - powiedział sobie, że musi coś zrobić, by wydobyć się z tej melancholii, która otulała mu głowę niczym gęste chmury zasłaniające wierzchołki gór.

Nic zatem dziwnego, że w tym stanie nie zauważył pewnego popołudnia, jak na Frauenstrasse ktoś mu się przygląda. Najpierw ów człowiek wolno podszedł do fury, chcąc zobaczyć Paula z bliska, zwracał jednak uwagę, aby się nie znaleźć na linii jego wzroku. Następnie w notesiku wyjętym z kieszeni starannie zapisał nazwisko Klausa Grafa - Paul miał

teraz więcej czasu i jedną rękę zdrową, toteż burty fury zawsze były czyste i litery widoczne, co trochę łagodziło złość węglarza - po czym usiadł w pobliskiej piwiarni i czekał, aż fury odjechały. Wtedy poszedł do kamienicy, do której przywieziono węgiel, i pociągnął za język dozorcę.

Jürgen był w paskudnym humorze. W szkole wystawiono oceny za pierwszy okres i jego noty wcale nie napawały otuchą.

Trzeba zmusić tego głupka Kurta, żeby mnie poduczył - planował. - No i niechby zrobił parę prac, które mi kazali napisać dla poprawy ocen. Powiem, żeby przyszedł do mnie i używał mojej maszyny do pisania, to nikt się nie połapie.

Chodził do klasy maturalnej, stawką zatem było przyjęcie na uniwersytet, cokolwiek to za sobą pociągało. Niespecjalnie go interesowała sama nauka, nęciła natomiast możliwość przebywania w środowisku studentów i pysznienia się tytułem barona. Chociaż jeszcze go nie miał.

Będzie się tam roiło od ładnych panien. Przyjdzie mi się oganiać od nich jak od much, dumiał.

Siedział w swoim pokoju, snując fantazje o studentkach, kiedy służąca - nowa dziewczyna, którą matka musiała zatrudnić, gdy przegoniła Reinerów - zastukała do drzwi.

- Panicz Krohn przyszedł z wizytą.

- Niech wejdzie.

Kiedy kolega stanął w drzwiach, Jürgen powitał go mruknięciem.

- W samą porę przychodzisz, bracie. Muszę coś zrobić z wykazem ocen, bo jak je zobaczy ojciec, wpadnie w furję. Od rana próbuję podrobić jego podpis, ale mi nie wychodzi - wskazał podłogę zarzuconą pogniecionymi i potarganymi kartkami.

Krohn zerknął do dzienniczka otwartego na stole i aż gwizdnął zdziwiony.

- No, no, ładnie!...

- Wiesz, że ten Waburg mnie nienawidzi.

- Z tego co widzę, połowa profesorów podziela jego antypatię. Ale chwilowo nie zwracaj sobie raczej głowy skromnymi osiągnięciami w nauce, bo przynoszę nowiny. Lepiej szykuj się na łowy.

- Co ty gadasz? Na jakie łowy?

Krohn się uśmiechnął, z góry radując się wdzięcznością Jürgena za to, co udało mu się odkryć.

- Na ptaszka, który wyfrunął z gniazda, przyjacielu. Ptaszka ze złamanym skrzydłem.

ROZDZIAŁ 17

PAUL NIE MIAŁ CIENIA PODEJRZEŃ, ŻE COŚ JEST NIE tak, póki nie było za późno.

Dzień zaczął jak zwykle - wsiadł do tramwaju, by pojechać do wozowni Klausa Grafa nad Izarą. Kiedy tam dotarł, było jeszcze ciemno i musiał obudzić Hulberta, pryskając mu w twarz gorącą kawą, którą przyniósł w termosie. Na początku niemowa traktował go nieufnie, teraz jednak żyli w jak najlepszej zgodzie i Paul naprawdę lubił chwile, gdy przed świtem zaprzęgali razem konie do fur i wyruszali do składu z węglem. Ustawiali wóz w strefie załadunku, gdzie zamontowana była szeroka metalowa rynna, którą zsypywano węgiel na wóz w dziesięć minut. Pracownik składu odnotowywał każdy załadunek dokonany przez ludzi Grafa, ponieważ węglarz rozliczał się raz w tygodniu. Następnie Hulbert i Paul jechali do pierwszego w danym dniu miejsca rozładunku, gdzie Klaus już czekał, niecierpliwie pykając z fajki. Zwyczajna męcząca rutyna.

Dotarłszy do wozowni, Paul jak co dzień popchnął wrota. Nigdy nie zamykali ich na klucz, ponieważ nie było tam co kraść oprócz końskiej uprzęży. A Hulbert spał w odległości metra od niej, w komórce z pryczą na prawo od boksów dla koni.

- Wstawaj, Hulbert! Śniegu dziś więcej niż zwykle. Musimy wyjechać wcześniej, jeśli chcemy na czas dotrzeć do Moosachu.

Niemowa nie dawał znaku życia, co było normalne. Zawsze chciał uszczknąć choć chwilę dłużej snu.

Wtem Paul usłyszał nerwowe parskanie koni w boksach i trzewia ścisnęło mu uczucie, którego od dawna już nie zaznał. Zabrakło mu tchu, w ustach pojawiła się gorycz.

Jürgen.

Postąpił krok ku wrotom, lecz naraz wrócił mu spokój. Byli tam, wyłaniali się ze wszystkich stron - ogarnęła go złość na siebie, że wcześniej nic nie zauważył. Wychodzili ze schowka na łopaty, z boksów koni, spod fur. Było ich siedmiu, przyszli ci sami, którzy go ścigali podczas przyjęcia urodzinowego Jürgena wieki temu. Miny mieli teraz pewniejsze, oblicza dużo twardsze. Nie byli odziani w mundurki szkolne, lecz w grube swetry i buty z cholewami. W stroje odpowiednie do pracy.

- Tym razem nie prześlizgniesz się po marmurze, kuzynie - rzekł Jürgen ironicznie,

wskazując klepisko wozowni.

- Hulbert! - wrzasnął Paul desperacko.

- Twój tępą przyjaciel jest przywiązany do pryczy. Nawet knebla nie potrzebował, bo przecież nie gada - poinformował któryś z pomagierów Jürgena. Pozostali okrasili te słowa zadowolonym rechotem.

Paul jednym susem wskoczył na furę. Prześladowcy przybliżali się, otaczając go coraz ciaśniej kręgiem. Ktoś próbował go chwycić za nogę, lecz Paul w porę ją poderwał i starczyło mu refleksu, by przydepnąć butem palce tamtego. Rozbrzmiał trzask i chłopak z dzikim rykiem złapał się za rękę.

- Złamał!... Skurwysyn!...

Nadchodzili od tyłu fury. Kątem oka Paul zauważył, że jeden zamierza się wspiąć na kozioł, aczkolwiek z wahaniem. Bardziej wyczuł, niż zobaczył błysk noża.

Przez głowę przemknęło mu jedno z wielu wyobrażeń z dzieciństwa związanych z ojcem: jego fregata otoczona przez okręty wroga. Powiedział sobie, że fura, na której stoi, jest jego statkiem. Nie dopuszczę do abordażu, poprzysiął sobie.

Rozejrzał się dokoła, rozpaczliwie szukając czegoś, czego mógłby użyć w charakterze broni. Do dyspozycji miał tylko okruchy węgla pozostawione na dnie wozu, ale były tak małe, że nikomu by żadnej krzywdy nie wyrządziły. Rękę miał złamaną i w tej sytuacji przewagę zapewniał mu jedynie wysoki wóz, ponieważ jeśli ktoś chciał się na niego wspiąć, jego głowa pojawiała się na poziomie idealnym do wymierzenia kopniaka.

Kolejny napastnik uczynił taki ruch, jakby zamierzał wejść od tyłu fury, lecz Paul wyczuł podstęp. Chłopak przyczajony przy koźle wykorzystał okazję i błyskawicznie wspiął się na niego, ani chybi pragnąc dopaść Paula od tyłu. Jednym ruchem Paul odkręcił termos i chlusnął mu kawą w twarz. Nie była już wrząca jak godzinę wcześniej, kiedy ją przygotowywał na kuchence w swoim pokoiku, ale dość gorąca, by atakujący złapał się za sparzoną twarz. Paul dopadł go w mgnieniu oka i zepchnął z wozu. Wróg z jękiem runął na plecy.

- Do diabła, na co czekacie? - wrzasnął Jürgen. - Brać go!

Paul zobaczył błysk noża. Okręcił się wokół własnej osi z zaciśniętymi pięściami, pragnąc zademonstrować, że się nie boi, chociaż wszyscy wiedzieli, że tylko udaje.

Pięć par rąk chwyciło się burt wozu w dziesięciu punktach. Paul walił pięściami na prawo i lewo, lecz w kilka chwil został otoczony. Jeden z wrogów złapał go za lewą rękę, Paul się szarpnął i nadział twarzą na pięść innego. Usłyszał trzask kości i przenikliwy ból złamanego nosa.

Przez moment w oczach miał tylko pulsujące czerwone światło. Na oślep wymierzył cios, który przeszedł daleko od twarzy Jürgena.

- Przytrzymaj go, Krohn!

Paul poczuł, jak łapią go od tyłu za pas i kurtkę. Próbował się odwrócić, ale na próżno. W parę chwil został zupełnie unieruchomiony, z twarzą i piersią zdanymi na łaskę kuzyna. Żelazny uchwyt, który na szyję założył mu jeden z prześladowców, unieruchomił Paulowi głowę.

- Teraz nie uciekasz, co?

Jürgen przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i ręką wziął szeroki zamach. Pięść trafiła Paula w żołądek. Całe powietrze uszło z niego jak z przedziurawionej dętki.

- Możesz bić... ile chcesz, Jürgen - wykrztusił, kiedy złapał dech. - Świnia jesteś... świnia pozostaniesz...

Jürgen znowu walnął go na odlew, tym razem w twarz, przecinając mu łuk brwiowy. Po czym wstrząsnął ręką i rozmasował obolałe palce.

- Widzisz? Napadacie w siedmiu, jeden trzyma, a ty sobie robisz większą krzywdę niż mnie - rzekł Paul.

Nie zważając na bolącą rękę, Jürgen się przybliżył, złapał go za włosy i szarpnął tak mocno, że Paulowi się zdało, jakby mu zerwał skórę z połowy głowy.

- Zabiję cię za to, coś zrobił Eduardowi, gnoju.

- Tylko mu pomogłem. Bardziej niż reszta rodziny.

- Teraz nagle się uważasz za krewniaka von Schroederów, kuzynie? Myślałem, że nas nienawidzisz. Nie tak mówiłeś tej żydowskiej dziwce?

- Nie nazywaj jej tak!

Jürgen jeszcze bardziej się przybliżył, aż jego oddech zmieszał się z oddechem Paula. Wbił w jego oczy wzrok, dwie niebieskie pijawki złaknione bólu, który spowodują jego słowa.

- Spokojnie, dziwką już niedługo będzie. Teraz się przeobraza w szacowną damę. To przyszła baronowa von Schroeder.

Paul uświadomił sobie naraz, że to prawda, a nie wymysł kuzyna. Trzewiami szarpnął mu dojmujący gorzki ból, który się przerodził w pełen rozpaczny jęk. Jürgen smakował ten obraz z szeroko otwartymi oczami i błogim uśmiechem błakającym się na ustach. Na koniec puścił włosy Paula, który zwiesił głowę na pierś.

- Dobra, chłopaki, teraz dostanie, na co zasłużył.

W tejże chwili Paul z całych sił szarpnął głową do tyłu. Chłopak, którego miał za

plecami, rozluźnił uchwyt już wcześniej, po akcji Jürgena, w przeświadczeniu, że ma do czynienia z pokonanym. Teraz Paul trafił głową w jego twarz i chłopak osunął się na kolana, puszczając go. Wszyscy hurmem zwalili się na Paula, padając na ziemię w kłębowisku ciał.

Paul wymachiwał pięściami, wymierzając ciosy na oślepa, drewniana fura poskrzypywała pod ruchliwym ciężarem tylu osób. Naraz poczuł pod ręką coś twardego i zacisnął na tym palce. Próbował się oswobodzić, stanąć na nogi i niemal mu się udało, lecz Jürgen to zauważył i znowu się na niego rzucił. Paul instynktownie osłonił twarz, nie zdając sobie sprawy, że w ręce ściska przedmiot, na który natrafił.

Rozległ się potworny wrzask, po czym zapadła cisza.

Paul zaczął się cofać, aż poczuł za plecami burtę fury, i patrzył, jak kuzyn zwija się na jej dnie na kolanach. Z prawego oczodołu wystawała mu rękojeść nożyka z drewnianym trzonkiem. Nie większego od kozika. Chłopak i tak miał szczęście: gdyby kolega, który wpadł na ten błyskotliwy pomysł, przyniósł większy nóż, Jürgen leżałby teraz martwy.

- Zabierzcie to!... Zabierzcie!... - wył.

Patrzyli na niego jak sparaliżowani, trwając w splątanym kłębowisku ciał na dnie fury. Najchętniej by się stąd wynieśli. Dla nich zabawa się skończyła.

- Boli!... Pomóżcie mi, do cholery!

W końcu jeden z chłopaków zdecydował się podnieść i podszedł do Jürgena.

- Nie wyciągaj - powstrzymał go Paul przerażony. - Zabierzcie go do szpitala, niech mu tam wyjmą.

Chłopak popatrzył nań wzrokiem bez wyrazu. Sprawiał wrażenie nieobecnego, nieświadomego swoich czynów. Podszedł do Jürgena i wyciągnął rękę, nie wziął jednak pod uwagę, że ranny ciągle się zwija z bólu. Kiedy chciał wyjąć nożyk, Jürgen mimowolnie szarpnął się w przeciwnym kierunku i ostrze zadziało jak łopatką, wydłubując kawał gałki ocznej.

Jürgen przestał wyć. Podniósł rękę tam, gdzie przed chwilą tkwił kozik.

- Nie widzę... Czemu nie widzę?

I stracił przytomność.

Kolega z nożykiem w ręku patrzył oszołomiony, jak różowawa masa, która była prawym okiem Jürgena von Schroedera, ścieka z ostrza na ziemię.

- Zabierzcie go szybko do szpitala! - krzyknął Paul.

Pozostali chłopcy zaczęli się wolno podnosić. Patrzyli na swego przywódcę, nie rozumiejąc, co się stało. Spodziewali się łatwego druzgocącego zwycięstwa, tymczasem stało się coś niewiarygodnego.

Dwaj wzięli Jürgena za ręce i nogi i zeszli z nim z fury. Ruszyli w stronę wrót, pozostali zaraz do nich dołączyli. Nikt nie powiedział ani słowa.

Tylko chłopak z kozikiem stał w miejscu, patrząc pytająco na Paula, który dźwignął się na nogi.

- No idź, nie bój się - powiedział, modląc się, aby tego nie zrobił.

Chłopak rozwarł palce, wypuścił kozik i biegiem wypadł z wozowni. Paul odprowadzał go wzrokiem, póki nie zniknął za wrotami, po czym wybuchnął płaczem.

ROZDZIAŁ 18

- ANI MYŚLĘ!

- Jesteś moją córką i zrobisz, co ci każe.

- Nie jestem przedmiotem, który możesz kupować i sprzedawać!

- To twoja życiowa szansa.

- Raczej twoja.

- Będziesz baronową.

- Nie znasz go, ojczu. To niewychowany butny gbur...

- Twoja matka bardzo podobnie mówiła o mnie, kiedyśmy się poznali.

- Nie mieszaj jej do tego. Ona by nie...

- Nie chciałyby dla ciebie wszystkiego co najlepsze? Nie dbałyby o twoje szczęście?

- Nie kazałyby córce wyjść za człowieka, którego nie cierpi. W dodatku za chrześcijanina.

- Wolałybyś kogoś miłszego? Biedaka jak ten twój węglarz? On też nie jest Żydem, Alys.

- Przynajmniej nie jest złym człowiekiem.

- Tobie tak się wydaje.

- On dowiódł, co dla niego jest ważne.

- Właśnie, wycenił cię dokładnie na trzy tysiące marek.

- Co?!

- W dniu kiedy złożył nam wizytę, zostawiłem mu pieniądze na umywalce. Trzy tysiące w charakterze odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu i za to, że więcej się tu nie pokaże.

- ...

- Wiem, córeczko. Wiem, że trudno...

- Kłamiesz.

- Przysięgam na pamięć twojej matki, Alys, że ten twój węglarz wziął pieniądze.

Dobrze wiesz, że na ten temat bym nie żartował.

- Ja...

- Ludzie potrafią rozczarować, Alys. Chodź, daj buziaka i...
- Nie dotykaj mnie!
- Przejdzie ci. I uwierz mi, pokochasz w końcu syna barona von Schroedera, tak jak twoja matka pokochała mnie.
- Nienawidzę cię!
- Alys, wracaj!... Alys!...

Odeszła dwa dni później pod osłoną sypiącego śniegu i szarości świtu.

Wzięła dużą walizkę ubrań i tyle pieniędzy, ile zdołała zebrać. Nie było tego wiele, ale wystarczą na życie przez jakiś czas, póki nie znajdzie przyzwoitej pracy. Dawno zarzuciła absurdalny infantylny plan, zgodnie z którym miała wyjechać do Prescottta do Stanów, plan ułożony w czasach, gdy za normalne uważała podróżowanie pierwszą klasą i opychanie się langustami. Teraz instynktownie czuła, że jest inną dziewczyną niż tamta Alys, że jest osobą, która sama musi sobie poradzić.

Zabrała ze sobą również medalion, który należał kiedyś do jej matki. Znajdowała się w nim podobizna Alys i Manfreda. Matka zawiesiła jej medalion na szyi w dniu swojej śmierci.

Zanim opuściła dom, zatrzymała się na moment przed pokojem brata. Położyła rękę na gałce u drzwi, ostatecznie jednak nie przekreśliła jej. Wystraszyła się, że gdy ujrzy puciołowatą niewinną buzię Manfreda, zachwieje się w swoim postanowieniu. Jak się już przekonała, jej siła woli okazywała się znacznie słabsza, niż Alys przypuszczała. Przyszła pora, żeby to zmienić, pomyślała, wychodząc na ulicę.

Jej stopy, obute w porządne skórzane botki, zostawiały na śniegu ciemne ślady, które zaraz przykrywała dmąca kurzawa.

ROZDZIAŁ 19

KIEDY W DNIU BÓJKI HULBERT I PAUL ZJAWILI SIĘ W MIEJSCU pierwszego rozładunku z godzinnym opóźnieniem, Klaus Graf powitał ich blade ze złości. Ujrawszy pokiereszowaną twarz Paula i wysłuchawszy jego relacji - wspartej potakującym kiwaniem głowy upokorzonego Hulberta, którego napastnicy przywiązali do własnej pryczy i dopiero później Paul go uwolnił - polecił mu wracać do domu.

Nazajutrz rano Paul się zdziwił, widząc szefa w wozowni, do której Graf rzadko zaglądał w ciągu dnia. Ponieważ ciągle się nie pozbierał po ostatnich wydarzeniach, nie zwrócił uwagi, że węglarz dziwnie na niego zerka.

- Dzień dobry. Dlaczego pan przyszedł? - zapytał ostrożnie.

- Ha, chciałem się upewnić, że nie będzie więcej problemów. Możesz mi zagwarantować, że tamci nie wrócą, Paul?

Chłopak wahał się przez sekundę, po czym odpowiedział:

- Nie wrócą.

- Tak też sądziłem.

Klaus sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę pomiętych wytłuszczonych banknotów. Z zażenowaniem podał je Paulowi.

Chłopak wziął pieniądze i chwilę liczył coś w pamięci.

- Należność za ten miesiąc do dzisiaj włącznie - zauważył. - Jestem zwolniony?

- Zastanawiałem się nad tym, co zaszło wczoraj... Nie chcę, żeby interes ucierpiał, rozumiesz?

- Pewnie.

- Nie jesteś zdziwiony - stwierdził Klaus, który oczy miał podkrążone, spędził bowiem bezsenną noc, wiedząc, że będzie się musiał rozstać z chłopakiem.

Paul spojrział na niego, zastanawiając się, czy powinien mu wytłumaczyć, w jaką przepaść Graf go wtrąca, odprowadzając z paroma markami w kieszeni. Zrezygnował w końcu, ponieważ zdał sobie sprawę, że węglarz jest tego świadom. Wybrał zatem ironię, którą coraz częściej przychodziło mu odpłacać.

- Drugi raz mnie pan zdradza. Co za dużo, to niezdrowo i przestaje smakować.

ROZDZIAŁ 20

- NIE MOŻE MI PAN TEGO ZROBIĆ!

Baron uśmiechnął się i z obojętną miną upił łyk herbaty. Był zadowolony z rozwoju sytuacji i co najgorsze, wcale nie starał się tego ukryć. Po raz pierwszy pojawiała się przed nim możliwość dobrania się do pieniędzy Żyda bez konieczności ożenku Jürgena.

- Drogi Tannenbaum, przecież ja nic nie zrobiłem.

- No właśnie!

- No dobrze. Panny młodej nie ma, prawda?

- Prawda - przyznał Tannenbaum niechętnie.

- To i wesela nie może być. A ponieważ za nieobecność panny młodej... hm... odpowiada pan, rozumie się samo przez się, że wszelkie wydatki spadają na pana.

Tannenbaum niespokojnie wiercił się w fotelu, na próżno szukając odpowiedzi. Dolał sobie herbaty, słodząc ją połową zawartości cukierniczki.

- Widzę, że lubi pan słodczyce - zauważył baron, unosząc brew. Musiał przyznać chęć nie chcąc, że wstręt, jaki Josef w nim budził, przeobrażał się z wolna w osobliwą fascynację, w miarę jak zmianie ulegał układ sił i odkąd w ich stosunkach on był górą.

- Ostatecznie za ten cukier ja zapłaciłem.

Baron skrzywił się z niesmakiem.

- Nie ma potrzeby zachowywać się nieuprzejmie.

- Ma mnie pan za głupca, baronie? Powiedział pan, że wykorzysta pieniądze na budowę fabryki wyrobów gumowych podobnej do tej, którą pan stracił pięć lat temu. Uwierzyłem panu i przekazałem horrendalną kwotę, o którą pan prosił. I czego się dowiaduję dwa lata później? Nie dość, że nie postawił pan fabryki, to jeszcze pieniądze ulokował w papierach wartościowych, do których jedynie pan ma dostęp.

- To pewne papiery, Tannenbaum.

- Możliwe. Tylko że nie dowierzam ich stróżowi. Nie po raz pierwszy zostawiłby pan na zielonym stole przyszłość swojej rodziny.

Otto przyoblekł twarz w maskę urazy, której nie czuł. Ostatnimi czasy znowu go ogarnęła gorączka gry, toteż przesiadywał nocami wpatrzony w skórzaną teczkę zawierającą

papiery wartościowe nabyte za pieniądze Tannenbauma. Wszystkie miały klauzulę natychmiastowej sprzedaży, tak że mógł je zamienić w pliki banknotów w niecałą godzinę, złożywszy jedynie podpis i uściwszy pokazną prowizję. Nie robił sobie złudzeń: wiedział, dlaczego zażądał wprowadzenia tej klauzuli. Wiedział, co ryzykuje. Co wieczór pił więcej, zanim położył się do łóżka, a w ubiegłym tygodniu znowu zasiadł przy stole gry.

Ale nie w Mtinchen Casino, nie był taki głupi. Przywdział najskromniejsze odzienie, jakie udało mu się znaleźć, i odwiedził podłą spelunkę na Starym Mieście. Nore, w której podłogę wysypywano trocinami, a dziwki chodziły bardziej pomalowane niż obrazy w Starej Pinakotece. Zamówił wódkę kukurydzianą i usiadł do gry przy stole, gdzie otwarcie wynosiło tylko dwie marki. W kieszeni miał pięćset marek - taką kwotę przeznaczył na roztrwonienie.

I spotkało go najgorsze, co mogło: wygrał.

Mimo przetłuszczonych kart, które się kleiły do siebie jak nowożeńcy w czasie miodowego miesiąca, mimo odurzenia gorzałką domowej roboty i dymem szczypiącym oczy, mimo smrodu wszechobecnego w tej norze, wygrał. Niedużo. Akurat w sam raz, by nie wyjść ze spelunki z nożem w wąpiach. Niemniej wygrał i teraz tym mocniej ciągnęło go do gry.

- Obawiam się, że będzie musiał mi pan zaufać w kwestii pieniędzy, Tannenbaum.

Jego gość zaśmiał się sceptycznie.

- Widzę, że zostanę bez pieniędzy i bez wesela. Chociaż zawsze można z wyprzedzeniem spłacić skrypt dłużny, który mi pan podpisał, baronie.

Otto przełknął ślinę. Nie pozwoli, by ktokolwiek się dobrał do zawartości teczek, którą trzymał w biurku. Nie tylko dlatego, że dywidendy powoli umożliwiały mu spłacanie długów.

Nie!

Kiedy trzymał tę teczkę w ręku, kiedy ją gładził i wyobrażał sobie, co mógłby zrobić z tymi pieniędzmi... Tylko to pomagało mu przetrwać kolejne długie noce.

- Jak już powiedziałem, nie ma potrzeby zachowywać się nieuprzejmie. Obiecałem, że nasze rodziny się spowinowacą, i dotrzymam słowa. Pan przyprowadzi pannę młodą, a mój syn będzie na nią czekał przed ołtarzem.

Jürgen przez trzy dni nie rozmawiał z matką.

Kiedy tydzień wcześniej baron przyjechał odebrać go ze szpitala, wysłuchał opowieści - kompletnie przekręconej - o tym, jak jego syn stracił oko. Był bardzo przejęty i ogromnie ubolewał nad tym, co się stało (nawet bardziej niż jak Eduard wrócił okaleczony, pomyślał głupio Jürgen), lecz odmówił angażowania policji w tę sprawę, czego Jürgen i jego matka głośno się domagali.

- Nie możemy zapominać, że to oni zabrali ze sobą nóż - usprawiedliwiał się Otto.

Jürgen wiedział jednak, że ojciec kłamie i zataja jakieś ważne ku temu powody. Próbował pomówić z matką, ale raz i drugi odpowiedziała wymijająco i zmieniła temat, potwierdzając jego podejrzenia, że coś ukrywają. Toteż zły, że nie otrzymuje odpowiedzi, zamknął się w milczeniu, sądząc, iż w ten sposób zmiękczy matkę.

Brunhilda cierpiała, lecz nie złamała się.

W zamian zaczęła otaczać syna wszelkimi względami, co rusz mu donosząc bez umiaru prezenty, słodczyce, ulubione potrawy. W końcu nawet Jürgen, zepsuty, rozwydrzony i przyzwyczajony, że jest centrum wszystkiego, poczuł, że się dusi pośród tej troskliwości, i zapragnął się wyrwać z domu.

Toteż gdy odwiedził go Krohn ze zwykłą swoją propozycją - aby poszedł z nim na mityng polityczny - Jürgen, o dziwo, udzielił niezwyklej odpowiedzi.

- Chodźmy - rzekł, biorąc okrycie.

Krohn, który od dawna próbował wciągnąć Jürgena do polityki - był członkiem różnych organizacji nacjonalistycznych - wielce się uradował decyzją przyjaciela.

- Na pewno się rozerwiesz - obiecał, wciąż zawstydzony tym, co się stało tydzień wcześniej w wozowni, kiedy w siedmiu nie dali rady jednemu.

Jürgen za bardzo na to nie liczył. Wciąż zażywał środki tłumiące ból, a gdy jechali tramwajem do centrum, co rusz nerwowo dotykał efekownego opatrunku, który miał nosić jeszcze przez kilka dni. A przez resztę życia opaskę. Wszystko przez tego gnoja Paula, pomyślał, użalając się nad sobą.

W dodatku Paul zniknął. Dwaj koledzy poszli do wozowni na przeszpiegi i odkryli, że już nie pracuje u węglarza. Jürgen wątpił, czy w krótkim czasie uda mu się zlokalizować kuzyna, co tym bardziej go wkurzało.

Pogrążony w myślach o zemście, zaabsorbowany litowaniem się nad sobą, syn barona ledwie słuchał Krohna w drodze do Hofbrauhausu.

- To niesamowity mówca. Wielki człowiek, Jürgen, zobaczysz.

Niewielką też zwrócił uwagę na wspaniałość miejsca zebrania, dawnego browaru zbudowanego przed trzystu laty przez władców Bawarii, i na freski na ścianach. Usiadł koło Krohna na ławce w wielkiej sali i w posępnym milczeniu popijał z kufla.

Kiedy zapowiadany przez Krohna mówca wszedł na podwyższenie, Jürgen myślał, że jego przyjaciel zwariował. Ten człowieczek o podrygującym kroku w żadnym razie nie przypominał kogoś, kto by miał ustalone poglądy. Wszystko w nim, od włosów i wąsów poczynając, a na tanim pogniecionym ubraniu kończąc, tchnęło tym, czym Jürgen gardził.

Pięć minut później Jürgen rozejrzał się chmurnie dokoła. Zgromadzony w sali tłum, co najmniej dwa tysiące osób, trwał w zupełnej ciszy. Ten i ów ledwie czasami otwierał usta, by szepnąć: „Brawo” albo: „Ma rację”. Mówiły natomiast dłonie składające się do oklasków, ilekroć człowieczek na moment milkł.

Właściwie wbrew swej woli Jürgen zaczął słuchać. Nie bardzo rozumiał, o czym jest mowa, zupełnie się bowiem nie interesował otaczającym go światem, pochłonięty własnymi rozrywkami. Rozpoznawał oderwane wyrażenia, fragmenty zdań, które jego ojciec rzucał przy śniadaniu z nosem w gazetce. Złorzeczenia pod adresem Francuzów, Anglików, Rosjan. I całe gadanie w tym guście.

Jednakże z tego słowotoku Jürgen zaczął wyławiać pewien element wspólny. Nie ze słów, których znaczenie ledwie pojmował, lecz z emocji przekazywanych przez głos człowieczka, z jego przesadnej gestykulacji, pięści zaciskanych po każdym zdaniu.

Dopuszczono się potwornej n i e s p r a w i e d l i w o ś c i .

Niemcom wbito s z t y l e t w p l e c y .

Ż y d z i i m a s o n i d z i e r ż y l i ó w s z t y l e t w W e r s a l u .

Niemcy są z r u j n o w a n e .

Z a b i e d ę , b e z r o b o c i e , b o s e n o g i n i e m i e c k i c h d z i e c i w i n ę p o n o s ą Ż y d z i , k t ó r z y p o w o d u j ą r z ą d e m w B e r l i n i e n i c z y m w i e l k ą b e z m ó z g ą m a r i o n e t k ą .

Jürgen, którego w ogóle nie obchodziły bosonogie niemieckie dzieci; który nie przejmował się ustaleniami w Wersalu; który nigdy nikim się nie trapił z wyjątkiem siebie, po kwadransie naraz uzmysłowił sobie, że na stojąco z zapalem oklaskuje mówcę. A zanim ów skończył, chłopak poprzysiągł sobie, że pójdzie za nim na koniec świata.

Po mityngu Krohn przeprosił go na chwilę, obiecując, że zaraz wróci. Jürgen czekał w milczeniu, aż poczuł klepnięcie w ramię. Przyjacielowi towarzyszył mówca, który znowu wyglądał jak smętny biedak o nieufnym rozbieganym spojrzeniu. Jednakże dziedzic barona von Schroedera już inaczej na niego patrzył, poderwał się zatem, aby go powitać, kiedy Krohn rzekł z uśmiechem:

- Przyjacielu, pozwól, że ci przedstawię Adolfa Hitlera.

UCZEŃ

1923

*O tym, jak wtajemniczony odkrywa nowe
rzeczywistość z nowymi zasadami*

Sekretny uścisk dłoni, który stosują osoby w stopniu ucznia, służy braciom wolnomularzom do rozpoznawania się. Ściskając prawicę, należy kciukiem mocniej naprzeć na staw palca wskazującego i oczekiwać identycznego gestu drugiej strony. Jego sekretna nazwa to BOAZ, miano kolumny symbolizującej aspekt księżyca w Świątyni Salomona. Jeżeli wolnomularz żywi wątpliwości, czy aby na pewno ma do czynienia z bratem, prosi, by ów przeliterował tę nazwę. Oszuści zaczynają od litery B, rzeczywisty wtajemniczony zacznie natomiast od trzeciej litery, tak mianowicie: A-B-O-Z.

ROZDZIAŁ 21

- WITAM, FRAU SCHMIDT - POWIEDZIAŁ PAUL. - CZYM MOGĘ SŁUŻYĆ?

Kobieta szybko rozejrzała się dokoła, udając, że się zastanawia, w rzeczywistości zaś utkwiała wzrok w worku z ziemniakami, szukając kartki z ceną. Na darmo. Paul miał już dosyć zmieniania ceny co dzień, wołał ją zapamiętywać.

- Dwa kilo ziemniaków poproszę - rzekła kobieta, nie wając się zapytać.

Paul zaczął po jednym kłaść ziemniaki na wagę. Za klientką stało dwoje dzieci z rękami wciśniętymi w puste kieszenie, wpatrzonych w witrynę z cukierkami.

- Za kilo sześćdziesiąt tysięcy marek - rozległ się nieprzyjemny szorstki głos z głębi.

Kobieta tylko zerknęła na Zieglera, właściciela sklepiku, lecz na twarz wypłynął jej wyraźny rumieniec. Nie odezwała się słowem.

- Proszę o wybaczenie... Niewiele mi już ziemniaków zostało - skłamał Paul, który z rana nosił je workami na zaplecze sklepu, aż łupało go w krzyżu - a przyjdą jeszcze stali klienci. Nie będzie miała mi pani za złe, jeśli odważę tylko kilogram?

Ulga na jej twarzy była tak widoczna, że Paul musiał odwrócić oczy, aby się nie uśmiechnąć.

- Niech będzie. Jakoś sobie chyba poradzę.

Paul ujmował ziemniaki z torby, aż wskazówka wagi zatrzymała się na liczbie 1000. Ostatniej bulwy, wyjątkowo dużej, nie wyjął całkowicie, tylko przytrzymał ją nad resztą, sprawdzając, czy odważył dokładnie kilogram, po czym naturalnym gestem upuścił ją z powrotem do torby, jakby się zapomniał.

Kobiecie, która spostrzegła, co zrobił, drżały lekko ręce, gdy płaciła i zabierała torbę z lady. Już miała wyjść z dziećmi, lecz Ziegler ich zatrzymał.

- Chwileczkę! - powiedział.

Kobieta się obróciła z bladością na twarzy.

- Słucham?

- Pani syn coś zgubił - rzekł sklepikarz, podając jej czapkę młodszego.

Kobieta wyszeptła podziękowanie i wyszła na ulicę.

Ziegler wrócił za ladę. Poprawił okrągłe okulary na wydatnym nosie i na powrót

zabrał się za pucowanie miękką szmatką puszek z grochem. W sklepie było czyściutko, ponieważ Paul bardzo o to dbał, co nie wymagało wielkiego zachodu, w tych czasach bowiem nic nie leżało na półkach dość długo, aby się pokryć kurzem.

- Widziałem - oświadczył sklepikarz, nie przestając czyścić.

Paul wyciągnął spod lady gazetę i zaczął ją przeglądać. Tego dnia więcej klientów nie będzie, ponieważ był czwartek i wypłaty odebrane przed kilku dniami już się ludziom skończyły. Za to nazajutrz zapanuje tu istne piekło.

- Wiem, że pan widział.

- No to czemuś tak udawał?

- Chciałem, żeby wyglądało, jakby pan nie widział, że dorzuciłem jej ziemniak. Inaczej wszystkim musielibyśmy coś dodawać.

- Odliczę ci ten ziemniak z wypłaty - zapowiedział Ziegler, starając się, by zabrzmiało to groźnie.

Paul kiwnął głową i zagłębił się w lekturze. Już jakiś czas temu przestał się bać sklepikarza nie dlatego, że Ziegler nigdy nie spełniał swoich pogroźek, lecz dlatego, że jego szorstkość była udawana. Uśmiechnął się w duchu, wspominając, że minutę wcześniej szef po kryjomu wrzucił do dziecięcej czapki garść karmelków.

- Nie pojmuję, do wszystkich diabłów, co takiego ciekawego jest w tych gazetach - odezwał się sklepikarz, kręcąc głową.

Paul od jakiegoś już czasu gorączkowo szukał w gazetach sposobu na uratowanie interesu Zieglera. Jeśli go nie znajdzie, sklepik upadnie, nim miną dwa tygodnie.

Naraz zastygł między dwiema szpaltami „Allgemeine Zeitung”. Serce mu podskoczyło w piersi. Oto pomysł, pomysł w krótkiej notatce szerokiej na dwie szpalty, śmiesznie skromnej obok wielkich krzyczących tytułów, które bez końca informowały o plajtach, czasem nawet o upadku rządu. Byłby ją przeoczył, gdyby czegoś takiego właśnie nie szukał.

Kompletne wariactwo.

Nie, to się nie uda.

A jeśli się uda?... - pomyślał. - Będziemy bogaci.

Uda się. Tego Paul był pewien. Najtrudniej będzie jednak przekonać Zieglera. Nie ma co marzyć, żeby taki stary pruski konserwatysta jak on zgodził się na ten plan. Paul zupełnie nie miał pojęcia, w jaki sposób zdoła go przekonać.

Tak czy siak lepiej szybko to załatwić, stwierdził, przygryzając wargę.

ROZDZIAŁ 22

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ OD ZAMORDOWANIA MINISTRA RATHENAU.

Trudno ogarnąć rozumem, do czego doprowadziła desperacja, w jakiej pogrzyły się Niemcy między rokiem 1922 a 1923, kiedy dla dwóch generacji przemianie uległa skala wartości. W każdym razie zaczęło się to pewnego ranka, gdy trzech studenci podjechali powozem do samochodu ministra i podziurawili go pociskami. I stało się. W dniu 24 czerwca 1922 roku zasiane zostało potworne ziarno, którego pokłosiem ponad dwadzieścia lat później było ponad pięćdziesiąt milionów istnień ludzkich.

Do 24 czerwca 1922 roku Niemcy uważali, że sprawy idą źle. Po tej dacie kraj przeobrażał się z wolna w dom wariatów, a oni pragnęli jedynie, by było tak jak wcześniej. Minister Rathenau odpowiadał za sprawy zagraniczne państwa. W tych trudnych czasach, gdy w Niemczech pierwsze skrzypce grali wierzyciele, stanowisko to więcej znaczyło niż urząd prezydenta republiki.

W dniu, kiedy zastrzelono Rathenaua, Paul się zastanawiał, czemu spotkał go ten los: czy dlatego, że wyznawał judaizm, że był politykiem, czy leż dlatego, że podejmował starania, aby Niemcy się odnalazły w nowej sytuacji i pogodziły z klęską poniesioną podczas rokowań w Wersalu. Niewyobrażalne reparacje, które państwo zobowiązane było wypłacać aż do roku 1984! - doprowadzały ludność do nędzy, Rathenau zaś był ostatnim bastionem zdrowego rozsądku.

Po jego śmierci nikt nic nie robił, drukowano tylko pieniądze. Czy ci, którzy wydawali takie polecenie, mieli świadomość, że każda dodatkowa marka zmniejsza wartość pieniędzy już będących w obiegu? Pewnie tak, ale czy mieli inne wyjście?

W czerwcu 1922 roku za jedną markę można było kupić dwie cygaretki; dwieście siedemdziesiąt dwie marki kosztował jeden dolar amerykański. W marcu roku 1923, tego dnia kiedy Paul dorzucił ziemniak do torby klientki, za cygaretkę trzeba było zapłacić pięć tysięcy marek, kto zaś chciał wyjść z banku z nowiutkim banknotem jednodolarowym, musiał mieć dwadzieścia tysięcy marek.

Rodziny walczyły, by dotrzymać kroku oszalałemu tempu spadku wartości pieniądza. W piątki, gdy wypłacano wynagrodzenia, kobiety czekały na mężów przed bramą fabryki i

razem wyruszyli do sklepów i sklepików, oblegali Viktualienmarkt przy Marienplatzu i całą wypłatę do ostatniego feniga wydawali na żywność. Wracali do domów objuczeni jedzeniem i próbowali dotrwać do następnego piątku. W pozostałe dni tygodnia handel w Niemczech zamierał - ludzie w kieszeniach mieli pustkę, a w czwartkowy wieczór nawet kierownik hali produkcyjnej w fabryce BMW dysponował taką samą siłą nabywczą jak stary żebrak grzęznący w błocie pod mostami Izary.

Wielu nie mogło tego zdzierżyć.

Najbardziej cierpiały osoby starsze, ludzie o niewielkiej wyobraźni, wszyscy ci, którzy zbyt wiele rzeczy uważali za należne im i niezmiennie. Nie dopuszczali do siebie myśli o zmianach, o świecie, w którym wszystko wywrócone zostało do góry nogami. Niejeden odebrał sobie życie. Inni popadli w nędzę.

Jeszcze inni zaczęli myśleć po nowemu.

Do tych ostatnich należał Paul.

Paul przeżył straszny miesiąc, kiedy Klaus Graf go wyrzucił. Ledwie się pozbierał po awanturze z Jürgenem, dręczyła go świadomość losu, jaki pisany jest Alys, z rzadka i tylko przelotnie myślał o tajemnicy śmierci swojego ojca. I znowu - jak po samobójstwie Eduarda, gdy krążył ulicami Schwabingu - konieczność przetrwania była tak przemożna, że własne pragnienia i emocje musiał stłumić, zgnieść w jedną kulę żarzącego się bólu. Ów żar nocami często wybuchał płomieniem, zapełniając jego sny. Sypiał coraz gorzej i często gęsto rankami, kiedy w zdartych przemoczonych butach brodził w śniegu monachijskich ulic, myślał, że już czeka go śmierć.

Czasami gdy miał znów wrócić do pensjonatu bez pracy i bez sił, łapał się na tym, że stoi na moście Prinzregenten i niewidzącym wzrokiem wpatruje się w Izarę. Pragnął wtedy skoczyć do lodowatej wody, pozwolić, by prąd uniósł jego ciało do Dunaju, a stamtąd do morza. Do bajecznie wielkiej wody, której nigdy nie widział, lecz zawsze wierzył, że zabrała mu ojca.

Ilekcroć się to zdarzyło, musiał szukać jakiegoś powodu, by nie wspiąć się na balustradę i nie skoczyć. Obraz matki czekającej nań co wieczór i pewność, że bez niego nie przeżyje, powstrzymywały go przed wygaszeniem na zawsze ognia, który w nim płonął. Kiedy indziej hamulcem stawały się powody, które ów ogień roznieciły.

Ostatecznie pośród myśli o śmierci zabłysła iskierka nadziei.

Pewnego dnia jakiś dostawca na środku ulicy padł zgięty wpół u stóp Paula. Pusty wózek,

który ciągnął, przewrócił się na bok. Koła jeszcze się obracały, kiedy Paul się pochylił, by pomóc chłopakowi wstać, lecz ten nie mógł się ruszyć. Otwartymi ustami nadaremno próbował chwytać powietrze, oczy miał szkliste. Podszedł do nich jakiś przechodzień. Ubrany był na czarno, w ręku niośł skórzany sakwojażyk.

- Proszę się odsunąć, jestem lekarzem.

Przez chwilę starał się ocucić leżącego, bez skutku jednak. W końcu podniósł się, kręcąc głową.

- Atak serca albo zator. Nie do wiary, taki młody.

Paul przyjrzał się twarzy zmarłego. Mógł mieć dziewiętnaście lat, może nieco mniej. Jak ja, pomyślał.

- Doktorze, czy zajmie się pan zwłokami?

- Nie mogę, idę do szpitala. Zaczekamy na policję.

Kiedy zjawili się funkcjonariusze, Paul cierpliwie im zrelacjonował, co się stało. Lekarz potwierdził jego słowa, dzięki czemu jego prośba, którą następnie wygłosił, spotkała się z życzliwością.

- Czy pozwolą panowie, że odprowadzę wózek właścicielowi?

Policjant spojrzał na pusty wózek, po czym obrzucił wzrokiem Paula. Nie bardzo miał ochotę ciągnąć tego gruchota na komisariat. Chłopak ani na chwilę nie spuszczał wzroku z funkcjonariusza.

- Jak się nazywasz, kawalerze?

- Paul Reiner.

- A dlaczego niby miałbym ci zaufać?

- Ponieważ więcej zyskam, jeśli odprowadzę wózek właścicielowi sklepu, niż gdybym próbował sprzedać te cztery źle umocowane na kółkach poczerniałe deski - rzekł Paul szczerze.

- No dobrze. Powiedz mu, żeby się zgłosił na komisariat. Potrzebne nam będzie nazwisko najbliższej rodziny tego chłopaka. Jeśli się nie zjawi w ciągu trzech godzin, będziesz miał ze mną do czynienia.

I funkcjonariusz wręczył Paulowi rachunek z pięknie wydrukowanym adresem sklepu - przy ulicy koło Isartoru, wschodniej bramy miasta oraz listą ostatnich zakupów, które zmarły przewiózł za życia:

1/2 kg kawy

3 kg ziemniaków

- 1 torba cytryn
- 1 słoik zupy Kruntza
- 1/4 kg soli
- 2 butelki wódki kukurydzianej.

Kiedy Paul wszedł z wózkiem do sklepu i poprosił o pracę po zmarłym, zdumione spojrzenie Zieglera niewiele się różniło od tego, jakim go obrzucił pół roku później, gdy chłopak wyłożył mu swój plan mający uratować obu przed ruiną.

- Musimy przekształcić sklep w bank.

Sklepikarzowi wypadła z ręki szmatka, którą przecierał słoiki z marmoladą. Jeden słoik też byłby się roztrzaskał o podłogę, gdyby Paul nie złapał go w locie.

- Co ty gadasz, chłopcze? Czegoś się opił? - zapytał Ziegler, zauważając mocno podkrążone oczy i wspominając, że poprzedniego dnia Paul podniósł głowę znad gazety podniecony i poprosił, by nazajutrz mógł przyjść do pracy trochę później.

- Niczego nie piłem - odparł Paul, który niewiele spał tej nocy, rozważając swój plan. Wyszedł z domu bladym świtem i był pod drzwiami ratusza pół godziny przed otwarciem. Biegał potem od okienka do okienka, gromadząc informacje na temat zezwoleń, opłat i wniosków. Wyszedł z magistratu z wypchaną kartonową teczką. - Wiem, że może się to panu wydawać szaleństwem, ale nic z tych rzeczy. Pieniądze teraz nie mają żadnej wartości. Wynagrodzenia rosną z dnia na dzień, a my codziennie musimy kalkulować ceny.

- Owszem, co mi przypomina, że dzisiaj musiałem to zrobić sam - rzekł sklepikarz z pretensją w głosie. - Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało. I to w piątek! Za dwie godziny sklep będzie pękał w szwach.

- Wiem, szefie. Musimy się maksymalnie sprężyć, żeby wszystko wyprzedać dzisiaj. Zaraz po zamknięciu pogadam z paroma klientami i zaproponuję im towary w zamian za pracę, ponieważ przebudowę trzeba zrobić w poniedziałek. We wtorek urzędnicy magistracy przeprowadzą inspekcję, a we środę otwieramy.

Ziegler zrobił taką minę, jakby Paul zażądał, żeby się wysmarował marmoladą i nagi biegał po Marienplatzu.

- Nie ma mowy. Ten sklep istnieje od siedemdziesięciu trzech lat. Założył go mój pradziad, odziedziczył mój dziad, po nim mój ojciec i wreszcie ja.

Paul dostrzegł groźbę w oczach sklepikarza. Zrozumiał, że jeszcze chwila, a wyleci z hukiem za niesubordynację i wariackie pomysły. Zdecydował się zatem postawić wszystko na jedną kartę.

- Piękny wiek dla sklepu, szefie. Niestety, za dwa tygodnie ktoś, kto nie będzie się nazywał Ziegler, przejmie sklep na zebraniu wierzycieli i całą tradycję diabli wezmą.

Sklepikarz oskarżycielsko podniósł palec, zamierzając złać Paula za taki język, wspomniał jednak, w jak złej sytuacji się znajduje, i osunął się na krzesło. Miał długi, które od początku kryzysu ciągle się powiększały, w przeciwieństwie do długów wielu innych nijak nie chcąc maleć. Dla niektórych bowiem oszałały spadek wartości pieniądza był korzystny: kto zaciągnął kredyt pod hipotekę z oprocentowaniem zmienianym raz do roku, w krótkim czasie mógł go spłacić i wychodził na tym dobrze. Kto natomiast, tak jak Ziegler, pożyczył pieniądze pod zastaw części przychodów, a nie na stałe oprocentowanie, mógł tylko stracić.

- Nic z tego nie pojmuję, Paul. Jak niby miałyby to uratować mój interes?

Chłopak ostrożnie podniósł garnek z wodą i wyjął spod niego wycinek z wczorajszej gazety. W paru miejscach farba aż przybladła, tyle razy Paul obracał papier w rękach i czytał.

- To artykuł profesora uniwersytetu. Jest w nim mowa o tym, że w momencie takim jak ten, kiedy ludzie nie wierzą w pieniądź, trzeba wrócić do początku. Do czasów, gdy nie znano pieniądza. Do handlu wymiennego.

- Ale...

- Chwileczkę, szefie. Oczywiście nikt nie będzie chodził z nakrytym stołem albo trzema butelkami wódki, żeby je wymieniać na co innego, a lombardy już pękają w szwach. Dlatego ludzie muszą się uciekać do pośrednictwa. Za opłatą.

- Nie rozumiem tego - wyznał sklepikarz, któremu zaczęło się kręcić w głowie.

- Papiery wartościowe, szefie. Papiery wartościowe zastąpią pieniądze. Giełda będzie rosła jak na drożdżach. A my będziemy te papiery sprzedawali.

Ziegler ustąpił.

W ciągu następnych pięciu dni Paul ledwie miał czas zdrzemnąć się nieco. Bez najmniejszych kłopotów przekonał wykwalifikowanych rzemieślników - cieśli, gipsarzy, stolarzy - by zabrali za darmo produkty żywnościowe w zamian za uzgodnioną liczbę godzin pracy w sobotę i niedzielę. Biedacy tak byli wdzięczni, że Paul musiał niejednemu pożyczyć chustkę do nosa. Co się na tym świecie porobiło - pomyślał - że wąsaty hydraulik płacze jak dziecko, kiedy mu dajesz pęto kiełbasy za godzinę pracy!

Najwięcej problemów nastreczyła biurokracja, lecz i tutaj Paul miał niewiarygodne szczęście. Drżąc, że lada chwila natrafi na zdanie, które zniweczy wszystkie jego nadzieje, dotąd studiował przepisy i ustawy wskazane przez urzędników, aż każdy paragraf znał niemal na

pamięć. Zapełniwszy wiele kartek w notesie, w którym wcześniej wypisał, co powinien zrobić, sporządził dokument założycielski Domu Bankowego Zieglera składający się z dwóch punktów:

1. Dyrektorem może być obywatel powyżej 21 lat.
2. Tytułem gwarancji należy zdeponować w magistracie kwotę pół miliona marek niemieckich.

Pierwszy punkt był oczywisty: herr Ziegler zostanie dyrektorem, chociaż Paul już teraz widział, że sam będzie musiał dużo czasu spędzać w biurze. Co do punktu drugiego... Rok wcześniej pół miliona marek było astronomiczną sumą i pozwalało mieć pewność, że tylko osoby wypłacalne podejmą działalność na tym polu. Dzisiaj pół miliona marek to był istny śmiech.

- Nikt nie zaktualizował kwoty! - wrzasnął Paul i tupnął ze złością przy wystraszonych cieślach, którzy już zaczęli zrywać półki ze ścian.

Ciekawe, czy ten urzędnik nie wolałby paru gotowanych szynek - pomyślał rozbawiony. - Przynajmniej miałyby z tego jakąś korzyść.

ROZDZIAŁ 23

CIEŻARÓWKA BYŁA ODKRYTA, TOTEŻ NOCNY WIATR SMAGAŁ TWARZE dwudziestu ludzi, którzy jechali na platformie.

Niemal wszyscy milczeli skupieni na tym, co się za parę minut stanie. Brunatne koszule nie bardzo ich chroniły przed chłodem, lecz nie zważali na to, zwłaszcza że niebawem będą mieli okazję do woli rozruszać zdrętwiałe członki.

Jürgen pochylił się do przodu i zaczął postukiwać pałką w metalową podłogę platformy. Przywykł tak robić od pierwszej wyprawy, kiedy towarzysze z oddziału spoglądali na niego sceptycznie. SA, oddziały szturmowe partii narodowosocjalistycznej, były organizacją dla zahartowanych weteranów wojennych, ludzi z klas niższych, którzy ledwie potrafili bez zajknięcia przeczytać na głos zdanie. Toteż gdy dołączył do nich taki wytwornis - syn barona na dokładkę! - natychmiast poczuli się zobowiązani wykluczyć go ze swego grona. Kiedy Jürgen po raz pierwszy wykorzystał podłogę ciężarówki w charakterze bębna, jeden z towarzyszy wskazał nań palcem i zawołał:

- Wysyłasz depezę do baronowej, młody?

Pozostali wybuchnęli złośliwym śmiechem.

Tamtej nocy się zawstydził. Tej natomiast, gdy zaczął stukać w podłogę ciężarówki, pozostali czym prędzej poszli w jego ślady. Początkowo rytm był wolny, miarowy, wyrazisty, uderzenia idealnie zgrane. Jednakże w miarę jak ciężarówka zbliżała się do celu - do gospody w pobliżu dworca głównego - przyspieszał, aż stał się szybkim ogłuszającym werblem, od którego wszystkim wezbrała w żyłach adrenalina.

Jürgen się uśmiechnął. Dużo go kosztowało zdobycie ich zaufania, ale teraz czuł, że wszystkich ma w garści. Kiedy blisko rok wcześniej po raz pierwszy wysłuchał mowy Adolfa Hitlera i z miejsca zwrócił się do sekretarza partii, wyrażając chęć wstąpienia do NSDAP, jego przyjaciel Krohn nie posiadał się z radości, wielce się jednak rozczarował, gdy kilka dni później Jürgen postanowił dołączyć do SA.

- Do diabła, co ty masz wspólnego z tymi brunatnymi goryłami? - zdumiał się. - Jesteś inteligentny, mógłbyś zrobić karierę polityczną. A opaska na oku... jakby rozpuścić właściwe pogłoski, mogłaby się stać twoją wizytówką. Moglibyśmy mówić, że straciłeś oko, broniąc

Ruhry.

Syn barona nie poszedł na to. Pod wpływem irracjonalnego impulsu podjął decyzję, lecz na poziomie podświadomości jego czyn był zdecydowanie logiczny. Pociągała go brutalność właściwa paramilitarnemu ramieniu partii narodowosocjalistycznej, grupowe poczucie dumy i bezkarność w stosowaniu przemocy. Nie od razu zaakceptowano go w oddziale, musiał ścierpieć morze zniewag i wyzwisk, jak „baron Cyklop” czy „jednooka ciota”.

Wystraszony Jürgen przestał odgrywać twardziela, na jakiego pozował wśród kolegów w szkole. Ci tutaj byli naprawdę twardzi i gdyby tylko spróbował coś na siłę, natychmiast zwarliby szeregi. Pozyskiwał zatem ich szacunek powoli, demonstrując na każdym zebraniu beznamiętny brak skrupułów.

Zgrzyt hamulców zmieszał się z donośnym stukotem pałek. Ciężarówka zatrzymała się z ostrym szarpnięciem.

- Wsiadka! Wsiadka!

Brunatne koszule stłoczyły się w tylnej części platformy. Dwadzieścia par czarnych butów załomotało na mokrym bruku. Jeden z SA-manów pośliznął się w kałużę brudnej wody i Jürgen wsparł go ramieniem, aby się nie przewrócił. Nauczył się, że tego rodzaju gesty procentują dodatkowymi punktami w oczach towarzyszy.

Lokal, przed którym stali, nie nosił żadnej nazwy, na drzwiach wymalowano tylko słowo GOSPODA i obok czerwony bawarski kapelusz z piórkiem. Komórka partii komunistycznej często organizowała tutaj zebrania i teraz właśnie jedno z nich dobiegało końca. W środku siedziało około trzydziestu osób, słuchając prelekcji. Na zgrzyt hamulców ten i ów uniósł niespokojnie głowę, lecz było już za późno. Gospoda nie miała tylnego wyjścia.

Weszli gęsiego z łomotem i rumorem. Przerażony kelner przycupnął pod ladą, kiedy pierwsi zaczęli chwytać ze stołów kufle i talerze i ciskać nimi nad kontuarem, celując w lustra i półki zastawione butelkami.

- Panowie, co robicie?! - zawołał niski człowieczek, bez wątpienia właściciel gospody.

- Rozwiązujemy nielegalne zebranie - z wrednym uśmiechem odparł dowódca oddziału SA, występując naprzód.

- Panowie nie mają prawa!...

Dowódca dobył zza pasa pałkę, wymierzył cios w brzuch gospodarzowi, który z jękiem upadł na podłogę, poczęstował go jeszcze paroma razami, po czym odwrócił się do

swoich ludzi.

- Do roboty!

Jürgen ruszył pierwszy. Zawsze tak robił, a w krytycznej chwili dyskretnie cofał się o krok, aby kto inny znalazł się na pierwszej linii narażony na strzał, pięść lub cios nożem. Broń palna była zakazana w Niemczech, jednakże wielu weteranów wojennych zachowało pistolet należący do ekwipunku albo zdobyty na wrogu.

Ramię przy ramieniu posuwali się szeregiem w głąb sali. Przerażeni komuniści łapali, co im wpadło w ręce, i rzucali w nich. Towarzysz obok Jürgena oberwał w twarz szklanym dzbankiem i zachwiał się na nogach. Podtrzymali go idący z tyłu i kto inny zajął jego miejsce w pierwszym rzędzie.

- Skurwysyny! Idźcie pieprzyć swojego Führera! - wrzasnął chłopak wystrojony w skórzany kaszkiet, chwytając w ręce ławę.

Znajdowali się w odległości niecałych trzech metrów, w zasięgu sprzętów, i w tej właśnie chwili Jürgen udał potknięcie, by naprzód wyszedł towarzysz idący w drugim szeregu.

W samą porę. Ławy poleciały w stronę brunatnych koszul, rozległ się jęk i SA-man, który zajął miejsce Jürgena, runął na ziemię z rozbitą głową.

- Gotowi? - ryknął dowódca oddziału. - *Hitler und Deutschland!*

- *Hitler und Deutschland!* - rozległo się chórem.

Obie grupy równocześnie rzuciły się na siebie niczym na znak dany przez jakiegoś arbitra. Jürgen zrobił unik przed dryblasem o wyglądzie mechanika, który na niego ruszył, i wymierzył mu cios w kolana. Mechanik się zachwiał, a inni natychmiast bez litości zaczęli go okładać pałkami.

Jürgen parł do przodu. Przeskoczył przez wywrócone krzesło i kopniakiem posłał stół na starszego człowieka w okularach, który padł na ziemię, pociągając mebel na siebie. Powalony ścisnął w garści jakieś kartki, toteż młody Schroeder odgadł, że to pewnie prelegent, którego wykład przerwali. Ani trochę się tym nie przejął. Nie wiedział nawet, jak się ten stary nazywa. Przeszedł po nim, pilnując, by podeptać go obunóż, gdy zmierzał ku swemu prawdziwemu celowi, który sobie upatrzył już na samym początku.

Chłopak w skórzanym kaszkiecie bronił się przed dwoma w brunatnych koszulach, wymachując ławę. Jeden z SA-manów próbował zająć go z boku, lecz chłopak zakołysał ławę, trafił go w szyję i obalił na ziemię. Wtedy drugi zamierzył się pałką, sądząc, że go zaskoczy, ale młody komunista zwinnie się uchylił i łokciem celnie uderzył go w nerki. Kiedy SA-man zwinął się z bólu, komunista roztrzaskał mu ławę na grzbiecie.

No proszę, ten to umie się bić, pomyślał Jürgen.

Normalnie najtwardszych przeciwników zostawiał innym, aby nad nimi popracowali, jednakże w tym cherlaku o podkrążonych oczach było coś obraźliwego.

Spod kaszkietu patrzył na Jürgena wyzywająco.

- No chodź, pieprzony nazisto. Boisz się o paznokcie?

Jürgena aż zatkało na taką zniewagę, ale był za sprytny, żeby się na to nabrać, zrewanżował się zatem:

- Nie dziwota, że ci pasują czerwoni, obszczymurze. Twoja matka ma dupę obrośniętą jak broda Marksa.

Twarz chłopakowi zapłonęła z gniewu. Ścisnął w garściach resztki ławy i rzucił się na Jürgena.

Ten czekał nań pochylony, starając się cały czas mieć go w polu widzenia jedyne go oka. Kiedy komunista zamierzył się do ciosu, Jürgen uskokzył w bok i przeciwnik z impetem poleciał na podłogę, aż z głowy spadł mu kaszkiet. Jürgen trzykrotnie raz po razie przyłożył mu pałką przez plecy nie za mocno, tak, żeby zatkało mu dech w płucach, ale by zdołał stanąć na kolanach. Komunista próbował odpełznąć na czworakach od Jürgena, który właśnie na to czekał. Z rozmachem ile sił wymierzył mu prawą nogą kopniaka. Okuty czubek buta trafił chłopaka w żołądek - uderzenie podniosło go na blisko metr i upadł, zwijając się z bólu i walcząc o oddech.

Z promiennym uśmiechem Jürgen zaczął okładać go pałką. Słyszał pękające żebra, potem jak sucha gałąź złamała się ręka, kiedy na nią skoczył.

Chwyciwszy komunistę za włosy, zmusił go w końcu, by ukląkł.

- Powtórz teraz, coś powiedział o Führerze, świński komuchu!

- Wal się! - wybełkotał chłopak.

- Jeszcze chce ci się gadać? - wrzasnął Jürgen zdumiony.

I szarpnąwszy go za włosy, wymierzył mu z całej siły cios pałką wzdłuż linii ust.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

Na drewnianą podłogę gospody posypały się ze stukotem zakrwawione zęby chłopaka. Poranioną zdeformowaną twarz miał opuchniętą i z Jürgena opadła naraz cała agresja, która nim dotąd powodowała. Zrozumiał, dlaczego upatrzył sobie tego właśnie chłopaka.

Wykazywał niejaki podobieństwo do jego kuzyna.

Puścił włosy komunisty, który osunął się bezwładnie na ziemię.

I dobrze, teraz do nikogo nie będzie podobny, pomyślał Jürgen zadowolony.

Podniósł wzrok i stwierdził, że walka wokół ustała. Na nogach stali tylko SA-mani w brunatnych koszulach, wszyscy spoglądali na niego z mieszaniną podziwu i strachu.

- Spadamy! - wrzasnął dowódca oddziału.

Kiedy wrócili do ciężarówki, jakiś SA-man, którego Jürgen nigdy nie widział i który nie przyjechał tu z nimi, usiadł obok niego. Młody Schroeder ledwie nań zerknął. Po każdej takiej awanturze ogarniała go melancholia i poczucie opuszczenia, nie lubił więc, żeby mu się naprzykrzano. Dlatego burknął niechętnie, gdy obcy zagadnął go po cichu:

- Jak się nazywasz?

- Jürgen von Schroeder.

- A więc to ty! Mówiono mi o tobie i przyjechałem tu dzisiaj, żeby cię poznać. Jestem Julius Schreck.

Jürgen uzmysłowił sobie, że między ich mundurami jest subtelna różnica. Obcy miał odznakę z trupa czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami oraz czarny krawat.

- Żeby mnie poznać? Dlaczego?

- Tworzę grupę specjalną... z ludzi odważnych, zdolnych, inteligentnych. Pozbawionych mieszczańskich skrupułów.

- Skąd pan wie, że ja mam te cechy?

- Widziałem cię w akcji w gospodzie. Dowiodłeś przebiegłości, nie jak tamto mięso armatnie. Poza tym nie bez znaczenia jest twoje pochodzenie. Twoja obecność przysporzy nam prestiżu. Oddzieli nas od motłochu.

- Jasno powiedziane. Czego pan chce?

- Żebyś dołączył do mojego oddziału uderzeniowego. To ma być elita SA, odpowiadać będzie tylko przed Führerem.

ROZDZIAŁ 24

DLA ALYS BYŁA TO KOSZMARNĄ NOC, ODKĄD W DRUGIM KOŃCU kabaretu zobaczyła Paula. Było to ostatnie miejsce, w którym spodziewałaby się go spotkać. Raz jeszcze popatrzyła dla pewności, ponieważ światła i dym w lokalu mogły wprowadzić w błąd, lecz oczy jej nie myliły.

Do diabła, co on tu robi?

W pierwszym odruchu zawstydzona chciała ukryć za plecami swojego kodaka browniego. Długo tak nie wytrzymała, ponieważ aparat z wielką lampą błyskową ważył naprawdę sporo.

A na dodatek akurat pracuję. Do diabła, przecież jest się czym pochwalić!

- Laluniu! Strzel mi zdjęcie, ślicznotko!

Alys się uśmiechnęła, podnosząc lampę umocowaną na okazałym uchwycie, i przycisnęła jej wyzwalacz, aby tylko błysnąć światłem, nie zużywając kliszy. Dwaj pijacy, którzy zasłaniali jej widok na stolik Paula, ustąpili na bok, zataczając się. Mimo że teraz musiała nasypać do lampy proszek magnezjowy, była to najskuteczniejsza metoda pozbycia się natrętów.

Wielu mężczyzn kręciło się koło niej w nocy takie jak ta, gdy musiała wykonać dwieście, trzysta fotografii klientom BeldaKlubu. Po wywołaniu ich właściciel lokalu wybierał kilka i umieszczał je na ścianie przy wejściu, gdzie goście przechodząc, mogli się zobaczyć w powiększeniu z tancerkami. Najlepsze zdjęcia - zdaniem właściciela - wychodziły koło świtu, kiedy to niczym niezwykłym nie był widok największych birbantów pijących szampana z pantofelków dziewcząt. Alys nie cierpiała tej atmosfery: hałaśliwej muzyki, błyskających cekinami strojów, prowokujących piosenek, alkoholu i ludzi, którzy go pili bez umiaru. Ale to była jej praca.

Wahała się, czy podejść do Paula. W swoim mniemaniu nie prezentowała się zbyt pięknie w niebieskim stroju kupionym z drugiej ręki i kapelusiku, który nie bardzo do niego pasował, chociaż i tak jak magnes przyciągała rozmaitej maści uwodzicieli. Doszła w związku z tym do wniosku, że dla mężczyzn jest po prostu pociągająca przez samo to, iż patrzy na nich przez obiektyw aparatu. Postanowiła to wykorzystać, by podejść do Paula i

przełamać lody. Ciągle czuła się zawstydzona tym, jak ojciec wyprosił go z domu, doskwierało jej także wspomnienie kłamstwa, jakim Paul się posłużył, by zatrzymać ofiarowane mu pieniądze.

Zrobię mu psikusa - postanowiła. - Podejdę z aparatem, zasłaniając nim twarz, zrobię zdjęcie i wtedy mu się pokażę. Na pewno oszaleje z radości.

Ruszyła naprzód z uśmiechem, omijając stoliki i pijanych gości.

Osiem miesięcy wcześniej Alys wędrowała ulicami w poszukiwaniu pracy.

W przeciwieństwie do Paula nie ponaglało jej rozpaczliwe położenie, dysponowała bowiem pieniędzmi pozwalającymi się utrzymać przez kilka miesięcy. Niemniej wkładała w poszukiwania równie wiele wysiłku jak Paul. Proponowano jej jedynie - szepcząc gdzieś za węglem albo na zapleczu sklepiku - rolę prostytutki albo utrzymanki, a tą drogą Alys w żadnym razie nie zamierzała pójść.

Nie ma mowy ani o tym, ani o powrocie do domu, poprzysięgła sobie.

Myślała o wyjeździe. Do Hamburga, Dusseldorfu, Berlina... Tyle że docierały stamtąd wieści o sytuacji równie złej lub nawet gorszej niż w Monachium. Poza tym coś ją trzymało w rodzinnym mieście: nadzieja, że znowu spotka pewną konkretną osobę. Jednakże w miarę jak topniały jej finanse, a ona wciąż nie znajdowała źródła utrzymania, zaczęła ją dopadać rozpacz. Aż pewnego popołudnia, gdy szła Agnesstrasse w poszukiwaniu pracowni krawieckiej, do której poradzono jej się udać, zauważyła w oknie wystawowym ogłoszenie tej treści:

POTRZEBNA POMOC.

KOBIETOM DZIĘKUJEMY.

Nawet nie popatrzyła, czy to sklep czy coś innego. Z oburzeniem pchnęła drzwi i jak szalone rozdzwoniły się dzwonki, oznajmiając jej wejście. Zdecydowanym krokiem podeszła do osoby stojącej za ladą. Był to szczupły mężczyzna w sile wieku z mocno zaznaczonymi zakolami na posiwiałej głowie.

- Witam panią.

- Dzień dobry. Szukam posady.

Mężczyzna popatrzył na nią z powagą.

- Czy wolno mi założyć, że umie pani czytać?

- Owszem, ale jak czytam bzdury, jąkam się.

Na te słowa twarz mężczyzny się zmieniła. W kącikach ust pojawiły się zmarszczki rozbawienia, potem wargi się rozchyliły w przyjemnym uśmiechu, a na koniec rozległ się chichot.

- Przyjmuję panią!

Alys spojrzała nań kompletnie stropiona. Weszła tu, aby dobitnie wyrazić oburzenie, iż miał czelność wywiesić ogłoszenie tak niesprawiedliwe wobec kobiet, sądząc, że tylko wypowiedź na głos rzecz oczywistą.

- Zaskoczona?

- Dostyc...

- Cóż, pani...

- Alys Tannenbaum.

- August Muntz - przedstawił się z wytwornym ukłonem. - Widzi pani, panno Tannenbaum, wywiesiłem ogłoszenie tej treści po to, żeby się zgłosiła osoba właśnie pani pokroju. Praca, którą proponuję, wymaga umiejętności technicznych, animuszu, a przede wszystkim dużej odwagi i zuchwałości. Wygląda na to, że dysponuje pani tymi cechami, a umiejętności techniczne z łatwością pani posiadzie, zwłaszcza gdy oddam do pani dyspozycji swoje doświadczenie...

- Co dokładnie miałabym robić? - spytała Alys podejrzliwie.

- Czy to nie oczywiste? - odparł Muntz, wskazując ręką dokoła. Alys dopiero teraz rozejrzała się po pomieszczeniu i stwierdziła, że znajduje się w zakładzie fotograficznym. - Fotografować.

Paul się zmieniał przy okazji każdego nowego zajęcia, jednakże dziewczynę praca przeobraziła całkowicie. Alys błyskawicznie się rozkochała w fotografii. Nigdy wcześniej nie miała w ręku aparatu, lecz kiedy się nauczyła podstaw, zrozumiała, że nic innego nie chce robić w życiu. Szczególnie lubiła ciemnię, w której mieszała odczynniki chemiczne w kuwetach. Oczarowana nie mogła oderwać wzroku od papieru, gdy zaczynał się na nim pojawiać obraz, zarysy postaci i twarzy.

Z właścicielem zakładu dogadywała się znakomicie. Chociaż szyld nad wejściem do studia głosił: „Muntz i Synowie”, Alys szybko odkryła, że nie ma i nigdy nie było żadnych synów. August zajmował mieszkanie nad zakładem z delikatnym bladziutkim chłopcem, o którym mówił „mój siostrzeniec Ernst”. Dziewczyna często po obiedzie długo z nimi przesiadywała, grając w tryktraka, i powoli uśmiech wrócił na jej usta.

Była jednak taka część pracy, której bardzo nie lubiła, aczkolwiek właśnie z tego

powodu August ją zatrudnił. Otóż właściciel pobliskiego kabaretu - pewnego popołudnia August w końcu wyznał, że to jego dawny kochanek - zaproponował mu pokaźną kwotę w zamian za robienie zdjęć w lokalu przez trzy noce w tygodniu.

- Chciał oczywiście, żebym to ja fotografował. Ale myślę, że lepsza do tego będzie ładna panna... która nie da sobie w kaszę dmuchać - powiedział, puszczając do niej oko.

Właściciel kabaretu był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Zdjęcia przy wejściu przyczyniły się do rozświetlenia BeldaKlubu, który w końcu stał się najśłynniejszym monachijskim nocnym lokalem. Daleko mu było, rzecz jasna, do poziomu berlińskich kabaretów, lecz każdy lokal, w którym można kupić alkohol i miłość, w niepewnych czasach może liczyć na dziesięciokrotnie wyższe zyski. Po mieście krążyły pogłoski, że niejedyn klient BeldaKlubu przepuszcza tu niemal w całości ostatnią wypłatę w ciągu pięciu gorących godzin, po czym kończy ze sobą strzałem w łeb, pętlą na szyi albo flakonem proszków nasennych.

Zbliżając się do Paula, Alys żywiła nadzieję, że chłopak nie należy do klientów desperatów. Na pewno przyszedł z przyjacielem. Z ciekawości - pomyślała. Koniec końców w ostatnich czasach wszyscy odwiedzali BeldaKlub, choćby godzinami mieli siedzieć przy jednym piwie. Barmani wykazywali się wielkodusznością, tak że za cenę kwarty piwa każdy był zadowolony.

Znalazłszy się niedaleko, Alys podniosła aparat na wysokość twarzy. Towarzystwo liczyło pięć osób, dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Stolik zastawiony był pustymi lub na poły opróżnionymi butelkami szampana, talerzami z ledwie napoczętym jedzeniem.

- Hej, Paul! Musisz się uwiecznić dla potomnych, bracie! - zawołał mężczyzna, przy którym stanęła Alys.

Paul podniósł głowę. Ubrany był w smoking niezbyt dobrze dopasowany w ramionach, końce rozwiązanej muszki luźno zwisały na koszuli. Kiedy się odezwał, mówił niewyraźnie, lekko bełkotliwie.

- Słyszałyście, dziewczyny? Uśmiechnąć się ładnie!

Siedzące obok niego panie wystrojone były w srebrzyste wieczorowe suknie i pasujące do nich kapelusze. Jedna ujęła go za podbródek, obróciła do siebie jego twarz i przywarła do ust w namiętym pocałunku akurat w chwili, gdy lampa rozjarzyła się błyskiem. Zaskoczony chłopak odwzajemnił pocałunek, po czym roześmiał się głośno.

- Widzisz? Zmusiły cię do uśmiechu! - uradował się przyjaciel, rechocząc radośnie.

Ta scena ogromnie zaskoczyła Alys, tak że omal nie wypuściła aparatu z rąk. Zrobiło

jej się niedobrze. Ten pijak, taki sam jak wszyscy ci, których każdej nocy tutaj od tygodni oglądała, miał tak niewiele wspólnego z nieśmiałym węglarzem, że dziewczynie w głowie się nie mieściło, iż to naprawdę Paul.

Niemniej to był on.

Poprzez opary alkoholu zdołał ją rozpoznać i zmieszany poderwał się na nogi.

- Alys!...

Mężczyzna, który z nim był, obrócił się do niej i podniósł kieliszek.

- Znacie się?

- Tak mi się wydawało - rzekła Alys lodowatym tonem.

- Nie do wiary! Musisz wiedzieć, że twój przyjaciel jest najbardziej wziętym bankierem we wschodniej części miasta. Sprzedajemy więcej papierów wartościowych niż którykolwiek z banków, chociaż wyrastają ostatnio jak grzyby po deszczu! A ja jestem jego dumnym księgowym... Chodź, napij się z nami.

Alys poczuła, jak wzbiera w niej fala wzdry. Dość się nasłuchiwała na temat nowych banków. Niemal wszystkie założone w ostatnich miesiącach stworzyli ludzie młodzi, którzy niemal co noc ściągali do kabaretu, by zyski osiągnięte za dnia przepuścić na szampana i dziwki, zanim pieniądze zupełnie stracą wartość.

- Kiedy ojciec mi powiedział, że wzięłeś od niego pieniądze, nie uwierzyłam. Bardzo się pomyliłam. Teraz widzę, że tylko to cię interesuje - wypaliła, odwracając się, by odejść.

- Alys, poczekaj... - wybełkotał zawstydzony Paul. Na niepewnych nogach okrążył stolik i spróbował przytrzymać dziewczynę za rękę.

Alys ją wyszarpnęła, okręciła się i wymierzyła mu siarczasty policzek, który się rozległ donośnym kłaśnięciem. Paul zachwiał się na nogach, zatoczył na stół i zaczął osuwać. Uczepił się obrusa, lecz pociągnął go za sobą i padł na podłogę pośród dźwięku tłukącego się szkła i śmiechu trzech chórzystek.

- Nie ma co - rzuciła Alys na odchodnym na tyle głośno, aby Paul ją usłyszał. - W tym smokingu przypominasz kelnera.

Paul wsparł się na krzesło, aby wstać. Zdążył jeszcze zobaczyć plecy Alys znikającej pośród tłumu gości i swojego księgowego, który prowadził dziewczęta na parkiet. Naraz wsparła go czyjaś ręka, pomagając mu najpierw stanąć, a następnie usiąść na krzesło.

- Zdaje się, że ją wkurzyłeś, co?

Człowiek, który pomógł mu się podnieść, stał obok. Jego twarz Paul mgliście sobie przypominał, lecz z umysłem zamroczonym alkoholem i wstydem nie potrafił skojarzyć, skąd

ją zna.

- Kim pan jest, u diabła?

- Przyjacielem twojego ojca, Paul. I tak się właśnie zastanawiam, czy jesteś godzien nosić jego nazwisko.

- Co pan wie o moim ojcu?

Mężczyzna wyjął wizytówkę i wsunął ją Paulowi do wewnętrznej kieszeni smokingu.

- Przyjdź do mnie, jak wytrzeźwiejesz, chłopcze.

ROZDZIAŁ 25

Sebastian Keller

Księgarz

Kaufingerstrasse (w sąsiedztwie kościoła Świętego Michała)

PAUL ODERWAŁ WZROK OD SKROMNEJ WIZYTÓWKI I SPOJRZAŁ NA szyld księgarni, ciągle jeszcze nie pojmując, co tutaj robi.

Znajdował się o dwa kroki od Marienplatzu, w samym sercu Monachium. Tutaj zamiast jatek i obwoźnych sprzedawców, od których się roiło w Schwabingu, były sklepy z zegarkami, eleganckimi laskami i zakłady modystek. A w sąsiedztwie księgarni Kellera mieściło się nawet nieduże kino, gdzie wyświetlano „Nosferatu” Murnaua ponad rok po premierze. O tej porze, popołudniowej, drugi tego dnia seans musiał być już w połowie. Paul wyobraził sobie, jak człowiek obsługujący projektor zmienia kolejno rolki filmu, i zrobiło mu się go żal. Widział ten film, kiedy pół miasta o nim rozprawiało - po raz pierwszy i jak dotąd ostatni był wtedy w sali kinowej, przekradłszy się tylnym wejściem. Niespecjalnie podobała mu się splotona wersja „Drakuli” Brama Stokera. Dla niego prawdziwa siła tej opowieści zawierała się w słowach i w tym, co niewypowiedziane, w bieli otaczającej czerń liter. Film odebrał jako zbyt prosty i naiwny - jako dwuelementową układankę.

Paul wszedł do księgarni ostrożnie, lecz jego obawy zaczęły się rozwiewać, w miarę jak wzrokiem przebiegał rozległe stoły w pobliżu wystawy zarzucone książkami, regały wypełnione nimi starannie od podłogi po sufit. Nigdzie nie widział lady.

Z zachwytem przeglądał pierwsze wydanie „Śmierci w Wenecji”, kiedy za jego plecami rozległ się czyjś głos:

- Tomasz Mann to dobry wybór, ale tę książkę na pewno już czytałeś, prawda?

Paul się odwrócił. Za nim stał uśmiechnięty Keller. Miał siwiuteńkie włosy, staromodną bródkę i okazałe uszy, w które co rusz się drapał, tym większą zwracając na nie uwagę. Paul znowu poczuł, że skądś go zna, chociaż nie potrafił sobie tego przypomnieć.

- Tak, czytałem, ale prędko i pobieżnie. Pożyczył mi ją jeden z gości pensjonatu, w

którym mieszkam. Zwykle szybko czytam książki, chociaż lubię do nich wracać.

- Ha! Nie wracaj do książek, Paul. Jesteś bardzo młody, a kto czyta wiele razy to samo, ma skłonność do zdobywania niewłaściwej wiedzy przed czasem. Teraz powinienes po prostu czytać, co tylko wpadnie ci w ręce, czytać jak najróżniejsze książki. Dopiero kiedy dojdiesz do mojego wieku, będziesz miał pewność, że wracanie do tego, co już przeczytałeś, nie jest stratą czasu.

Paul ponownie obrzucił go wzrokiem. Keller miał już dobrze po pięćdziesiątce, niemniej trzymał się prosto jak drut i w niemodnym trzyczęściowym garniturze miał zgrabną sylwetkę. Postarzała go siwa czupryna, aczkolwiek Paul podejrzewał, że w rzeczywistości Keller jest jasnym blondynem, lecz farbuje włosy, aby uzyskać jednolity platynowy kolor. I naraz przypomniał sobie, gdzie już go widział.

- Pan był na przyjęciu urodzinowym Jürgena cztery lata temu.

- Masz dobrą pamięć.

- Powiedział mi pan, żebym wyszedł jak najszybciej... że będzie czekała na zewnątrz - rzekł Paul ze smutkiem.

- Doskonale pamiętam oswobodzenie tamtej dziewczyny na środku parkietu. Ach, swego czasu ja też miałem dobre chwile... złe również, ale nigdy nie popełniłem tak piramidalnego głupstwa jak to, którego ty dopuściłeś się wczoraj, Paul.

- Nie pamiętam. Do licha, skąd miałem wiedzieć, że ona tam będzie? Nie widziałem jej przeszło dwa lata!

- Cóż, sądzę, że właściwe pytanie powinno brzmieć: do licha, co cię napadło, że schlałeś się jak furman?

Paul nie odpowiedział, niespokojnie tylko przestąpił z nogi na nogę. Wstyd mu było, że takie rzeczy wytyka mu człowiek zupełnie obcy, choć równocześnie czuł osobliwy spokój, rozmawiając z księgarzem. Tyle że wołałby zmienić temat.

- No dobrze - powiedział Keller - nie chcę cię dręczyć, bo podkrążone oczy i bladość jasno mówią, że niewiele tej nocy spałeś i chyba nie jesteś jeszcze całkiem przytomny.

- Powiedział pan, że chce porozmawiać o moim ojcu - przerwał mu Paul z napięciem.

- Nie, tego nie powiedziałem. Powiedziałem, żebyś do mnie zaszedł.

- A po co?

Tym razem nie odpowiedział Keller. Poprowadził Paula do wystawy i wskazał fasadę kościoła Świętego Michała naprzeciwko księgarni. Odlane w brązie postacie, przedstawiające drzewo genealogiczne dynastii Wittelsbachów, otaczały z dwóch stron posąg archanioła, który był patronem budowli. W popołudniowym słońcu figury rzucały wielkie złowieszcze

cienie.

- Spójrz... trzy i pół wieku świetności. A to tylko krótki prolog. Natchniony nieskazitelnymi kształtami tego kościoła Ludwik Pierwszy postanowił w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku, że przeobrazą nasze miasto w nowe Ateny. Że aleje i bulwary będą pełne światła, przestrzeni i harmonii. A teraz opuść wzrok niżej, Paul.

Przy drzwiach świątyni cisnęli się żebracy, czekając w długim ogonku na zupe, którą parafia rozdawała o zachodzie słońca. Uformowana już kolejka ciągnęła się dalej, niż sięgał wzrok z okna wystawowego księgarni. Paula wcale nie zdziwił widok weteranów wojennych w obdartych mundurach, których noszenie zabronione było od prawie pięciu lat. Ani starych włóczęgów, których twarzom życie na ulicy i gorzalka nadały siny koloryt nędzy. Zdumiał się natomiast, ujrawszy dziesiątki dorosłych mężczyzn w odzieniu znoszonym, lecz w odprasowanych koszulach, wszystkich bez okryć wierzchnich, chociaż w ten czerwcowy dzień wiało mocno chłodem.

Płaszcz ojca rodziny, który co dzień wyrusza na poszukiwanie chleba dla swoich dzieci, oddaje się w zastaw w pierwszej kolejności - pomyślał Paul, nerwowo przebierając palcami w kieszeniach swojego palta. Kupił je używane, zaskoczony, że za tak doskonałą tkaninę płaci równowartość średniej wielkości sera. Ze smokiem było tak samo.

- Pięć lat po upadku monarchii: strach, morderstwa na ulicach, głód, nędza. Którą wersję Monachium wolisz, chłopcze?

- Prawdziwą, jak sądzę.

Keller spojrzał na niego, najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi. Paul zauważył, że jego nastawienie zmieniło się trochę, jakby to wszystko było jedynie próbą przed przejściem do czegoś ważniejszego.

- Poznałem Hansa Reinera wiele lat temu. Dokładnej daty nie pamiętam, ale myślę, że było to około roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego, ponieważ kupił wtedy w księgarni świeżo wydany „Zamek w Karpatach” Verne'a.

- On też lubił jego książki? - spytał Paul, nie mogąc ukryć emocji. Tak niewiele wiedział o człowieku, który dał mu życie, że każde podobieństwo z nim napełniało go mieszaniną dumy i zakłopotania, odzywając się jakby echem lat minionych. Poczł przemożną potrzebę zaufania księgarzowi, wyciśnięcia z niego wszystkiego, co wie o Hansie Reinerze, którego jemu nie było dane poznać.

- Przepadał za Verne'em! Tamtego popołudnia przegadaliśmy z twoim ojcem parę godzin. Wtedy to było naprawdę dużo, przez księgarnię od rana do wieczora przewijało się mnóstwo ludzi, nie świeciła pustkami jak teraz. Odkryliśmy, że mamy wspólne

zainteresowania, na przykład poezję. Twój ojciec był człowiekiem inteligentnym, ale nie potrafił się pięknie wysławiać, dlatego zachwycił się tym, co taki Hölderlin czy Rilke potrafiały wyczyniać z językiem. Raz nawet poprosił, żebym mu pomógł przy krótkim wierszu, który napisał dla twojej matki.

- Opowiedziała mi przed laty o tym wierszu - rzekł Paul ze smutkiem nigdy go jednak nie czytałem.

- Może jest gdzieś w papierach twojego ojca - zasugerował księgarz.

- Niestety, cały nasz skromny dobytek został w domu, w którym mieszkaliśmy wcześniej. Musieliśmy go opuścić w pośpiechu.

- Szkoda... Cóż, ilekroć przyjeżdżał do Monachium, spędzaliśmy razem przemile chwile. W czasie jednego z takich spotkań po raz pierwszy usłyszałem o Wielkim Wschodzie.

- A co to takiego?

Księgarz zniżył głos.

- Wiesz, co to jest wolnomularstwo?

Chłopak popatrzył nań ze zdumieniem.

- W gazetach piszą, że to tajemna potężna sekta.

- Którą kierują Żydzi i która wpływa na losy świata? - ironicznie rzucił Keller. - Ja też takie bajki nieraz słyszałem, Paul. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy lud szuka, kogo by tu obwinąć za to, że sprawy bardzo źle się układają.

- Więc co to jest naprawdę?

- Wolnomularstwo to tajne stowarzyszenie, a nie sekta. Należą do niego ludzie, którzy szukają oświecenia i starają się, by dobro zatriumfowało w świecie.

- Do tego stowarzyszenia wybiera się tylko ludzi możnych?

- Nie, nie wybiera się. Ludzie deklarują się sami. Żaden wolnomularz nie może żądać od profana, żeby został masonem. Profan musi o to poprosić, tak jak ja poprosiłem twojego ojca o przyjęcie mnie do loży.

- Mój ojciec był masonem? - zapytał Paul spochmurniały.

- Poczekaj chwilkę - rzekł Keller.

Spuścił roletę na drzwiach, odwrócił tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, po czym udał się na zaplecze. Przyniósł stamtąd starą fotografię zrobioną w atelier. Był na niej młody Hans Reiner, Keller i jeszcze trzy osoby, których Paul nie znał. Wszyscy wpatrywali się w obiektyw sztywno upozowani - takie ustawienie cechowało każde zdjęcie z początku wieku, kiedy to modele przez minutę musiały tkwić bez ruchu, aby fotografia dobrze wyszła. Jeden z nieznanym trzymał dziwny przedmiot. Paul wspominał, że przed laty coś takiego widział u

wuja: węgielnicę i cyrkiel złączone z wplecioną pośrodku literą G.

- Twój ojciec był dozorcą Wielkiej Loży Wschodu. Dbał o to, żeby drzwi świątyni zostały zamknięte, zanim przystąpiliśmy do pracy... mówiąc językiem profanów, zanim zaczęliśmy rytuał.

- Ale mówił pan przecież, że to nie ma nic wspólnego z religią.

- My, wolnomularze, wierzymy w istotę nadprzyrodzoną, którą nazywamy Wielkim Architektem Wszechświata. To ma charakter dogmatu. Każdy mason indywidualnie czci Wielkiego Architekta w formie, którą uważa za właściwą. W mojej loży są żydzi, katolicy i protestanci, ale nikt się z tym nie obnosi przed innymi. W loży dwa tematy są zakazane: religia i polityka.

- Czy loża miała coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

Księgarz długą chwilę milczał, wreszcie odpowiedział:

- Niewiele wiem na temat jego śmierci poza tym, że wszystko, co ci powiedziano, jest kłamstwem. W dniu kiedy widziałem go po raz ostatni, dostałem od niego wiadomość i spotkaliśmy się niedaleko księgarni. Bardzo krótko rozmawialiśmy na ulicy. Powiedział mi, że czuje się zagrożony i obawia o życie twoje i twojej matki. Dwa tygodnie później doszła do mnie wieść, że jego okręt zatonął w koloniach.

Paul się zastanawiał, czy powinien powiedzieć Kellerowi o ostatnich słowach kuzyna dotyczących nocy, kiedy jego ojciec zjawił się w pałacu Schroederów, o strzale, który Eduard wtedy usłyszał. I zdecydował, że nie wspomni o tym. Długo roztrząsał tę informację, lecz żadną miarą nie mógł uznać jej za niepodważalny dowód, że jego wuj baron ponosi odpowiedzialność za zniknięcie Hansa Reinera. Czuł w głębi ducha, że baron coś wie na ten temat, dopóki jednak nie nabierze pewności, z nikim się nie będzie dzielił tym brzemieniem.

- Poprosił też wtedy - podjął Keller - żebym ci coś przekazał, kiedy będziesz wystarczająco dorosły. Od miesiący cię szukałem.

Paulowi serce załomotało w piersi.

- Co to takiego?

- Nie wiem, Paul.

- No to na co pan czeka? Niech mi pan to da! - niemal krzyknął Paul.

Księgarz obrzucił go chłodnym spojrzeniem, jakby dawał do zrozumienia, że nie podoba mu się wysłuchiwanie czyichś rozkazów we własnym domu.

- Uważasz, że jesteś godzien spuścizny po swoim ojcu, Paul? Młodzieniec, którego ostatnio widziałem w kabarecie, wyglądał mi na schlanego gbura trwoniącego ogromny talent, jakim został obdarzony.

Paul otworzył usta, by zuchwale opowiedzieć mu o głodzie i chłodzie, które przeżył, kiedy Schroederowie wyrzucili go z matką ze swego domu. O wyczerpującym dźwiganiu węgla i o upadku na mokrych schodach. O desperacji, gdy nie miał żadnego zajęcia i wiedział, że mimo wszystko musi dalej szukać. O zimnych wodach Izary, które tak bardzo go wabiły... Jednakże zaraz się opamiętał - przecież to, co wtedy wycierpiał, w żadnym razie nie usprawiedliwiało jego zachowania w ostatnich tygodniach.

Może nawet przez to jego wina była większa.

- Czy... - zająknął się. - Czy gdybym został członkiem loży, stałbym się godniejszy?

- Byłby to jakiś początek, gdybyś poprosił z potrzeby serca. Ale zapewniam, że nie będzie łatwo. Nawet komuś takiemu jak ty.

Paul przełknął ślinę.

- W takim razie pokornie proszę, żeby mi pan pomógł. Chcę zostać wolnomularzem jak mój ojciec.

ROZDZIAŁ 26

ALYS SKOŃCZYŁA KAPACĆ PAPIER FOTOGRAFICZNY W WYWOŁYWACZU i przeniosła go do płynu utrwalającego. Patrzenie nań budziło w niej osobliwe uczucia. Z jednej strony dumę, ponieważ pod względem technicznym zdjęcie było doskonałe: uległy wobec Paula gest obcej kobiety, błysk w jej oczach, oczy Paula przymrużone... Szczegóły sprawiały, że scena wydawała się niemal materialna, lecz pomijawszy profesjonalną dumę, fotografia mocno ciążyła Alys na sercu.

Pogrążona w myślach w ciemni, ledwie zwróciła uwagę na brzęczenie dzwonka u drzwi oznajmiającego wejście klienta do zakładu. I naraz poderwała głowę, usłyszawszy znajomy głos. Zerknęła przez wizjer z czerwonego szkła, który pozwalał widzieć całe pomieszczenie, i wzrok potwierdził to, co uszy i serce już wiedziały.

- Dzień dobry - powiedział Paul, podchodząc do kontuaru.

Nadłóżył sporo drogi, wracając do pensjonatu - gdzie nadal mieszkał z matką świadom, że interes ze sprzedażą papierów wartościowych może się okazać efemeryczny - by zająć do Muntza i Synów. Adres zakładu podał mu jeden z pracowników kabaretu, któremu trzeba było rozwiązać język kilkoma banknotami.

Pod pachą trzymał starannie owiniętą paczkę. Zawierała grubą czarną księgę ze złotymi tłoczeniami. Wręczając mu ją, Sebastian Keller powiedział, że są w niej podstawy, z którymi powinien się zapoznać profan, zanim zostanie wolnomularzem. Z niej czerpał wiedzę najpierw Hans Reiner, a potem Sebastian. Paula paliło pragnienie, by jak najszybciej oddać się lekturze tego, co czytał kiedyś jego ojciec, przedtem jednak musiał pilnie coś załatwić.

- Już zamknięte - oświadczył Muntz.

- Czyżby? Zdawało mi się, że jeszcze dziesięć minut do zamknięcia - rzekł Paul, nieufnie zerkając na zegar zawieszony na ścianie.

- Dla pana zamknięte.

- Dla mnie?

- Pan Paul Reiner, jak mniemam?

- Do licha, skąd pan wie, jak się nazywam?

- Pasuje pan do opisu: wysoki, szczupły, zimne spojrzenie, diablo przystojny. Słyszałem więcej określeń, lepiej jednak nie będę ich powtarzał.

Z zaplecza dobiegł jakiś hałas. Usłyszawszy go, Paul próbował zerknąć nad ramieniem właściciela zakładu.

- Czy to Alys?

- Pewnie kot.

- Nie zabrzmiało to jak kocie hałasy.

- Nie. Zabrzmiało jak kuweta fotograficzna ciśnięta na podłogę. Ponieważ jednak Alys nie ma, musiał to być kot.

Ponownie rozległ się łomot, tym razem donośniejszy.

- Znowu. Szczęście, że kuwety są metalowe - skomentował to August Muntz, eleganckim gestem zapalając cygaro.

- Lepiej niech pan nakarmi tego kota. Wydaje się porządnie wygłodzony.

- Raczej wściekły.

- Domyślam się dlaczego - rzekł Paul, spuszczać głowę.

- Przyjacielu, Alys coś dla pana zostawiła.

Fotograf podał mu zdjęcie położone spodem do góry. Odwróciwszy je, Paul ujrzał nieco zamglony widoczek z parku.

- To kobieta śpiąca na ławce w Ogrodzie Angielskim. - August mocno zaciągnął się cygarem i wydmuchnął dym w stronę Paula. - W dniu kiedy Alys zrobiła to zdjęcie... pierwszy raz fotografowała sama. Pożyczyłem jej aparat, żeby pochodziła po mieście w poszukiwaniu ujęcia, które mnie poruszy. Postanowiła udać się do parku, jak każdy początkujący. Zauważyła naraz kobietę siedzącą na ławce i zachwyił ją jej spokój. Zrobiła jej zdjęcie, po czym podeszła, aby podziękować. Kobieta nie odpowiedziała, więc Alys trąciła ją w ramię. Kobieta upadła na ziemię.

- Nie żyła... - szepnął wstrząśnięty Paul, zrozumiawszy teraz, co naprawdę się stało.

- Umarła z głodu - dodał August, po raz ostatni zaciągnął się cygarem i zgniótł je w popielniczkę.

Paul przez kilka chwil stał oparty o kontuar, wpatrując się w zdjęcie. W końcu zwrócił je fotografowi.

- Dziękuję, że mi pan to pokazał. Proszę powiedzieć Alys, że jeśli pojutrze zajrzy pod ten adres - rzekł, biorąc z lady papier i ołówek i coś notując na kartce - zobaczy, jak to zrozumiałem.

Minutę po jego wyjściu Alys wyłoniła się z ciemni.

- Mam nadzieję, że kuwety się nie powyginały. Jeśli tak, to uprzedzam: będziesz dotąd klepać je młotkiem, aż odzyskają formę.

- Za bardzo się pan rozgadał. A to o zdjęciu... wcale nie prosiłam, żeby pan o tym opowiadał.

- On jest w tobie zakochany.

- Skąd pan wie?

- Sporo wiem o zakochanych facetach. Chociaż spotkać takiego to naprawdę sztuka.

- Poznaliśmy się w bardzo ponurych okolicznościach.

- I co z tego? Nowy dzień zaczyna się w ciemnościach, o północy. A potem wszystko zalewa światło.

ROZDZIAŁ 27

PRZED DOMEM BANKOWYM ZIEGLERA UTWORZYŁA SIĘ OGROMNA kolejka.

Kiedy Alys ubiegłej nocy położyła się spać w pokoju wynajmowanym niedaleko zakładu fotograficznego, postanowiła, że nie pójdzie pod adres zostawiony przez Paula. Powtarzała to sobie rano, gdy się ubierała, gdy kilkakrotnie przymierzała wszystkie swoje kapelusze - wszystkie dwa, ściśle mówiąc - i gdy wsiadała do tramwaju, którym zwykle nie jeździła. Zdumiała się zatem ogromnie, znalazłszy się naraz przed bankiem.

Podszedłszy bliżej, zdała sobie sprawę, że kolejki przed nim są dwie. Jedna prowadziła do samego banku, a druga do drzwi na tyłach. Ludzie ustawieni w tej drugiej wychodzili ze środka z uśmiechem i ulgą na twarzy, dźwigając torby, w których widać było kiełbasę, chleb i dorodne selery.

Paul był w nowym lokalu z człowiekiem, który ważył jarzyny i wędliny, obsługując chętnych opryskliwie. Ujrawszy Alys, chłopak natychmiast wyszedł na zewnątrz, przepychając się między ludźmi stłoczonymi przed drzwiami.

- Tu była trafika, ale właściciel zbankrutował i musiał zamknąć interes. A myśmy tu otworzyli nowy sklepik herr Zieglera. Facet był uszczęśliwiony.

- Jak widzę, ci ludzie tutaj także są szczęśliwi.

- Sprzedajemy towary po kosztach i kredytujemy wszystkich klientów banku. Wydaliśmy zyski do ostatniego feniga, ale urzędnicy i emeryci, wszyscy ci, których płace nie nadążają za tą oszalałą inflacją, są nam bardzo wdzięczni. Dzisiaj za dolara żądają ponad trzy miliony marek.

- Straciłeś majątek.

Paul wzruszył ramionami.

- Od przyszłego tygodnia wieczorem będziemy wydawali zupeę potrzebującym. Nie na taką skalę jak jezuici, bo będzie raptem jakieś pięćset porcji, ale już mamy grupkę wolontariuszy chętnych do pomocy.

Alys patrzyła na niego oczami jak spodki.

- Zrobiłeś to wszystko dla mnie?

- Zrobiłem, bo mogłem. Bo tak należy. Bo zrobiło na mnie wrażenie zdjęcie tamtej

kobiety w parku. Bo to miasto zamieniło się w piekło. I dlatego też, że zachowałem się jak ostatni dureń i chciałem, żebyś mi wybaczyła.

- Już ci wybaczyłam - oznajmiła Alys, obróciła się na pięcie i zaczęła oddalać.

- Więc czemu odchodzisz? - zawołał za nią, bezradnie rozkładając ręce.

- Ponieważ gniewam się na ciebie!

Kiedy Paul biegiem za nią ruszył, Alys odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Chociaż możesz jutro pod wieczór wpaść do mnie i sprawdzić, czy mi przeszło.

ROZDZIAŁ 28

- NINIEJSZYM ZATEM UZNAJĘ CIĘ PRAWDZIWIE GODNYM WSTĄPIENIA na tę drogę, na której dowiedziesz swojej wartości. Pochyl się.

Paul wykonał polecenie i mężczyzna w niebieskim stroju nałożył mu na głowę gruby czarny kaptur, po czym z suchym szarpnięciem zapiął na szyi jego skórzane paski.

- Widzisz coś?

- Nie.

Własny głos dziwnie mu zabrzmiał pod kapturem. Dźwięki z zewnątrz zdawały się dochodzić z innego świata.

- Z tyłu masz dwa otwory. Gdyby ci brakowało powietrza, odchyl trochę kaptur na karku.

- Dziękuję.

- Teraz musisz się mocno oprzeć prawą ręką na moim lewym ramieniu. Pokonamy razem dużą odległość. Ważne, żebyś bez wahania szedł naprzód, kiedy ci powiem. Nie musisz się spieszyć, ale uważnie słuchaj poleceń. Czasami będę ci mówił, żebyś stawiał nogi jedna przed drugą. Kiedy indziej każę ci wysoko unosić stopy, żebyś pokonał stopnie. Jesteś gotowy? - spytał, a chłopak przytaknął. - Na pytania odpowiadaj głośno i wyraźnie.

- Jestem gotowy.

- No to zaczynamy.

Paul zaczął iść powoli, szczęśliwy, że wreszcie może się ruszyć. Przez ostatnie pół godziny odpowiadał na pytania mężczyzny w niebieskim stroju, którego widział pierwszy raz w życiu. Wiedział, co powinien mówić, wszystko bowiem znalazł w książce otrzymanej trzy tygodnie wcześniej od Kellera.

- Mam się nauczyć odpowiedzi na pamięć? - zapytał księgarza.

- Te formuły są częścią rytuału, który mamy obowiązek pielęgnować i którego musimy przestrzegać. Przekonasz się wnet, że w wolnomularstwie dużą rolę odgrywają ceremonie inicjacyjne, i zobaczysz, jak cię zmienią.

- Jest więcej niż jedna?

- Swoją ma każdy stopień: ucznia, czeladnika i mistrza. Powyżej trzeciego stopnia jest ich jeszcze trzydzieści, ale to stopnie honorowe, które poznasz w swoim czasie.

- A jaki pan ma stopień?

Księgarz zignorował pytanie.

- Teraz chciałbym, żebyś przeczytał tę książkę i dobrze sobie przemyślał jej treść.

Co też Paul uczynił. Dzieło dotyczyło pochodzenia wolnomularstwa, które się odwoływało do średniowiecznych cechów budowniczych oraz ich przodków, mitycznych budowniczych starożytnego Egiptu.

Wszyscy oni odkryli wiedzę nieodłącznie powiązaną z symbolami architektury i Geometrii. Zawsze będziesz pisał to słowo przez duże G, ponieważ G jest symbolem Wielkiego Budowniczego Wszechświata. Jak będziesz go czcił, to twoja sprawa. W loży jedynym kamieniem, który będziesz obrabiał, będzie twoje sumienie i to, co w nim nosisz. Bracia dadzą ci do tego narzędzia po inicjacji... jeżeli przejdiesz przez cztery próby.

- Trudno będzie?

- Boisz się?

- Nie. To znaczy trochę.

- Będzie trudno - przyznał po chwili księgarz. - Ale jesteś odważny i przygotowany.

Dotąd Paul nie musiał korzystać ze swojej odwagi, chociaż próby jeszcze się nie zaczęły. Kazano mu się stawić o dziewiątej wieczór w piątek przy uliczce na monachijskiej starówce. Z zewnątrz miejsce spotkania wyglądało na budynek zupełnie zwyczajny, choć odrobinę zaniedbany. Koło dzwonka wisiała zardzewiała skrzynka na listy, natomiast zamek w drzwiach frontowych był nowy i dobrze naoliwiony. Otworzył mu mężczyzna w niebieskim stroju i wpuścił do sieni, w której stały drewniane sprzęty. Tam zadał mu serię rytualnych pytań.

Paul w czarnym kapturze na głowie zastanawiał się, gdzie jest Keller. Spodziewał się, że księgarz, jedyny w loży łącznik z jego ojcem, będzie osobą wprowadzającą. Tymczasem miał do czynienia z człowiekiem zupełnie obcym, toteż czuł się poniekąd bezbronny, gdy szedł po omacku prowadzony przez mężczyznę, którego po raz pierwszy w życiu ujrzał pół godziny wcześniej.

Po przebyciu ogromnej, jak mu się wydawało, odległości - pokonał w górę i w dół kilka ciągów schodów, szedł długimi korytarzami - prowadzący go mężczyzna przystanął.

Rozległy się trzy głośne stuknięcia i obcy głos zapytał:

- Kto puka do wrót świątyni?
- Brat wiodący profana, który pragnie zostać wtajemniczony w nasze rytuały.
- Czy został stosownie przygotowany?
- Tak.
- Jak brzmi jego nazwisko?
- Paul, syn Hansa Reintera.

Znowu ruszyli naprzód. Paul odnotował, że idą teraz po twardszym i gładszym podłożu, chyba kamiennym, najpewniej marmurowym. Szli i szli, ponieważ jednak pod czarnym kapturem czas zdawał się inaczej płynąć, Paul nie potrafiłby powiedzieć, jak długo to trwało. Momentami odnosił wrażenie - było to tylko przeczucie, pewności nie miał żadnej - że w miejscach, przez które go prowadzono, już był, jakby zatoczono krąg i wiedziono go w kółko tą samą drogą.

W końcu przewodnik znów się zatrzymał i zaczął odpinać rzemienie kaptura.

Chłopak zamrugał, kiedy mu go zdjęto, i stwierdził, że znajdują się w niedużym zimnym i niskim pomieszczeniu. Całe ściany wyłożono tu wapieniem, na którym widniały oderwane luźne zdania wyryte różnym charakterem pisma i na rozmaitej wysokości. Paul rozpoznał w nich liczne wersje wolnomularskich nakazów.

Tymczasem człowiek w niebieskim stroju zabrał mu wszystkie przedmioty metalowe, nawet pasek do spodni i klamerki u butów, które bezceremonialnie oderwał. Paul ubolewał, że nie pamiętał, by włożyć obuwie bez żadnych metalowych dodatków, te buty bowiem zwyczajnie zniszczono.

- Masz przy sobie coś ze złota? Wnoszenie szlachetnych metali do loży jest dużym przewinieniem.

- Nie, nic nie mam - odparł Paul.

- Tam jest pióro, papier i atrament - rzekł jego przewodnik, po czym bez słowa zniknął za drzwiami, zamykając je za sobą.

Paul popatrzył we wskazanym kierunku. Niewielka świeczka paliła się na stole, na którym oprócz przyborów do pisania leżała trupia czaszka. Podeszedł bliżej, stwierdził z drżeniem, że czaszka jest prawdziwa. Obok niej ujrzał kilka naczynek z produktami oznaczającymi zmianę i wtajemniczenie: z chlebem i wodą, z solą i siarką, z popiołem.

Znajdował się w Izbie Rozmyślań. W miejscu, gdzie miał napisać swój testament

profana. Wziął pióro do ręki i zaczął pisać starą formułę, którą nie do końca rozumiał i która dla niego nie miała sensu. Do chrzanu to wszystko - myślał. - Cała ta symbolika, powtarzanie... Odnoszę wrażenie, że to tylko puste słowa pozbawione ducha.

Naraz rozpaczliwie zapragnął iść sobie swobodnie Ludwigstrasse w świetle latarni, czując wiatr na twarzy. Jego strach przed ciemnością, który ani na jotę nie zmalał, mimo że Paul był już dorosły, znowu go ogarnął, kiedy szedł z głową osłoniętą czarnym kapturem. Za pół godziny przyjdą, by zabrać go z tej mrocznej celi, a wtedy będzie mógł zwyczajnie poprosić, aby pozwolono mu odejść.

Jeszcze mógł się wycofać.

Tylko że wtedy nigdy nie poznam prawdy o ojcu, pomyślał.

ROZDZIAŁ 29

WRÓCIŁ MĘŻCZYŻNA W NIEBIESKIM STROJU.

- Jestem gotowy - rzekł Paul.

Od tej chwili poczynając, nie miał pojęcia, jak będzie przebiegał ciąg dalszy ceremonii. Znał odpowiedzi na pytania, które zostaną mu zadane, lecz nic ponad to. Nadeszła pora prób.

Przewodnik zawiązał mu na szyi sznur i zasłonił oczy tym razem już nie kapturem, tylko przepaską z takiej jak kaptur tkaniny, robiąc na niej trzy mocno zaciśnięte węzły. Paul się ucieszył, że będzie mógł teraz oddychać swobodnie. Poczucie bezbronności nieco zmałało, choć to wrażenie trwało tylko chwilę, naraz bowiem przewodnik zdjął z niego marynarkę i mocnym szarpnięciem wyrwał lewy rękaw koszuli, następnie rozpiął gors, odsłaniając klatkę piersiową. Na koniec podwinął mu lewą nogawkę spodni i zzuł z tej nogi but oraz skarpetkę.

- Idziemy.

Znowu ruszyli dokądś. Paul czuł się dziwnie, dotykając bosą stopą zimnego podłoża, teraz z całą pewnością marmurowego.

- Stać!

Paul poczuł na piersi dotyk czegoś ostro zakończonego i włosy zjeżyły mu się na karku.

- Czy kandydat przynosi swój testament?

- Tak.

- Niech go nabije na czubek szpady.

Paul podniósł lewą rękę, w której trzymał kartkę zapisaną w Izbie Rozmyślań, i ostrożnie nadział ją na ostrze.

- Paulu Reinerze, czy przyszedłeś tu z własnej woli?

Ten głos... To Sebastian Keller - pomyślał Paul.

- Tak - odparł.

- Czy jesteś gotowy poddać się próbom?

- Jestem gotowy - odpowiedział Paul, nie mogąc pohamować dreszczu.

Od tej chwili Paul na przemian tracił i odzyskiwał świadomość. Rozumiał zadawane mu pytania i odpowiadał na nie, lecz strach i to, że nic nie widział, spotęgowały postrzeganie innymi zmysłami, które niemal przejęły nad nim kontrolę. Oddech znacznie mu przyspieszył.

Prowadzono go w górę po schodach. Próbował liczyć stopnie, aby zapanować nad lękiem, ale doszedłszy do dziesięciu, stracił rachubę.

- Tu zaczyna się próba powietrza. Przychodząc na świat, czerpiemy je wraz z pierwszym oddechem - zagrział głos Kellera.

Przewodnik szepnął Paulowi do ucha:

- Jesteś na wąskiej kładce. Zrób trzy kroki do przodu. Stań. I zrób jeszcze krok, tylko długi, inaczej skręcisz sobie kark.

Paul wykonał polecenie, czując, że stąpa po innym podłożu. Szorstka drewniana powierzchnia zastąpiła teraz marmur. Zanim uczynił ostatni krok, palcami lewej stopy wyczuł, że stoi na samym skraju kładki. Zastanowił się, jak głęboka jest przepaść poniżej, i w myślach liczba przebytych stopni zwiększyła się dziesięcio-, stu-, tysiąckrotnie. Miał wrażenie, że stoi na szczycie wieży katedry Najświętszej Marii Panny i słyszy gruchanie gołębi tuż obok, a nieskończenie daleko w dole gwar Marienplatzu.

Zrób ten krok - nakazał sobie. - Teraz!

Zrobił krok i stracił równowagę.

Ani o centymetr nie zmienił pozycji ciała, taki był zeszywniały ze strachu. Poleciał głową naprzód, choć trwało to nie dłużej niż sekundę, i uderzył twarzą w grubą siatkę, aż zęby mu zaszczękały. Przygryzł sobie wewnątrz policzków. W ustach poczuł smak własnej krwi.

Kiedy odzyskał władzę w mięśniach, stwierdził, że leży, mocno trzymając się siatki. Musiał zerwać przepaskę z oczu, musiał się przekonać, że istotnie siatka uratowała go przed przepaścią.

Musiał wyjść z ciemności.

Nie zdążył jednak w pełni się poddać panice, ponieważ kilka par rąk go chwyciło, pociągnęło i postawiło. Znow był na nogach, znow szedł, a tymczasem głos Kellera zapowiadał następne zadania.

- Druga próba jest próbą wody. Wodą jesteśmy, z wody powstajemy.

Paul wykonał wydane polecenie: kazano mu podnieść najpierw lewą, potem prawą nogę - wszedł do zbiornika z zimną wodą, która sięgała mu powyżej kolan. Zaczął dygotać.

Przy uchu znow usłyszał szept przewodnika:

- Przykucnij. Nabierz powietrza do płuc. Potem się połóż na wznak i pozostań pod

wodą. Nie ruszaj się, nie próbuj wstać, bo nie przejdiesz próby.

Chłopak ugiął kolana i jeszcze bardziej skulił się z zimna, gdy woda sięgnęła do genitaliów i pępka. Po grzbiecie przebiegło mu bolesne szczypanie. Zaczerpnął głęboki oddech i opadł na plecy.

Woda zamknęła się nad nim niczym koc.

Początkowo dominującym uczuciem było zimno. W życiu czegoś podobnego nie doświadczył. Miał wrażenie, że ciało mu sztywnieje, zamienia się w lód albo kamień.

Później płuca zaczęły się domagać swoich praw.

Paul wydał z siebie najpierw głuchy jęk, potem suchy skowyt, wreszcie krzyk ostry, rozpaczliwy. Mimowolnie poruszył ręką i musiał przywołać całą siłę woli, aby nie odepchnąć się od dna zbiornika i nie wychynąć nad powierzchnię wody tak bliską przecież, będącą niczym drzwi, które pozwolą uciec z tego lodowatego piekła. Kiedy pomyślał, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej, poczuł naraz szarpnięcie i wynurzył się z wody z otwartymi ustami, łapczywie chwytając powietrze.

Znowu szedł. Przemoczony, woda ściekała mu z włosów i ubrania. Prawa noga, obuta, wydawała śmieszne wilgotne kłapnięcie przy każdym kroku.

Raz jeszcze rozległ się głos Kellera:

- Trzecia jest próba ognia. To iskra Stwórcy, coś, co nas inspiruje.

Czyjeś ręce zmusiły go, aby się obrócił, i popchnęły naprzód. Ten, kto nim kierował, przybliżył się doń, jakby chciał go objąć.

- Przed tobą jest krąg ognia. Cofnij się o trzy kroki, żeby mieć rozbieg. Wyciągnij ręce przed siebie. Potem się rozpędź i skocz jak najdalej.

Paul poczuł na twarzy ciepło, które osuszało mu skórę i włosy. Słyszał złowróbną skwierczenie i w wyobraźni krąg ognia zaczął przybierać niewiarygodne rozmiary, aż się przeobraził w olbrzymią smoczą paszczę.

Zanim się cofnął o trzy kroki, zastanowił się, jak zdoła przeskoczyć przez ogień i nie zapalić się, po czym zdał sobie sprawę, że mokre ubranie będzie go chroniło, jeżeli znajdzie się za blisko płomieni. Albo co gorsza, jeżeli za słabo się rozpędzi i skoczy prosto w nie.

Muszę tylko wykreślić sobie granicę na ziemi i z niej się wybić - jedynie taką myśl zdołał sformułować.

Oczami wyobraźni spróbował zobaczyć swój skok, ujrzeć, jak daje susa i leci, jakby nic mu nie groziło. Naprężył mięśnie łydek, zgiął i przeciągnął ręce. Zrobił trzy długie szybkie kroki.

Skoczył.

ROZDZIAŁ 30

POCZUŁ PALĄCY ŻAR NA RĘKACH I TWARZY, KIEDY BYŁ W POWIETRZU, usłyszał syczenie koszuli, gdy pod wpływem gorąca parowała część wody, którą była nasiąknięta. Wylądował na czworakach i zaraz obmacał sobie głowę i pierś, szukając oparzeń. Niczego nie znalazł, miał tylko potłuczone kolana i łokcie.

Tym razem nikt nie pomógł mu się podnieść na nogi. Stał sam niczym rozdygotany worek wrzucony do ciasnej klitki.

- Ostatnia jest próba ziemi, do której kiedyś każdy wróci.

Nie doczekał się żadnej porady od swego przewodnika, nie było też żadnej szczególnej ceremonii. Usłyszał tylko łoskot kamienia zamykającego wejście.

Wyciągnął ręce i pomacał dokoła. Znajdował się w malutkim pomieszczeniu, w którym nie mógł się wyprostować. Stał więc pochylony - w tej pozycji mógł dotknąć trzech ścian, a jeśli trochę wyciągnął ręce, również czwartej oraz sufitu.

Spokojnie - powiedział sobie. - To już końcówka. Za parę minut będzie po wszystkim.

Starał się wyrównać oddech, gdy wtem usłyszał, że sufit się obniża.

- Nie!...

Ledwie wyrwało mu się to słowo, Paul ugryzł się w język. Nie wolno było się odzywać podczas żadnej próby, taka obowiązywała zasada. Przemknęło mu przez głowę, czy ktoś go usłyszał z tej komory.

Próbował powstrzymać opadanie sufitu, lecz w pozycji, w jakiej się znajdował, ledwie mógł naprzeć rękami na sunący nań wielki ciężar. Pchał z całych sił, nadaremno jednak. Sufit wciąż się obniżał, tak że po chwili Paul musiał lec na ziemi na wznak. Teraz jeszcze trudniej było cokolwiek zrobić.

Muszę krzyknąć... Muszę zawołać, żeby to z a t r z y m a l i !

Naraz czas jakby stanął i Paula naszło pewne wspomnienie z dzieciństwa - wspomnienie chłopca, który wracał ze szkoły, mając niezbitą pewność, że jak tylko znajdzie się w domu, zbierze cięgi. Każdy krok przybliżał go do tego, czego najbardziej się bał. Ani razu jednak nie zawrócił. Czasami człowiek po prostu nie ma wyboru.

Nie!

Musiał zatrzymać opadanie sufitu.

W tej chwili sufit zaczął się podnosić.

- Przystępujemy do głosowania.

Paul stał, znowu mając u boku przewodnika. Próby dobiegły końca, ale wciąż nie wiedział, czy przeszedł je pomyślnie. W próbie powietrza spadł jak kamień, zamiast wykonać ją zgodnie z poleceniem. Poruszył się podczas próby wody, chociaż było to zakazane. I odezwał się w czasie próby ziemi, co było największym przewinieniem.

Rozległ się jakiś dźwięk, jakby stuknięcie kamienia o naczynie.

Z książki otrzymanej od Kellera wiedział, że w tej chwili wszyscy członkowie loży skierują się ku centrum świątyni, gdzie znajduje się drewniana skrzynka. Każdy brat wrzuci do niej kulę z kości słoniowej - białą, jeśli będzie za przyjęciem kandydata do loży, czarną, jeśli będzie przeciwny. Werdykt musi być jednomyślny. Wystarczy jedna czarna kula, by z zawiązanymi wciąż oczami odprowadzono go do wyjścia.

Ucichły dźwięki związane z oddawaniem głosów, potem rozbrzmiał grzechot, który natychmiast ucichł. Paul się domyślał, że ktoś wysypał kule do miski lub na tacę i wynik widzą już wszyscy oprócz niego. Być może właśnie jedna czarna kula pomiędzy białymi obraca wniwecz wszystkie próby, którym został poddany.

- Paulu Reinerze, wynik głosowania jest ostateczny i nieodwołalny - zagrzmiął znowu głos Sebastiana Kellera.

Przez chwilę panowała cisza.

- Zostajesz dopuszczony do tajemnic loży wolnomularskiej. Proszę odsłonić mu oczy.

Paul zamrugał oślepiiony światłem. W oczach mu się mieniło, przepełniała go euforia. Całym sobą chłonał otoczenie.

Znajdował się w dużym pomieszczeniu o podłodze wyłożonej marmurowymi płytami w szachownicę, z ołtarzem i dwoma rzędami ławek pod ścianami.

Salę wypełniali członkowie loży, około stu mężczyzn odzianych w ceremonialne stroje, każdy miał na sobie fartuch i jakiś klejnot, wszyscy na stojąco oklaskiwali go dłońmi w białych rękawiczkach.

Widział rekwizyty, które służyły do prób, zupełnie niegroźne teraz, gdy odzyskał wzrok: drewniane schody nad siatką, wannę, dwóch mężczyzn dzierżących pochodnie, dużą skrzynię z pokrywą.

Sebastian Keller, stojący w centrum koło ołtarza ozdobionego węgielnicą i cyrklem, wyciągał do niego zamkniętą książkę, aby złożył przysięgę.

I Paul położył lewą rękę na księdze, wzniosł prawą i przysiągł, że nigdy nie zdradzi tajemnic wolnomularskich.

- ...pod groźbą wyrwania języka, podcięcia gardła i wrzucenia mego ciała do morza - zakończył.

Powiódł wzrokiem po setce anonimowych twarzy ludzi, którzy go otaczali, i zastanowił się, kto z nich znał jego ojca.

I czy wśród nich jest człowiek, który zdradził i zamordował Hansa Reinera.

ROZDZIAŁ 31

PO INICJACJI PAUL WRÓCIŁ DO NORMALNEGO ŻYCIA. TAMTEJ NOCY zjawił się w domu dopiero o świtaniu, ponieważ po ceremonii wszyscy bracia zasiedli w sąsiedniej sali do uczy, która się przeciągnęła do późnej godziny. Sebastian Keller przewodniczył agape, ponieważ - czego Paul się dowiedział ku swemu wielkiemu zdumieniu - był Wielkim Mistrzem, sprawował zatem godność najwyższą w łoży.

Chociaż bardzo się starał, na razie niczego się jeszcze nie dowiedział na temat ojca, toteż postanowił trochę poczekać, by zyskać zaufanie członków łoży, nim zacznie zadawać pytania. Tymczasem cały wolny czas poświęcał Alys.

Dziewczyna przestała się gniewać i odzywała się do niego, tak że nawet wychodzili razem. Odkryli, że niewiele ich łączy, paradoksalnie jednak różnice zdawały się ich do siebie zbliżać. Paul z ciekawością wysłuchał jej opowieści o ucieczce z domu, by uniknąć ślubu z jego kuzynem, i szczerze podziwiał jej odwagę.

- I co dalej ze sobą poczniesz? Nie będziesz przecież przez całe życie robiła zdjęć w kabarecie.

- Lubię fotografowanie - odparła. - Chciałabym nawiązać współpracę z jakąś międzynarodową agencją prasową. Dobrze płacą za zdjęcia, chociaż trzeba się naprawdę postarać, żeby jakieś kupili.

Paul z kolei opowiedział jej, co porabiał przez ostatnie cztery lata, zwierzył się, jak poszukiwanie prawdy o tym, co się przydarzyło Hansowi Reinerowi, przerodziło się u niego w obsesję.

- Dziwna z nas para... - zauważyła Alys. - Ty próbujesz odtworzyć pamięć o swoim ojcu, a ja modłę się o to, by do swojego nigdy nie wrócić.

Na te słowa chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha, chociaż wcale nie dlatego, że trafiła w sedno.

Powiedziała: para... - pomyślał.

Ku ubolewaniu Paula, Alys wciąż miała mu za złe tamtą scenkę z chórzystką w kabarecie. Kiedy pewnej nocy, odprowadziwszy dziewczynę do domu, próbował ją pocałować,

wymierzyła mu tak siarczysty policzek, aż zęby mu zadźwięczały.

- Kurczę!... - stęknął wtedy, masując sobie zuchwę. - Co cię napadło, do diabła?

- Nigdy więcej tego nie rób.

- Nie będę, jeśli przyłożysz mi drugi raz. Wtedy nie będziesz się liczyła jako dziewczyna - odparł.

Na te słowa Alys się uśmiechnęła i chwyciwszy go za klapy marynarki, pocałowała. Pocałowała mocno, namiętnie i krótko, po czym odepchnęła i wbiegła po schodach, a on tkwił bez ruchu stropiony, z ustami jeszcze otwartymi, próbując zrozumieć, co się stało.

Paul starał się jej na każdym kroku przypodobać, nawet w drobnych podstawowych sprawach, jak na przykład przepuszczając ją pierwszą w drzwiach - to akurat Alys niespecjalnie się podobało - biorąc z jej rąk ciężką torbę czy regulując rachunek, gdy wstąpili gdzieś, aby się napić i coś przekąsić.

Dwa tygodnie po inicjacji przyszedł po nią do kabaretu około trzeciej nad ranem. Kiedy szli do położonego niedaleko mieszkanek Alys, zapytał, czemu u diabła tak bardzo jej przeszkadzają te jego drobne dowody galanterii.

- Bo jestem w stanie sama robić to wszystko - odparła. - Nie potrzebuję, żeby ktoś przepuszczał mnie przodem albo eskortował do domu.

- No tak... ale jak w zeszłą środę nie przyszedłem po ciebie, bo zasnęłam, wkurzyłaś się jak nie wiem co.

- W jednych sprawach jesteś taki mądry, a w innych taki głupi, Paul! - rzuciła, żywo gestykulując. - Do licha, działasz mi na nerwy!

- I wzajemnie.

- Czemu więc ciągle latasz za mną?

- Bo się boję, że ty zaczniesz latać za mną.

Alys się obróciła i popatrzyła nań w milczeniu. Światło latarń i rondo kapelusza tworzyły cienie na jej twarzy, tak że Paul nie był w stanie ocenić po minie, jak przyjęła te ostatnie słowa, i nagle się przestraszył. Kiedy Alys obrażała się o coś, całymi dniami potrafiła się do niego nie odzywać.

Dotarli do bramy kamienicy przy Stahlstrasse, nie zamieniwszy ani pół słowa. Ich milczenie podkreślała jeszcze pełna napięcia ciężka cisza okrywająca miasto. Od dziesięcioleci nie było w Monachium tak ciepłego września - odrobina radości w roku, który nie przyniósł nic dobrego. Spokój ulic, późna pora i posepny nastrój Alys wprowadziły Paula w melancholię,

której rzadko doświadczał - zagościło w nim przecucie, że dziewczyna go rzuci.

- Milkliwy dziś jesteś - zauważyła, szukając klucza w torebce.

- Ostatnie słowa były moje.

- Myślisz, że wytrzymasz w tym milczeniu, póki nie dojdiesz na górę? Moja gospodyni przestrzega bardzo ściśle zasad dotyczących mężczyzn, a słuch ma jak kot.

- Zapraszasz mnie na górę? - zapytał Paul z niedowierzaniem.

- Możesz się pożegnać tutaj, jeśli wolisz.

Paul o mało nie zgubił kapelusza, biegnąc przez bramę.

W kamienicy nie było windy, a musieli wejść na trzecie piętro po drewnianych schodach, które przy każdym kroku skrzypiały. Alys szła przy samej ścianie, gdzie czyniła nieco mniej hałasu, wtem, gdy byli między drugim a trzecim piętrem, w jednym z mieszkań rozległy się kroki.

- To stara! Szybko, leć!

Paul wyśliznął się przed Alys i zdążył na paluszkach dopaść podestu na moment przed tym, jak prostokąt światła oświetlił Alys, rzucając jej wydłużony cień na łuszczącą się z farby ścianę klatki schodowej.

- Kto tam? - rozległ się głos, który z powodzeniem mógł konkurować ze skrzypieniem schodów.

- To ja, frau Kasyn.

- A, panna Tannenbaum... Cóż za niestosowna pora powrotu do domu!

- Przecież wie pani, że pracuję.

- Nie powiem, żeby mi się to podobało.

- Mnie też się nie podoba, że w łazience woda mi cieknie, ale świat nie jest doskonały.

W tej chwili Paul poruszył się nieznacznie i deski pod jego stopami skrzypnęły.

- Ktoś jest na górze? - spytała niespokojnie gospodyni.

- Zaraz zobaczę - zaoferowała się Alys, czym prędzej pokonując ciąg schodów, który ją dzielił od Paula, i dając mu znaki, by szedł do jej mieszkania. Wsunęła klucz do zamka. Zdążyła otworzyć drzwi i wepchnąć Paula do środka, zanim stara, powłócząc nogami, dotarła na piętro.

- Na pewno coś tu słyszałam. Ma tu panna mężczyznę?

- Skądże znowu! To tylko kot - powiedziała Alys, zatraskując jej drzwi przed nosem, po czym zaryglowała je i założyła łańcuch.

- Bajeczka o kocie nigdy nie zawodzi wobec wścibskich, he? - szepnął Paul, obejmując ją i

całując w długą szyję tuż poniżej ucha. Oddech miał gorący. Alys poczuła dreszcz, skórę na lewej ręce i nodze pokryła jej gęsia skórka.

- Myślałam, że znów nam ktoś przeszkodzi, jak wtedy w łazience.

- Nic nie mów... Pocałuj mnie - poprosił, ujmując ją za ramiona i odwracając do siebie.

Pocałowała go, tuląc się doń ufnie i zauważając, jak jego ciało odpowiada. Paul zrzucił marynarkę, starając się nie odrywać od ust dziewczyny, po czym zaczął ją rozbierać.

Alys nie protestowała, uradowana każdym nieporadnie rozpiętym guzikiem niczym drobnym zwycięstwem przybliżającym chwilę, kiedy ich ciała wreszcie się zetkną nagą skórą. Gdy opadli na łóżko i Paul przygniótł ją swym ciężarem, wróciła jej na chwilę potrzeba decydowania o sobie.

- Poczekaj.

Paul znieruchomiał i spojrzał na nią z dziwną miną na spochmurniałej nieco twarzy. Alys wysliznęła się z jego ramion i ułożyła się na nim, narzucając swój rytm i przejmując inicjatywę w kłopotliwym zadaniu wyswobodzenia obojga z reszty odzienia. Kiedy byli zupełnie nadszy, przesunęła rękę w dół jego brzucha, aż dotarła do penisa, którego objęła palcami. Tym razem woda z mydlinami nie zasłaniała jej niczego, gdy silną dłonią pobudzała chłopaka, dopóki słabo nie jęknął.

- Alys, dłużej nie mogę...

- Nie ruszaj się.

Sięgnęła do stolika nocnego i z szufladki wyjęła małe etui, a z niego kondom, który naciągnęła na członek drżącymi rękami.

- Co się dzieje?

- Nic - odpowiedziała.

- Płaczesz.

Alys zawahała się chwilę. Gdyby mu powiedziała, co jest przyczyną jej łez, zupełnie by się przed nim obnażyła, a do tego nie czuła się zdolna, zwłaszcza teraz.

- Chodzi o to, że...

- Że?

- Chciałabym być pierwsza.

Paul uśmiechnął się nieśmiało. Twarz miał ukrytą w cieniu, lecz Alys się wydało, że poczerwieniał.

- Tym się nie musisz martwić.

- Więc te panienki w kabarecie...

Paul podparł się na łokciach, scałował łązy z jej policzków i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Ty będziesz pierwsza.

Z jękiem wprowadziła go w siebie.

ROZDZIAŁ 32

KIEDY PAUL OTRZYMAŁ KOPERTĘ OD SEBASTIANA KELLERA, NIE zdołał pohamować dreszczu podniecenia.

Miesiące, które upłynęły od przyjęcia go do loży, przynosiły same rozczarowania. Zrazu wstąpienie prawie bez namysłu do tajnego stowarzyszenia wydawało mu się romantyczne, miało w sobie coś z przygody. Gdy minęła wszakże początkowa euforia, Paul zaczął się zastanawiać, czy to w ogóle miało sens. Przede wszystkim podczas posiedzeń loży obowiązywał go zakaz mówienia przez trzy lata, tyle bowiem trwało terminowanie. Nie to było jednak najgorsze, lecz strasznie długie rytuały, które on odbierał jako stratę czasu.

Pozbawione rygorów posiedzenia były najzwyczajniej wykładami i debatami na temat symboliki wolnomularskiej i jej praktycznego zastosowania w doskonaleniu braci masonów. Jedyłą częścią zebrań ciekawszą dla Paula była ta, kiedy bracia decydowali, jak zużyte zostaną datki, pieniądze zbierane na zakończenie spotkania i przeznaczone na działalność dobroczynną.

Doszło do tego, że posiedzenia odbywające się co dwa tygodnie stały się dla Paula przykrym obowiązkiem, który wypełniał, aby lepiej poznać członków loży. Niemniej nawet ten cel trudny był do zrealizowania, ponieważ bracia najdłużej należący do loży, którzy niechybnie znali jego ojca, podczas agape, uczyły kończącej spotkanie, siadali w wielkiej sali jadalnej przy osobnych stołach. Niekiedy próbował podejść do Kellera, chciał go zmusić, aby wypełnił obietnicę i oddał mu to, co ojciec zostawił dla niego, lecz w loży księgarz trzymał go na dystans, a jeśli się widzieli w księgarni, raczył go długimi pouczeniami.

Nigdy natomiast nie napisał do niego, toteż gdy gospodyni wręczyła mu brązową kopertę, Paul od razu wiedział, że znajdzie w niej to, na co tyle czasu czekał. Cokolwiek to jest.

Przysiadł na brzegu łóżka, oddychając urywanie. Był pewien, że to list, który ojciec napisał do niego. Nie potrafił pohamować łez, kiedy sobie wyobraził, jak bardzo Hans Reiner musiał być zdesperowany, by wystosować pismo do kilkumiesięcznego syna ze świadomością, że dwadzieścia lat będzie czekało, aż Paul dojrzeje na tyle, aby je zrozumieć.

Nie mając dość śmiałości, by kopertę od razu otworzyć, próbował sobie wyobrazić, co

też ojciec miał mu do powiedzenia. Może są to mądre rady? Może ponad czasem przesyła mi ucałowania? A może daje jakieś wskazówki na temat tego, kto go zabił? - pomyślał, zaciskając zęby.

Nadzwyczaj ostrożnie rozerwał kopertę i wsunął do niej dłoń. W środku była druga koperta, mniejsza, oraz liścik na odwrocie wizytówki księgarza:

Drogi Paulu,

moje gratulacje. Hans był człowiekiem honoru. Przesyłam Ci to, co ojciec zostawił dla Ciebie. Nie wiem, co jest w środku, mam jednak nadzieję, że będzie Ci pomocne.

S. K.

Paul otworzył drugą kopertę, z której na podłogę wypadł biały arkusik zadrukowy na niebiesko. I zastygł na poły zawiedziony, na poły zdumiony, kiedy poznał, co to jest.

ROZDZIAŁ 33

W LOMBARDZIE METZGERA PANOWAŁ CHŁÓD WIĘKSZY CHYBA NAWET NIŻ NA ULICY W TEN listopadowy dzień. Paul przed wejściem otrząsnął buty na wycieracze, ponieważ na dworze lało bez ustanku. Wstawił parasol do stojaka i z ciekawością rozejrzał się dokoła. Słabo pamiętał dzień sprzed czterech już lat, kiedy udali się z matką do lombardu w Schwabingu, żeby zastawić zegarek ojca. Było to miejsce niemal sterylne, ze szklanymi półkami i subiektami pod krawatem.

Lombard Metzgera natomiast bardziej przypominał wielką graciarnię zalatującą naftaliną. Z zewnątrz wydawał się mały i niepozorny, jednakże po przekroczeniu progu okazywało się, że to ogromne pomieszczenie zapchane meblami, kryształkowymi aparatami radiowymi, porcelanowymi figurkami. Była tam nawet złożona ptasia klatka. Wszędzie leżał kurz, rdza zżerała najróżniejsze przedmioty, które wylądowały tutaj i nic nie wskazywało na to, by jeszcze kiedyś komuś się przydały. Paul z chmurną miną spoglądał na wypchanego kota chwytającego również wypchanego wróbla w locie. Między wyciągniętą kocią łapką a skrzydełkiem ptaszka pająk rozciągnął swoją sieć.

- To nie muzeum, młodzieńcze.

Paul obrócił się wystraszony. Obok niego zmaterializował się wysuszony starzec owinięty w niebieski kitel, zdecydowanie za obszerny, tak że jeszcze podkreślał chudość mężczyzny.

- Czy pan Metzger?

- We własnej osobie. Ale jeśli to, co przynosisz, nie jest ze złota, nie biorę.

- Nie chcę niczego zastawić, tylko coś wykupić - odparł Paul szorstko. Bardzo mu się nie podobał ten człowiek o grubiańskich manierach.

Staremu pożądliwie zabłyśły małe oczka. Było oczywiste, że interes niezbyt dobrze prosperuje ostatnimi czasy.

- Proszę o wybaczenie, kawalerze... Co dzień przychodzi tu ze dwadzieścia osób, którym się wydaje, że miedziana kamea po prababci warta jest cztery tysiące marek. No ale słucham, słucham, czym mogę służyć?

Paul podał mu biało-niebieski arkusik znaleziony w kopercie przekazanej przez

księgarza. W lewym górnym rogu widniała na nim nazwa i adres lombardu Metzgera, do którego Paul się udał, kiedy tylko zdołał się otrząsnąć po zawodzie, jaki sprawiła mu zawartość przesyłki. Pośrodku widniały wypisane odręcznie te oto słowa:

Art. 91231

21 marek.

Stary wskazał na kartkę.

- Kawalek jest urwany. Nie przyjmujemy uszkodzonych kwitów.

Prawy górny róg, gdzie powinno widnieć nazwisko osoby oddającej przedmiot w zastaw, został oderwany. Miejsce oderwania było postrzępione.

- Numer przedmiotu jest czytelny - zauważył Paul.

- Nie możemy pierwszemu lepszemu zwracać przedmiotów, które zastawili nasi klienci.

- Ten przedmiot należał do mojego ojca.

Stary podrapał się po brodzie, udając, że z zainteresowaniem studiuje kwit.

- To bardzo niski numer, co znaczy, że przedmiot został zastawiony wiele lat temu. Na pewno poszedł na licytację.

- Rozumiem. A jak moglibyśmy się upewnić?

- Przypuszczam, że klient będzie skłonny odprzedać przedmiot po doliczeniu kosztów inflacji...

Paul się wzdrygnął, kiedy lichwiarz w końcu odkrył karty i dał do zrozumienia, że dla niego liczy się tylko zysk. Powściągnął jednak niechęć - był zdecydowany za wszelką cenę odzyskać to, co jego ojciec zastawił.

- W porządku - zgodził się.

- Proszę zaczekać - rzekł stary z zadowolonym uśmiechem.

Lichwiarz gdzieś poszedł i wrócił pół minuty później ze sfatygowanym kartonowym pudełkiem opatrzonym pośliską etykietą.

- Proszę bardzo, kawalerze.

Paul wyciągnął rękę po pudełko, lecz stary złapał ją w przegubie i przytrzymał. Dotyk jego szorstkiej zimnej skóry był odrażający.

- Do diabła, co pan robi?

- Najpierw pieniądze.

- Przedtem chcę wiedzieć, co jest w środku.

- Nic z tego - sprzeciwił się stary, wolno kręcąc głową. - Ja zaufałem kawalerowi, że jest legalnym właścicielem zastawionego przedmiotu, a kawaler musi mnie zaufać, że zawartość pudełka warta jest zachodu. Czyli wzajemne zaufanie, że tak powiem.

Paul przez kilka chwil walczył ze sobą, w końcu uznał, że nie ma wyjścia - musi ustąpić wobec szantażu lichwiarza.

- Proszę mnie puścić - zażądał.

Metzger rozwarł palce i Paul włożył rękę do wewnętrznej kieszeni okrycia. Wyjął portfel.

- Ile?

- Czterdzieści milionów.

Była to równowartość dziesięciu dolarów według bieżącego kursu wymiany, kwota wystarczająca, by przez kilka tygodni wyżywić rodzinę.

- To dużo - powiedział Paul, zaciskając usta.

- Nie ma przymusu, kawalerze.

Paul westchnął. Miał przy sobie taką kwotę, ponieważ nazajutrz planował zrealizować pewne płatności. Będzie musiał przeznaczyć na to swoje wynagrodzenie za następne pół roku, a przynajmniej tę część zysków z działalności bankowej, której nie przeznaczał na dobroczynne dzieło Zieglera. Na domiar złego ostatnimi czasy papiery wartościowe stały w miejscu albo spadały, a wraz z nimi gorzej się mieli inwestorzy, przez co z dnia na dzień wydłużały się kolejki w darmowych jadłodajniach, końca kryzysu zaś nie było widać.

Wyjął z portfela świeżo wydrukowane banknoty. Papierowy pieniądz nigdy się teraz nie niszczył. Banknotami używanymi w poprzednim kwartale, w tej chwili bezwartościowymi, palono w piecach, ponieważ wychodziło taniej niż zakup drewna opałowego.

Lichwiarz wyrwał Paulowi pieniądze z ręki. Przeliczał wolno, każdy banknot oglądał pod światło. W końcu spojrzał na Paula i uśmiechnął się, odsłaniając luki w uzębieniu.

- Zadowolony? - spytał Paul z sarkazmem w głosie.

Metzger cofnął rękę.

Paul ostrożnie otworzył pudełko, wzbijając tuman kurzu, który zawisł w powietrzu i tańczył w blasku oświetlenia. Wyjął z niego kwadratową płaską kasetkę z polerowanego mahoni. Nie miała żadnych zdobień na wieku ani po bokach, tylko zamknięcie, które się otwierało po naciśnięciu. Paul oparł na nim palec i wieko otworzyło się powoli i cichutko, jakby od ostatniego razu nie minęło dziewiętnaście lat.

Kiedy ujrzał zawartość kasety, serce mu zmartwiało ze strachu.

- Lepiej niech kawaler ostrożnie z tym idzie - rzekł lichwiarz, z którego rąk banknoty zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Może sobie kawaler napytać nieźle biedy, jeśli kawalera przyłapią z tą zabawką na ulicy.

Co chcesz mi przez to powiedzieć, ojcze? - zastanowił się Paul.

Na dnie kasetki wyłożonej czerwonym aksamitem spoczywał błyszczący pistolet i magazynek z dziesięcioma nabojami.

ROZDZIAŁ 34

- LEPIEJ, ŻEBY TO BYŁO COŚ WAŻNEGO, METZGER. JESTEM BARDZO zajęty. Jeśli chodzi o opłaty, musi pan przyjść kiedy indziej.

Otto von Schroeder siedział w gabinecie w fotelu przy kominku. Nie podniósł się na przywitanie, nie zaprosił też gościa, by zajął miejsce, nie zaproponował mu nic do picia. Stojący z kapeluszem w rękę lichwiarz powściągnął niesmak i pochylił się w unizonym ukłonie z nieszczerym uśmiechem na twarzy.

- Zasadniczo, panie baronie, chodzi o co innego. Pieniądze, które pan inwestował przez te wszystkie lata, zaczynają procentować.

- Wrócił do Monachium? Nagel wrócił? - dopytywał baron z napięciem.

- Trochę to bardziej skomplikowane, wielmożny panie.

- Dobra, niech pan nie każe się prosić. Gadaj pan, o co chodzi.

- Zasadniczo, wielmożny panie, zanim się podzielę z panem baronem tą ważną informacją, pragnąłbym przypomnieć, że przedmioty, których nie wystawiałem na sprzedaż przez ten czas z wielką szkodą dla swoich interesów...

- Streszczaj się pan, Metzger.

- ...nabrały zupełnie innej wartości. Wielmożny pan obiecał mi co roku zapłacić pewną kwotę w zamian za powiadomienie, czy Clovis Nagel odbierze któryś z nich. I z całym szacunkiem, wielmożny pan nie zapłacił mi ani za ten rok, ani za ubiegły.

Baron przemówił cichym głosem z pobrzmiewającą w nim pogroźką:

- Metzger, nie waż się pan mnie szantażować. To, co zapłaciłem w ciągu dwudziestu lat, z nadatkiem pokrywa wartość żelastwa, któreś pan przechowywał w tej swojej graciarni.

- Cóż na to mogę powiedzieć? Wielmożny pan dał słowo i nie dotrzymał go ostatecznie. Uznajmy więc, że umowa została rozwiązana. Do widzenia, wielmożny panie - rzekł stary, nakładając kapelusz na głowę.

- Czekaj pan - powstrzymał go baron, wyciągając rękę.

Lichwiarz przystanął i odwrócił się, powściągnąwszy uśmiech.

- Wielmożny pan jeszcze sobie czegoś życzy?

- Nie mam pieniędzy, Metzger. Jestem zrujnowany.

- Nie może być, wielmożny panie!

- Mam obligacje rządowe, które mogą być coś warte, jeśli rząd wypłaci odsetki albo zaprowadzi porządek w gospodarce. Na razie to bezużyteczny papier.

Stary rozejrzał się dokoła, mrużąc oczy.

- Cóż, wielmożny panie... myślę, że tytułem zaległych kwot mógłbym przyjąć ten stolik z brązu i marmuru, który stoi koło fotela pana barona.

- Jest wart więcej, niż wynosi roczna opłata.

Stary bez słowa tylko wzruszył ramionami.

- Niech będzie. Mów pan.

- Z tym że muszę jeszcze mieć pewność co do opłat na przyszłość, wielmożny panie. Ten serwis do herbaty z wytłaczanego srebra, który widzę na stoliku, w sam raz by się nadał.

- Kanalia z pana, Metzger - skwitował baron z nieskrywanym wstrętem w oczach.

- To tylko interesy, panie baronie.

Otto milczał przez kilka chwil, lecz nie miał innego wyjścia, jak ulec szantażowi starego.

- Wygrałeś pan. Ale dla pańskiego dobra liczę, że warta skórka wyprawki - rzekł w końcu.

- Dzisiaj był u mnie ktoś po jeden z przedmiotów, które zastawił pański przyjaciel.

- Nagel?

- Nie, chyba że znalazł sposób, by raptem odmłodzić o trzydzieści lat. To był młody chłopak.

- Przedstawił się?

- Szczupły, niebieskie oczy, włosy ciemnoblonde.

- Paul...

- Jak już wspominałem, nie przedstawił się.

- Co zabrał?

- Czarną drewnianą kasetę z pistoletem.

Baron z takim impetem poderwał się na nogi, aż fotel się przechylił i z łomotem uderzył oparciem o parapet kominka.

- Coś pan powiedział? - zawołał, łapiąc lichwiarza za gardło.

- To boli!

- Mów pan, na Boga, albo skrećę panu kark.

- Zabrał czarną drewnianą kasetę z pistoletem - odparł stary cienkim głosem.

- Pistolet!... Opisz go pan!

- Mauser C96. Z kolbą zrobioną nie z drewna dębowego, jak w oryginalnym modelu, tylko z czarnego mahoniu, takiego samego jak kasetka. Świetna broń.

- O nieba! - westchnął baron. - Jak to możliwe?

Uszła z niego naraz cała siła, puścił lichwiarza i opadł na pierwsze lepsze krzesło.

Stary Metzger masował sobie szyję.

- Zwariował... Kompletnie zwariował - mruczał do siebie, czym prędzej się oddalając.

Baron nie zauważył jego odejścia. Siedział z głową w rękach, pogrążony w czarnych myślach.

ROZDZIAŁ 35

ILSA ZAMIATAŁA KORYTARZ, GDY NA PODŁOGĘ PADŁ OD KINKIETÓW cień przybysza. Wiedziała, kim jest, zanim podniosła głowę, i zastygła bez ruchu.

Dobry Boże, jak on nas znalazł? - przemknęło jej przez myśl.

Kiedy Ilsa zamieszkała w tym pensjonacie z synem, musiała odpracowywać część czynszu, ponieważ zarobki Paula jako węglarza nie wystarczały. Później, gdy Paul przekształcił sklep Zieglera w bank, nalegał, żeby znaleźli sobie lepsze lokum. Ilsa jednak nie chciała. Przeżyła już wystarczająco dużo zmian, toteż wolała pozostać przy tym, co dawało jej odrobinę poczucia bezpieczeństwa.

Jedną z tych rzeczy była zwyczajna szczotka na kiju. Paul i gospodyni, której Ilsa służyła niejaką pomocą, prosili, by przestała pracować, lecz ona w ogóle tego nie brała pod uwagę. Chciała czuć się użyteczna. Milczenie, w którym się zamknęła po wyrzuceniu ich z rezydencji barona, było zrazu efektem napięcia nerwowego, później zaś otwarcie okazywanej Paulowi bezwarunkowej miłości. Ilsa unikała rozmów z synem, ponieważ lękała się jego pytań. A jeśli już się odzywała do niego, mówiła o rzeczach nieistotnych, próbując wkładać w słowa całą czułość, na jaką było ją stać. Poza tym ograniczała się do zdystansowanego milczącego okazywania mu podziwu i żałowania tego, czego jej syna pozbawiono.

Z ogromną zatem trwogą patrzyła na jedną z osób odpowiedzialnych za to.

- Dzień dobry, Ilso.

Na wszelki wypadek cofnęła się o krok.

- Czego chcesz, Otto?

Baron zabębnił w podłogę okuciem swej laski. Najwyraźniej czuł się tutaj nieswojo, a jego wizyta nie zapowiadała nic dobrego.

- Możemy pomówić w jakimś zacisznym miejscu?

- Nigdzie z tobą nie pójde. Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz.

Baron prychnął zniecierpliwiony na jej odmowę, po czym wzgardliwie popatrzył dokoła. Ściany pokrywała zapleśniała tapeta, na podłodze widoczne były wybrzuszenia, słabe światło ledwie rozpraszało mrok.

- Spójrz na siebie, Ilso. Zamiatasz korytarze w pensjonacie trzeciej kategorii.

Powinnaś się wstydzić.

- Zamiatanie to zamiatanie, nie ma znaczenia, czy zamiata się w pałacu czy w takim pensjonacie. A linoleum łatwiej sprzątać niż marmury.

- Moja droga, wiesz chyba, że kiedyśmy cię przyjmowali pod swój dach, byliśmy w trudnej sytuacji. Nie chciałem...

- Przestań, Otto. Przecież wiem, czyj to był pomysł. Ale nie sądz, że się włączę do tej komedii, którą odgrywasz jako marionetkowy baron. Od samego początku sterowałeś moją siostrą, drogo każąc jej płacić za błąd, który popełniła. I za to, co ty zrobiłeś, udając, że to jej wina.

Otto cofnął się o krok wystraszony gniewem zawartym w słowach Ilsy. Monokl wypadł mu z oka i zawisł na łańcuszku, kołysał się niczym wisielec na szubienicy.

- Zdumiewasz mnie, Ilso. Mówiono mi, że jesteś...

Ilsa się zaśmiała, lecz w jej śmiechu nie było radości.

- Pomyłona? Szalona? Nie, Otto. Jestem w pełni władz umysłowych. Przez cały ten czas wołałam milczeć, bo bardzo się boję, co mój syn mógłby zrobić, gdyby poznał prawdę.

- W takim razie pohamuj go. Bo już się posunął za daleko.

- Więc dlatego przyszedłeś - rzekła Ilsa, nie mogąc ukryć wzgardy. - Boisz się, że dopadnie cię przeszłość.

Baron postąpił w jej kierunku. Ilsa się cofała, aż oparła się o ścianę, Otto tymczasem przysunął twarz tak blisko, że czuła jego oddech.

- Ilso, posłuchaj uważnie. Jesteś jedynym ogniwem łączącym nas z tamtą nocą. Jeśli go nie powstrzymasz, zanim będzie za późno, będę musiał skruszyć to ogniwo.

- No dalej, Otto - rzekła Ilsa, udając odważniejszą, niż w istocie była. - Zabij mnie. Ale wiedz, że napisałam list, w którym wszystko opowiedziałam. Wszystko. Jeśli coś mi się stanie, Paul dostanie ten list.

- Chyba... chyba nie mówisz poważnie?... Jak mogłaś o tym pisać!... A jeśli list wpadnie w niepowołane ręce?

Ilsa nie odpowiedziała. Popatrzyła nań tylko wymownie, po czym opadła z niej cała zuchwałość, jaką przywołała, aby stawić czoło Ottonowi. On zaś próbował wytrzymać jej spojrzenie - wysoki, tęgą dobrze ubrany mężczyzna naprzeciw delikatnej kobiety w spranym odzieniu, wspierającej się na kiju od szczotki, aby nie upaść.

W końcu baron odwrócił wzrok.

- Nie zostawię tak tego - oznajmił, obrócił się na pięcie i wyszedł pospiesznym krokiem.

ROZDZIAŁ 36

- WZYWAŁEŚ MNIE, OJCZE?

Otto obrzucił Jürgena nieufnym spojrzeniem. Minęły tygodnie, odkąd ostatni raz go widział, i trudno mu było poznać własnego syna w umundurowanym mężczyźnie, który stał pośrodku jadalni. Zdał sobie naraz sprawę, jak bardzo brunatna koszula opina mu ramiona, jak ciasno czerwona opaska ze swastyką obejmuje dobrze rozwinięty biceps, jak czarne wysokie buty dodają wzrostu chłopakowi, który aż musiał pochylić nieco głowę, by nie uderzyć w futrynę. Ogarnęło go coś na kształt dumy, choć zaraz ją przytłumiła dojmująca litość nad sobą. Nie mógł się nie porównywać z synem i poczuł się stary i zmęczony, mając na karku pięćdziesiąt dwa lata.

- Dawno nie było cię w domu, Jürgen.

- Jestem bardzo zajęty.

Baron nie odpowiedział. Chociaż podzielał poglądy narodowych socjalistów, nigdy za bardzo w nich nie wierzył. Podobnie jak większość monachijczyków z wyższych sfer uważał, że partia ta nie ma zbyt wielu możliwości działania i jest skazana na odejście w niebyt. Naziści zaszli daleko tylko dlatego, że sprzyjała im sytuacja społeczna tak dramatyczna, iż pokrzywdzeni przez los ślepo wierzyli w ekstremistów, którzy składali zupełnie niedorzeczne obietnice. W tej chwili jednak baron nie miał czasu dokonywać analiz, ponieważ sam się znajdował w jeszcze dramatyczniejszym położeniu.

- Na tyle, żeby lekceważyć matkę? Martwiła się o ciebie. Można wiedzieć, gdzie teraz sypiasz?

- W koszarach SA.

- Powinieneś być zacząć w tym semestrze studia na uniwersytecie. Z dwuletnim opóźnieniem! - Otto pokręcił głową. - Mamy już listopad, a jeszcze ani razu nie byłeś na zajęciach.

- Pełnię odpowiedzialną funkcję.

Kiedy baron to usłyszał, uzmysłowił sobie, że oto zupełnie się rozsypało wyobrazenie, jakie miał o tym źle wychowanym chłopaku, który jeszcze niedawno ciskał filiżankę na marmurową posadzkę tylko dlatego, że herbata była za słodka jak na jego gust. Zastanawiał

się, jak by go tu podejść najlepiej. Wiele zależało od tego, czy Jürgen wypełni jego rozkazy. Spędził kilka bezsennych nocy, przewracając się w łóżku z boku na bok i roztrząsając swój problem, zanim zdecydował się zwrócić do syna.

- Odpowiedzialną funkcję, powiadasz.

- Ochraniam najważniejszego człowieka w Niemczech.

- Najważniejszego człowieka w Niemczech - powtórzył jego ojciec. - Ty, przyszły baron von Schroeder, występujesz jako goryl austriackiego kaprała cierpiącego na manię wielkości. Będziesz miał się czym szczyścić.

Jürgen drgnął niczym spoliczkowany. Na chwilę jego jedyne oko rozbłysło gniewnie, jakby zapłonął w nim ogień poruszany wiatrem.

- Nie rozumiesz...

- Dosyć. Chcę, żebyś zrobił coś ważnego. Nikomu innemu nie mogę powierzyć tego zadania.

Chłopaka mocno stropiła nagła zmiana tematu. Cięta odpowiedź zgasła mu na ustach, górę bowiem wzięła ciekawość.

- O co chodzi?

- Spotkałem twoją ciotkę i kuzyna.

Jürgen się nie odezwał. Usiadł obok ojca i zdjął opaskę z oka, odkrywając pusty oczodół, który osłaniała jedynie pomarszczona skóra powieki. Wolno pogładził to miejsce.

- Gdzie? - zapytał chłodnym beznamiętnym głosem.

- W pensjonacie w Schwabingu. Ale zakazuję ci choćby myśleć o zemście. Teraz musimy się zająć czymś o wiele ważniejszym. Chcę, żebyś poszedł do mieszkania ciotki, przetrząsnął każdy kąt i zabrał wszystkie papiery, jakie tylko znajdziesz. Przede wszystkim ręcznie zapisane. Listy, notatki, wszystko.

- Dlaczego?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz powiedzieć!... Wzywasz mnie i prosisz, żebym ci pomógł po tym, jak sam nie chciałeś ścigać tego, który mnie okaleczył, a wcześniej mojemu bratu dał pistolet do ręki, żeby palnął sobie w łeb. Zabraniasz mi na dodatek dokonać słusznej zemsty i spodziewasz się, że posłucham bez słowa wyjaśnienia? - mówił Jürgen, podnosząc stopniowo głos, aż skończył krzykiem.

- Zrobisz, co każę, jeśli nie chcesz, żebym cię wydziedziczył.

- Proszę bardzo, zrób to, ojcze. Nigdy nie gustowałem w długach. A jedynej rzeczy, która ma wartość, nie możesz mnie pozbawić, bo należy mi się prawnie. Tytuł barona i tak

odziedziczyć, czy to ci się podoba czy nie.

Jürgen wymaszerował z jadalni, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi, i ruszył przez sień. Już miał wyjść z pałacu, gdy usłyszał:

- Poczekaj, synu.

Odwrócił się. Schodami zmierzała ku niemu Brunhilda.

- Mama... - rzekł, przełykając ślinę.

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Musiała wspiąć się na palce, aby to zrobić. Poprawiła mu czarny krawat, po czym czubkami palców pogładziła miejsce, gdzie kiedyś miał prawe oko. Pod wpływem jej dotyku Jürgen się cofnął i na powrót założył opaskę.

- Musisz zrobić, o co prosi ojciec.

- Ale...

- Musisz go posłuchać, Jürgen. Będzie z ciebie dumny, jeśli to zrobisz. Ja także.

Brunhilda mówiła dłuższą chwilę. Głos matki brzmiał słodko, o wiele bardziej słodko, niż Jürgen zapamiętał. Przywoływał obrazy i wrażenia, których chłopak już dawno nie doświadczał. Zawsze był jej ulubieńcem. Zawsze traktowała go inaczej, nigdy niczego mu nie odmawiała. Zapragnął naraz skulić się na jej kolanach, jak w czasach gdy był dzieckiem, a lato trwało bez końca.

- Kiedy?

- Jutro.

- Jutro jest ósmy listopada. Nie mogę...

- To musi być jutro po południu. Twój ojciec obserwował pensjonat.

O tej porze Paula nigdy nie ma.

- Ale ja już obiecałem!

- Czyżby było coś ważniejszego od rodziny, Jürgen?

Brunhilda znowu wspięła się na palce i ujęła w dłonie jego twarz. Tym razem Jürgen się nie usunął.

- Chyba uda mi się to zrobić, jeśli się pospieszę.

- Dobry z ciebie chłopiec. A jak będziesz miał te papiery - mówiła, ścisząc głos, aż przerodził się w szept - przynieś je najpierw do mnie i nic nie mów ojcu.

ROZDZIAŁ 37

ALYS ZZA WĘGŁA PATrzyŁA, JAK MANFRED WYSIADA Z TRAMWAJU. Jak co tydzień od dwóch lat ustawiła się w pobliżu swego dawnego domu, by choć przez kilka chwil popatrzeć na brata. Przez cały ten czas ani razu nie czuła tak przemożnej jak dzisiaj potrzeby, by podejść do niego, pogadać, ustąpić nareszcie i wrócić do domu. Zastanawiała się, co by powiedział ojciec, gdyby się zjawiała.

Nie mogę tego zrobić - pomyślała - zwłaszcza w tej... sytuacji. Bo wtedy jakbym mu przyznała ostatecznie słuszość. Jakbym umarła.

Śledziła wzrokiem Manfreda, który wyrastał na zgrabnego młodzieńca. Spod kaszkietu wystawały mu nastroszone włosy, dłonie miał wciśnięte w kieszenie, pod pachą niósł nuty. Głowę dam, że dalej marnie mu idzie gra na pianinie - powiedziała sobie Alys z mieszaniną irytacji i żalu.

Manfred szedł chodnikiem, zanim jednak dotarł do bramy kamienicy, wstąpił do cukierni. Alys się uśmiechnęła. Przed dwoma laty zauważyła, że to robi, gdy przypadkiem odkryła, że we czwartki po lekcji muzyki jej brat wraca do domu środkami transportu publicznego, a nie przywozi go szofer mercedesem ojca, który o tej porze był zajęty. Wtedy, za pierwszym razem, pół godziny później ona także weszła do cukierni i zapłaciła pracownicy, by w następnym tygodniu przekazała Manfredowi pudełko karmelków, do którego włożyła liścik nagryzmołony pośpiesznie na kawałku papieru do pakowania słodyczy:

To ja. Zachodź tu w każdy czwartek, będę pisała. Pytaj zawsze o Ingrid i zostawiaj jej odpowiedź.

Kocham Cię.

A.

Niecierpliwie wyczekiwała następnego czwartku, bojąc się, że brat nie zechce się z nią kontaktować albo że się obraził, ponieważ odeszła z domu bez pożegnania. Oczywiście odpowiedź była w stylu Manfreda. Jakby się widzieli dziesięć minut temu, zaczął od śmiesznego dowcipu o Szwajcarach i Włochach, dalej opowiadał o szkole i o tym, co się

działo w czasie, gdy nie miał od niej nowin. Alys była szczęśliwa, że znów ma wieści od brata, niemniej jedno jedyne zdanie, na samym końcu, potwierdziło jej najgorsze obawy: „Papa ciągle Cię szuka”.

Wybiegła wówczas z cukierni w obawie, że ktoś mógłby ją rozpoznać. Choć było to niebezpieczne, przychodziła tu co tydzień, lecz zawsze w głęboko nasuniętym kapeluszu lub w chustce, którą zasłaniała twarz. Nigdy też nie spoglądała w okna mieszkania, na wypadek gdyby ojciec akurat wyglądał na ulicę. I co tydzień, mimo swego nieciekawego położenia, dostawała zastrzyk otuchy, dowiadując się o codziennych drobnych wydarzeniach, małych zwycięstwach i wielkich porażkach Manfreda. Kiedy w wieku dwunastu lat zdobył medal w zawodach sportowych, popłakała się z radości. Gdy oberwał na podwórku szkolnym, postawił się bowiem kolegom, którzy wołali za nim „brudny Żyd”, krzyczała ze złości. Strumyk listów od niego, choć taki przecież wąty, pozwalał jej podtrzymywać pamięć o szczęśliwej przeszłości.

W ten czwartek ósmego listopada Alys czekała krócej niż zwykle, ponieważ się obawiała, że jeśli zostanie dłużej w okolicy Prinzregentenplatzu, niezdecydowanie na dobre opanuje jej duszę i sprawi, że wybierze rozwiązanie najłatwiejsze i najgorsze z możliwych. Weszła do cukierni, jak zwykle poprosiła o pudełko cukierków miętowych i jak zwykle zapłaciła jego trzykrotną wartość. Normalnie zawsze czekała, póki nie wsiadła do tramwaju, tego dnia jednak od razu wyjęła liścik wsunięty pod celofan i ukradkiem go rozłożyła. Na kartce widniały tylko trzy słowa, ale wystarczyły, by ręce zaczęły jej drżeć: „Nakrył mnie. Uciekaj”.

Zasłoniła usta dłonią, aby nie krzyknąć. Opuść głowę - nakazała sobie - idź powoli, nie patrz na boki. Może tutaj nikt nie pilnuje.

Otworzyła drzwi cukierni i ruszyła przed siebie. Na ulicy nie zdołała się jednak pohamować i zerknęła do tyłu.

W odległości niecałych pięćdziesięciu metrów zobaczyła dwóch mężczyzn w prochowcach i kapeluszach. Kiedy jeden zdał sobie sprawę, że ich zauważyła, dał znak drugiemu i obaj przyspieszyli kroku.

Cholera!

Starła się iść jak najszybciej, nie biegnąc. Wystarczyłoby, żeby zatrzymał ją policjant, a wtedy tamci by się zbliżyli i byłaby załatwiona. To na pewno detektywi wynajęci przez ojca, wymyślą jakąś tam historyjkę, byle ją dopaść i odstawić do domu. Z prawnego punktu widzenia Alys nie była jeszcze pełnoletnia - do ukończenia dwudziestu jeden lat brakowało jej jedenastu miesięcy - toteż w razie takiego przebiegu sprawy znalazłaby się na

łasce ojca.

Wbiegła na jezdnię, nie rozglądając się na boki. O mało nie wjechał w nią rower, tylko spódnica jej zafurczała. Rowerzysta stracił równowagę i runął na ziemię, barykadując drogę prześladowcom Alys, którzy musieli go okrążyć.

- Zwariowała panusia czy co? - wrzasnął chłopak, rozcierając potłuczone kolana.

Alys znowu się obejrzała. Mężczyźni wykorzystali lukę w ruchu ulicznym i zdołali przejść przez jezdnię. Dzieliło ich od niej niespełna dziesięć metrów i odległość ta malała.

Byle do tramwaju - modliła się Alys. - To już o rzut beretem...

Przeklinała swoje buty, które miały drewniane podeszwy i ślizgały się trochę na mokrym chodniku. Usztywniona kartonem skórzana torba, w której nosiła aparat fotograficzny, objęła jej się o biodro, toteż musiała przytrzymywać jej pasek przewieszony przez ramię.

Było jasne, że jej się nie uda, jeżeli czegoś nie wymyśli. Już słyszała tupot nóg prześladowców. Lada chwila któryś wyciągnie rękę i złapie ją.

Nie dam się. Nie tak blisko celu.

W tej chwili zza rogu wyszła wprost na nią grupa około dwudziestu uczniów w mundurkach. Na czele kroczył nauczyciel, który odprowadzał wychowanków na przystanek. Idący równą kolumną chłopcy zagradzali Alys dalszą drogę. W tej sytuacji nic nie mogła zrobić.

I naraz do głowy wpadł jej pewien pomysł.

Wsunęła lewą rękę do kieszeni, w której miała słodycze kupione w cukierni, rozerwała paznokciami celofan. Wyciągnęła garść cukierków i pokazała je dzieciom blokującym jej przejście.

- Hej, chłopaki, kto chce cukierek?

Wszyscy naraz wyciągnęli ręce i zaczęli się przekrzykiwać. Alys cisnęła w górę cukierki i wśliznęła się między chłopców, korzystając z powstałego zamieszania. W połowie kłębiącej się grupki wyrzuciła w powietrze drugą garść słodyczy. Chłopcy się przepychali jeden przez drugiego do cukierków, skutecznie powstrzymując mężczyzn goniących Alys, która w samą porę dobiegła na przystanek. Tramwaj już nadjeżdżał, ostrzegawczo podzwaniając. Nauczyciel usiłował przekrzyknąć rozwrzeszczanych uczniów, którzy korzystali ile wlezie z nieoczekiwanej atrakcji.

Alys uchwyciła się poręczy tramwaju i podciągnęła na stopień. Motorniczy zwolnił, aby wsiadła. Kiedy pewnie stanęła w przepelnionym wagonie, obejrzała się na ulicę.

Prześladowców nigdzie nie było widać.

Odetchnąwszy z ulgą, zapłaciła za przejazd i drżącymi rękami złapała się poręczy, ani podejrzewając, że w tej chwili na tylną platformę tramwaju wskakują dwaj mężczyźni w prochowcach i kapeluszach.

Paul czekał na nią przy Rosenheimerstrasse, niedaleko Ludwigsbrücke. Kiedy wysiadła z tramwaju, chciał ją pocałować, lecz zrezygnował, ujrawszy jej przejętą minę, i tylko ją uściskał.

- Co się dzieje?

Alys zamknąwszy oczy, wtuliła się w silne ramiona Paula. Bezpiecznie w nich schroniona nie miała świadomości, że jej prześladowcy również wysiedli z tramwaju i usiedli w pobliskiej kawiarni. Paul, czekający na wyjaśnienia Alys, w ogóle nie zwrócił uwagi na ludzi, którzy dla niego byli po prostu jeszcze jedną parą przechodniów.

- Jak co czwartek poszłam odebrać list od brata, ale zdaje się, że ktoś mnie obserwował. Nie będę mogła więcej tak się z nim kontaktować.

- Straszne! Nic ci nie jest?

Alys się zawahała. Czy powinna mu powiedzieć? Jakże łatwo byłoby wszystko wyjawić! Otworzyć po prostu usta i wymówić te kilka słów. Takie by to było łatwe, choć zarazem niewykonalne.

- Nie, chyba nie... Zrobiłam ich w konia i wsiadłam do tramwaju.

- To dobrze. Ale moim zdaniem powinnaś odwołać tę wieczorną wyprawę - rzekł Paul z namysłem.

- Nie mogę tego zrobić, Paul. To moje pierwsze zlecenie.

Po wielu miesiącach uporczywego wydeptywania ścieżek Alys zdołała wreszcie zwrócić na siebie uwagę kogoś w „München Allgemeine”, dzienniku o średnim nakładzie, i szef działu fotograficznego polecił jej udać się tego wieczoru do Bürgerbräukelleru. W tej piwiarni, odległej o paręnaście kroków od miejsca, gdzie się znajdowali, za pół godziny miał przemawiać generalny komisarz bawarski, Gustav von Kahr. Dla Alys spełnieniem marzeń było skończenie z nocami spędzonymi w kabarecie i zarabianie na życie w sposób, który znacznie bardziej jej odpowiadał.

- Ale po tym co się stało, moglibyśmy... moglibyśmy iść do ciebie, schować się pod koldrę, a ja bym cię pocieszał - szepnął jej Paul na ucho uwodzicielskim głosem.

- Tylko o tym potrafisz myśleć? - obruszyła się Alys, odpychając go.

- Ja przecież...

- Nic nie rozumiesz! Zdajesz sobie sprawę, jaki ważny jest dla mnie dzisiejszy

wieczór? Miesiącami czekałam na taką okazję!

- Uspokój się, Alys. Nie rób scen.

- Nie mów mi, żebym się uspokoiła, głupku! Tobie by się przydał zimny prysznic. A może myślisz, że nic nie zauważyłam, jak mnie przytulileś?

- Alys, proszę. Wyolbrzymiasz wszystko - rzekł Paul, który nic z tego nie rozumiał.

- Wyolbrzymiam!... Nie będę tego słuchała! - prychnęła, obróciła się na pięcie i pomaszerowała do piwiarni.

- Zaczekaj! Nie pójdziemy na kawę?

- Sam sobie idź.

- Pozwolisz przynajmniej, żebym poszedł z tobą? Na takich zebraniach politycznych bywa niebezpiecznie, ludzie piją i czasem dochodzi do przepychanek.

Ledwie Paul wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że palnął straszne głupstwo. Najchętniej by je wycofał, przeżuł i połknął, lecz na to było za późno.

- Nie potrzebuję twojej ochrony, dziękuję bardzo - odparła Alys lodowatym głosem.

- Przepraszam, Alys. Naprawdę nie chciałem...

- Do widzenia, Paul - przerwała, nie słuchając przeprosin, i dołączyła do tłumu zapelniającego piwiarnię.

Paul został sam na zatłoczonej ulicy. Najchętniej kogoś by udusił, chciało mu się krzyczeć, tupać i płakać równocześnie.

Była godzina siódma wieczorem.

ROZDZIAŁ 38

NAJTRUDNIEJ BYŁO WŚLIZNAĆ SIĘ DO PENSJONATU.

Gospodyni warowała w bramie niczym pies podwórzowy z kokiem na głowie i miotłą. Jürgen dwie godziny kręcił się w pobliżu, zerkając kątem oka na wejście, zanim udało mu się przemknąć do środka. Nie mógł zrobić tego otwarcie, ponieważ musiał uważać, aby nikt go później nie rozpoznał. Na zatłoczonej ulicy nie groziło mu, że ktoś zwróci uwagę na mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu idącego z gazetą pod pachą.

W złożonej na pół gazecie ukrył pałkę. Aby nie wypadła, tak mocno przyciskał ją do boku, że obawiał się, iż nazajutrz będzie miał spory siniak. Pod cywilnym ubraniem miał brunatny mundur SA-mana, który zbytnio by zwracał uwagę w dzielnicy, gdzie tak się roiło od Żydów jak tutaj. Czapkę wcisnął do kieszeni, a buty z cholewami zostawił w koszarach, zamieniwszy je na zwykłe mocne trzewiki.

W końcu jego cierpliwość została nagrodzona: wypatrzył lukę w linii obrony. Gospodyni zostawiła miotłę opartą o ścianę i zniknęła w wąskich drzwiczkach - poszła pewnie szykować kolację. Jürgen wykorzystał okazję i przemknął do kamienicy, po czym wbiegł na ostatnie piętro. Kierując się wskazówkami na zniszczonych drewnianych tabliczkach, które wyglądały na wiszące tu od co najmniej stu lat, minął kilka podestów i korytarzy i wreszcie stanął przed drzwiami pokoju Ilsy Reiner.

Zastukał.

Może gdyby jej nie było, wszystko poszłoby mi łatwiej - pomyślał, pragnąc jak najszybciej uporać się z tym zadaniem i pojechać na wschodni brzeg Izary, gdzie członkowie jego oddziału wyznaczyli sobie spotkanie dwie godziny temu. Był to dzień doniosły, historyczny, a on tracił czas na knowania, które niewiele go obchodziły. Gdybyż choć przy okazji mógł się policzyć z Paulem... o, to by było zupełnie co innego.

Uśmiech przemknął mu przez usta. W tejże chwili ciotka otworzyła drzwi przytrzymywane łańcuchem i spojrzała mu w twarz. Być może wyczytała w niej wiarołomstwo i żądę mordy, być może przeraziła się, widząc tutaj Jürgena. W każdym razie odruchowo chciała drzwi natychmiast zatrzaskać.

Jürgen wszakże był szybszy. W porę zdążył wsunąć lewą rękę między futrynę a

skrzydło drzwi, przytrzasnęły mu jednak palce, aż musiał powściągnąć okrzyk bólu. Choć drobna Ilsa pchała z całych sił, aby się zamknąć w pokoju, była bez szans wobec rosłego brutalnego Jürgena. Naparł tak mocno, że wyrwał łańcuch. Impet rzucił ciotkę na podłogę.

- Spróbuj krzyknąć, a zatłukę cię, starucho - ostrzegł Jürgen cichym groźnym głosem.

- Więcej szacunku. Jestem młodsza od twojej matki - zaprotestowała Ilsa, w której strach walczył z urażoną dumą.

Jürgen nie odpowiedział. Palce mu krwawiły, uderzenie bowiem okazało się mocniejsze, niż zrazu sądził. Zawiniętą w gazetę pałkę położył na ziemi i podszedł do schludnie zasłanego łóżka. Oderwał kawałek prześcieradła. Kiedy owijał nim zranioną rękę, Ilsa wykorzystując jego nieuwagę, podniosła się na nogi. Zdażyła otworzyć drzwi, lecz zanim wybiegła, Jürgen szarpnął ją za ubranie i rzucił znowu na podłogę.

- Nie próbuj. Możemy pogadać?

- Nie przyszedłeś tu, żeby rozmawiać.

- To prawda.

Pociągnął ją za włosy, zmuszając, aby wstała i popatrzyła mu w oczy.

- Gdzie trzymasz papiery, c i o c i u ?

- Typowe dla barona - prychnęła Ilsa. - Każe tobie zrobić to, na co jemu nie starcza odwagi. Wiesz przynajmniej, czego masz szukać?

- Och, te wasze tajemnice!... Nie, ojciec nic mi nie powiedział, chce tylko dostać wszystkie twoje papiery. Na szczęście matka nie była taka lakoniczna. Mam znaleźć list z jakimiś twoimi łgarstwami i list twojego męża. I zaraz mi je dasz.

- Ani myślę.

- Chyba nie rozumiesz, na co mnie stać, ciociu.

Zrzucił płaszcz i cisnął go na krzesło. Zza pleców wyciągnął nóż myśliwski z czerwonym trzonkiem. W świetle lampy naftowej ostrze zalśniło srebrzyście, odbijając się w przerażonych oczach ciotki.

- Nie odważysz się.

- Och, oczywiście, że się odważę.

Mimo tej chełpliwej pogroźki okazało się to trudniejsze, niż sądził. To nie była bójka w gospodzie, gdy pozwalał, by rządziły nim instynkty i adrenalina, umysłowi zaś pozostawiał jedynie kierowanie dziką brutalną maszyną do zabijania.

Kiedy ujął prawą rękę ciotki i trzymając mocno, oparł na niskim stoliku, nie poczuł prawie nic. Ogarnął go jedynie żal, przejmujący, ostry niczym zęby piły tarczowej. Drasnęły go gdzieś w żołądku z takim samym namaszczeniem, z jakim on przyłożył nóż do palców Ilsy

i na wskazującym wykonał dwa niezbyt równe nacięcia.

Ilsa krzyknęła z bólu, lecz Jürgen, przygotowany na to, zasłonił jej usta ręką. Zastanawiał się, gdzie się podziały emocje zrodzone z przemocy, które go zwabiły do oddziału SA. Czyżby zniknęły dlatego, że nie ma tu rywalizacji? - zastanowił się. - Ta wystraszona stara wrona niczego się oczywiście nie domyśla.

Z wolna zduszone krzyki pod dłonią Jürgena przeobraziły się w ledwie słyszalne szlochanie. Chłopak wbił wzrok w zapłakane oczy ciotki, próbując poczuć taką samą przyjemność, jakiej doświadczył parę tygodni wcześniej, kiedy wybijał zęby młodemu komuniście. Na darmo. Westchnął zrezygnowany.

- Będziesz współpracowała? Dla nikogo to nie jest przyjemne.

Ilsa skwapliwie pokiwała głową.

- Cieszę się. Daj mi to, po co przyszedłem - rzekł, puszczając ją.

Podniosła się i chwiejnym krokiem podeszła do szafy. Przyciskała do piersi zranioną dłoń, która na kremowej bluzce zostawiała rosnącą krwawą plamę. Nie odrywając jej od piersi, drugą ręką grzebała wśród ubrań, aż znalazła niedużą białą kopertę.

- To mój list - powiedziała, dając ją Jürgenowi.

Chłopak wziął kopertę, na której widniał krwawy ślad. Oraz imię i nazwisko jego kuzyna. Rozdarł kopertę z boku i wyjął pięć kartek zapisanych ciasnym wyraźnym pismem, prawie bez skreśleń i kleksów.

Zerknął przelotnie na pierwsze linijki, których treść tak go zainteresowała, że czytał dalej. W połowie szeroko otworzył oczy i zaczął szybciej oddychać. Popatrzył na Ilsę podejrzliwie i niespokojnie, nie mogąc uwierzyć w to, co miał przed oczami.

- To kłamstwo! Odrażające kłamstwo! - krzyknął, podchodząc do ciotki i przykładając jej nóż do gardła.

- To nie kłamstwo, Jürgen. Żałuję, że w ten sposób się dowiedziałeś - odparła Ilsa.

- Żałujesz?... Litujesz się nade mną? Odetnę ci do reszty ten palec, starucho! I kto mi zabroni poderżnąć ci gardło?... Powiedz, że to kłamstwo! - mówił Jürgen, zniżając głos, aż zamienił się w lodowaty szept, od którego Ilsa dostała gęziej skórki.

- Przez wiele lat byłam ofiarą tej prawdy. Ty też. Ale ciebie przekształciła w potwora, którym teraz jesteś.

- On wie?

Ostatnie pytanie przerosło wytrzymałość Ilsy. Zachwiała się na nogach, wyczerpana emocjami i utratą krwi, tak że Jürgen musiał ją podeprzeć, aby nie upadła.

- Nie mdlej mi tu teraz, stara krowo!

Tuż obok stała miednica z wodą. Jürgen popchnął ciotkę na łóżko, po czym wylał jej wodę na twarz. Ilsa nieco oprzytomniała.

- Już nie... - rzekła słabo.

- Odpowiedz! Paul wie?

- Nie.

Jürgen na kilka chwil zostawił ją w spokoju. Wreszcie doczekał się emocji, chociaż nie takich, jakich się spodziewał. Miotła nim fala sprzecznych uczuć, kiedy raz jeszcze czytał list, tym razem do ostatniego słowa.

Skończywszy, starannie poskładał kartki i wsunął do kieszeni. Teraz rozumiał, dlaczego ojciec tak usilnie się domagał, aby zdobył ten list, i czemu matka żądała, by przyszedł z nim najpierw do niej. Posługują się mną - uświadomił sobie. - Mają mnie za głupca. Ale nikomu nie oddam listu... Zatrzymam go i wykorzystam w stosownej chwili. Tak. Kiedy najmniej będą się spodziewali.

Jednakże dzisiaj coś jeszcze musiał zdobyć. Wolno podszedł do łóżka i nachylił się nad ciotką.

- Daj mi list Hansa.

- Nie mam go. Przysięgam na Boga. Twój ojciec zawsze go szukał, ale ja go nie mam, nie mam nawet pewności, czy w ogóle istnieje - odparła Ilsa, znowu szlochając z przyciśniętą do piersi zranioną ręką.

- Nie wierzę ci - skłamał Jürgen. Ilsa była w takim stanie, że na pewno niczego nie ukrywała, niemniej pragnął sprawdzić, jak zareaguje na niedowierzenie. Znowu przysunął jej nóż do twarzy.

Ilsa próbowała odsunąć jego rękę, lecz z równym powodzeniem dziecko mogłoby przepychać granitowy głaz.

- Daj mi spokój. Na Boga, nie dość mnie już skrzywdziłeś? Jürgen rozejrzał się wokoło. Odszedł od łóżka, wziął ze stolika palącą się lampę i z rozmachem cisnął ją do szafy. Szkło się rozbiło, gorąca nafta zalała ubrania i buty.

Przysunął się znowu do łóżka i utkwiał wzrok w oczach ciotki, nie chcąc z tej chwili niczego przegapić. Oparł czubek noża na jej brzuchu. Zaczerpnął powietrza.

Po czym wbił ostrze po samą rękojęść.

- Teraz tak.

ROZDZIAŁ 39

PO PRZYKREJ WYMIANIE ZDAŃ, JAKĄ ODBYŁ Z ALYS, PAUL BYŁ w podłym nastroju. Nie zważając na chłód, postanowił wrócić pieszo do domu, popełniając tym samym najgorszy w życiu błąd.

Na przebycie sześciu kilometrów dzielących piwiarnię od pensjonatu potrzebował prawie godziny i w tym czasie niewielką uwagę zwracał na otoczenie. Głowę miał zaprzątniętą rozmową z Alys i wyobrażaniem sobie rozmaitych odpowiedzi, które by doprowadziły do innego jej wyniku. Przez chwilę marzył o pojednawczej reakcji, zaraz potem żałował, że nie zdobył się na coś, co naprawdę by ją zabolalo i poczułaby się tak samo jak on. Pograżony w zawilościach miłości nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, póki nie znalazł się kilka kroków od bramy.

Dopiero wtedy poczuł swąd, zobaczył biegających ludzi i wóz strażacki przed kamienicą.

- Gdzie się pchasz, wariacie?!

Paul popatrzył do góry. Płonęło czwarte piętro.

- Dobry Boże! - krzyknął. - Mama!

Po drugiej stronie ulicy stał gęstniejący tłum złożony z gapiów i mieszkańców pensjonatu. Paul pobiegł w tamtym kierunku, szukając znajomych twarzy i wołając matkę. W końcu natknął się na gospodynię - siedziała na krawężniku chodnika z twarzą umorusaną sadzami, w których lzy wyżłobiły bruzdy. Złapał ją za ramiona.

- Moja matka!... Gdzie moja matka?

Niezdolna spojrzeć mu w oczy gospodyni znowu się rozplakała.

- Nikt nie wyszedł z czwartego piętra. Olaboga, gdyby mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, widział, co zostało z jego kamienicy!

- A strażacy?

- Jeszcze nie zeszli, ale nic nie zrobią. Ogień nie pozwala wejść na schody.

- A od góry, z dachu? Można wejść na dach numeru dwadzieścia dwa i przeskoczyć na nasz.

- Mogłoby się udać - przyznała gospodyni, z żalości załamując pokryte odciskami

ręce. - Stamtąd można zeskoczyć niżej. Czasem te łobuziaki dozorczyńni przychodzą łapać koty na naszym dachu...

Paul nie słuchał dłużej, tylko pędem ruszył w stronę bramy sąsiedniej kamienicy. U wejścia policjant z mało przyjazną miną przesłuchiwał jednego z lokatorów pensjonatu. Zmarszczył brwi na widok dobiegającego do bramy Paula.

- A dokąd to, kawalerze? Właśnie usu... Hejże!

Paul tak mocno go odepchnął, że policjant stracił równowagę i upadł.

Ta kamienica miała pięć pięter, o jedno więcej niż pensjonat. Na wszystkich były samodzielne mieszkania, w tej chwili najpewniej puste. Kroki Paula rozbrzmiewały niczym werbel niesiony echem, kiedy gnał po schodach niemal po omacku, ponieważ dozorczyńni najwyraźniej wyłączyła elektryczność w całym budynku.

Na ostatnim piętrze musiał przystanąć, bo nigdzie nie widział wejścia na dach. W końcu zrozumiał, że musi ściągnąć drabinkę znajdującą się w połowie korytarza. Podskoczył, próbując złapać za uchwyt służący do spuszczenia jej, lecz zabrakło mu jakieś pół metra. Z rozpaczą rozejrzał się dokoła za czymś, na co mógłby się wspiąć.

Nie mam wyjścia - stwierdził w końcu. - Muszę wyłamać drzwi któregoś mieszkania.

Wybrał najbliższe. Z rozpędu walnął w nie barkiem, tak jak było opisane w powieściach Saxa Rohmera, ale jedynym efektem był dotkliwy ból w całym ramieniu, które zupełnie zdrętwiało na kilka chwil.

Zaczął zatem wymierzać kopniak za kopniakiem w okolicy zamka i po kilkunastu uderzeniach drzwi stanęły otworem. Złapał, co mu się pierwsze nawinęło pod rękę w ciemnej sionce - jak się okazało, krzesło. Wspiąwszy się na nie, pociągnął za uchwyt i opuścił drewniane schodki, po których wyszedł na dach.

Nie dało się tu oddychać. Wiatr zawiewał cały dym w tę stronę, tak że Paul musiał zasłonić usta i nos chustką, aby wytrzymać.

Omal nie wpadł w lukę między kamienicami szeroką na ponad metr. Ledwie widział sąsiedni dach.

Cholera, gdzie ja mam skoczyć?

Wyjął z kieszeni swoje klucze i rzucił je przed siebie po łuku. Upadły z brzękiem świadczącym, że uderzyły w kamień lub drewno, skoczył zatem w to miejsce.

Przez króciutką chwilę miał wrażenie, że jego ciało płynie w dymie, po czym spadł na rękę i kolana, boleśnie je tłukąc, i przetoczył się na bok. Nareszcie był na dachu pensjonatu.

Trzymaj się, mamó. Już tu jestem.

Posuwał się naprzód z wyciągniętymi rękami, póki nie wyszedł z zadymionej strefy,

tej najbliższej ulicy. Nawet przez buty czuł, jak gorący jest dach. Bliżej środka dymu było trochę mniej. W głębi znajdował się sznur do suszenia, stary fotel bujany bez biegunów i to, za czym Paul rozpaczliwie się rozglądał: wąż prowadzący na ostatnie piętro budynku.

Ruszył ku niemu z duszą na ramieniu, że będzie zamknięty na klucz. Zaczynało mu brakować sił, z coraz większym trudem podnosił nogi, jakby cały dach był lepki od miodu. Doszedłszy do wjazdu, przystanął na parę chwil, by odzyskać dech.

Boże, spraw, żeby ogień nie dotarł do jej pokoju - modlił się. - Błagam! Mamo, powiedz, że byłaś na tyle sprytna, by odkręcić kurek umywalki i zatkać czymś mokrym szczeliny przy drzwiach!...

Wąż był uchylony, a klatka zadymiona, lecz dało się wytrzymać. Czym prędzej zbiegł niżej. Na samym dole potknął się na czymś, ale w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Szedł dalej, zdawało mu się, że po wzorze na bardzo poplamionym zniszczonym chodniku poznaje, gdzie jest. Musi dojść do końca tego korytarza, skrócić w prawo i wtedy znajdzie się przed drzwiami pokoju matki.

Chciał iść dalej, lecz okazało się to niemożliwe. Tutaj dym miał kolor ciemnopomarańczowy. Nie było czym oddychać i mimo że Paul miał na sobie płaszcz i rękawiczki, czuł tak mocno żar ognia, że nie był w stanie zrobić ani kroku.

- Mamo!... - chciał krzyknąć, z jego gardła wszakże dobył się tylko suchy zduszony żalony jęk.

Tapeta tuż obok zaczynała się palić i chłopak uświadomił sobie, że ogień otoczy go zewsząd, jeśli szybko się stąd nie wyniesie. Zawrócił. Znajdował się już przy schodach, gdy płomienie, których nie było jeszcze, kiedy schodził, oświetliły klatkę schodową. Wtedy zrozumiał, na czym się potknął, zbiegając w dół, i co to za plamy widział na chodniku.

Na podłodze przy samych schodach leżała jego matka. Ranna.

- Nie! Mamo!

Przypadł do niej, szukając pulsu. Ilsa drgnęła i otworzyła oczy.

- Paul... - wyszeptała słabym głosem.

- Musisz wytrzymać, mamo! Wyniosę cię stąd.

Podniósł z podłogi drobną matkę i pobiegł po schodach w górę. Na dachu odszedł jak najdalej od schodów, lecz równocześnie zdał sobie sprawę, że strefa bez dymu coraz bardziej maleje.

Przystanął, nie wiedząc, co począć. Nie mógł przejść przez ścianę gęstego dymu z matką w tym stanie, a tym bardziej na oślep przeskoczyć luki między budynkami z nią w ramionach. Zostać tutaj także nie mogli. Całe płaty dachu już się zapadały, wokół wjazdu

tańczyły czerwone języki ognia. Jeszcze kilka minut i płomienie zajmą cały dach.

- Musisz wytrzymać, mamó. Wyniosę cię stąd. Zawiozę cię do szpitala i wyzdrowiejesz. Przysięgam. Musisz tylko wytrzymać.

- Ziemia... - wyszeptała Ilsa, słabo pokaszując. - Połóż mnie...

Paul przykląkł, opierając jej stopy o dach, aby było jej wygodniej. Dopiero teraz mógł się dokładniej przyjrzeć matce. Ubranie miała całe zakrwawione, palec u prawej ręki zraniony.

- Kto ci to zrobił? - zapytał z gniewem.

Ledwie mogła mówić. Twarz miała przeraźliwie bladą, usta jej drżały. Wyczołgała się z pokoju i przez czysty przypadek uciekała przed ogniem w dobrym kierunku, zostawiając za sobą krwawy ślad. Paradoksalnie otrzymana rana, przez którą posuwała się na czworakach, pomogła jej przetrwać, ponieważ w tej pozycji Ilsa nawdychała się mniej dymu rzadszego przy podłodze. W końcu jednak również w tylnej części kamienicy zaczęło brakować powietrza, tak że w matce Paula życie ledwie się tliło.

- Kto, mamó? - powtórzył pytanie Paul. - Jürgen?

Ilsa otworzyła oczy. Były tak czerwone, że Paul nie potrafił niczego z nich wyczytać.

- Nie...

- Więc kto? Znasz go?

Ilsa niepewnie uniosła dłoń do twarzy syna i leciutko pogładziła go po policzku. Koniuszki palców miała zimne, lecz ich dotyk sparzył mu duszę, jakby stanowiły część pożaru szalejącego poniżej. Przepełniony bólem Paul wyczuł, że matka po raz ostatni go dotyka, i ogarnął go strach.

- To nie był...

- Kto?

- To nie był Jürgen.

- Powiedz, mamó. Powiedz. Zabiję go.

- Nie powinienes...

Nowy atak kaszlu nie pozwolił jej mówić. Ręce opadły jej bezwładnie wzdłuż boków. Syn próbował ją wachlować dłonią, lecz powietrze było tak nagrzane, że nic to nie dało.

- Nie powinienes krzywdzić Jürgena, Paul.

- Dlaczego?

Jego matka walczyła o każdy oddech, jednakże walczyła też ze sobą. Paul widział w jej oczach ból i zmaganie. Z ogromnym wysiłkiem nabrała powietrza do płuc. Ale z jeszcze większym wydusiła z siebie ostatnie trzy słowa:

- To twój brat.

ROZDZIAŁ 40

BRAT.

Siedząc na ulicznym krawężniku w pobliżu miejsca, gdzie ledwie godzinę wcześniej płakała gospodyni pensjonatu, Paul przeżuwał to słowo. W ciągu pół godziny jego świat dwukrotnie stanął na głowie: matka umarła mu w ramionach, a przedtem w ostatnim tchnieniu wyjawiała tę tajemnicę.

Kiedy Ilsa umarła, Paul tulił ją w ramionach, również pragnąc odejść. Chciał zwyczajnie zaczekać, aż ogień obejmie także tę część dachu.

To właśnie jest życie. Biec po dachu, który niechybnie zaraz runie - dumiał ogarnięty przenikliwym bólem oblepiającym go zewsząd niczym gęsta czarna maź.

Czy strach go trzymał na tym dachu jeszcze przez kilka chwil po śmierci matki? Owszem, możliwe, że bał się wrócić do świata, w którym będzie sam. Może gdyby jej ostatnie słowa brzmiały: „Kocham cię”, Paul by się poddał i zdecydował na śmierć. Jednakże wyznanie Ilsy dotyczące Jürgena nadawało zupełnie nowy sens pytaniom, które dręczyły Paula przez całe życie.

Czy do działania zmusiła go w końcu nienawiść, żądza zemsty czy pragnienie poznania całej prawdy? Być może wszystko po trosze miało wpływ. W każdym razie Paul po raz ostatni pocałował matkę, po czym przebiegł na drugi koniec dachu.

Pośliznął się i omal nie zjechał z niego, lecz zdołał wyhamować w porę. Zastanowił się, z czego dzieci, które przychodziły się tu bawić, korzystały, kiedy chciały wrócić, i wydedukował, że zapewne z deski. Nie mając czasu na poszukiwania w coraz gęstszym dymie, zrzucił płaszcz i marynarkę, by jak najmniej ważyć podczas skoku. Jeśli nie doskoczy albo jeśli urwie się ta część dachu, której się uczepi, Paul spadnie pięć pięter niżej w przepaść nie taką znowu niezgłębioną, mimo to śmiertelną. Wziął rozpęd i skoczył, niewiele myśląc, pełen absurdalnie ślepej nadziei, że mu się uda.

Znalazłszy się na ulicy, próbował uporządkować jakoś tę układankę, w której jak się okazało, Jürgen - jego brat! - był najbardziej skomplikowanym elementem. Czy Jürgen mógł być synem Ilsy? To było raczej niemożliwe, ponieważ jego i Paula dzieliło raptem osiem

miesiący. Podobieństwo fizyczne owszem, istniało, niemniej Paul skłonny był raczej założyć, że Jürgen jest synem Hansa i Brunhildy. Nieżyjący Eduard bardzo się różnił od Jürgen, zarówno budową, jak i rysami twarzy oraz ciemniejszą cerą. Natomiast między Jürgenem a Paulem istniało nieznaczne podobieństwo. Obaj mieli niebieskie oczy i wystające kości policzkowe, chociaż włosy Jürgen, były ciemniejsze.

Jak mój ojciec mógł się przespać z Brunhildą? - rozmyślał Paul. - I dlaczego przez cały ten czas matka ukrywała to przede mną? Zawsze wiedziałem, że chciała mnie chronić przed tym, co spotkało ojca, czemu jednak nie powiedziała mi o tym? A najważniejsze: jak rozwikłałam to wszystko, nie korzystając z pomocy von Schroederów?

W tejże chwili podeszła do niego wciąż zapłakana gospodyni.

- Strażacy mówią, że pożar został opanowany - powiedziała - ale kamienicę trzeba zburzyć, bo nie nadaje się do mieszkania. Kazali powiedzieć lokatorom pierwszego i drugiego piętra, że mogą kolejno wejść do siebie i zabrać niezbędne rzeczy, bo noc muszą spędzić gdzie indziej. Resztą dobytku zajmie się straż.

Paul automatycznym krokiem skierował się ku grupce mieszkańców pensjonatu mających pójść po część swoich rzeczy. Przeszedł nad sikawkami, z których ciągle jeszcze łukiem tryskały strumienie wody, przebył zniszczone mokre korytarze i schody w towarzystwie strażaka, po czym znalazł się w swoim pokoju, gdzie zaczął wrzucać do torby, co mu wpadło pod rękę.

- Wystarczy. Musimy iść - ponaglał go niespokojnie strażak, który zatrzymał się w drzwiach.

Oszołomiony Paul posłuchał go bez słowa. Przeszedł jednak zaledwie kilka metrów, gdy w skołatanej głowie pewna myśl rozbłysła mu niczym rant złotej monety w stercie piasku. Zawrócił i pobiegł.

- Czekaj pan! - wrzasnął za nim strażak. - Musimy wyjść!

Paul nie zważał na niego. Wpadł do swojego pokoju i zanurkował pod łóżko. W ciasnocie pod nim zmagął się ze stosem książek, które umieścił tam, by zasłaniały skrytkę.

- Idziemy! - poganiał go strażak. - Tutaj naprawdę nie jest bezpiecznie. - Złapał Paula za nogi i wyciągnął spod łóżka.

Paul wcale się nie bronił. Miał to, po co wrócił.

Wypolerowaną czarną kasetkę bez zdobień.

Było wpół do dziesiątej wieczorem.

Paul wziął w rękę swoją torbę z rzeczami i ruszył przed siebie.

Gdyby był przytomniejszy i nie tak pogrążony w smutku, zauważyłby bez wątpienia, że coś się wydarzyło w Monachium, coś, co przerastało nawet jego osobisty dramat. Jak na tę porę po mieście kręciło się znacznie więcej ludzi niż zwykle. Bary i gospody były zatłoczone, dobiegały z nich gniewne głosy. Na rogach gromadzili się niespokojni mężczyźni, nigdzie nie było widać ani jednego policjanta.

Paul wszakże w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie, skupiał się wyłącznie na tym, aby w jak najkrótszym czasie przebyć piętnaście kwartałów, które go dzieliły od celu. W tej chwili był to jego jedyny trop. Okrutnie sobie wyrzucał, że nie zdołał go dostrzec wcześniej, że sam do tego nie doszedł.

Lombard Metzgera był zamknięty. Drzwi miał grube, naprawdę solidne, toteż Paul nie tracił czasu na dobijanie się do nich. Nie zdierał sobie także gardła, nawołując, ponieważ domyślał się - i słusznie - że taki stary kutwa jak lichwiarz mieszka tutaj, być może w jakiejś klitce na zapleczu.

Postawił torbę przy drzwiach i rozejrzał się za czymś twardym. Nie widział obłuzowanych kostek brukowych, zauważył jednak pokrywę wjazdu do kanału średniej wielkości. Z trudem ją dźwignął i cisnął nią w szybę wystawową, która rozpadła się na drobne kawałki. Serce tłukło mu się w piersi jak szalone, w uszach dudniło, lecz na to również nie zważał. Jeśli ktoś wezwie policję, może się tak zdarzyć, że stróże porządku przybędą, zanim uda mu się osiągnąć cel. Chyba że nic z tego nie wyjdzie.

Lepiej, żeby wyszło - pomyślał. - Bo w takim razie następnym miejscem, gdzie zacząć szukać odpowiedzi, będzie pałac von Schroederów. Nawet gdyby przyjaciele wuja mieli mnie wsadzić za kratki na resztę życia.

Wskoczył przez okno wystawowe do środka. Pod butami trzeszczało mu szkło. Strzaskana witryna wymieszała się z zastawą stołową z czeskiego kryształu, którą Paul rozbił przy okazji.

Sklep tonął w całkowitej ciemności. Odrobina światła padała tylko w głębi pomieszczenia, skąd dobiegało pokrzykiwanie:

- Kto tam? Wzywam policję!

- Bardzo proszę! - odkrzyknął Paul.

Prostokąt światła padł na podłogę, rzucając na ściany fantastyczne cienie zgromadzonych tu przedmiotów, które się zmieniły w przerażające monstra. Paul przystanął pośród nich, czekając, aż Metzger wreszcie się zjawi.

- Wynocha stąd, nazistowskie gnojki! - warknął lichwiarz, wchodząc do sklepu i

patrząc spode łba, choć oczy miał mocno zaspane.

- Nie jestem nazistą.

- Coś ty za jeden, u diabła? - Wyłonił się z zaplecza i zapalił światło, sprawdzwszy przedtem, że w sklepie jest tylko Paul. - Tu nie ma nic wartościowego.

- Być może, ale jest coś, czego potrzebuję.

W tej chwili stary jakby oprzytomniał wystarczająco, aby rozpoznać Paula.

- Do licha, o czym... Och!

- Widzę, że mnie pan poznaje.

- Kawaler był u mnie niedawno - rzekł Metzger. Jego skrucha była równie oczywista jak strach i zmieszanie, które go opanowały.

- Zawsze pamięta pan klientów?

- Do diabła, czego chcesz, człowieku? Zapłacisz mi za szybę!

- Proszę nie zmieniać tematu. Chcę wiedzieć, kto zastawił pistolet, który wykupiłem.

- Nie pamiętam.

Paul nic nie powiedział. Sięgnął tylko do kieszeni spodni, wyjął pistolet i wycelował w starego, który na ten widok się cofnął, w obronnym geście wyciągając ręce przed siebie.

- Nie strzelaj! Przysięgam, że nie pamiętam! To było dwadzieścia lat temu!

- Przypuśćmy, że panu wierzę. Gdzie są rejestry?

- Błagam, kawalerze, opuść broń... Nie mogę udostępnić rejestrów, to informacje poufne. Proszę, kawalerze, bądź rozsądny.

Paul postąpił naprzód sześć kroków i podniósł pistolet na wysokość swego barku. Lufa zatrzymała się dwa centymetry od czoła lichwiarza zlanego potem. Stary odchyłał głowę do tyłu, jakby chciał się wtopić między liczne zegary z kukułką zawieszane jeden przy drugim na ścianie, z którą się zderzył, cofając przed Paulem.

- Metzger, pozwoli pan, że mu coś wytłumaczę: albo obejrzę pańskie rejestry, albo użyję broni. Wybór jest prosty.

- Dobrze! Dobrze!

Z rękami podniesionymi do góry stary ruszył przodem na zaplecze. Minęli wielki magazyn jeszcze bardziej zakurzony niż sklep właściwy i gęściej spowity pajęczynami. Na porzewiałych regałach od podłogi aż po sufit stały kartonowe pudła. Panowała tam nieznośna wilgoć, nad wszystkim wisiał odór stęchlizny. I jeszcze czegoś, co trudno było zidentyfikować, lecz paskudnie śmierdziało.

- Jak pan znosi ten smród, Metzger?

- Smród? Nie czuję żadnego smrodu - odparł Metzger, nie odwracając się.

Paul się domyślał, że po tak wielu latach spędzonych w otoczeniu przedmiotów oddanych przez tyle różnych osób lichwiarz zwyczajnie przywykł do zapachu lombardu. Współczuł mu - ten człowiek nigdy nie używał życia. Musiał na siłę odgonić od siebie takie myśli, by nadal równie pewnie ścisnąć w garści ojcowski pistolet wymierzony w głowę starca.

Na końcu magazynu znajdowały się metalowe drzwi. Metzger dobył z kieszeni pęk kluczy i otworzył je. Gestem dał Paulowi znak, że droga wolna.

- Pan pierwszy - rzekł Paul.

Stary popatrzył na niego dziwnie nieruchomym wzrokiem, mrużąc oczy. Paulowi nasunęło się skojarzenie ze smokiem broniącym swojej jaskini pełnej skarbów, napomniał się zatem, że musi być teraz czujny jak nigdy. W tej sytuacji stary kutwa może się zachować jak przyparty do muru szczur: rzucić się na przeciwnika i ugryźć.

- Pan przysięgnie, że niczego mi nie zabierze.

- Czyżby na czymś panu zależało? Proszę jednak pamiętać, że to ja trzymam broń.

- Pan przysięgnie.

- Przysięgam, że niczego nie zabiorę, Metzger. Powie mi pan, co chcę wiedzieć, i zniknę.

Słowa Paula wcale nie uspokoiły starego, lecz przynajmniej zgodził się wejść pierwszy do ciasnej klitki.

Po prawej stał drewniany regał wypełniony księgami w czarnych okładkach. Po lewej ogromna szafa pancerna. Lichwiarz zatrzymał się przed nią, jakby chciał jej bronić własnym ciałem.

- Jest tutaj - powiedział, wskazując regał.

- Proszę znaleźć.

- Nie - odparł stary z napięciem w głosie. Wyraźnie nie zamierzał się ruszyć ani na krok od sejfu.

Rozzuchwalił się - pomyślał Paul. - Jeśli będę nalegał, gotów się na mnie rzucić. Cholera, po diabła zabierałem ten pistolet? Bez niego też bym faceta przekonał, a tak z jednej strony nie mogę ani nie chcę dłużej w niego celować, z drugiej zaś nie wolno mi opuścić broni.

- Niech pan przynajmniej powie, w którym rejestrze mam szukać.

- Półka na wysokości pana głowy, czwarta księga od lewej.

Paul na oślep, nie spuszczać z oczu Metzgera, namacał właściwy rejestr. Wyciągnął go ostrożnie i podał lichwiarzowi.

- Proszę znaleźć.
- Nie pamiętam numeru.
- Ja pamiętam: 91231. Niech pan się pospieszy.

Stary niechętnie wziął rejestr i zaczął go kartkować. Paul tymczasem kątem oka zerkał przez ramię za siebie, do magazynu, gdzie w każdej chwili mogła się pojawić policja. Czuł, że za długo tutaj przebywa.

- To ten wpis - rzekł Metzger, oddając mu rejestr otwarty na jednej z pierwszych stron.

Trzymając księgę w lewej ręce, Paul czytał, lecz co rusz popatrywał na Metzgera. Nie było podanej dokładnej daty, tylko przybliżona: „1905/16 tydzień”. U dołu strony zauważył nazwisko.

- Jest tylko nazwisko. Clovis Nagel. Nie ma adresu.
- Klient, nie chciał podać więcej szczegółów.
- Czy to zgodne z prawem?
- Na ten temat prawo dość mętnie się wypowiada.

Nie tylko w tym wpisie pojawiał się nazwisko Nagela. W rubryce „Zastawiający” występowało jeszcze dziesięć razy.

- Chcę zobaczyć resztę rzeczy, które zastawił.

Lichwiarzowi ulżyło, że intruz wreszcie się oddali od szafy pancерnej, toteż bez protestów poprowadził Paula do regałów w magazynie. Zdjął jedno z kartonowych pudeł i pokazał mu zawartość.

- Tu jest wszystko - powiedział.

Dwa tandetne zegarki, złota obrączka, srebrna bransoletka... Paul patrzył na te drobiazgi, nie bardzo rozumiejąc, jaki jest związek między nimi a tym jakimś Nagelem. Zaczynała go ogarniać rozpacz, ponieważ po tylu staraniach pytań miał jeszcze więcej niż przedtem.

Jedna osoba oddaje w zastaw tyle rzeczy naraz... - myślał. - Ten facet uciekał przed kimś, może przed moim ojcem. Ale żeby się dowiedzieć więcej, musiałbym się z nim spotkać, a samo nazwisko do tego nie wystarczy.

- Gdzie mogę znaleźć tego Nagela?
- Przecież kawaler widział: nie ma adresu ani...

Paul zwinięta w pięść lewą ręką z całej siły uderzył starego. Metzger padł na ziemię i złapał się za twarz. Spomiędzy palców płynęła mu strużka krwi.

- Nie!... Proszę... Proszę nie bić!

Stojący z uniesioną pięścią Paul zdołał się pohamować. Przepelniała go jakaś

niezdrowa energia, niesprecyzowana bliżej nienawiść, która gromadziła się w nim od lat i teraz znalazła ujście, za cel obierając tego żalosego zakrwawionego typu błagającego o litość.

Co ja robię? - przeraził się.

Nagle spojrzął na siebie z zewnątrz i zemdlilo go po tym, co zrobił. Musi to zakończyć jak najszybciej.

- Gadaj pan, Metzger. Wiem, że coś pan przede mną ukrywa.

Stary w obronnym geście wyciągnął przed siebie dłonie, których wewnątrz było czerwone od krwi.

- Niezbyt dobrze go pamiętam. Był chyba wojskowym, przynajmniej sposób mówienia na to wskazywał. Może marynarzem. Mówił, że wraca do Afryki Południowej i że te rzeczy nie są mu potrzebne.

- Jak wyglądał?

- Niewysoki, o delikatnych rysach. Nie pamiętam go dobrze... proszę nie bić!

Niewysoki, o delikatnych rysach... - dumął Paul. - Eduard opisał mężczyznę, którego widział z moim ojcem i wujkiem, jako niskiego, o twarzy delikatnej jak u dziewczyny. To mógł być Clovis Nagel. A jeśli ojciec przyłapał go na czymś na okęcie? Może był szpiegiem. Albo może ojciec go poprosił, żeby zastawił pistolet w jego imieniu? Czyli musiał wiedzieć, że jest w niebezpieczeństwie.

Z głową pękającą od natłoku myśli Paul wyszedł z magazynu, zostawiając zapłakanego Metzgera na ziemi. Jednym susem przeskoczył przez rozbitą wystawę i w tej chwili przypomniał sobie, że przy drzwiach zostawił swoją torbę z rzeczami. Wystraszył się, że ktoś ją sobie przywłaszczył, na szczęście była na miejscu.

Wszystko wokół natomiast się zmieniło.

Mimo późnej pory na ulicy były dziesiątki ludzi. Zbierali się na chodniku i na jezdni. Niektóre osoby, niczym pszczoły zapylające kwiaty, krążyły od grupki do grupki, przekazując wieści. Paul podszedł do najbliższej gromadki.

- Podobno naziści spalili jakiś budynek w Schwabingu.

- Nie, to komuniści...

- Zajęli komisariaty...

- Przeprowadzają kontrole na ulicach...

Zaniepokojony Paul złapał za rękę jednego z rozmawiających i obrócił go do siebie.

- Co się dzieje?

Mężczyzna wyjął papierosa z ust i posłał Paulowi krzywy uśmiech odsłaniający

pożółkłe zęby. Był wyraźnie bardzo rad, że spotkał kogoś, kto jeszcze nie zna najświeższych złych wiadomości.

- Nie wiesz, bracie? Hitler i ci jego naziści zrobili zamach stanu. Mamy rewolucję! Wreszcie coś się zmieni.

- Zamach stanu?... Jakim sposobem?

- Przyszło ich setki, wdarli się do Bürgerbräukelleru. Przetrzywiają wszystkich, którzy tam byli, z komisarzem Bawarii na czele.

Serce skoczyło Paulowi do gardła.

- Alys!...

ROZDZIAŁ 41

DOPÓKI NIE PADŁ STRZAŁ, ALYS CZUŁA, ŻE TEN WIECZÓR BĘDZIE należał do niej.

Po rozmowie z Paulem pozostał jej w gardle gorzki smak. Wiedziała, że jest w nim ślepo zakochana, a teraz się w tym ostatecznie utwierdziła. I właśnie dlatego bała się bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Postanowiła się skupić na swoim zadaniu. Weszła do głównej sali piwiarni, w trzech czwartych zapelnionej. Ponad tysiąc ludzi już siedziało ciasno przy stołach, doszło jeszcze około pięciuset i wciąż przychodzili nowi. Na ścianach wisiały niemieckie flagi ledwie widoczne w dymie papierosowym. Było tam tak duszno i gorąco, że zebrani nie dawali ani chwili wytchnienia dziesiątkom kelnerek, które przeciskały się między nimi, każda nad głową dźwigając tacę z półtuzinem kufli i nie rozlewając ani kropli piwa.

To dopiero ciężka praca - pomyślała Alys, raz jeszcze dziękując losowi, że oto ma dzisiaj sposobność, aby się wykazać.

Torując sobie drogę łokciami, zdołała się przepchnąć w poblize podwyższenia dla mówców. Oprócz niej było jeszcze trzech czy czterech fotografów - jeden dziwnie na nią popatrzył, po czym szturchnął łokciem kolegę.

- Uważaj, ślicznotko! Nie zapomnij zabrać palca przed obiektyw!

- A ty palców nie wtykaj w gówno, kretynie! Masz żalobę za paznokciami.

Fotograf popatrzył na swoje ręce i w jednej chwili poczerwieniał jak burak. Pozostałym spodobała się zjadliwa odpowiedź Alys.

- A to ci docięła, Fritz!

Uśmiechając się w duchu, Alys zajęła stanowisko w miejscu, skąd miała dobry widok. Sprawdziła oświetlenie i dokonała szybkich obliczeń. Przy odrobinie szczęścia zrobi naprawdę dobre zdjęcia. Wstąpiła w nią otucha. Usadzenie tamtego głąba podziało na nią pobudzająco. Czowała, że odtąd wszystko zacznie się zmieniać na lepsze. Porozmawia z Paulem, razem uporają się ze swoimi problemami. A kiedy jeszcze dostanie nową stałą pracę, w której faktycznie będzie mogła się realizować, sprawy ułożą się jak należy.

W takich przyjemnych marzeniach była pogrążona, gdy na podwyższenie wszedł Gustav von Kahr, generalny komisarz Bawarii. Zrobiła kilka zdjęć, w tym jedno jej zdaniem

ciekawe: von Kahr osobiwie na nim gestykulował.

Naraz w tylnej części sali wszczęło się jakieś poruszenie. Alys wyciągnęła szyję, aby sprawdzić, co się dzieje, lecz silne reflektory oświetlające podwyższenie i mur ludzi za nimi nie pozwoliły jej niczego zobaczyć. Tymczasem gwar potężniał, dołączył się do niego łoskot przewracanych stołów i krzesel, brzęk tłuczonego szkła.

Z tłumu niedaleko Alys ktoś się wyłonił - spocony człowieczek w wygniecionym prochowcu. Odsunął mężczyznę siedzącego przy stole tuż koło podwyższenia, wspiął się na jego krzesło i wszedł na stół.

W tej chwili Alys wycelowała w niego obiektyw, chwytając w jednym mgnieniu fanatyczne spojrzenie, lekkie drżenie lewej dłoni, tandetne odzienie, fryzurę rajfura z grzywką przyklepioną do czoła, szpetny wąsik, wzniesioną prawą rękę z pistoletem wycelowanym w sufit.

Nie bała się, nie miała też wątpliwości. Gdzieś w głowie rozbrzmiały jej tylko słowa zasłyszane swego czasu od Augusta Muntza: „W życiu fotografa zdarza się chwila, kiedy trafiasz na zdjęcie, jedno jedyne, które może odmienić losy twoje i twoich bliskich. To chwila decydująca, Alys. Wyczujesz ją, gdy nadejdzie. I jeśli na nią natrafisz, jeśli tobie się to przydarzy, trzaskaj aparatem. Nie myśl, tylko trzaskaj zdjęcia jedno po drugim”.

Wcisnęła spust aparatu w tym samym momencie, w którym człowieczek na stole pociągnął za spust pistoletu.

- Rewolucja narodowa rozpoczęta! - zawołał donośnym, niemiłym dla ucha głosem. - Sześciuset uzbrojonych ludzi otacza ten lokal! Nikt stąd nie wyjdzie. A jeśli natychmiast nie zapadnie cisza, rozkażę ustawić na galerii karabin maszynowy.

Tłum zamilkł, na co Alys zupełnie nie zwróciła uwagi, nie zaniepokoił jej także widok mężczyzn w brunatnych koszulach, którzy zewsząd się wyłaniali.

- Ogłaszam rozwiązanie rządu Bawarii! Policja i wojsko przeszły pod nasz sztandar, sztandar ze swastyką, który zawisł już nad każdymi koszarami i każdym komisariatem policji!

Podniecony gwar przebiegł przez cały lokal. Rozległy się oklaski ubarwione gwizdami i okrzykami: „Meksyk! Meksyk” oraz: „Ameryka Południowa!”. Na to również Alys nie zwróciła większej uwagi. W uszach ciągle miała huk wystrzału, w oczach obraz człowieczka na stole mierzącego w sufit, a w głowie jedną tylko myśl - dwa słowa.

Decydująca chwila.

Trafiła mi się - triumfowała.

Przyciskając aparat do piersi, weszła w tłum. Teraz zależało jej tylko na jednym: wyjść stąd i zamknąć się w ciemni. Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska tego, który

strzelał, chociaż twarz nie była jej obca. Kojarzyła go z tymi opętanymi antysemitami, co to wiecznie gardłowali po gospodach. Ziegler... nie, Hitler. Tak, Hitler. Narwany Austriak.

Alys nie wierzyła, żeby taki zamach stanu mógł się udać. Kto pójdzie za wariatem twierdzącym, że zmiecie Żydów z powierzchni ziemi? W synagogach opowiadano sobie dowcipy o głupcach pokroju Hitlera. A zdjęcie, na którym uchwyciła pot perlący mu się na czole i obłąd w oczach, mówi wszystko o tym człowieku: że kwalifikuje się do zamknięcia w domu wariatów.

Z trudem torowała sobie drogę pośród ludzi. Rozmawiali podniesionymi głosami, gdzieś się kłócili. Ktoś na czyjejs głowie rozbił kufel piwa, które ochlapało żakiet Alys. Prawie dwadzieścia minut zajęło jej dotarcie do przeciwnego końca sali, a znalazłszy się tam, stwierdziła, że wyjście tarasuje ciasny szereg uzbrojonych w karabiny i pistolety ludzi w brunatnych koszulach. Próbowała z nimi pertraktować, lecz SA-mani nie chcieli jej przepuścić.

Hitler i dygnitarze, którym zakłócił zebranie, zniknęli za bocznymi drzwiami. Na podwyższenie wszedł nowy mówca i w sali temperatura się podniosła.

Alys z posepną miną przepchnęła się w miejsce, gdzie trochę mniej ją potracali, i starała się wymyślić, jak wyjść z piwiarni.

Trzy godziny później znalazła się w stanie ducha graniczącym z rozpaczą. Hitler i jego akolici zdążyli wygłosić szereg przemówień, orkiestra ulokowana na galerii z dziesięć razy odegrała „Deutschland über alles”. Alys dyskretnie próbowała się tam przedostać, licząc, że znajdzie okno, przez które uda jej się wymknąć, lecz tę drogę także blokowali SA-mani. Nie pozwalali nawet nikomu wyjść do łazienki, co przy takim tłumie i hektolitrach piwa wciąż donoszonego przez kelnerki zrodziło niebawem niejaki problemy. Niejeden już z obecnych musiał sobie ulżyć pod ścianą w głębi.

Zaraz, zaraz... - błysnęło jej naraz w głowie. - Kelnerki!

Ożywiona niespodzianym natchnieniem, podeszła do pomocniczego stołu obsługi. Zsunęła z siebie żakiet, owinęła w niego aparat fotograficzny i położyła go na pustej tacy, którą wzięła z pomocnika. Szybko zebrała z najbliższego stołu kilka opróżnionych kufli i skierowała się w stronę kuchni.

Może się nie zorientują. Mam białą bluzkę i czarną spódnicę jak kelnerki. Nie spostrzegą może, że nie mam fartucha. Żeby tylko nie zauważyli żakietu na tacy!...

Podnosząc tacę powyżej głowy, gdy przeciskała się między ludźmi, musiała zagryzać usta, by nie zwymyślać jakichś kmiotków, którzy klepali ją po pośladkach, kiedy ich mijała,

nie chciała bowiem zwracać na siebie uwagi. Trzymała się tuż za inną kelnerką, z nią dotarła do wahadłowych drzwi i przeszła obok strzegących ich SA-manów. Na szczęście nawet na nią nie popatrzyli.

Podłużna kuchnia była ogromna. Panowało tu takie samo napięcie jak w sali, tyle że nie było dymu tytoniowego ani flag. Dwaj kelnerzy bez ustanku nalewali piwo do kufli, natomiast kucharze i kuchciki rozmawiali w swoim gronie przy wygaszonym piecu, bacznie obserwowani przez dwóch mężczyzn w brunatnych koszulach pilnujących wyjścia. Każdy miał karabin i pistolet.

Cholera!...

Nie bardzo wiedziała, co dalej począć, ale miała świadomość, że nie może tak stać pośrodku przejścia. W końcu ktoś się zorientuje, że nie należy do personelu, i wyrzuci ją stąd. Naśladując kelnerki, wstawiła przyniesione kufle do wielkiego metalowego zlewu i wzięła brudną ścierkę, którą tam znalazła.

Zmoczyła ją pod kranem, wyżeła, przykucnęła i udawała, że sprząta, próbując równocześnie coś wymyślić. Podłogę wycierała prawą ręką, w lewej zaś trzymała aparat owinięty w żakiet. Pomalutku zbliżała się do drzwi, dyskretnie rozglądając się wokoło, aż wpadła na pewien pomysł.

Podniosła się i podeszła do wiadra na odpadki stojącego koło zlewu. Było wypełnione prawie po brzegi resztkami jedzenia. Włożyła do niego żakiet z aparatem, nakryła je wiekiem i podniosła. Po czym pewnym krokiem ruszyła do drzwi.

- Nie wolno wychodzić - zatrzymał ją pilnujący wyjścia SA-man.

- Muszę wynieść odpadki.

- Tu je proszę zostawić.

- Ale wiadra są pełne. Pełne wiadra nie mogą stać w kuchni. To niezgodne z prawem.

- Bez obaw, teraz prawo to my. Proszę odstawić wiadro tam, gdzie było.

Stawiając wszystko na jedną kartę, Alys opuściła wiadro na ziemię i skrzyżowała ramiona.

- Sam niech pan je sobie odstawi.

- Proszę natychmiast stąd to zabrać.

Alys stała, patrząc na niego zdecydowanie. Cały personel kuchni zwrócił już uwagę na to, co się dzieje, i wszyscy spoglądali na nią z minami mało życzliwymi. Ponieważ stała do nich tyłem, nie mieli świadomości, że nie należy do obsługi.

- Dobra, stary, przepuść ją - wtrącił się drugi SA-man. - Już samo przebywanie w kuchni jest przykre, a jeszcze z tym smrodem!... Będziemy tu całą noc w tych samych

ciuchach. Kurtka mi prześmiardnie.

Ten, który nie chciał przepuścić Alys, wzruszył ramionami i usunął się na bok.

- Jak chcesz. Wyjdź z nią do kontenera i zaraz wracaj.

Klnąc w duchu, Alys ruszyła przodem do wyjścia. Wąskie drzwi wychodziły na jeszcze węższy zaułek. Oświetlała go samotna latarnia na końcu, gdzie łączył się z ulicą. Tam właśnie stał kontener na odpady, przy którym kręciły się wychudzone koty. To były w Niemczech ciężkie czasy dla bezdomnych zwierząt.

- Dawno tu pani pracuje? - zagadnął SA-man nieśmiało.

Nie do wiary! - zachnęła się Alys w duchu. - Idziemy jakimś zaułkiem, ja dzwigram wiadro odpadów, a on karabin maszynowy, i ten ostatni kretyn chce się spoufalać!

- Można powiedzieć, że jestem nowa - odparła, siłąc się na życzliwość. - A pan od dawna robi zamachy stanu?

- Nie, to pierwszy raz - wyznał, nie spostrzegłszy ironii.

Doszli do kontenera.

- No, może pan wracać. Ja zostanę, żeby opróżnić wiadro.

- Och, nie, zrobi to pani i razem wrócimy.

- Nie chciałabym, żeby musiał pan na mnie czekać.

- Poczekam, ile będzie trzeba. Taka pani ładniutka...

Pochylił głowę i próbował ją pocałować. Alys chciała się cofnąć, lecz znalazła się w pułapce między kontenerem a SA-manem.

- Proszę, nie - powiedziała.

- No, panienko...

- Nie, powiedziałam!

SA-man odsunął się skruszony.

- Przepraszam, jeśli panią obraziłem. Myślałem, że...

- Nie szkodzi. Po prostu jestem zaręczona.

- Proszę wybaczyć. Szczęściarz z pani narzeczonego.

Czyżby?... - zastanowiła się Alys.

- Nie szkodzi - powtórzyła zmieszana.

- Pomogę pani z tym wiadrem.

- Nie!

Alys odtrąciła rękę SA-mana. Stropiony wypuścił wiadro, które straciło równowagę, przewróciło się i przeturlało, a resztki jedzenia wylały się, tworząc półkole. Na samym początku na ziemi znalazł się żakiet Alys.

- A to co, do diabła?

Zawiniątko rozchyliło się nieco, odsłaniając aparat fotograficzny. Żołnierz spojrział na Alys, która winę miała wypisaną na twarzy. Nie potrzebował żadnych wyjaśnień.

- Ty suko! Szpiegujesz dla komuchów! - wrzasnął, sięgając do pałki u pasa.

Nie czekając, aż ją wyciągnie, Alys złapała metalową pokrywę wiadra i zamierzyła się, aby przyłożyć SA-manowi w łeb. Zdążył osłonić głowę prawym ramieniem, w które pokrywa rąbnęła z głuchym łoskotem.

- Och!... Ty zdziro, zraniłaś mnie!

Lewą ręką wyrwał jej pokrywę i odrzucił. Alys rzuciła się do ucieczki, lecz zaułek był zbyt wąski - SA-man złapał ją za bluzkę i szarpnął do siebie. Dziewczynę obróciło, a szwy bluzki puściły z jednej strony, odsłaniając pierś w staniku. Na ten widok nazista, który już podniósł rękę do uderzenia, zamarł na moment, rozdarty między złością i podnieceniem. Jego spojrzenie sprawiło, że serce Alys ścisnął strach.

- Alys!

Popatrzyła w stronę wylotu zaułka.

Stał tam Paul w dosyć żalonym stanie, ale to był on. Mimo chłodu miał na sobie tylko sweter. Dyszał ciężko i trzymał się za bok, w którym boleśnie go kłuło po biegu. Już pół godziny wcześniej próbował wejść do Bürgerbräukelleru od frontu, lecz nie udało mu się wyjść z Ludwigsbrücke, naziści bowiem odcięli ulicę barykadą ze stanowiskiem karabinów maszynowych.

Musiał zrobić spore koło, szukając jakiegoś sposobu, aby się dostać do piwiarni. Rozglądał się za policją czy wojskiem, za kimś, kto by mu powiedział, co się tam dzieje, ale spotykał jedynie zwykłych monachijczyków, którzy oklaskiwali bądź wygwizdywali puczystów z rozsądnej odległości.

Przeszedłszy po przeciwnej stronie jezdnii całą Maximiliansbrücke, zaczął wypytywać spotykanych ludzi. W końcu ktoś mu powiedział o zaułku prowadzącym do wejścia kuchennego i Paul pobiegł w tamtym kierunku, modląc się, by nie przybył za późno.

Zdumiał się tak ogromnie, ujrawszy Alys na zewnątrz szamoczącą się z jakimś facetem, że zamiast zaatakować napastnika z zaskoczenia, jak ostatni idiota oznajmił gromko swoje przybycie. Kiedy więc tamten wyciągnął pistolet, Paulowi nie pozostało nic innego, jak pędem ruszyć naprzód. Barkiem przygrzmocił naziście w korpus.

Obaj runęli na ziemię, walcząc o broń. SA-man miał większą krzepę niż Paul, którego

siły w dodatku mocno nadwątlily wydarzenia ostatnich godzin. Nierówne zmagania trwały raptem parę sekund, po czym nazista odepchnął Paula, podniósł się na kolana i wycelował w niego pistolet.

W tej chwili Alys, która zdążyła podnieść metalowe wieko wiadra, wykorzystwała okazję i trzymając pokrywę oburącz, z rozmachem nią uderzyła. W zaułku rozbrzmiał donośny łoskot jak uderzenia talerzy orkiestry, naziście oczy uciekły do góry, nie upadł jednak. Alys zaczęła więc walić wiekiem dotąd, aż SA-man w końcu osunął się na twarz.

Paul się poderwał i podbiegł, aby ją przytulić, ale dziewczyna go odsunęła i przykucnęła.

- Co ci jest, do licha? Dobrze się czujesz?

Alys stanęła rozzłoszczona. Trzymała w rękach roztrzaskany aparat, który ucierpiał podczas przepychanek z nazistą.

- Patrz.

- Rozwalony. Nie martw się, kupimy lepszy.

- Nie rozumiesz! Miałam zdjęcia!

- Alys, teraz nie pora na to. Musimy wiać, zanim kumple przyjdą go szukać.

Chciał ją wziąć za rękę, lecz wyrwała się i pobięła naprzód.

ROZDZIAŁ 42

NIE OGLĄDALI SIĘ ZA SIEBIE, PÓKI NIE ODDALILI SIĘ WYSTARCZAJĄCO od piwiarni. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Zatrzymali się w końcu przy kościele Świętego Jana, którego imponująca wieżyczka celowała w nocne niebo niczym oskarżycielsko wyciągnięty palec. Paul podprowadził Alys pod łukowate sklepienie głównego wejścia, które dawało niejaką osłonę przed chłodem.

- Boże drogi, nie masz pojęcia, jak bardzo się bałem - powiedział, całując ją w usta.

Z roztargnieniem odwzajemniła pocałunek.

- Co jest? - spytał.

- Nic.

- Nie wydaje mi się - zirytował się Paul.

- Jak mówię, że nic, to nic.

Paul odwrócił wzrok i postanowił zaniechać pytań. Kiedy Alys była w takim humorze, wszelkie próby poprawienia jej nastroju były jak wychodzenie z ruchomych piasków: im mocniej się starasz, tym bardziej grzęzniesz.

- Nic ci nie jest? Zranili cię albo...?

Pokręciła głową. I dopiero wtedy spojrzawszy na Paula, dostrzegła, jak wygląda: ubranie miał poplamione krwią, twarz umorusaną sadzą, oczy zaczerwienione.

- Co ci się stało?

- Moja mama nie żyje - odparł, zwieszając głowę.

Kiedy Paul opowiadał o wydarzeniach tego wieczoru, Alys ogarnął żal nad nim i wstyd, że tak cierpko go potraktowała. Kilkakrotnie otwierała usta, aby go przeprosić, nic z tego jednak nie wyszło - nigdy nie wierzyła, żeby słowo „przepraszam” coś znaczyło. A jej sceptycyzm podsycalo nadmierne poczucie dumy.

Powtórzył ostatnie słowa matki i wtedy Alys popatrzyła nań oniemiała. Nie rozumiała, jakim cudem brutalny zepsuty Jürgen mógłby być bratem Paula, aczkolwiek zarazem zbytnio jej to nie zdziwiło. W Paulu była jakaś ciemna strona, która w pewnych sytuacjach objawiała się w oczach niczym gwałtowny powiew jesiennego wiatru poruszającego zasłonami ciepłego

domu. Już w dniu, kiedy go poznała podczas przyjęcia - chociaż chyba by umarła, zanim wyznałaby to na głos - dostrzegła w nim coś podobnego do zwierzęcej porywczowości Jürgena. I to coś mąciło jej sny, chociaż wtedy nie czuła odrazy, która ją ogarniała na jawie.

Kiedy Paul opowiedział o wtargnięciu do lombardu i o tym, jak uderzył Metzgera, aby wreszcie przemówił, Alys poważnie zaczęła się o niego obawiać. Nie mogła ścierpieć niczego, co dotyczyło tej sprawy, najchętniej wszystko by jak najdalej odsunęła, zanim kompletnie pochłonie Paula.

Paul na zakończenie relacji opowiedział, jak ruszył pędem do piwiarni.

- I to wszystko.

- Aż zanadto.

- Co masz na myśli?

- Nie zamierzasz chyba grzebać w tej sprawie? Przecież to jasne, że ktoś tu jest gotowy na wszystko, byle prawda nie wyszła na jaw.

- Ha, to właśnie doskonały argument, żeby się tym zainteresować. I dowód, że ktoś przyłożył rękę do śmierci mojego ojca... - Zamilkł na chwilę. - Do śmierci moich rodziców.

Paul nie płakał. Po tym co przeżył, całe jego ciało pragnęło zapłakać, potrzebowała tego dusza, serce wypełniały łzy. On jednak przywdział pancierz i wszystkie powstrzymał - być może kierując się śmiesznym poczuciem męskości, które nie pozwalało mu okazywać słabości przed ukochaną kobietą. I być może ono właśnie sprowokowało to, co się stało kilka chwil później.

- Paul, musisz sobie dać z tym spokój - powiedziała Alys.

- Ani myślę.

- Ale nie masz przecież żadnego dowodu. Żadnego śladu.

- Mam nazwisko: Clovis Nagel. Mam miejsce: Afrykę Południowo-Zachodnią.

- Afryka Południowo-Zachodnia jest bardzo duża.

- Zacznę od Windhuku. Tam chyba nietrudno będzie znaleźć białego.

- Afryka Południowo-Zachodnia jest bardzo duża... i bardzo daleko - powtórzyła Alys z naciskiem.

- Muszę to zrobić. Popłynę pierwszym statkiem.

- Ot tak?

- Ot tak... Nie słuchałaś, co ci opowiadałem, odkąd się znamy? Nie zrozumiałaś, jakie to dla mnie ważne? Że muszę się dowiedzieć, co się stało dziewiętnaście lat temu? A teraz... teraz jeszcze to.

Przez chwilę Alys zamierzała go zatrzymać. Chciała mu tłumaczyć, jak bardzo będzie

jej go brakowało, jak bardzo go potrzebuje. Jak bardzo go kocha. Jednakże duma zamknęła jej usta. Duma również nie pozwalała jej opowiedzieć Paulowi, co naprawdę było przyczyną jej dziwnego zachowania w ostatnich dniach.

- No to jedź sobie - rzekła tylko. - I zrób, co musisz zrobić.

Popatrzył na nią stropiony. Lodowaty ton jej głosu sprawił, że poczuł się, jakby serce mu wyrwano z piersi i zagrzebano w śniegu.

- Alys...

- Ale jedź natychmiast. No już.

- Alys, proszę!

- Odejdź, mówię.

Paul wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać, Alys zaś modliła się, aby to zrobił, aby zmienił decyzję i powiedział, że ją kocha i że ich miłość ważniejsza jest dlań od poszukiwań, które dotąd przynosiły tylko cierpienie i śmierć. Możliwe, że Paul również czekał na coś w tym rodzaju, a może jedynie pragnął wyryć w pamięci rysy Alys. Później Alys przez długie lata gorzko żałowała, że tej nocy dała się ponieść dumie, podobnie jak Paul wyrzucał sobie, że nie pojechał tramwajem do pensjonatu, tylko się włóczył po mieście, gdy tymczasem ktoś mordował jego matkę.

I że posłuchał Alys: odwrócił się i ruszył ulicą.

- Wiesz co? Cieszę się. W ten sposób nie będziesz się wtrącał w moje marzenia i niszczył wszystkiego - oświadczyła Alys, rzucając za nim potrzaskany aparat fotograficzny, na którym wcześniej tak jej zależało. - Odkąd cię znam, spotykają mnie same złe rzeczy. Zniknij z mojego życia, Paul.

Paul przystanął na moment i nie odwracając się, rzekł:

- Tak się stanie.

Po czym odszedł w noc.

Alys stała przez kilka minut przy drzwiach kościoła, tocząc w milczeniu walkę ze łzami, którą w końcu przegrała, co było do przewidzenia. Naraz na ciemnej ulicy pojawił się ktoś w miejscu, gdzie zniknął Paul. Alys szybko doprowadziła twarz do porządku i przywołała na nią uśmiech. Wraca... Poszedł po rozum do głowy i wraca - pomyślała, robiąc krok w jego kierunku.

Kiedy się zbliżył, w świetle latarni zobaczyła, że to mężczyzna w szarym prochowcu i kapeluszu. Zbyt późno zdała sobie sprawę, iż to jeden z ludzi, którzy po południu ją śledzili, a ona sądziła, że zdołała ich zgubić.

Odwróciła się, chciała uciekać, lecz ujrzała tego drugiego - zaszedł ją z drugiej strony i znajdował się nie dalej jak trzy metry od niej. Próbowала im się wymknąć, zdążyli ją jednak przytrzymać.

- Ojciec pani szuka, panno Tannenbaum.

Alys na próżno się wyrywała. Nic nie mogła zrobić.

Z bocznej uliczki wyłonił się samochód. Jeden z psów gończych jej ojca otworzył drzwi, drugi pociągnął ją do auta, próbując zmusić, aby się schyliła i wsiadła.

- Lepiej ostrożnie się ze mną obchodźcie, durnie - wycodziła Alys ze wzgardą. - Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ 43

Elisabethbucht, 28 sierpnia 1933 r.

Najdroższa Alys,

straciłem już rachubę, ile razy do Ciebie pisałem. Jeśli liczyć jeden list w miesiącu, było ich ponad sto. I wszystkie pozostały bez odpowiedzi.

Nie wiem, czy dotarły do Ciebie i czy postanowiłaś wyrzucić mnie z pamięci. A może gdzieś się przeniosłaś, nie zostawiając adresu. Niniejszy list pójdzie do domu Twojego ojca, gdzie wcześniejsze od czasu do czasu też już wysyłałem, chociaż wiedziałem, że to daremny trud. W każdym razie nadal będę do Ciebie pisywał. Doszło do tego, że jedynie te listy łączą mnie z moim wcześniejszym życiem.

Na początek jak zwykle chcę prosić, abys mi wybaczyła, że tak odszedłem. Wielokrotnie wspominałem tamtą noc sprzed dziesięciu lat i wiem, że nie powinienem był tak postąpić. Żałuję, że przeze mnie rozsypały się Twoje marzenia. Co dzień się modliłem, byś osiągnęła to, o czym śniłaś: byś została reporterką. I mam nadzieję, że przez te lata zdołałaś dopiąć swego.

Życie w koloniach nie jest łatwe. Odkąd Niemcom odebrano kontrolę nad tymi ziemiami, Afryka Południowa jest mandatariuszem naszej dawnej kolonii. Nie jesteście mile widziani na tych terenach, chociaż nas się toleruje.

Trudno tu o pracę. Pracuję dorywczo na fermach i w kopalniach diamentów, aby zarobić na życie. Ilekroć uda mi się coś zaoszczędzić, przemierzam kraj w poszukiwaniu Clovisa Nagela. Zadanie do łatwych nie należy. Natrafiłem na jego ślady w wioskach położonych w dolinie rzeki Oranje. Raz nawet dotarłem do osady poszukiwaczy złóż, z której on dopiero co odjechał. Rozminęliśmy się niemalże o minuty.

Poszedłem także innym tropem, który mnie zawiódł aż na północ, na płaskowyż Waterberg. Tam poznałem dziwny dumny lud zwany Herero. Spędziłem z Hererami kilka miesięcy, nauczyli mnie polować i zbierać plony na swojej jałowej ziemi. Zapadłem tam na febrę i długo potem byłem bardzo osłabiony, ale opiekowali się mną troskliwie. Wiele się od tych ludzi nauczyłem, i to nie tylko w zakresie prac fizycznych. To naprawdę wyjątkowy lud. Co dzień ocierają się o śmierć, bez ustanku walczą o wodę i przetrwanie pod naporem

białych.

Kończy mi się papier, ostatni arkusz z tych, które kupiłem od wędrownego handlarza w drodze do Swakompundu. Jutro wyruszam dalej w poszukiwaniu kolejnych tropów. Idę pieszo, ponieważ skończyły mi się pieniądze, toteż poszukiwania tym razem będą krótkie. Najgorszy tutaj jest brak wieści od Ciebie, a zaraz potem czas, który muszę poświęcać, by zarobić na życie. Nieraz już chciałem się poddać. Ale wytrzymałem dotąd, więc i dalej wytrzymam. Znajdę go wcześniej czy później.

Myślę o Tobie i o tym, co się z Tobą działo przez te dziesięć lat. Mam nadzieję, że masz się dobrze i jesteś szczęśliwa. Jeśli zdecydujesz się napisać do mnie, wyślij list do urzędu pocztowego w Windhuku. Adres znajdziesz na kopercie.

Raz jeszcze proszę: wybacz.

Kocham Cię

Paul.

CZELADNIK

1934

*O tym, że wtajemniczony pojmuje,
iż drogi nie można przebywać w samotności*

W tajemnym uścisku dłoni osoby w stopniu czeladnika należy mocno naprzeć na przegub palca serdecznego i czekać, aż brat mason odpowie tym samym. Sekretna nazwa tego gestu to JACHIN, miano kolumny symbolizującej słońce w Świątyni Salomona. I znowu kryje się tu pułapka, nazwę bowiem należy przeliterować następująco: A-J-C-H-I-N.

ROZDZIAŁ 44

JÜRGEN Z PODZIWIEM OGLĄDAŁ SIĘ W LUSTRZE.

Pociągnął lekko za wyłogi ozdobione trupią główką i znaczkiem SS. Nie mógł się sobie napatrzeć w nowym mundurze.

Zaprojektowany został przez Waltera Hecka i doskonale uszyty przez krawców Hugona Bossa - gazety partyjne obu panów nadzwyczaj wychwalały - a w ludziach wywoływał pełen szacunku respekt. Kiedy Jürgen szedł ulicą, chłopcy często na jego widok stawali na baczność i wznosili w pozdrowieniu wyciągniętą rękę. W ubiegłym tygodniu zatrzymały go dwie staruszki, by powiedzieć, jak bardzo się cieszą, patrząc na silnych zdrowych młodych mężczyzn, którzy wreszcie sprowadzają Niemcy na dobrą drogę. Zapytały go, czy stracił oko, walcząc z komunistami. Zadowolony Jürgen pomógł im zanieść siatki z zakupami do niedalekiej już bramy kamienicy.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

- Wyglądasz doskonale - powiedziała jego matka, wchodząc do przestronnej sypialni.

- Wiem.

- Zjesz z nami dzisiaj?

- Nie sędzę, mamó. Wezwali mnie na zebranie w Służbie Bezpieczeństwa.

- Pewno chcą cię przedstawić do awansu. Już dość długo jesteś untersturmführerem.

Jürgen przytaknął zgodnie, po czym wziął czapkę, szykując się do wyjścia.

- Wóz czeka przed wejściem. Powiem kucharce, żeby przygotowała coś dla ciebie, gdybyś wrócił szybko.

- Dziękuję, mamó - rzekł Jürgen, całując Brunhildę w czoło.

Wyszedł na korytarz. Jego wysokie czarne buty głośno stuknęły na marmurowych schodach. W sieni czekała służąca z jego płaszczem w ręce. Odkąd przed jedenastu laty z życia Jürgena i jego matki zniknął Otto wraz ze swoją słabością do kart, ich sytuacja materialna stopniowo się poprawiła. Znowu zastęp służby troszczył się o utrzymanie pałacu, a jego panem teraz był on.

- Czy jaśnie pan będzie jadł w domu?

Jürgen poczuł ucisk w żołądku. Kiedy służba tak go tytułowała, zawsze w ten sposób reagował, jeśli był zdenerwowany lub niespokojny, jak tego ranka. Byle co potrafiło skruszyć lodową powłokę na powierzchni i odsłonić burzę sprzecznych uczuć, które się pod spodem kotłowały.

- Baronowa wyda dyspozycje.

Niedługo będą mnie tytułowali jak należy - pomyślał, wychodząc na ulicę. Dłonie lekko mu drżały. Na szczęście niósł płaszcz przerzucony przez rękę, tak że szofer niczego nie zauważył, gdy otwierał przed nim drzwi samochodu.

W przeszłości przemoc pozwalała Jürgenowi rozładowywać napięcia, lecz od ubiegłorocznego zwycięstwa partii narodowosocjalistycznej w wyborach osoby niepożądane wykazywały znaczną ostrożność. Toteż coraz trudniej mu było zachować panowanie nad sobą. Jadąc teraz, starał się oddychać wolno, spokojnie. Nie chciał przybyć na zebranie wzburzony i zdenerwowany.

I obym dostał awans, jak mówi mama.

- Szczerze mówiąc, drogi Schroeder, mam co do pana wielkie wątpliwości.

- Wątpliwości?

- Związane z pańską lojalnością.

Jürgen poczuł, że ręka znowu mu drży, i musiał mocno zacisnąć palce, aby nad sobą zapanować.

W sali konferencyjnej nie było nikogo oprócz nich dwóch: Reinharda Heydricha i Jürgena. Szef Służby Bezpieczeństwa, organu wywiadu NSDAP, był mężczyzną słusznego wzrostu o wysokim czole, ledwie dwa miesiące starszym od Jürgena. Mimo młodego wieku należał do ludzi dysponujących największą władzą w Niemczech. Jego organizacja zajmowała się wykrywaniem prawdziwych bądź wymagowanych zagrożeń dla partii. Jürgen słyszał, że kiedy Himmler spotkał się z nim, by omówić powierzane mu zadanie, i poprosił o przedstawienie, jak zamierza zorganizować agencję wywiadowczą, Heydrich sypnął pomysłami zaczerpniętymi ze wszystkich powieści szpiegowskich, jakie przeczytał. Cokolwiek jednak mówić, Służby Bezpieczeństwa - czy to zrodzonej z taniej fikcji literackiej, czy będącej dziełem wrodzonego talentu jej twórcy - lękano się już w całych Niemczech.

- Na jakiej podstawie? - zdziwił się Jürgen.

Heydrich zdjął rękę z teczki, którą miał przed sobą, opatrzonej nazwiskiem Jürgena wypisanym na wierzchu.

- Wstąpił pan do SA, jak tylko zostało utworzone. To bardzo dobrze i zasługuje na

uwagę. Zaskakujące jest natomiast, że ktoś... hm, pochodzący z pańskiego rodu zdecydował się dołączyć do oddziałów SA. A później przełożeni stale w raportach donosili o brutalności, jaką pan przejawiał. Konsultowałem się z psychologiem w związku z panem...

Konsultował się z psychologiem!...

- ...i powiedziano mi, że może pan cierpieć na poważne zaburzenia osobowości. W gruncie rzeczy to żadne przestępstwo, chociaż mogłoby - z naciskiem wymówił to słowo, uśmiechając się lekko i unosząc brwi - stanowić niejakię ograniczenie. I tu dochodzimy do punktu, który najbardziej mnie martwi. Podobnie jak reszta członków Stosstruppen miał pan brać udział w wydarzeniach w Bürgerbräukellerze ósmego listopada dwudziestego trzeciego roku. Tyle że... nie stawiał się pan na miejsce zbiórki.

Heydrich zamilkł na chwilę, pozwalając, by ostatnie słowa zawisły w sali niczym złowieszcze oskarżenie. Jürgen zaczął się pocić. Po zwycięstwie w wyborach narodowi socjaliści zaczęli powoli, lecz systematycznie brać odwet na tych wszystkich, którzy uniemożliwili zamach stanu w roku 1923, o dziesięć lat opóźniając dojście Hitlera do władzy. Jürgen od miesięcy żył w strachu, że wreszcie ktoś wskaże także jego.

Kiedy Heydrich znowu przemówił, w jego głosie pobrzmiwał posepniejszy ton.

- Pański przełożony doniósł, że nie stawiał się pan na miejsce zbiórki, co było pana obowiązkiem. Natomiast w raporcie stoi: „SA-man Jürgen von Schroeder spotkał się ze swoim plutonem z 10 kompanii w nocy 23 listopada. Koszulę miał poplamioną krwią. Twierdził, że został napadnięty przez komunistów, a krew należała do jednego z nich, którego ranił nożem. Prosił, by pozwolono mu dołączyć do szwadronu, który kontrolował komisariat policji w Schwabingu, dopóki zamach się nie skończy”. Czy to prawda?

- Co do słowa.

- Właśnie. To dało do myślenia komisji weryfikacyjnej, ponieważ otrzymał pan złotą odznakę partyjną i Order Krwi - rzekł Heydrich, wskazując pierś Jürgena.

Złota odznaka partyjna należała do najbardziej prestiżowych odznaczeń niemieckich. Była okrągła, w barwach flagi narodowosocjalistycznej, otoczona złotym wieńcem laurowym. Wyróżniała członków, którzy należeli do partii, zanim Hitler odniósł wyborcze zwycięstwo w roku 1933. Do tego czasu bowiem narodowi socjaliści musieli prosić, aby ludzie wstępowali w szeregi NSDAP. Po dojściu Hitlera do władzy w siedzibach partii nie było końca kolejkom osób pragnących do niej wstąpić. Tyle że nie wszystkich przyjmowano.

Order Krwi był natomiast najważniejszym odznaczeniem w Rzeszy. Uhonorowano nim jedynie uczestników puczu z roku 1923, który zakończył się tragicznie śmiercią szesnastu nazistów, kiedy siły policyjne przystąpiły do ataku. Sam Heydrich nie miał tego orderu.

- Zastanawiam się - ciągnął szef Służby Bezpieczeństwa, uderzając lekko brzegiem teczki w pełne usta - czy nie powinienem powołać komisji śledczej w pańskiej sprawie, przyjacielu.

- Nie sądzę, żeby to było potrzebne - rzekł Jürgen słabym głosem, wiedząc, jak szybko i efektywnie działają takie komisje.

- Nie? Ostatnie raporty na pański temat mówią, że jest pan „mało skuteczny w wypełnianiu obowiązków”, „słabo zaangażowany”... Mam mówić dalej?

- To dlatego, że mnie odsunięto od zadań na ulicach.

- A nie wydaje się panu, że nie tylko we mnie budzi pan niepokój?

- Zapewniam, że jestem w pełni oddany sprawie.

- No cóż, jest sposób, aby odzyskał pan zaufanie naszego urzędu.

Jürgen nareszcie pojął, o co tutaj chodzi. Heydrich go wezwał, ponieważ miał wobec niego jakieś zamiary. Chciał coś na nim wymusić, dlatego z mety zaczął go urabiać. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, co faktycznie robił Jürgen tamtej nocy w roku 1923, ale nie miało żadnego znaczenia, co Heydrich wie lub udaje, że wie. Jego słowo było prawem.

- Zrobię co należy - rzekł już spokojniejszy.

- Otóż, Jürgen... Mogę się tak do pana zwracać, prawda?

- Oczywiście - zapewnił Jürgen, gotując się ze złości, że to propozycja jednostronna.

- Słyszałeś o masonach?

- Owszem. Mój ojciec w młodości należał do loży wolnomularskiej. Później, jak mi się zdaje, wystąpił z niej.

Heydrich kiwnął głową. Nie wyglądał na zaskoczonego, stąd Jürgen odgadł, że już o tym wiedział.

- Świetnie się składa.

- Co pan ma na myśli?

- Odkąd doszliśmy do władzy, masoneria stała się... zbędna.

- Tak, wiem - przyznał Jürgen, uśmiechając się na ten eufemizm. W „Mein Kampf”, książce, którą każdy Niemiec przeczytał (i trzymał w domu na widocznym miejscu, jeśli był odpowiednio uświadomiony), Hitler wyraźnie dawał wyraz swej przemożnej niechęci do masonerii.

- Duża część łóż rozwiązuje się dobrowolnie albo przeobraża. Nimi nie ma co się przejmować. Wszystkie są lożami rytu pruskiego, a jej członkowie Aryjczykami o poglądach narodowosocjalistycznych. Kiedy dobrowolnie się rozwiążą i przedstawią listy swoich byłych już członków, nie będziemy podejmować przeciwko nim żadnych kroków... na razie.

- Domyślam się, że są loże, które nas martwią?

- Mam pewność, że duża część łóż nadal działa aktywnie. To tak zwane obediencje humanitarne. Większość ich członków to liberałowie, Żydzi i inni tego pokroju.

- Dlaczego po prostu nie zakazać im działalności?

- Jürgen, Jürgen... - rzekł Heydrich z pobłażaniem w głosie. - W najlepszym razie to by tylko wzmogło ich aktywność. Póki by miały choćby cień nadziei, dalej by się zbierały i rozprawiały o tych swoich cyrkłach i węgielnicach, i całym żydowskim gównie. Chcę mieć nazwiska wszystkich masonów co do jednego na fiskach wielkości czternaście na siedem.

W partii każdy wiedział o słynnych fiskach Heydricha. W wielkim mieszkaniu w pobliżu swojego berlińskiego biura przechowywał informacje na temat wszystkich tych, których partia uważała za „niepożądanych”: komunistów, homoseksualistów, Żydów, masonów i ogólnie każdego, kto się ośmielił stwierdzić, że Führer wydawał się zmęczony podczas ostatniego przemówienia. Ilekroć ktoś zapragnął donieść na kogoś, nową fiszkę dołączano do dziesiątek tysięcy już istniejących. Co czeka osoby, których nazwiska widniały w kartotekach, nikt jeszcze nie wiedział, z pewnością jednak nic przyjemnego.

- Jeśli masonom zakaże się działalności, pochowają się jak szczury.

- Właśnie! - przytaknął Heydrich, uderzając dłonią w stół. Nachylił się ku Jürgenowi i konfidencjonalnie spytał: - A wiesz, dlaczego chcę znać nazwiska tej hołoty?

- Ponieważ masoneria jest bezwolną marionetką w rękach międzynarodowego spisku żydowskiego. Wiadomo, że bankierzy, tacy jak Rotszyld i...

Gromki śmiech szefa Służby Bezpieczeństwa przerwał namiętą perorę Jürgeną. Jednakże Heydrich zaraz spoważniał na widok miny przyszłego barona.

- Do licha, Jürgen, nie powtarzaj mi tu komunałów ze wstępniaków w „Völkischer Beobachter”. Sam pomagam je pisać.

- Ale przecież Führer mówi...

- Zadaję sobie pytanie, gdzie naprawdę dotarł nóż, który pozbawił cię oka - rzekł Heydrich, przypatrując mu się badawczo.

- Nie musi mnie pan zaraz obrażać - obruszył się Jürgen rozzłoszczony.

Wybuch Jürgeną zdetonował nieco Heydricha, który jednak zaraz uśmiechnął się zagadkowo.

- Przepelnia cię energia, Jürgen. Ale trzeba z niej mądrze korzystać. Bardzo proszę, nie zachowuj się jak jeden z tych baranów, które beczą na wiecach. Pozwól, że udzielę ci krótkiej lekcji historii - rzekł, wstając i ruszając wolnym krokiem wokół wielkiego stołu. - W siedemnastym roku bolszewicy rozwiązyali wszystkie loże w Rosji. W dziewiętnastym Bela

Kun rozprawił się z masonami na Węgrzech. W dwudziestym piątym Primo de Rivera zakazał lożom działalności w Hiszpanii. W tym samym roku Mussolini we Włoszech też zrobił porządek. Jego bojówkarze w środku nocy wyciągali masonów z łóżek i pałkami załatwiali ich na ulicach. Pouczający przykład, nie uważasz?

Jürgen kiwnął głową zaskoczony. Nie miał o tym pojęcia.

- Jak widać - ciągnął Heydrich - rząd silny i z perspektywą na długie sprawowanie władzy w pierwszej kolejności eliminuje między innymi masonów. Nie dlatego, że są na usługach hipotetycznego żydowskiego spisku. Robi to, ponieważ ci, którzy mają własne poglądy, bardzo przeszkadzają.

- Czego właściwie oczekuje pan ode mnie?

- Chcę, żebyś zinfiltrował masonerię. Dostaniesz odpowiednie kontakty. Jesteś szlachcicem, twój ojciec kiedyś należał do loży, więc powinni cię przyjąć bez większych zastrzeżeń. A twoim zadaniem będzie sporządzenie list członków. Chcę wiedzieć o każdym masonie w Bawarii.

- Będę miał *carte blanche*?

- Do nowych rozkazów, tak. Poczekaj chwileczkę.

Heydrich poszedł do drzwi, otworzył je i coś powiedział do swojego asystenta, który czekał na ławce w korytarzu. Asystent zasalutował, strzelając obcasami, i odmaszerował, a po kilku chwilach przyprowadził młodego człowieka w mundurze wyjściowym.

- Wejdz, Adolf, wejdz - zaprosił go Heydrich, po czym zwrócił się do Jürgena: - Mój drogi, poznaj Adolfa Eichmanna. To bardzo obiecujący młodzieniec, pracuje w naszym obozie koncentracyjnym w Dachau.

- Miło mi - powiedział Jürgen, podając mu rękę.

- Mnie również.

- Adolf złożył prośbę o wcielenie do mojego urzędu i jestem gotów umożliwić mu przeniesienie, najpierw jednak chcę, żeby przez parę miesięcy popracował z tobą. Wszelkie zdobyte informacje będziesz jemu przedkładał, a on zajmie się opracowaniem wszystkiego. Kiedy wykonacie to zadanie, myślę, że będę mógł wam powierzyć w Berlinie inne, o wiele bardziej odpowiedzialne.

ROZDZIAŁ 45

TO ON. NA PEWNO - MYŚLAŁ CLOVIS, TORUJĄC SOBIE DROGĘ w tłumie zapelniającym gospodę.

Miał na sobie przepoconą koszulę. Wyjątkowo gorąca lipcowa noc nie przynosiła wytchnienia, on jednak nie zważał na upał. Przeszedł dobrą szkołę na pustyni, kiedy się dowiedział, że Reiner idzie jego tropem. Musiał się wynieść z obozu poszukiwaczy złóż diamentowych w bardzo obiecującej dolinie rzeki Oranje i zniknąć w Afryce Południowej. Porzucił wtedy cały swój sprzęt górniczy, zabierając tylko rzeczy niezbędne. Ze szczytu wzgórza z karabinem w ręku pierwszy raz zobaczył twarz Paula i położył wtedy palec na spuście. Przestraszył się jednak, że spudłuje, i innym zboczem wzgórza zszedł na dół, niczym wąż przemykając między wysokimi trawami.

Uciekł wtedy i przez wiele miesięcy miał spokój, aż musiał znowu w pośpiechu się wynosić z burdelu w Johannesburgu. Tym razem naprawdę miał szczęście, ponieważ Reiner pierwszy go zobaczył, tyle że w drugim końcu sali. Kiedy skrzyżowali spojrzenia, Clovis zareagował jak ostatni dureń - na jego twarzy pojawił się bowiem strach. I w chwili gdy w oczach Reiner'a dostrzegł zimny błysk zrozumienia, Nagel pojął, że oto myśliwy na zawsze zapamiętał wygląd swojej ofiary. Zdołał umknąć przez ukryte drzwi na zapleczu lokalu, miał nawet dość czasu, aby wrócić do podrzędnego hoteliku, w którym mieszkał, i wcisnąć wszystkie rzeczy do worka.

Dopiero po trzech latach Clovis Nagel przestał czuć oddech Reiner'a na karku. Nocami sypiał zawsze z bronią w zasięgu ręki. Dokądkolwiek szedł, co rusz się oglądał, czy ktoś za nim nie podąża. I nigdzie nie pozwalał sobie pozostać dłużej niż kilka tygodni ze strachu, że którejs nocy obudzi się i ujrzy stalowy błysk w oczach człowieka mierzącego weń z rewolweru.

W końcu się poddał. Bez pieniędzy nie mógł uciekać w nieskończoność, a to co otrzymał od barona, już dawno się rozeszło. Zaczął słać do niego listy, lecz pozostawały bez odpowiedzi, toteż zdecydował się wsiąść na statek płynący do Hamburga. Znalazszy się w Niemczech, wyruszył prosto do Monachium i dopiero wtedy mu ulżyło. Przez pierwsze trzy dni był przekonany, że zdołał uciec. Aż pewnego wieczoru wszedł do gospody w pobliżu dworca kolejowego i w tłumie gości zauważył twarz Paula.

Ze ściśniętym żołądkiem czym prędzej wyniósł się stamtąd.

Kiedy tak szybko, jak tylko pozwalały mu krótkie nogi, przemierzał miasto, zdał sobie sprawę, jak straszny błąd popełnił. Przyjechał bez broni, ponieważ w Niemczech była zakazana i bał się, że zatrzymają go na granicy. A dotąd nie zdążył sobie niczego zorganizować, do obrony miał jedynie nóż sprężynowy.

Dyskretnie wyjął go z kieszeni, idąc ulicą. Wchodził w krąg światła rzucanego przez latarnie i opuszczał go, traktując każdy kolejny niczym zbawczą wysepkę, aż zdał sobie sprawę, że jeśli Reiner za nim idzie, to przecież ułatwia mu zadanie. Skreślił więc w prawo w gorzej oświetloną uliczkę, która biegła równoległe do torów kolejowych. Nadjeżdżał właśnie pociąg zmierzający do stacji. Clovis go nie widział, poczuł jedynie smród dymu i wibrowanie ziemi pod stopami.

Na drugim końcu uliczki rozległo się metaliczne szczęknięcie. Nagel krzyknął, ale zaraz ugryzł się w język. Znowu ruszył biegiem z sercem tak walącym, że chciało mu wyskoczyć z piersi. Poczul w ustach smak krwi - złowróżbną zapowiedź tego, co się stanie, jeśli tamten go dopadnie.

Znajdował się w ślepej uliczce. Nie mając już gdzie uciekać, przycisnął się za stertą drewnianych skrzyń śmierdzących zgniłą rybą. Latało tam mnóstwo komarów, które zaraz obsiadły mu ręce i twarz. Próbował się od nich opędzać, lecz kolejne szczęknięcie i cień, który się pojawił u wylotu uliczki, sprawiły, że znieruchomiał, wstrzymując nawet oddech.

Cień najpierw się skrócił, po czym przeobraził w sylwetkę mężczyzny. Clovis nie widział jego twarzy, ale to nie było potrzebne. Doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

Nie wytrzymał nerwowo i rzucił się pędem ku końcowi uliczki, zrzucając na ziemię stertę skrzynek. Spod nóg z przeraźliwym piskiem umknęły mu szczury. Clovis pobiegł za nimi. Znikały za uchylonymi drzwiami, które przeoczył w mroku nocy, nie rozejrzawszy się dokładniej po okolicy. Znalazł się w nieoświetlonym korytarzu. Wyjął zapalniczkę i zapalił ją na kilka sekund, aby się zorientować w otoczeniu, po czym pobiegł zapamiętaną drogą. Na końcu korytarza potknął się i upadł, boleśnie uderzając o wilgotne betonowe stopnie. Nie śmiał ponownie skorzystać z zapalniczki, toteż siłąc się na spokój, siedł po omacku po nierównych schodach, czujny na najdrobniejszy dźwięk za plecami.

Wydawało mu się, że trwa to całą wieczność. Zupełnie stracił poczucie czasu. Istniały tylko te schody, które zdawały się prowadzić donikąd, i gołe ściany, które przed niczym nie chroniły.

Na koniec poczuł pod nogami równe podłoże i odważył się znowu posłużyć zapalniczką. W świetle drżącego pomarańczowego płomyka zobaczył, że znów jest w

korytarzu zakończonym drzwiami. Pociągnął za uchwyt do siebie. Nie były zamknięte, przekroczył je więc ostrożnie.

Nareszcie go zgubiłem. To mi wygląda na opuszczony magazyn. Poczekam tu trochę, aż się upewnię, że zrezygnował - pomyślał, odzyskując normalny oddech.

- Dobry wieczór, Clovis - usłyszał za plecami.

Obrócił się, zwalniając sprężynę noża, który się otworzył z ledwie słyszalnym kliknięciem, i rzucił się na człowieka stojącego przy drzwiach. Jakby chciał doścignąć wiatr. Przybysz uchylił się błyskawicznie i ostrze noża chybiło o dobre pół metra, wbijając się w ścianę. Clovis szarpnął za rękojeść, by wyciągnąć nóż, ledwie jednak zdołał nim poruszyć, potężny cios posłał go na ziemię.

- Usadów się jakoś wygodnie. Trochę nam tu zejdzie.

Głos dochodził z ciemności. Upadając, Clovis upuścił zapalniczkę, która zgasła. Naraz białe światło rozjaśniło mrok. Przeciwnik zapalił latarkę. Skierował ją na siebie.

- Pamiętasz tę twarz?

Clovis uważnie się przyjrzał Paulowi Reinerowi.

- Nie jesteś do niego podobny - rzekł wreszcie. Głos miał twardy, zmęczony.

Światło latarki znowu padło na Clovisa, który lewą ręką osłonił oczy, aby go nie oślepiła.

- Skieruj ją gdzie indziej!

- Zrobisz, co powiem. Teraz gramy według moich reguł.

Wiązka światła przeniosła się z twarzy Nagela na prawą rękę Paula. Trzymał w niej mauzera swojego ojca.

- W porządku, Reiner. Ty tu rządysz.

- Miło mi, że się zgadzamy.

Clovis sięgnął ręką do kieszeni. Paul natychmiast groźnie postąpił ku niemu o krok, lecz były marynarz wyciągnął paczkę papierosów i podniósł ją do światła. Wyjął także zapalki, na wypadek gdyby w zapalniczce zabrakło benzyny. W pudełku zostały tylko dwie.

- Kompletnie zatrąłeś mi życie, Reiner - powiedział, zapalając papierosa bez filtra.

- Wiem co nieco o zatruwaniu życia, ty skurwysynu. Moje spieprzyłeś dokumentnie.

Clovis zarechotał zgrzytliwie. Ten dźwięk pasował do okoliczności jak Ave Maria do burdelu. Echo rechotu poniosło się echem w pustym magazynie, nabierając upiornego brzmienia, w miarę jak się odbijało od oddalonych od siebie ścian.

- Tak się cieszysz, że niedługo umrzesz? - zagadnął Paul.

Śmiech zgasł. Gdyby to pytanie zostało wyrażone z gniewem bądź wykrzyczane, nie

wystraszyłoby tak Nagela. Paul jednak zadał je spokojnym tonem, jakby mówił o czymś zwyczajnym. I Clovis gotów był iść o zakład, że na ustach Reintera błąkał się wówczas uśmiech.

- Spokojnie, stary. Zobaczmy, co...

- Niczego nie zobaczymy. Chcę wiedzieć, jak zamordowałeś mojego ojca i dlaczego.

- Nie zamordowałem go.

- A jakże! I dlatego od dwudziestu jeden lat uciekasz.

- To nie ja, przysięgam!

- Więc kto?

Clovis zastanawiał się chwilę. Bał się, że jeśli odpowie na to pytanie, Reiner zwyczajnie palnie mu w łeb. Nazwisko, które znał, było jego jedynym atutem, toteż postanowił tą kartą zagrać.

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że puścisz mnie wolno.

Za całą odpowiedź usłyszał w ciemności dźwięk odwodzonego kurka.

- Nie, Reiner, nie! - jęknął Clovis. - Słuchaj, nieistotne, kto zamordował twojego ojca.

Co ci da, jeśli się dowiesz? Ważniejsze jest to, co się stało wcześniej. I dlaczego.

Przez kilka chwil panowała cisza.

- No to już. Słucham.

ROZDZIAŁ 46

- WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO JEDENASTEGO SIERPNIĄ TYSIĄC DZIEWIĘCSET czwartego roku. Spędziliśmy kilka cudownych tygodni w Swakopmundzie. Jak na Afrykę piwo okazało się całkiem znośne, podawali je nawet zimne, a dziewczyny były usłużne. Wróciliśmy właśnie z Hamburga i kapitan Reiner mianował mnie swoim adiutantem. Nasz okręt miał przez jakiś czas patrolować brzegi kolonii, żeby trzymać na dystans cholernych Anglików.

- Ale nie Anglicy byli problemem, prawda?

- Nie, bracie... Parę miesięcy wcześniej tubylcy się zbuntowali. I zjawił się nowy generał, który objął dowodzenie nad naszym wojskiem w kolonii. Straszny był z niego skurwysyn, podły sadysta, jakiego ze świecą szukać. Nazywał się Lothar von Trotha. Zaczął wywierać naciski na Murzynów. Na polecenie Berlina miał doprowadzić do politycznego porozumienia z nimi, ale ani myślał się dogadywać. Opowiadał, że czarni to podludzie, małpy, które ledwie zeszły z drzewa i przez naśladownictwo nauczyły się używać karabinów. Ganiał ich, aż stawili mu czoło na Waterbergu. My ze Swakopmundu i Windhuku też tam byliśmy, złorzecząc na nasz psi los.

- Wygraliście.

- Czarnych było trzy razy więcej, ale wojsko z nich było marne. Ponad trzy tysiące poszło do piachu, a nam się dostał ich dobytek i broń. A potem...

Nagel zapalił nowego papierosa od poprzedniego, nim zaczął mówić dalej. W świetle latarki jego twarz wydawała się pozbawiona wyrazu, mówił beznamiętnym, bezbarwnym głosem.

- Von Trotha rozkazał wam iść naprzód - podpowiedział Paul, aby zachęcić go do dalszej opowieści.

- Pewnie ci o tym opowiadali, bracie, ale kto tam nie był, nie ma pojęcia, jak faktycznie się to potoczyło. Zepchnęliśmy ich na pustynię. Bez wody, bez jedzenia. Zapowiedzieliśmy, że nigdy stamtąd nie wrócą. Zatruliśmy wszystkie studnie w promieniu kilkuset kilometrów, nie ostrzegając ludności. Ostrzeżenie przyszło, dopiero kiedy z życiem się pożegnali ci, którzy zdążyli się ukryć i wyszli po wodę albo zawrócili z pustyni w poszukiwaniu wody. Pozostali... ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, kobiety, dzieci i

starcy... poszli do Omaheke. Nie chcę nawet myśleć, co się z nimi stało.

- Wszyscy umarli. Nikt bez wody nie zdoła dotrzeć do Omaheke. Przeżyli tylko nieliczni Hererowie na północy.

- Dostaliśmy urlop. Twój ojciec i ja chcieliśmy się znaleźć jak najdalej od Windhuku. Ukradliśmy konie i uciekliśmy na południe. Nie bardzo pamiętam, któredy jechaliśmy, bo przez pierwsze dni byliśmy tak oglupiali, że ledwie wiedzieliśmy, jak się nazywamy. Pamiętam tylko, że jechaliśmy przez Kolmanskop i że tam czekała na twojego ojca depesza od von Trothy, który informował, że to koniec urlopu, i rozkazywał kapitanowi Reinerowi powrót do Windhuku. Twój ojciec potargał depeszę na strzępy i oświadczył, że nie ma zamiaru nigdzie wracać. To wszystko bardzo nim wstrząsnęło.

- Naprawdę to nim wstrząsnęło? - spytał Paul.

Nagel wychwycił niepokój w jego głosie i zrozumiał, że oto znalazł szparkę w zbroi przeciwnika.

- Obu nami wstrząsnęło. Nie mogliśmy się pozbierać. Jechaliśmy gdzie oczy poniosą, byle dalej od tych potworności. Pewnego ranka dotarliśmy do samotnego gospodarstwa w dolinie rzeki Oranje. Należało do niemieckich osadników i niech mnie diabli, jeśli ojciec tej rodziny nie był najgłupszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Przez teren posiadłości przepływał strumień i dzieci się żaliły, że pełno w nim kamyków, więc kiedy się kąpią, kaleczą sobie stopy. Tatuś więc wybrał kamienie ze strumyka i rzucił je na kupę za domem, „żeby wysypać nimi ścieżkę”, jak oznajmił. Tylko że to nie były zwykłe kamienie.

- Diamenty... - szepnął Paul. Mając za sobą trzy lata pracy w kopalniach, wiedział, iż taki błąd nieraz popełniano. Niektóre odmiany diamentów przed oszlifowaniem i wypolerowaniem były z wierzchu tak zanieczyszczone, że wiele nie znających się na tym osób myliło je ze zwykłymi półprzezroczystymi kryształami.

- Chłopie, były tam kamienie wielkości gołębih jaj. Mnóstwo mniejszych białych, był też różowy, taki duży - rzekł Nagel, wyciągając zaciśniętą pięść. - W tamtych czasach bez problemu w wodach Oranje znajdowało się diamenty, chociaż istniało ryzyko, że inspektorzy rządowi poczęstują cię kulką, jeśli będziesz się plątał za blisko terenów wydobywczych, tak że na rozstajach nie brakowało trupów rzekomych „złodziei diamentów”. W każdym razie w Oranje było co zbierać, ale nigdy nie widziałem takiej ilości jak w tamtym gospodarstwie. Nigdy.

- Co zrobił właściciel, jak się dowiedział, co ma?

- Mówiłem ci, że to był głupiec. W głowie miał tylko Biblię i te swoje uprawy, nikomu z rodziny nie pozwalał jeździć do miasta, nikt ich nie odwiedzał, tak że żyli z dala od

wszystkich, zupełnie odizolowani. I całe szczęście, bo gdyby ktoś tam trafił przed nami, zaraz by się zorientował, czym są te kamienie. Twój ojciec zobaczył stertę diamentów, kiedy nas oprowadzano po gospodarstwie, i szturchnął mnie w bok. W samą porę, bo niech mnie kule biją, już jak ostatni idiota otwierałem usta, żeby na głos powiedzieć, co widzę. Gospodarze serdecznie nas ugościli. W czasie kolacji twój ojciec był w podłym humorze. Oznajmił, że chce się wcześniej położyć, bo jest zmęczony. Gospodarze zaproponowali nam swoją sypialnię, ale kapitan zdecydowanie podziękował, oświadczył, że prześpiemy się w bawialni na derkach.

- Żeby niepostrzeżenie wyjść z domu w nocy.

- A jakże! Koło pieca stał wielki drewniany kufer, w którym gospodarze trzymali jakieś drobiazgi. Opróżniliśmy go, starając się nie robić hałasu. Potem wymknęliśmy się na tyły domu i wrzuciliśmy do kufra kamienie. Wierz mi, chociaż był naprawdę duży, zapelniliśmy go w trzech czwartych. Nakryliśmy skrzynię derką i ustawiliśmy na dwukółce, którą gospodarz jeździł do miasta po zaopatrzenie. Wszystko by poszło dobrze, gdyby nie cholerny pies, który się kręcił na podwórku. Kiedy zaprzęgliśmy swoje konie do dwukółki i ruszyliśmy, niechący najechaliśmy mu kołem na ogon. Niech to drzwi ścisną, ależ ten zwierzak zaskowyczał! Gospodarz wypadł z domu ze strzelbą w garści. Był wprawdzie głupcem, ale nie do końca. Na nic się zdały nasze mętne tłumaczenia wymyślone na gorąco: facet wyczuł pismo nosem. Twój ojciec musiał użyć broni, pistoletu, z którego teraz do mnie mierzysz, i strzelił mu w łeb.

- Łiesz - powiedział Paul. Snop światła latarki leciutko zadrzał.

- Nie, bracie. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie mówię prawdy. Rozprawił się z nim jednym strzałem, a ja zaraz pogoniłem konie, bo gospodyni z córkami wypadły na podwórko i podniosły krzyk. Wialiśmy stamtąd, jakby nas diabeł gonił. Nie ujechaliśmy nawet dziesięciu mil, jak twój ojciec kazał mi zatrzymać konie i zsiąść z wozu. Powiedziałem mu, że oszalał, i chyba się nie pomyliłem. Tyle się napatrzył na przemoc, tyle gorzałki wlał w siebie, że stał się cieniem człowieka, jakim był wcześniej. A zabicie tamtego gospodarza przepełniło czarę. W każdym razie on wtedy trzymał w garści pistolet, a ja swój straciłem którejś nocy spędzonej na pijaństwie, tak że powiedziałem sobie: do diabła z tym wszystkim, i zsiadłem z wozu.

- Co byś zrobił, gdybyś miał broń?

- Strzeliłbym do niego - odparł były marynarz bez zastanowienia. Teraz już wiedział, w jaki sposób może obrócić okoliczności na swoją korzyść. Musiał tylko zaczekać na właściwy moment.

- Mów dalej - rzekł Paul. W głosie nie miał już takiej pewności siebie.

- Nie bardzo wiedziałem, co zrobić, więc pomaszerowałem dalej tą drogą, która prowadziła do miasta. Twój ojciec odjechał o świcie. Zobaczyłem go znowu po południu. Pozbył się dwukółki, prowadził tylko nasze konie. Pomyślałem, że zakopał skrzynię w jakimś miejscu, o którym tylko on wie, i wrócimy po nią, kiedy wszystko się uspokoi.

- Nie ufał ci.

- Pewnie, że nie. I dobrze. Zjechaliśmy z drogi, bo baliśmy się, że żona i córki zabitego osadnika powiadomią kogoś o tym, co się stało, i ominęliśmy miasto. Kierowaliśmy się na północ, sypialiśmy pod gołym niebem, i to wcale nie za dobrze. Twój ojciec gadał i krzyczał przez sen. Nie mógł zapomnieć o tamtym gospodarzu. I tak dotarliśmy w końcu do Swakopmundu. Tam dowiedzieliśmy się, że obaj jesteśmy poszukiwani jako dezercerzy i że twojemu ojcu odebrano dowodzenie okrętem. Gdyby tak nie wyszło z tymi diamentami, twój ojciec pewnie by się zameldował w sztabie, baliśmy się jednak, że nas powiążą z tym, co się stało w dolinie Oranje, tak że wynieśliśmy się stamtąd. Unikaliśmy żandarmerii polowej jak ognia, żyliśmy jak włóczędzy, szukając statku do Niemiec. I jakoś nam się udało.

- I wtedy zjawiliście się u barona?

- Kapitan obsesyjnie pragnął wrócić do Afryki po skrzynię, ja zresztą też. Przez jakiś czas ukrywaliśmy się w pałacu. Twój ojciec opowiedział o wszystkim baronowi i baron oszalał zupełnie jak on. Domagał się, żeby mu powiedzieć, gdzie dokładnie ukryta jest skrzynia, ale twój ojciec odmówił. Baron był zrujnowany, nie miał dość pieniędzy, aby spełnić jego żądania, tak że ostatecznie kapitan podpisał dokument, na którego podstawie przekazywał mu dom, gdzie mieszkałeś z matką, i fabryczkę należącą do twoich rodziców. Baron miał sprzedać jedno i drugie, żeby zdobyć środki na pokrycie kosztów odnalezienia skrzyni. Ani twój ojciec, ani ja nie mogliśmy się tym zająć, bo w Niemczech też nas poszukiwano.

- A tej nocy, kiedy umarł... Co się wtedy wydarzyło?

- Doszło do burzliwej wymiany zdań. Dużo pieniędzy i cztery wściekłe osoby krzyczące na siebie. Twój ojciec oberwał kulkę w brzuch.

- Jak to się stało?

Clovis ostrożnie sięgnął po papierosy i zapalki. Wyjął ostatnią z pudełka i ostrożnie ją zapalił. Zaciągnął się papierosem, wydmuchując dym w snop światła latarki.

- Czemu tak bardzo się tym interesujesz, Paul? Czemu aż tak ci zależy na mordercy?

- Nie nazywaj tak mojego ojca!

Dobra... Podejdź bliżej.

- Nie? A jak byś nazwał to, cośmy zrobili w Waterbergu? Jak byś nazwał to, co twój

ojciec zrobił tamtemu osadnikowi? Powiedziałem ci przecież, że strzelił mu w głowę, o tu - rzekł Nagel, stukając się palcem w czoło.

- Przestań! - krzyknął rozzłoszczony Paul, podchodząc bliżej z prawą ręką uniesioną do uderzenia.

Lufa pistoletu na moment przestała celować w Clovisa, a Paul znalazł się dość blisko, by Nagel zobaczył jego twarz. Zręcznym ruchem pstryknął mu w oczy zapalonego papierosa. Paul się uchylił i cofnął o krok, instynktownie się osłaniając. Papieros nie uczynił mu żadnej krzywdy, dał natomiast czas Nagelowi, który rzucił się do ucieczki, rozpaczliwie stawiając wszystko na jedną kartę. Nie strzeli mi w plecy - pocieszał się.

- Stój, gnoju!

Paul pobiegł za nim. Plecy Nagela na przemian pojawiały się w świetle latarki i znikwały w ciemności, kiedy były marynarz co sił w nogach zmierzał ku tylnej części magazynu, aby wyjść drogą, którą jego prześladowca tu wszedł. Na końcu widział już przeszkłone drzwi poznaczone czarnymi smugami. Przyspieszył jeszcze bardziej i już miał pchnąć drzwi, gdy noga mu się powinęła na jakiejś nierówności, którą zostawili po sobie niegdysiejsi użytkownicy magazynu.

Poleciał na twarz. Próbował się podnieść, kiedy Paul go dopadł i przytrzymał za ubranie. Nagel się szarpnął, usiłując się oswobodzić i poderwać na nogi, lecz zachwiał się i poleciał na okno.

- Nie!... - krzyknął Paul, starając się go przytrzymać.

Walcząc o odzyskanie równowagi, Clovis wyciągnął rękę do Paula. Ledwie zdążył palcami musnąć jego dłoń, ale nie poradził sobie z przesuniętym środkiem ciężkości własnego ciała. Usmolona stara szyba pękła z trzaskiem i były marynarz wypadł przez okno, znikając w ciemności.

Rozległ się przeraźliwy krótki krzyk i suche uderzenie.

Paul wychylił się przez okno i skierował światło latarki w dół. Dziesięć metrów niżej ujrzał nieruchome ciało Nagela pośród rosnącej kałuży krwi, która wsiąkała w zaśmieconą uliczkę.

ROZDZIAŁ 47

JÜRGEN ZMARSZCZYŁ NOS, WCHODZĄC DO LECZNICY. TAK TU cuchnęło moczem i fekaliami, że nawet środki dezynfekcyjne nie mogły zabić zapachu.

Musiał zapytać kogoś o drogę, pierwszy raz bowiem przyszedł w odwiedziny do Ottona, odkąd oddali go tu przed jedenastoma laty. Rozparta za biurkiem pielęgniarka ze znudzoną miną czytała gazetę, zrzuciwszy z nóg białe chodaki. Na widok obersturmführera w mundurze jak spod igły poderwała się tak skwapliwie z wyciągniętą daleko przed siebie ręką, że wypadł jej z ust papieros, którego paliła. Nalegała, że osobiście doprowadzi go na miejsce.

- Nie boi się pani, że ktoś stąd ucieknie? - zapytał Jürgen, kiedy ruszyli naprzód, wskazując starców, którzy kręcili się bez celu w okolicy wejścia.

- To się zdarza, zwłaszcza jak wyjdę do łazienki. Ale to nic, człowiek z kiosku na rogu zwykle każe im wracać.

Dotarli do pokoju barona.

- Ma tu jak w niebie, herr obersturmführer - zapewniła pielęgniarka. - Nawet okno jest w pokoju. *Heil Hitler!* - zaszalutowała.

Jürgen niedbale odwzajemnił pozdrowienie rad, że kobieta wreszcie sobie pójdzie. Chciał przez chwilę pobyć sam.

Drzwi do pokoju były otwarte. W fotelu na kółkach przysuniętym do okna spał Otto. Strużka śliny ściekała mu na piersi, znacząc ciemniejszą plamą szlafrok i brudząc wiszący na złotym łańcuszku monokl, który wyglądał teraz, jakby miał pęknięte szkło. Jürgen wspomniał, jakże inny był Otto nazajutrz po zamachu stanu. I jaki był wściekły, że pucz się nie powiódł, chociaż osobiście nie przyłożył do niego ręki.

Jürgena natychmiast zatrzymano i przesłuchano, chociaż miał nosa i zanim jeszcze wszystko się skończyło, zdążył zmienić zakrwawioną brunatną koszulę na czystą i nie miał przy sobie żadnej broni palnej. Nie poniósł żadnej kary, zresztą wobec nikogo nie wyciągnięto konsekwencji. Tylko Hitler spędził dziewięć miesięcy w więzieniu.

Po wszystkim Jürgen wrócił do domu, ponieważ koszary SA zamknięto, a organizację rozwiązano. Przez kilka dni siedział zamknięty w swoim pokoju, nie zwracając uwagi na dopytywanie matki, która chciała się dowiedzieć, co zaszło u Ilsy Reiner, i rozważając, jak

wykorzystać list zabrany matce Paula.

Matce mojego brata - powtarzał sobie stropiony.

W końcu polecił wykonać kopie fotostatyczne listu, po czym pewnego dnia po śniadaniu jeden egzemplarz przekazał matce, a drugi ojcu.

- A cóż to jest, do diabła? - zdumiał się baron, biorąc kartki. Nie doczytawszy nawet do połowy, zerwał się na nogi, przewracając krzesło.

- Dobrze wiesz, Ottonie.

- Jürgen! Więcej szacunku! - zwróciła mu uwagę zgorszona matka.

- Odkąd to przeczytałem, nie czuję się zobowiązany okazywać mu szacunku.

- Gdzie oryginał? - zapytał Otto ochryplym głosem.

- W pewnym miejscu.

- Mów zaraz gdzie!

- Ani myślę. A to tylko część kopii. Pozostałe rozesłałem do gazet i na policję.

- Coś ty zrobił!? - krzyknął Otto, okrążając stół. Chciał podnieść pięść do uderzenia, lecz zrobił to jakby w zwolnionym tempie i zastygł w połowie ruchu. Jürgen i jego matka patrzyli oniemiała, jak baron opuszcza rękę bezwładnie, po czym bezskutecznie znowu próbuje ją podnieść.

- Nie mogę... Dlaczego nie mogę? - zdziwił się Otto.

Osunął się do tyłu, ściągając obrus ze śniadaniem. Talerze, filiżanki, cała zastawa poleciała na niego wraz z zawartością, lecz baron nie reagując, leżał na podłodze. W jadalni słychać było jedynie przeraźliwy krzyk służącej, która nadeszła właśnie z tacą świeżych grzanek.

Stojąc teraz w drzwiach pokoju Ottona, Jürgen nie mógł pohamować grymasu rozgoryczenia na wspomnienie swojej ówczesnej naiwności. Lekarz powiedział, że baron dostał apopleksji, która pozbawiła go mowy i władzy w nogach.

- Nie dziwi mnie to. Przecież ten człowiek nie znał umiaru. Nie sądzę, żeby pożył dłużej niż pół roku - oświadczył, składając instrumenty do skórzanej torby, dzięki czemu nie zauważył okrutnego uśmiechu, który na tę diagnozę przewinął się przez usta Jürgen.

I proszę, jedenaście lat minęło, a ty ciągle żyjesz.

Wszedł bezszelestnie, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw chorego. Wydawało się, że do pokoju wpada przyjemne światło, lecz było to tylko odbicie promieni słonecznych od białego nagiego muru budynku naprzeciwko, jedyne widoku, jaki baron miał z okna.

Jürgen znudzony czekaniem, aż Otto się obudzi, chrząknął kilkakrotnie. Baron najpierw zamrugał, potem w końcu uniósł głowę. Wlepił wzrok w gościa, ale nawet jeżeli się

zdziwił lub przestraszył, nie okazał tego. Jürgen powściągnął rozczarowanie.

- Wiesz co? - odezwał się. - Długo się starałem zyskać twoją akceptację, i to bardzo się starałem. Ale tobie w ogóle na mnie nie zależało. Dbałeś tylko o Eduarda.

Przerwał na chwilę, oczekując jakiejś reakcji, gestu, czegokolwiek. Na darmo - widział tylko to samo spojrzenie co wcześniej, uważne, lecz chłodne.

- Ogromnie mi ulżyło, kiedy się dowiedziałem, że nie jesteś moim ojcem. Okazało się nagle, że mogę nienawidzić parszywego rogacza, który przez całe życie mnie ignorował.

Zniewagi również nie wywołały żadnego efektu.

- Potem dostałeś tego ataku i wreszcie zostawiłeś mnie i matkę w spokoju. Ale i to, jak wszystko w swoim życiu, zrobiłeś połowicznie. Dałem ci dość sposobności, żebyś naprawił ten błąd, i od dawna się zastanawiam, jak się ciebie pozbyć. Zobacz tutaj... Jest ktoś, kto wybawi mnie z kłopotu.

Rozłożył gazetę, którą trzymał pod pachą. Podsunął ją otwartą baronowi na taką odległość, żeby dobrze widział tekst. I zaczął z pamięci recytować artykuł, który tyle razy nocą przeczytał, wyobrażając sobie chwilę, gdy pokaże go staremu.

ZIDENTYFIKOWANO ZWŁOKI

MONACHIUM (INF. WŁASNA).

Policja wreszcie zdołała zidentyfikować zwłoki nieznanego mężczyzny, które w ubiegłym tygodniu znaleziono w uliczce w sąsiedztwie dworca głównego. To były porucznik marynarki Clovis Nagel, na którym od roku 1904 wisiał wyrok sądu wojennego za dezercję w trakcie misji w Afryce Południowo-Zachodniej. Chociaż wrócił do kraju, posługując się fałszywym nazwiskiem, władze zdołały go zidentyfikować po tatuażach na torsie. Chwilowo nie są znane szczegółowo okoliczności jego śmierci. Jak informowaliśmy wcześniej, Nagel zginął w wyniku upadku z dużej wysokości, prawdopodobnie został wypchnięty z okna. Policja przypomina, że każdy, kto miał kontakt z Clovisem Nagelem, jest podejrzany, dlatego też prosi o niezwłoczny kontakt wszystkich, którzy dysponują jakimikolwiek informacjami.

- Paul wrócił. Czy to nie wspaniała wiadomość?

W oczach starego barona pojawił się strach. Widniał w nich ledwie chwilę, lecz Jürgen delektował się nim jak wielkim upokorzeniem, które wymaginał sobie w swoim

pokręconym umyśle.

Podniósł się i wszedł do łazienki. Wziął kubek i napełnił do połowy wodą z kranu, po czym na powrót zasiadł przed baronem.

- Dobrze wiesz, Otto, że teraz przyjdzie po ciebie. I jak sądzę, nie chcesz, żeby twoje nazwisko pojawiło się na pierwszych stronach gazet, prawda?

Dobył z kieszeni metalowe pudełeczko nie większe od znaczka pocztowego. Otworzył je, wyjął małą zieloną pastylkę i położył ją na stole.

- Powstał w SS nowy departament, który przeprowadza doświadczenia z tymi klejnocikami. Mamy rozsianych po całym świecie agentów, których zadaniem jest w stosownym momencie usuwać ludzi bezgłośnie i bezboleśnie - mówił, pomijając milczeniem fakt, że druga część jego wyjaśnień pozostaje na razie w sferze planów. - Oszczędź nam wstydu, Otto.

Wziął czapkę i nałożył na głowę. Przy drzwiach obejrzał się jeszcze. Widział, jak Otto wyciąga lewą rękę po pastylkę i ujmuje ją w palce z miną równie beznamietną jak podczas całej przemowy Jürgena. Następnie ręka powędrowała do ust tak wolno, że ruch był prawie niedostrzegalny.

Jürgen wyszedł. Przez chwilę bardzo go korciło, aby poczekać i zobaczyć widowisko, uznał jednak, że lepiej będzie wyrzec się tej uciechy, aby uniknąć potencjalnych problemów.

Od jutra służba będzie mnie tytułowała baronem von Schroederem. A kiedy mój brat się zjawi w poszukiwaniu odpowiedzi, będzie musiał pytać mnie.

ROZDZIAŁ 48

PAUL DOPIERO DWA TYGODNIE PO ŚMIERCI NAGELA ODWAŻYŁ SIĘ wyjść na ulicę, pragnąc oderwać myśli od ostatnich wydarzeń.

Odgłos ciała marynarza uderzającego o ziemię rozbrzmiewał mu w głowie ponurym echem przez cały czas, gdy siedział zamknięty w pokoju wynajętym w pensjonacie w Schwabingu. Szukał pensjonatu, w którym mieszkał ongiś z matką, lecz teraz stała tam czynszówka.

Nie tylko to się zmieniło w Monachium w czasie, kiedy Paula tu nie było. Ulice były czystsze, na rogach nie wystawiali bezrobotni. Zniknęły kolejki przed kościołami i urzędami zatrudnienia. Po chleb ludzie już nie szli z walizką niewiele wartych pieniędzy. Skończyły się krwawe bójkę w gospodach. Wielkie słupy ogłoszeniowe ustawione na głównych ulicach informowały o zupełnie innych sprawach. Niegdyś wisiały na nich zawiadomienia o wiecach, płomienne odezwy i dziesiątki listów gończych opatrzone nagłówkiem „Poszukiwany za rabunek”. Teraz oblepiano je głównie komunikatami o niegroźnych zebraniach kółek ogrodniczych.

W miejsce niegdyśszych złowróźbnych zapowiedzi Paul oglądał zgoła inne obrazki. Co rusz się natykał na grupki młodzieży z czerwonymi opaskami ze swastyką. Na ich widok przechodzień obowiązyany był wznosić wyprostowaną rękę i wykrzykiwać „*Heil Hitler!*”, jeśli nie chciał, by członkowie patrolu straży obywatelskiej klepnęli go w ramię i zagrozili, że zabiorą z sobą. Nieliczni woleli się chować po bramach, aby uniknąć salutowania, tyle że to nie zawsze było możliwe, w końcu więc każdy wcześniej czy później podnosił rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

Ludzie wszędzie ostentacyjnie obnosili znak „czarnego pajaka”, swastyki - czy to w formie szpilki do krawata, czy bransoletki, czy wreszcie chusty na szyi. Na przystankach tramwajowych i w kioskach sprzedawano je razem z biletami i gazetami. Ten patriotyczny zapal nabrał rozmachu, odkąd pod koniec czerwca dziesiątki przywódców SA wymordowano nocą „za zdradę ojczyzny”. Tym samym Hitler przesłał społeczeństwu dwa komunikaty: że nikt nie powinien czuć się bezpieczny i że w Niemczech rządzi tylko on. Od tej pory każdy chodził ze strachem widocznym na twarzy, aczkolwiek wielu starało się go ukryć.

W drodze do miasta Paulowi ulżyło na chwilę, zaabsorbowały go bowiem myśli o tym, jaką drogą kroczą teraz Niemcy.

- Chce pan szpilkę do krawata? - zagadnął jakiś wyrostek, obrzuciwszy go wzrokiem z góry na dół. Niósł szeroką skórzaną taśmę, w którą miał wpięte różne modele ozdób, od orła trzymającego faszystowski znak po prostą swastykę.

Paul pokręcił głową i szedł dalej.

- Zaleca się noszenie jakiejś odznaki. To wyraźny sygnał, że popiera się ukochanego Führera - nalegał chłopak, biegnąc parę kroków z tyłu. Widząc, że Paul nie da się namówić, pokazał mu język i zaczął się rozglądać za nową ofiarą.

Prędzej umrę, nim przypnę coś takiego, pomyślał Paul.

Niestety, znowu poczuł rozgorączkowanie i nerwowość bez ustanku go dręczące od śmierci Nagela. Opowieść człowieka, który był adiutantem jego ojca, obudziła w nim wiele wątpliwości odnoszących się nie tylko do dalszych poszukiwań, lecz zwłaszcza do ich charakteru. Jeśli bowiem wierzyć Nagelowi, Hans Reiner nie tylko wiódł mało chwalebne zakłamanie życie, ale jeszcze dopuścił się zbrodni dla pieniędzy.

Odrażający były porucznik przestał być godnym zaufania informatorem. Mimo to historia, którą się z Paulem podzielił, nie klóciła się z ponurą nutą, jaka zawsze pobrzmiwała Paulowi w duszy, ilekroć myślał o zupełnie nieznanym mu ojcu.

Obserwując sielski, promienny i rzetelnie budowany koszmara, w jakim entuzjastycznie pogrążyli się Niemcy, Paul się zastanawiał, czy jemu uda się wyzwolić kiedyś spod władzy dręczących go własnych zmór.

W zeszłym tygodniu skończyłem trzydzieści lat - rozmyślał z goryczą, idąc nabrzeżem Izary, gdzie na każdej niemal ławce siedziała para zakochanych - co oznacza, że jedną trzecią życia zmarnowałem na poszukiwanie prawdy o ojcu, który chyba nie zasługiwał na taki wysiłek. Porzuciłem ukochaną kobietę, a w zamian czekały mnie tylko wyrzeczenia i smutek.

Być może ilekroć śnił na jawie, idealizował Hansa, odczuwał bowiem potrzebę skompensowania sobie ponurej prawdy, którą wyczuwał skrytą za milczeniem Ilsy.

Kiedy to sobie uświadomił, zrozumiał, że raz jeszcze czeka go pożegnanie z Monachium. W głowie miał tylko jedno: pragnął rzucić to wszystko, wyjechać z Niemiec i wrócić do Afryki, gdzie nie był wprawdzie szczęśliwy, ale odnalazł przynajmniej część swojej duszy.

Tylko że tak daleko już zaszedłem... Jakże miałbym z tego teraz zrezygnować?

Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, co dalej począć. Śmierć Nagela nie dość, że obróciła wniwecz jego nadzieje, to jeszcze pozbawiła go jedynej pewnej drogi wiodącej do

prawdy. Ogromnie żałował, że matka nie miała do niego więcej zaufania, ponieważ być może żyłaby dotąd.

Mógłbym odszukać Jürgena, pogadać z nim o tym, co matka mi powiedziała przed śmiercią... Może on wie coś więcej.

Po chwili odrzucił również ten pomysł. Wystarczająco dobrze znał von Schroederów, miał zatem świadomość, że najprawdopodobniej Jürgen nadal go darzy nienawiścią za to, co się stało w wozowni węglarza, i za utratę oka. Wątpił, by czas złagodził charakter kuzyna. A gdyby nie przynosząc żadnych dowodów, powiedział mu, że ma powody przypuszczać, iż są braćmi, reakcja Jürgena byłaby z pewnością straszna. Nie lepszymi rozmówcami na ten temat byłiby wuj i ciotka. Nie, zabrnąłby w ślepy zaułek.

To koniec. Wyjeżdżam.

Wędrując przed siebie bez celu, dotarł do Marienplatzu. Postanowił, że po raz ostatni odwiedzi Sebastiana Kellera, zanim opuści miasto na zawsze. Kierując się do księgarni, zastanawiał się, czy nadal funkcjonuje czy też przeciwnie, jej właściciel, podobnie jak tylu innych jemu podobnych drobnych przedsiębiorców, padł ofiarą kryzysu lat dwudziestych.

Jego obawy okazały się nieuzasadnione. Lokal prezentował się jak zawsze, czysto i schludnie, z przestronnymi regałami wypełnionymi klasyką troskliwie dobranej niemieckiej poezji. Nie ociągając się, Paul wszedł do środka i zaraz z zaplecza wyłonił się Keller, który wyglądał tak samo jak w roku 1923, kiedy go poznał.

- Paul! Dobry Boże, co za niespodzianka!

Księgarz podszedł i uściśnął mu rękę z ciepłym uśmiechem na twarzy. Upływ czasu ledwie odcisnął na nim ślad. Włosy mu posiwiały, okulary miał nowe, w złotej oprawce, wokół oczu przybyło zmarszczek, lecz poza tym tchnął taką samą jak dawniej spokojną mądrością.

- Dzień dobry.

- Jakże się cieszę, Paul! Gdzieś ty się podziewał przez tyle czasu? Myśleliśmy, że przepadłeś na dobre... Czytałem w gazetach o pożarze pensjonatu i obawiałem się, że ty również w nim zginąłeś. Mogłeś napisać!

Zawstydzony nieco Paul przeprosił, że przez tyle lat nie dał znaku życia. Keller wbrew swoim zwyczajom zamknął księgarnię i zabrał Paula na zaplecze, gdzie przy herbacie przegadali kilka godzin, wspominając stare dobre czasy. Paul opowiadał o swoich afrykańskich wędrowniach, o rozmaitych zajęciach, których się imał, o spotkaniach z ludźmi odmiennej, jakże osobliwej kultury.

- Przeżyłeś prawdziwe przygody... Teraz twój ulubiony Karol May chciałby być w

twojej skórze.

- Pewnie tak... Chociaż w powieściach wszystko przebiega inaczej - rzekł Paul z gorzkim uśmiechem, myśląc o tragicznym końcu Nagela.

- A co z masonerią, Paul? Utrzymywałeś w tym czasie kontakty z jakąś lożą?

- Niestety, nie.

- Cóż, koniec końców porządek jest sednem naszego stowarzyszenia. Na szczęście dziś wieczorem mamy posiedzenie. Musisz przyjść, nie chcę słyszeć odmowy. Będziesz mógł podjąć swoje zajęcia tam, gdzie je przerwałeś - powiedział Keller, poklepując go po plecach.

Paul nie mógł się wyłgać. Obiecał, że przyjdzie.

ROZDZIAŁ 49

KIEDY PAUL TEGO WIECZORU ZNALAZŁ SIĘ W ŚWIĄTYNI, znowu opanowało go wrażenie wymuszonej sztuczności i nudy, które odczuł przed laty, gdy po wtajemniczeniu uczestniczył w posiedzeniach loży. W pomieszczeniu tłoczyło się ponad sto osób.

W stosownej chwili Keller, nadal Wielki Mistrz Loży Wschodu, podniósł się i przedstawił Paula braciom wolnomularzom. Wielu go znało, lecz co najmniej dziesięciu nowych członków powitało go po raz pierwszy.

Wyjawszy chwilę, kiedy Keller zwrócił się do niego bezpośrednio, Paul przez większą część posiedzenia był nieobecny duchem. Już pod sam koniec jeden z najstarszych braci - niejaki Furst - wstał, proponując temat, którego nie uwzględniał porządek dnia.

- Czcigodny Wielki Mistrzu, rozmawialiśmy z grupą braci na temat obecnej sytuacji.

- Co masz na myśli, bracie?

- Niepokojący cień nazizmu, który zawisł nad masonerią.

- Bracie, znasz zasady. W świątyni nie rozmawiamy o polityce.

- Ale zgodzisz się ze mną, czcigodny Wielki Mistrzu, że wieści, które dochodzą z Berlina i Hamburga, są niepokojące. Wiele łóż dobrowolnie się tam rozwiązało. A u nas, w Bawarii, nie została ani jedna obediencja rytu pruskiego.

- Czyżbyś postulował rozwiązanie tej loży, bracie?

- W żadnym razie. Uważam jednak, że należałoby przedsięwziąć takie kroki, na jakie się zdecydowały inne loże, żeby zapewnić sobie przetrwanie.

- Mianowicie?

- W pierwszym rzędzie zerwać więzy z lożami spoza Niemiec.

Po tych słowach wśród zgromadzonych rozległy się szmery. Masoneria tradycyjnie była stowarzyszeniem międzynarodowym, a loża tym większym cieszyła się poważaniem, z im większą liczbą łóż na świecie utrzymywała kontakty.

- Proszę o ciszę. Kiedy brat Furst skończy, inni będą mogli wyrazić zdanie na ten temat.

- Po drugie, zmienić nazwę. Loże w Berlinie już to zrobiły. Teraz są częścią Zakonu Rycerzy Świątyni.

Te słowa wywołały nową falę pomruków. Zmiana nazwy loży! Ależ to niedopuszczalne!

- I po trzecie wreszcie, uważam, że z wszelkimi honorami powinniśmy wyprosić z loży braci, których pochodzenie może być dla nas wszystkich zagrożeniem.

- O których braci chodzi?

Furst wyraźnie zakłopotany odchrząknął, zanim rzekł:

- Braci Żydów, ma się rozumieć.

Zaskoczony Paul zerwał się z miejsca. Zamierzał poprosić o głos, lecz w świątyni podniósł się nieopisany zgłęb pomieszanych krzyków i złorzeczeń. Wrzawa trwała kilka minut, każdy chciał coś powiedzieć, chociaż nikt tego nie słuchał. Keller musiał kilkakrotnie walnąć w pulpit młotkiem, który służył do miarkowania braci podczas spotkań, rzadko jednak był używany.

- Cisza! Spokój! Albo będziemy mówili po kolei, albo rozwiążę posiedzenie!

Kiedy oburzeni bracia nieco ochłonęli, głos zaczęli zabierać kolejni mówcy opowiadający się za propozycją Fursta albo przeciwko niej. Paul liczył zwolenników obydwu opinii i z wielkim zaskoczeniem stwierdził, że dzielą się równo po połowie. Próbował wymyślić coś, co przemówiłoby tym ludziom do rozumu i przeważało szalę. Nic mu nie przyszło do głowy, czuł wszakże przemożną potrzebę wyrażenia, jak szkodliwe jest to, co słyszy.

W końcu Keller wskazał na niego. Paul wstał.

- Bracia, pierwszy raz przemawiam w loży - zaczął - i niewykluczone, że ostatni. W osłupieniu słuchałem debaty, którą wywołała propozycja brata Fursta, i nie wasze opinie mnie przeraziły, lecz po prostu fakt, że w ogóle się nad nimi rozwodzimy.

Rozległ się pomruk aprobaty.

- Nie jestem Żydem. W moich żyłach płynie aryjska krew, a przynajmniej tak sądzę. W gruncie rzeczy nie bardzo jestem pewien, kim jestem i od kogo się wywodzę. Wstąpiłem do tego szacownego stowarzyszenia, idąc śladem ojca i nie oczekując niczego ponad poszukiwanie własnej tożsamości. Okoliczności życia sprawiły, że długo byłem daleko od was, ale nie wyobrażałem sobie, że kiedy wrócę, wszystko będzie takie inne. W tych murach z założenia mamy poszukiwać oświecenia. Czy możecie mi wytłumaczyć, bracia, odkąd to nasze stowarzyszenie słusznie bądź niesłusznie wyklucza ze swego grona ludzi z powodów innych niż ich czyny?

Znowu przez salę przebiegł szmer aprobaty. Paul zobaczył, że Furst wstaje z miejsca.

- Spędziłeś dużo czasu daleko stąd, bracie, i nie masz pojęcia, co się dzieje w

Niemczech.

- Zgadza się. Żyjemy w niepewnych czasach. Ale właśnie w takich czasach powinniśmy silniej niż zwykle trzymać się swoich przekonań.

- Przecież tu chodzi o przetrwanie łoży!

- Owszem, ale dzięki komu łoża się stała tym, czym jest obecnie?

- Jeśli o to...

- Bracie, jeżeli idąc przez pustynię, zauważysz, że słońce praży coraz mocniej, a w manierce ubywa wody, czy nasikasz do niej, żeby się nie skończyła?

W świątyni gruchnął śmiech. Furst gotował się ze złości, mając świadomość, że przegrał.

- I pomyśleć, że to mówi wyrodny syn dezertera! - krzyknął gniewnie.

Paul z godnością przyjął ten cios. Tylko na oparciu ławy, które miał przed sobą, ręce zacisnął tak mocno, aż palce mu pobieleły.

Muszę nad sobą panować, inaczej on wygra.

- Czcigodny Wielki Mistrzu, czy pozwolisz, żeby brat Furst przekształcił moje wystąpienie w przrzucanie się słowami?

- Brat Reiner ma słuszość. Przestrzegajmy zasad debaty.

Furst kiwnął głową z szerokim uśmiechem, który kazał Paulowi mieć się na baczności.

- Z największą przyjemnością. I wobec tego proszę odebrać głos bratu Reinerowi.

- Co?... Niby dlaczego? - zdumiał się Paul, starając się nie podnosić głosu.

- Czy zaprzeczysz, że tylko przez kilka miesięcy uczestniczyłeś w posiedzeniach łoży, zanim zniknąłeś na długie lata?

Paula obleciał strach.

- Nie, ale...

- W takim razie - wpadł mu w słowo Furst - nie uzyskałeś stopnia czeladnika i nie masz prawa odzywać się na posiedzeniach.

- Od ponad jedenastu lat jestem uczniem. Stopień czeladnika uzyskuje się automatycznie po trzech latach.

- Owszem, lecz pod warunkiem, że regularnie bierzesz udział w pracach łoży. W przeciwnym razie za mianowaniem musi się opowiedzieć większość braci. Dlatego właśnie nie możesz zabierać głosu w tej dyskusji - wyjaśnił Furst, nie mogąc ukryć satysfakcji.

Paul rozejrzał się wokół w poszukiwaniu wsparcia. Wszyscy spoglądali nań w milczeniu. Nawet Keller, który jak się zdawało, w pierwszej chwili chciał mu pomóc, teraz się nie odzywał.

- W porządku - odezwał się Paul. - Jeśli takiego ducha mamy w sobie rozwijać, to ja rezygnuję z przynależności do loży.

Wyszedł z ławy i zbliżył się do podwyższenia, które zajmował Keller. Zdjął wolnomularski fartuch i rękawiczki i rzucił wszystko na ziemię.

- Przestałem być dumny z tych symboli.

- Ja też!

Jeden z obecnych, niejaki Joachim Hirsch, podniósł się z miejsca. Hirsch jest Żydem, przypomniał sobie Paul. On także rzucił swoje symbole na ziemię przy podwyższeniu.

- Nie będę czekał, aż odbędzie się głosowanie, czy mam być wykluczony z loży, do której należałem dwadzieścia lat. Odchodzę sam - oświadczył, stając obok Paula.

Na te słowa wielu braci się podniosło. W większości byli Żydami, chociaż nie wszyscy, co z zadowoleniem spostrzegł Paul. Nim upłynęła minuta, ponad trzydzieści fartuchów utworzyło stosik na ułożonych w szachownicę marmurowych płytach pośród rozgardiaszu, jaki zapanował w świątyni.

- Dosyć! - zawołał Keller, waląc młotkiem i bezskutecznie usiłując przekrzyczeć gwar.

- Gdyby nie funkcja, którą tu pełnię, ja również zrzuciłbym fartuch. Uszanujmy tych, którzy podjęli taką decyzję.

Grupa dysydentów zaczęła opuszczać świątynię. Paul wyszedł jako jeden z ostatnich - z podniesioną głową, niemniej przepełniony smutkiem. Chociaż nigdy nie czuł się dobrze pośród masonów, ubolewał, że grupa inteligentnych wykształconych osób rozpadła się pod wpływem strachu i braku tolerancji.

W milczeniu doszedł do sieni. Część dysydentów skupiła się w grupkę, większość jednak zabrała kapelusze i wychodzili kolejno na ulicę po dwóch, trzech, by nie zwracać na siebie uwagi. Paul wziął swoje nakrycie głowy i już miał także wyjść, gdy ktoś dotknął jego ramienia.

- Pozwoli pan, że uścisknę mu dłoń - rzekł Hirsch, ten, który zaraz po Paulu zrzucił fartuch. - Dziękuję, że dał pan przykład, bo sam bym się nie odważył.

- Nie ma za co dziękować. Zareagowałem tylko na niesprawiedliwość, ot co.

- Oby więcej było takich jak pan, Reiner. Może wtedy Niemcy nie byłyby takim krajem. Miejmy nadzieję, że to tylko przejściowe.

- Ludzie się boją - powiedział Paul, wzruszając ramionami.

- Trudno się dziwić. Od trzech czy czterech tygodni Gestapo może działać pozasądowo.

- To znaczy?

- W praktyce mogą zatrzymać każdego za „podejrzany krok”.

- Przecież to absurd! - rzekł osłupiały Paul.

- Ale tak jest - wtrącił jeden z mężczyzn oczekujących na swoją kolej do wyjścia. - Po kilku dniach rodzina otrzymuje zawiadomienie o aresztowaniu.

- Albo zostaje wezwana, żeby zidentyfikować zwłoki - dodał inny ponuro. - Tak się stało z jednym moim znajomym, a lista wciąż się wydłuża. Krickstein, Cohen, Tannenbaum...

Kiedy padło ostatnie nazwisko, Paulowi serce zabiło mocniej.

- Zaraz! Powiedział pan: Tannenbaum? Który Tannenbaum?

- Josef Tannenbaum, przedsiębiorca. Zna go pan?

- Trochę. Można powiedzieć, że jestem... przyjacielem rodziny.

- W takim razie z przykrością informuję, że Josef Tannenbaum nie żyje. Pogrzeb odbędzie się jutro przed południem.

ROZDZIAŁ 50

- NA POGRZEBACH POWINNO OBOWIĄZKOWO PADAĆ - ZAUWAŻYŁ Manfred.

Alys nie odpowiedziała. Ścisnęła mu tylko mocno rękę.

Ma rację - pomyślała, rozglądając się dokoła. Białe nagrobki jaśniały w porannym słońcu, stwarzając nastrój spokoju, który nijak nie współgrał z jej stanem ducha.

Alys, która tak słabo rozeznawała się w swoich emocjach i tak często padała ofiarą owego braku rozeznania, nie była w stanie określić, jak właściwie się czuje. Całą sobą nienawidziła ojca nieprzerwanie od czasu, gdy przed piętnastu laty kazał jej i Manfredowi wrócić do domu z Ohio. Jej nienawiść przybierała rozmaite odcienie. Najpierw zabarwiona była wściekłością dorastającej panienci rozzłoszczonej, że została do czegoś zmuszona. Później doszła do tego pogarda, kiedy Alys w całej okazałości ujrziała swego ojca jako chciwego egoistę, przedsiębiorcę gotowego na wszystko dla pieniędzy. Następnie była skrywana lękliwa nienawiść kobiety, która się obawia, że ją zamienią w przedmiot, dodatek.

Kiedy wysłannicy ojca schwytali ją owej feralnej nocy w roku 1923, nienawiść do ojca przybrała formę zimnej wrogości. Alys, okaleczona emocjonalnie po zerwaniu z Paulem, odnosiła się do ojca ozięble, sprowadziwszy uczucia do poziomu stricte racjonalnego. O n kogoś takiego jak o n najlepiej było tak właśnie nazywać, ponieważ wtedy trochę mniej bolało - był chory. O n nie rozumiał, że musiała być wolna, by żyć własnym życiem. O n chciał ją wydać za kogoś, kim gardziła.

O n zamierzał zabić dziecko, które nosiła w łonie.

Alys jak lwica musiała o nie walczyć. Ojciec obrzucał ją zniewagami, nazywając wstrętną zdzirą i jeszcze gorzej.

- Nie urodzisz bękarta! Baron nigdy się nie zgodzi, żeby ciężarna dziwka została żoną jego syna!

Tym lepiej, pomyślała wtedy Alys. Zamknęła się w sobie, kategorycznie odmówiła aborcji i zakomunikowała zgorzonym służącemu, że jest w ciąży.

- Mam teraz świadków. Jeżeli z twojej winy stracę dziecko, doniosę na ciebie, draniu - oznajmiła ze spokojem i pewnością siebie, jakich nigdy jeszcze nie czuła.

- Dziękuję niebiosom, że twoja matka nie żyje i nie musi oglądać, t a k i e j córki.

- Czyli jakiej? Przez własnego ojca sprzedawanej temu, kto da więcej?

Josef, mając związane ręce, musiał się udać do rezydencji von Schroederów i wyjawić prawdę. Baron z żałośnie nieszczerym ubolewaniem stwierdził, że w tych okolicznościach ich umowa musi zostać rozwiązana.

Alys nigdy więcej nie rozmawiała z Josefem od owego feralnego popołudnia, kiedy ze spotkania z niedoszłym swatem wrócił przepelniony urazą i upokorzeniem. Godzinę po jego powrocie Doris, gospodyni Tannenbaumów, powiadomiła ją, że ma natychmiast opuścić dom.

- Pan pozwala zabrać walizkę ubrań, jeśli panna potrzebuje - rzekła z naciskiem w głosie, który jasno wskazywał, co ona o tym myśli.

- Podziękuj panu w moim imieniu, ale nic od niego nie potrzebuję - odparła Alys.

Ruszyła w stronę drzwi, przed wyjściem jednak powiedziała jeszcze do gospodyni:

- Aha, Doris, mam prośbę: bądź tak dobra, nie kradnij walizki i nie mów potem, że ją zabrałam, jak zrobiłaś kiedyś z pieniędzmi, które ojciec zostawił na umywalce.

Te słowa całkowicie obnażyły zakłamanie okazywane wszem wobec przez gospodynię. Policzki jej poczerwieniały, zaczęła ciężko dyszeć.

- Ależ zapewniam, że...

Alys zatrzasnęła za sobą drzwi, nie słuchając reszty.

Chociaż była samiuteńka, chociaż miała za sobą trudne przeżycia, chociaż z minuty na minutę rosła w niej istota, za którą była odpowiedzialna, wspomnienie zmieszania Doris wywołało uśmiech na twarzy Alys Tannenbaum. Pierwszy uśmiech, odkąd Paul ją zostawił.

A może to ja go zmusiłam, żeby mnie zostawił?

Przez następne jedenaście lat próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Kiedy Paul się pojawił na cmentarzu, idąc wysadzaną drzewami aleją, odpowiedź przyszła sama.

Alys patrzyła, jak się zbliża i staje na uboczu, gdy ksiądz odczytywał responsorium żałobne. Zupełnie zapomniała o kilkunastu osobach, które otaczały trumnę zawierającą jedynie urnę ze spopielonymi szczątkami Josefa. Zapomniała, że prochy otrzymała pocztą wraz z notatką Gestapo informującą, że jej ojciec został aresztowany za wichrzycielstwo i zabity podczas „próby ucieczki”. Zapomniała, że chowa go pod krzyżem, a nie pod gwiazdą Dawidową, ponieważ umarł jako katolik w kraju katolików, którzy głosowali na Hitlera. Zapomniała o własnym wstydzie i strachu, ponieważ zagościło w niej przekonanie, że Paul objawia się jej niczym latarnia pośród sztormu.

To była moja wina. To ja ciebie zostawiłam, Paul. Ukryłam przed tobą prawdę i nie pozwoliłam ci dokonać wyboru. I niech cię diabli!, jestem w tobie zakochana tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam piętnaście lat temu w śmiesznym fartuchu kelnera.

Chciała do niego biec, lecz wydało jej się, że jeśli to zrobi, może go stracić na zawsze. I chociaż bardzo dojrzała, odkąd została matką, złocone kajdany dumy wciąż jeszcze pętały jej nogi.

Muszę podejść do niego powoli. Muszę się dowiedzieć, gdzie był, co porabiał. Jeśli jeszcze coś do mnie czuje...

Obrzęd pogrzebowy dobiegł końca. Manfred i Alys przyjmowali kondolencje od żałobników. Ostatni podszedł Paul z rezerwą w spojrzeniu.

- Witam. Dziękuję za przyjście - podając mu dłoń, rzekł Manfred, który nie poznał Paula.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - rzekł Paul, przysuwając się, aby go uściskać.

- Znał pan mojego ojca?

- Trochę. Jestem Paul Reiner.

Manfred wypuścił dłoń Paula, jakby go sparzyła, i spojrzał mu w twarz. Chociaż był niższy i szczuplejszy, sprawił, że zaskoczony Paul cofnął się o kilka kroków.

- Czego tu szukasz? Myślisz, że możesz wrócić do jej życia jakby nigdy nic? Jakby nie było tych jedenastu lat, kiedy nie dawałeś znaku życia?

- Napisałem dziesiątki listów, ale na żaden nie dostałem odpowiedzi - bronił się zmieszany Paul.

- To nie zmienia faktu, że zrobiłeś, co zrobiłeś.

Nie mów tego! - zawołała Alys w duchu.

- W porządku, Manfred - wtrąciła, kładąc dłoń na ramieniu brata. - Wracaj do domu.

- Na pewno? - zapytał, zerkając z ukosa na Paula.

- Tak - skłamała.

- Dobra. Pójdę zobaczyć, co słychać...

- Świetnie - wpadła mu w słowo. - Ja też niedługo przyjdę.

Manfred, obrzuciwszy jeszcze Paula pełnym urazy spojrzeniem, nałożył kapelusz i odszedł. Milcząca Alys z Paulem u boku ruszyła wolnym krokiem alejką. Na krótką tylko chwilę popatrzyła mu w oczy, lecz tak intensywne było to spojrzenie, że aż bolesne. Nie była gotowa na powtórzenie tego, wołała zatem iść przed siebie, aby nie musieć krzyżować z nim wzroku.

- A więc wróciłeś.

- Przyjechałem w zeszłym tygodniu. Miałem trop, ale prowadził donikąd. Wczoraj spotkałem kogoś, kto znał twojego ojca i powiedział mi, co się stało. Mam nadzieję, że przez te lata udało wam się zbliżyć.

- Czasami najlepiej utrzymać dystans.

- Rozumiem.

Czemu to powiedziałam? Gotów pomyśleć, że to się odnosi do niego. Ale nie mogę go przecież wyprowadzić z błędu... Co mam teraz powiedzieć?

- A jak twoje podróże? Znalazłeś to, czego szukałeś?

- Nie.

Do diabła, powiedz, że popełniłeś błąd, wyjeżdżając! Powiedz, że się pomyliłeś, ja wyznam swoje błędy, aż do ostatniego, i znowu się do ciebie przytulę. Powiedz to!

- W gruncie rzeczy postanowiłem, że dam sobie z tym spokój - ciągnął Paul. - Zabrnąłem w ślepią uliczkę, nie mam żadnych tropów ani wyboru. Nie mam rodziny, nie mam pieniędzy, nie mam pracy, nie mam nawet kraju, do którego mógłbym wrócić, bo ten kraj to już nie są moje Niemcy.

Alys przystanęła i pierwszy raz popatrzyła na niego z bliska. Zdziwiła się, że tak nieznacznie zmieniła mu się twarz. Rysy mu stwardniały, oczy miał podkrążone, zmęśniał, lecz był tym samym Paulem. Jej Paulem.

- Naprawdę do mnie pisałeś?

- Wiele razy. Wysyłałem listy do pensjonatu i na adres twojego ojca.

Jeszcze jedno zawdzięczam ojcu.

- I co teraz? Co zrobisz? - spytała, nie mogąc zapanować nad drżeniem ust i głosu. Być może jej ciało przesyłało sygnały, których Alys nie potrafiła wyrazić i które przynajmniej w części dotarły tam, gdzie były skierowane, w każdym razie odpowiedź Paula również była nacechowana emocjonalnie.

- Zastanawiałem się nad powrotem do Afryki. Ale jak usłyszałem, co spotkało twojego ojca, pomyślałem, że...

- Że?

- Nie zrozum mnie źle, jednak wolałbym pogadać z tobą spokojnie, bez pośpiechu, opowiedzieć ci o tym, co się działo przez te lata.

- To nie jest dobry pomysł - rzekła Alys z przymusem.

- Alys, wiem, że nie mam prawa wchodzić w twoje życie ot tak, bo mi się zachciało. Widzisz... źle zrobiłem, że wtedy odszedłem, to był straszny błąd i bardzo mi wstyd. Dużo

mnie kosztowało uświadomienie sobie tego i proszę tylko, żebyś zgodziła się pójść ze mną któregoś dnia na kawę.

A gdybym ci powiedziała, że masz syna, Paul? Cudownego chłopca o jasnych włosach i oczach błękitnych jak twoje, upartego jak jego ojciec? Co byś wtedy zrobił, Paul?... A gdybym cię dopuściła do naszego życia, ale nie wyszłoby nam? Choć tak bardzo cię pragnę, choć ciałem i duszą chciałabym być z tobą, nie mogę pozwolić, żebyś go skrzywdził.

- Potrzebuję czasu na zastanowienie.

Uśmiechnął się i wokół oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki, których Alys nie znała.

- Będę tutaj - powiedział, podając jej karteczkę. - Zaczekam, ile będzie trzeba.

Kiedy Alys brała karteczkę, ich palce się musnęły.

- W porządku. Ale niczego nie obiecuję. A teraz idź już.

Paula zabolalo tak nieoczekiwane pożegnanie, niemniej odszedł bez słowa.

Gdy zniknął w głębi alejki, Alys modliła się gorąco, aby się nie obejrzał i nie zauważył, jak ona bardzo drży.

ROZDZIAŁ 51

- PROSZĘ, PROSZĘ. WYGLĄDA NA TO, ŻE SZCZUR POŁKNAŁ przynętę - powiedział Jürgen, ustawiając ostrość w lornetce. Z tego miejsca, z pagórka odległego o osiemset metrów od grobu Josefa Tannenbauma, widział go tylko z profilu w kolejce osób pragnących złożyć kondolencje rodzinie, lecz poznał natychmiast. - Miałem rację, Adolf.

- Miał pan rację - przyznał nieco podenerwowany Eichmann. Wyraźnie czuł się speszony takim odstępstwem od programu. Przez ostatnie pół roku pracował z Jürgenem i w tym czasie von Schroeder zdołał spenetrować rozmaite loże, wykorzystując świeżo odziedziczony tytuł, ujmującą powierzchowność i fałszywe listy polecające wystawione przez Lożę Pruskiej Szpady. Jej Wielki Mistrz, gorliwy nacjonalista i znajomy Heydricha, z całego serca popierał nazistów. Bez cienia skrupułów nadał Jürgenowi stopień mistrza i na szybko go przeszkolił, aby uchodził za doświadczonego masona. Następnie zaopatrzył go w osobisty list do Wielkich Mistrzów innych obediencji humanitarnych, usilnie prosząc o współpracę w celu „uciszenia bieżącej sytuacji politycznej”.

Jürgen co tydzień gościł w innej loży i uciekając się do różnych sztuczek i wybiegów, zdołał przez ten czas sporządzić listę ponad trzech tysięcy członków łóż. Heydricha wielce radowały takie postępy, Eichmanna zresztą także, co tydzień bowiem bliższe ziszczenia widział swoje marzenie, by uciec od monotonii pracy w Dachau. Nie miało znaczenia, że w wolnym czasie musiał sporządzać na maszynie fiszki dla Heydricha czy niekiedy wyjeżdżać z Jürgenem do okolicznych miast, jak Augsburg, Ingolstadt czy Stuttgart. Obsesja wszakże, która ostatnio owładnęła Jürgenem, bardzo go martwiła. Praktycznie od kilku dni w głowie miał tylko jedno: tego Paula Reinera. Nie wyjaśnił nawet, jaką rolę ten człowiek odgrywa w misji, którą powierzył im Heydrich, powiedział tylko, że chce go spotkać.

- Miałem rację - powtórzył Jürgen bardziej do siebie niż do swego nerwowego towarzysza. - Ona była kluczem.

Poprawił nieco ostrość w lornetce. Jednym okiem źle mu się przez nią patrzyło, toteż musiał robić sobie przerwy co jakiś czas. Spojrzawszy ponownie, przesunął lornetkę odrobinę i w jego polu widzenia znalazła się Alys. Była śliczna, dojrzała, niż kiedy ostatnio ją widział. Zapatrzył się w nią, oceniał, jak czarna bluzka z krótkim rękawem, którą miała na

sobie, podkreśla zarys piersi, i zapragnął, aby podniosła głowę, lepiej bowiem by ją sobie obejrzał.

Wielka szkoda, że Otto ją odtrącił. Strasznie poniżające byłoby dla tej dziwki, gdyby musiała wyjść za mnie i robić, co bym zechciał - fantazjował. Poczul, że ma erekcję, wsunął zatem rękę do kieszeni i dyskretnie ułożył sobie członek, by Eichmann niczego nie zauważył. - Choć w sumie lepiej, że tak się stało. Małżeństwo z Żydówką zupełnie by położyło moją karierę w SS. A teraz i tak mogę ustrzelić dwa ptaszki za jednym zamachem. Najpierw zwabię Paula, a potem zajmę się nią. Już ja jej pokażę. O tak, dam nauczkę tej kurwie.

- Kontynuujemy zgodnie z planem? - spytał Eichmann.

- Tak. Idź za nim. Chcę wiedzieć, gdzie mieszka.

- A potem? Poinformujemy o nim Gestapo?

Z ojcem Alys poszło bardzo łatwo: jeden telefon do znajomego obersturmführera, dziesięć minut rozmowy i czterej ludzie bez słowa wyjaśnienia wyciągnęli parszywego Żyda z mieszkania przy Prinzregentenplatzu. Plan powiódł się idealnie - Paul przybył na pogrzeb, czego Jürgen był prawie pewny.

Dalej też wszystko będzie łatwiutkie: odkryje, gdzie Paul mieszka, pośle tam patrol, po czym sam się zjawi w podziemiach pałacu Wittelsbachów, centrali Gestapo w Monachium. A potem wejdzie do celi o ścianach wyłożonych gąbką - nie po to, aby nikt się nie uszkodził, tylko żeby wytłumić krzyki bólu - stanie przed nim i będzie patrzył, jak umiera. Może nawet pozwoli mu przyprowadzić tę Żydówkę i gwałcić ją na jego oczach, poużywać sobie na niej, podczas gdy Paul rozpaczliwie i daremnie będzie usiłował wyswobodzić się z więzów.

Aczkolwiek musi też pamiętać o swojej karierze. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie zaczęli mówić o jego okrucieństwie, zwłaszcza teraz, kiedy stał się bardziej znany, kiedy ze względu na tytuł i zasługi znalazł się o krok od awansu i biletu do Berlina, aby tam pracować ramię w ramię z Heydrichem.

Poza tym hamowało go pragnienie, aby się zmierzyć z Paulem jak mężczyzna z mężczyzną. Własnoręcznie, nie korzystając z pomocy aparatu państwowego, odpłacić temu gnojowi za cały ból, jakiego mu przysporzył.

Muszę wymyślić jakiś lepszy sposób - postanowił.

I naraz go olśniło - już wiedział, co chce zrobić. Wargi wykrzywiły mu się w okrutnym uśmiechu.

- Przepraszam bardzo - powiedział Eichmann, sądząc, że źle usłyszał. - Mówił pan, że doniesiemy na Reinera.

- Nie, Adolf. To będzie miało wymiar bardziej osobisty.

ROZDZIAŁ 52

- JUŻ JESTEM!

Alys wróciła z cmentarza i weszła do małego mieszkanca nastawiona na normalny atak Juliana, który jak wariat pędził korytarzem, aby ją uściskać, ilekroć wchodziła do domu. Tym razem jednak tak się nie stało.

- Halo! - zawołała zdziwiona.

- Jesteśmy w ciemni, mammo!

Alys poszła wąskim korytarzykiem. Wychodziły na niego tylko trzy pokoje. Jej był najmniejszy, panował w nim porządek jak w szafie. Pokój Manfreda, w zasadzie podobnej wielkości, tym się różnił, że zapchany był do granic możliwości fachowymi podręcznikami, nielicznymi książkami po angielsku i górą notatek ze studiów inżynierskich, które jej brat ukończył przed rokiem i odtąd stale obiecywał, że niepotrzebne papierzyska usunie. Manfred mieszkał z nimi od początku studiów, wtedy bowiem wzmogły się spory między nim a ojcem. Zasadniczo miało to być rozwiązanie tymczasowe, trwało jednak już tak długo, że Alys nie wyobrażała sobie, jak by zdołała pracować jako fotograf bez pomocy brata przy Julianie. On bez nich także daleko by nie zaszedł, ponieważ mimo znakomitych kwalifikacji zawodowych każde jego spotkanie w sprawie pracy kończyło się tak samo: „Jaka szkoda, że jest pan Żydem”. Pieniądze zarabiała więc jedynie Alys, która sprzedawała swoje zdjęcia, lecz z miesiąca na miesiąc trudniej im było się utrzymać.

Ciemnią było pomieszczenie, które w normalnych domach nazywa się salonem. Zapelniały ją w całości przybory do wywoływania zdjęć. Okno zasłonięto czarną tkaniną, a u sufitu wisiała czerwona żarówka.

Alys zapukała do drzwi.

- Wejdz, mammo! Już skończyliśmy.

Stół zastawiały kuwety z odczynnikami. Od ściany do ściany rozciągnięto kilka sznurków, jedno przy drugim wisiały na nich przypięte klamerkami schnące zdjęcia. Alys, bardzo tego dnia wesola, ucałowała Juliana i brata.

- W porządku? - zapytał Manfred.

Alys na migi dała mu znać, że porozmawiają później. Nie powiedzieli Julianowi,

dokąd idą, gdy zostawiali go pod opieką sąsiadki. Chłopiec nie miał prawa ani się cieszyć dziadkiem za jego życia, ani odziedziczyć po jego śmierci majątku - znacznie szczuplejszego w ostatnim czasie, ponieważ Josef mocno wyhamował w interesach - w całości przekazanego na rzecz jakiejś fundacji kulturalnej.

Oto ostatnia wola człowieka, który utrzymywał, że wszystko to robi dla rodziny - pomyślała Alys, gdy wysłuchiwała adwokata ojca. - Dlatego ani myślę mówić Julianowi o śmierci dziadka. Oszczędzimy mu przynajmniej przykrych przeżyć.

- A to co? Nie pamiętam, żebym robiła te zdjęcia.

- Zdaje się, że Julian skorzystał z twojego starego kodaka, siostrzyczko.

- Tak?... Zdaje mi się, że migawka w nim była niesprawna.

- Wujek mi ją naprawił - wyjaśnił Julian z przeproszającym uśmiechem.

- Kapuś! - powiedział Manfred, żartobliwie go szturchając. - W sumie miałem do wyboru: naprawić kodaka albo pozwolić mu wziąć lejkę.

- Obdarłabym cię ze skóry - oświadczyła Alys, udając, że się gniewa. Żaden fotograf nie lubi, żeby lepkie paluszki dziecka za bardzo się zbliżyły do jego aparatu, lecz zarówno ona, jak i jej brat mieli słabość do małego Juliana. Odkąd nauczył się mówić, z obojętnością robił, co mu się żywnie podobało, choć zarazem był najroztropniejszy i najczulszy z nich trojga.

Podeszła do szeregu wiszących zdjęć i stwierdziła, że pierwsze już przeszły. Zdjęła jedno, ostrożnie podniosła do oczu. Przedstawiało lampkę na biurku Manfreda ze stosem książek obok. Stwierdziła, że ujęcie jest wyjątkowo dobre - stożek światła padał na książki tak, że ich tytuły na grzbietach były widoczne w połowie, a światłocienie znakomicie skontrastowane. Zdjęcie odrobinę się rozmazało, co niewątpliwie było skutkiem poruszenia w chwili, gdy Julian naciskał wyzwalacz. Drobnym defektem nowicjusza.

A przecież ma dopiero dziesięć lat. Będzie wielkim fotografem, kiedy dorośnie, pomyślała Alys z dumą.

Zerknęła spod oka na syna, który wpatrywał się w nią z natężeniem, ciekaw jej opinii. Alys udała, że tego nie zauważa.

- Co myślisz, mamó? - nie wytrzymał wreszcie.

- O czym?

- Jak to: o czym? O zdjęciu.

- Ciut rozmazane przez poruszenie. Ale przysłoneń dobrze dobrałeś i ładnie ci wyszła głębia. Jeśli będziesz jeszcze kiedyś fotografował martwą naturę z niewielką ilością światła, użyj statywu.

- Dobrze - powiedział Julian, szczerząc zęby z zadowolenia.

Świństwo mu robię, że specjalnie wyciągam te usterki, pomyślała Alys, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Odkąd urodziła syna, charakter jej bardzo złagodniał. Zmierzyła mu jasną czuprynę, co zawsze doprowadzało go do chichotu.

- Julian, co byś powiedział na piknik w parku z wujkiem Manfredem?

- Będę mógł zabrać kodaka?

- Jeśli obiecasz, że będziesz na niego uważał - skapitulowała Alys.

- Jasne! Do parku! Idziemy do parku!

- Ale najpierw marsz do swojego pokoju i proszę się przebrać.

Julian wybiegł z ciemni, a Manfred w milczeniu wpatrywał się w siostrę. W czerwonym świetle, które rozmywało twarze i miny, nie potrafił odgadnąć, o czym myśli. Alys tymczasem wyjęła z kieszeni kartkę, którą otrzymała na cmentarzu, i wlepiała w nią wzrok, jakby z tych paru wypisanych na niej słów mógł się wyłonić Paul.

- Dał ci swój adres? - spytał Manfred, czytając jej przez ramię. - Znowu w jakimś pensjonacie... Proszę cię...

- Możliwe, że ma dobre intencje - wzięła go w obronę.

- Nie rozumiem cię, Alys. Przez cały ten czas cierpiałaś, nie wiedząc, co się z nim dzieje, myślałaś, że może umarł albo spotkało go coś gorszego. I nagle się pojawia...

- Przecież wiesz, co do niego czuję.

- Mogłaś o tym wcześniej pomyśleć.

Alys skrzywiła się na te słowa. Bardzo ci dziękuję, braciszku. Jakbym za mało robiła sobie wyrzutów przez te wszystkie lata.

- Przepraszam cię - rzekł Manfred, zauważywszy, że sprawił jej przykrość. Poglaskał ją po rękę. - Nie chciałem tego powiedzieć. Oczywiście możesz robić, co ci się podoba. Nie chciałbym tylko, żeby spotkała cię krzywda.

- Postaram się, żeby tak nie było.

Milczeli przez kilka chwil. Z pokoju Juliana dobiegł jakiś rumor.

- Pewnie chciał wziąć piłkę.

- Zastanawiałaś się, jak o tym powiesz Julianowi?

- Nie mam pojęcia. Pewnie stopniowo.

- Co rozumiesz przez „stopniowo”? Pokażesz mu najpierw nogę i powiesz: „To noga twojego ojca”? A następnego dnia rękę? To będzie dla niego cios, będziesz musiała się przyznać, że przez całe życie go okłamywałaś. Nie będzie to łatwe.

- Wiem - przyznała w zamyśleniu.

Znowu rozległ się rumor, tym razem głośniejszy.

- Już jestem! - zawołał Julian przez drzwi.

- Lepiej idźcie sami przodem - powiedziała Alys. - Zrobię kanapki i za pół godziny spotkamy się przy fontannie.

Kiedy wyszli, Alys próbowała doprowadzić do ładu zarówno swoje myśli, jak i pole bitwy, w jakie się przeobraził pokój Juliana, zrezygnowała jednak, gdy uświadomiła sobie, że składa parami skarpetki w różnych kolorach.

Poszła do mikroskopijnej kuchenki i zapakowała do koszyka owoce, kanapki z serem i z marmoladą oraz butelkę soku. Zastanawiała się właśnie, czy zabrać jedną czy dwie butelki piwa, kiedy rozległ się dzwonek u wejścia.

Pewnie o czymś zapomnieli - pomyślała. - I dobrze, pójdziemy razem.

Z rozmachem otworzyła drzwi.

- Sieczkę macie w gło...

Ostatnie słowo przerodziło się w jej ustach w jęk strachu. Wszyscy inni tak reagowali na widok munduru SS.

Alys jęknęła, ponieważ poznała człowieka, który go nosił.

- Tęskniłaś za mną, żydowska kurwo? - zapytał Jürgen z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 53

KIEDY ZAPUKANO DO DRZWI, PAUL TRZYMAŁ NADGRYZIONE jabłko w jednej ręce i gazetę w drugiej. Nie zjadł przygotowanego przez gospodynię posiłku, który stał nietknięty na stole, ponieważ emocje związane ze spotkaniem z Alys nie pozwoliły mu przełknąć ani kęsa. Na siłę pogryzał jabłko, aby uspokoić nerwy.

Słyszając pukanie, wstał, odłożył gazetę i wyjął pistolet z szuflady. Trzymając go za plecami, otworzył drzwi. Stała za nimi gospodyni.

- Jacyś goście do pana - powiedziała z przejęciem na twarzy.

Usunęła się na bok. W głębi korytarza stał Manfred Tannenbaum, trzymając za rękę przestraszonego chłopca, który tulił do siebie sfatygowaną piłkę futbolową, jakby to było koło ratunkowe. Paul wpatrzył się w malca i serce mu w piersi podskoczyło. Ciemnoblond włosy, wyraziste rysy twarzy, dołeczek w brodzie, niebieskie oczy... I to, jak na niego spoglądał - ze strachem, lecz nie spuszczać wzroku.

- Czy to...? - zapytał, szukając u Manfreda potwierdzenia, którego wcale nie potrzebował, ponieważ serce wszystko mu podpowiedziało.

Manfred kiwnął głową i po raz trzeci w życiu Paula cały jego świat rozpadł się na kawałki.

- Dobry Boże... Co ja zrobiłem?

Dziesięć minut później Paul i Manfred patrzyli, jak chłopiec zajada kielbaski z gotowanymi ziemniakami, których jego ojciec nie zdołał przełknąć. Obydwaj milczeli, każdy się otrząsał z własnych przeżyć: Manfred z powrotu do pustego domu, gdy Alys się spóźniła na spotkanie w parku, a Paul z potężnego szoku, którego doznał, po raz pierwszy ujrzawszy swego syna.

- Pan jest moim ojcem? - zapytał chłopiec, kiedy Paul zaprosił ich do pokoju.

I Manfred, i Paul zastygli oniemiałymi.

- Czemu tak uważasz? - spytał wreszcie Manfred.

Malec nie odpowiedział wujowi, tylko pociągnął Paula za rękę, zmuszając go, by przykucnął, tak że ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Przesuwał czubkami palców po twarzy ojca, jakby samo patrzenie mu nie wystarczało. Paul zamknął oczy, bo

cisnęły mu się do nich łyzy, a nie chciał się rozplakać.

- Jestem do pana podobny - rzekł w końcu Julian.

- Tak, synku. Bardzo jesteś podobny.

- Mógłbym dostać coś do jedzenia? Strasznie zgłodniałem - powiedział chłopiec, wskazując tacę z posiłkiem Paula.

- Pewnie, wsuwaj - zaprosił Paul, z trudem opanowując przemożne pragnienie, aby chwycić małego w ramiona. Nie odważył się przysunąć bliżej, wiedział jednak, że chłopak zrozumiał, iż ma ojca.

- Idź umyć ręce i buzię, no już. - Manfred popchnął go lekko w stronę łazienki.

- Co się stało? - zapytał Paul.

- Wybraliśmy się na piknik. Poszliśmy z Julianem pierwsi, Alys miała do nas za chwilę dołączyć, ale długo nie przychodziła, więc wróciliśmy. Na rogu sąsiad nas uprzedził, że człowiek w mundurze SS zabrał Alys. Nie odważyłem się wejść do środka, bałem się, że na nas czekają. Nie miałem dokąd pójść, dlatego jesteśmy tutaj.

Paul podszedł do szafy i ze stojącej w niej walizki wyjął wąską brązową buteleczkę ze złotym korkiem. Rozpieczętował ją jednym ruchem i podał Manfredowi, który pociągnąwszy spory łyk, rozkaszał się mocno.

- Wolniej, jeśli nie chcesz ochrypnąć.

- O kurczę, ale pali!... Co to jest, do diabła?

- Nazywa się *krügsle*. Pędzą ją Niemieccy osadnicy w Windhuku. Ta butelka to prezent od przyjaciela. Trzymałem ją na specjalną okazję.

- Dzięki - rzekł Manfred, oddając mu butelkę. - Przykro mi, że w takich okolicznościach się dowiedziałeś, ale...

Julian wyszedł z łazienki i rzucił się na jedzenie, toteż obaj milczeli, póki nie skończył. Zjadł nawet resztę jabłka Paula.

- Muszę pogadać w cztery oczy z panem Reinerem - powiedział Manfred do siostrzeńca.

Chłopak skrzyżował ręce na piersi.

- Ani myślę wychodzić. Naziści zabrali mamę, więc chcę wiedzieć, o czym będziecie mówili.

- Julianie...

Paul dotknął ręki Manfreda i popatrzył nań pytająco. Manfred wzruszył ramionami.

- No dobra - mruknął lekko zirytowany, że Paul się wtrąca.

Paul odwrócił się do chłopca, próbując przyoblec twarz w uśmiech. Widok własnej

twarzy w wersji dziecięcej przywoływał bolesne wspomnienie ostatniej nocy spędzonej w Monachium w 1923 roku. I samolubnej strasznej decyzji, którą podjął, nie próbując walczyć o Alys, a przynajmniej zrozumieć, jakież to powody sprawiły, że rozkazała, aby dał jej wreszcie spokój. Teraz elementy układanki z wolna wchodziły każdy na swoje miejsce, a do Paula docierało, jak poważny błąd popełnił.

Nigdy nie miałem ojca. I za to obwiniałem jego i tych, którzy go zabili. Przysięgałem sobie setki razy, że jeśli będę miał syna, nigdy, przenigdy nie będzie dorastał beze mnie.

- Julianie, nazywam się Paul Reiner - powiedział, wyciągając doń rękę.

Chłopiec uściśnął mu dłoń.

- Wiem, wujek mi powiedział.

- A powiedział ci, że nie miałem pojęcia, że mam syna?

Julian w milczeniu pokręcił głową.

- Zawsze mówiliśmy mu z Alys, że jego ojciec nie żyje - wtrącił Manfred, uciekając wzrokiem.

Tego już było za wiele dla Paula, który przypisał Julianowi cały ból bezsennych nocy własnego dzieciństwa, kiedy snuł marzenia o swoim ojcu bohaterze. Marzenia budowane na kłamstwie. Zastanawiał się, jakimi iluzjami ten chłopiec rozjaśniał sobie nocną porę, aż dłużej nie mógł wytrzymać - zerwał się, silnymi rękami podniósł go z krzesła i mocno przytulił do piersi. Manfred również skoczył na nogi, pragnąc przeszkodzić Paulowi ze strachu o Juliana, pohamował się jednak, widząc, że Julian z zaciśniętymi piąstkami i łzami w oczach odwzajemnia uścisk ojca.

- Gdzie byłeś?

Łzy Paula mieszały się ze łzami jego syna.

- Wybacz mi, Julianie... Wybacz mi...

ROZDZIAŁ 54

KIEDY BURZA UCZUĆ NIECO PRZYCICHŁA, MANFRED WYJAWIŁ, ŻE gdy Julian był już dość duży, by pytać o ojca, Alys zdecydowała, że będzie mówiła o nim jako o zmarłym. Koniec końców od bardzo dawna już nic nie wiedziała o Paulu.

- Nie wiem, czy to było najlepsze rozwiązanie. Ze mnie był wtedy jeszcze młokos, ale twoja matka na pewno dużo nad tym myślała.

Julian z powagą wysłuchał wyjaśnień, a kiedy Manfred skończył, popatrzył na Paula, który z kolei próbował mu wytłumaczyć powody swojej tak długiej nieobecności, chociaż trudno mu było to ubrać w słowa i wszystko brzmiało niezbyt wiarygodnie. Niemniej Julian mimo smutku zdawał się bardzo dobrze rozumieć jego pobudki i tylko czasami mu przerywał jakimś pytaniem.

To nad wiek rozwinięty i inteligentny chłopiec, w dodatku bardzo twardy - stwierdził Paul w duchu. - Świat mu się wywraca do góry nogami, a on nie płacze, nie tupie, nie przyzywa matki, jak by zrobiło każde inne dziecko.

- Czyli przez te wszystkie lata szukałeś tego, kto skrzywdził twojego tatę? - zapytał Julian.

Paul kiwnął głową.

- Tak, chociaż źle zrobiłem. Nie powinienem był zostawiać Alys, bo bardzo ją kocham - oświadczył bez cienia zażenowania.

- Rozumiem cię. Ja też bym szukał po całym świecie człowieka, który by skrzywdził moją rodzinę - rzekł na to Julian cicho dziwnym głosem, nie pasującym do chłopca w jego wieku.

Te słowa na powrót kazały im się skupić na Alys. Manfred powtórzył, co wie na temat zniknięcia siostry.

- Coraz częściej się to zdarza - zauważył, zerkając z ukosa na siostrzeńca. Nie chciał popełnić błędu i wspomnieć o Josefie Tannenbaumie, ponieważ chłopiec miał już dość przeżyć na dzisiaj. - I nikt nic nie robi, żeby to ukrócić.

- Czy możemy kogoś poprosić o pomoc?

- Kogo? - rzekł Manfred, rozkładając bezradnie ręce. - Nie przedstawili żadnego donosu ani nakazu, ani nawet potwierdzenia zatrzymania. Niczego! Zostało tylko puste mieszkanie, w którym przedtem był człowiek. A jeśli się zjawimy na Gestapo... chyba sam rozumiesz. Trzeba by to zrobić w towarzystwie armii prawników i dziennikarzy, a i to obawiam się, że by nie wystarczyło. Ci ludzie trzęsą całym krajem, przy czym najgorsze jest to, że nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, póki nie było za późno.

Dość długo rozmawiali, nie dochodząc do żadnych konkluzji. Potem zmierzch okrył szarym płaszczem monachijskie ulice, na których zaczęły się zapalać latarnie. Julian, zmęczony tyłoma emocjami, kopał ospale swą skórzaną piłkę. W końcu trudy dnia wzięły górę i zasnął na nierozesłanym łóżku, a piłka potoczyła się do stóp jego wuja. Manfred podniósł ją i pokazał Paulowi.

- Pamiętasz?

- Nie.

- Tą piłką przed laty trafiłem cię w głowę.

Paul uśmiechnął się na wspomnienie swojego upadku ze schodów i ciągu wydarzeń, które doprowadziły do tego, że zakochał się w Alys.

- Dzięki niej mamy Juliana.

- To samo mi powiedziała siostra. Kiedy dorosłem na tyle, że mogłem się sprzeciwić ojcu, nawiązałem kontakt z Alys, która poprosiła mnie o tę piłkę. Musiałem ją wygrzebać w składziku i pokopaliśmy w piąte urodziny Juliana. Chyba wtedy właśnie ostatni raz widziałem ojca - wspomniał z goryczą. - Paul, ja...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Zaalarmowany Paul gestem nakazał mu milczenie i poszedł po pistolet, który odłożył do szafy. Uchylił nieco drzwi. Znowu stała za nimi gospodyni.

- Telefon do pana.

Paul wymienił zdziwione spojrzenie z Manfredem. Nikt z wyjątkiem Alys nie wiedział, że tutaj mieszka.

- Kto dzwoni? Przedstawił się?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Mówi, że z polecenia panny Tannenbaum. O więcej nie pytałam.

- Dziękuję pani. Już idę. Wezmę tylko marynarkę - rzekł Paul, nie domykając drzwi.

- To może być podstęp, żeby cię wywabić - ostrzegł Manfred, przytrzymując go za ramię.

- Wiem - powiedział Paul, podszedł bliżej i wcisnął mu pistolet do ręki.
- Nie umiem się tym posługiwać - wystraszył się Manfred.
- Przechowaj mi go. Jeśli nie wrócę, zajrzyj do walizki. Ma skrytkę od strony zamka.

Ukryłem tam pieniądze. Niewiele tego jest, ale tylko tyle mi zostało. Zabierz Juliana i wyjedźcie z kraju.

Paul zszedł na dół za gospodynią. Pani Frink umierała z ciekawości, co to za zamieszanie wokół tajemniczego lokatora, który przez dwa tygodnie prawie się nie ruszał z pokoju, a dziś ma jakichś dziwnych gości i jeszcze dziwniejsze telefony.

- Tu jest telefon - powiedziała, wskazując aparat w połowie korytarza. - Może później zechcą panowie coś przekazać? Ja zapraszam.

- Dziękuję pani - odparł Paul, biorąc słuchawkę. - Mówi Paul Reiner.
- Dobry wieczór, braciszku.

Paula przeszedł dreszcz na dźwięk tego głosu. W tej chwili cofnął się myślami o piętnaście lat, znów poczuł się równie samotny i bezbronny jak w dniu, kiedy Jürgen z kolegami otoczyli go podczas przyjęcia. Chciał krzyknąć, jednakże z powodu napięcia z gardła wyszły mu słowa beznamiętne i ciche.

- Gdzie ona jest, Jürgen? - rzekł, zaciskając nerwowo pięść.

- Zgwałciłem ją, Paul. I porządnie sprąłem, tłukłem ją mocno i długo. Teraz jest w miejscu, skąd nigdy nie wyjdzie.

Rozdarty pomiędzy gniewem i bólem Paul uczepił się cienia nadziei. Alys żyła!

- Dotarło, braciszku?
- Zabiję cię, skurwysynu!

- Możliwe. W gruncie rzeczy to dla nas obu jedyne wyjście, prawda? Los przed laty związał nas razem, ale cienkim w sumie sznurkiem. Jeden z nas musi zginąć.

- Czego chcesz?
- Spotkać się.

To podstęp. To musi być podstęp.

- Najpierw uwolnisz Alys.

- Przykro mi, Paul. Tego nie mogę obiecać. Chcę, żebyśmy się we dwóch spotkali w spokojnym miejscu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał, i zamknęli tę historię.

- Czemu nie przyślesz również po mnie swoich zbirów? Czemu w ten sposób to robisz?

- Nie myślisz chyba, że o tym nie myślałem. Ale to by było za łatwe.

- Co zyskam na tym, że przyjdę?

- Nic, bo cię zabiję. A jeśli jakimś cudem wyjdiesz z tego cało, Alys umrze. Jeśli umrzesz, Alys też umrze. Obojętne jak się nasze spotkanie skończy, ona i tak umrze.

- No to możesz iść do diabła, łajdaku.

- Ha, ha, ha!... Nie tak szybko. Posłuchaj tego: Kochany synu, przecinek, nie ma właściwej formy, która by pozwoliła rozpocząć ten list. Właściwie to jeden z wielu...

- Co to jest, do cholery?

- Ogłuchłeś? List, pięć kartek przebitki. Twoja matka miała za ładne pismo jak na pomywaczkę, wiesz? Styl jest kiepski, za to treść bardzo pouczająca. Przyjdź, to ci dam ten utwór.

Zrozpaczony Paul uderzył czołem w czarną skrzynkę aparatu, telefon jęknął metalicznie. Nie miał wyjścia, musiał spełnić żądanie Jürgena.

- Halo, braciszku, nie ulotniłeś się chyba, co?

- Nie, Jürgen, jestem.

- I co?

- Wygrałeś.

Jürgen zaśmiał się triumfalnie.

- Naprzeciw twojego pensjonatu zobaczysz zaparkowanego czarnego mercedesa. Powiedz szoferowi, że ja cię przysyłam. Odda ci klucze do auta i powie, gdzie jestem. Masz być sam i bez broni palnej.

- Dobrze. Ale coś ci powiem, Jürgen...

- Wal śmiało, braciszku.

- Możliwe, że nie tak łatwo przyjdzie ci ze mną skończyć.

Połączenie zostało przerwane i Paul pobiegł do wyjścia, omal nie przewracając po drodze gospodyni. Na zewnątrz stał lśniący samochód, zupełnie niepasujący do tej dzielnicy. Kiedy Paul znalazł się bliżej, z wozu wysiadł szofer w liberii.

- Jestem Paul Reiner. Przysyła mnie Jürgen von Schroeder.

Mężczyzna otworzył mu drzwi.

- Proszę. Klucz jest w stacyjce.

- Gdzie mam jechać?

- Pan baron nie podał konkretnego adresu. Ma pan się stawić w miejscu, gdzie dzięki panu zaczął nosić opaskę na oku. Powiedział, że pan rozumie.

MISTRZ

1934

*O tym, że bohater zwycięża,
kiedy godzi się ze swoją śmiercią*

Tajemny uścisk dłoni mistrza wolnomularskiego jest najbardziej skomplikowany spośród trzech stopni. Powszechnie znany jako „lwia łapa”, polega na tym, że kciuk i mały palec służą do uchwytu, podczas gdy pozostałe trzy palce dotykają wnętrza dłoni brata masona. W przeszłości wiązał się z określoną pozycją ciała znaną jako „pięć punktów przyjaźni”: stopa stykała się ze stopą, kolano z kolanem, pierś z piersią, ręka na plecach i policzek przystawiony do policzka. W XX wieku zaniechano tej praktyki. Sekretne słowo przy uścisku to MAHABONE, a wymawia się je, dzieląc wyraz na trzy sylaby: MA-HA-BONE.

ROZDZIAŁ 55

KOŁA SIĘ ZATRZYMAŁY Z CICHYM PISKIEM I PAUL UWAŻNIE przepatrzył uliczkę przez przednią szybę. Zaczęło mżyć. W tym ciemnym zakątku niewiele byłoby widać, gdyby nie samotna latarnia, w której żółtym światłem tańczyły krople deszczu.

Po kilku minutach odważył się wysiąść z samochodu. Od czternastu lat nie postawił nogi na tej uliczce na brzegu Izary. Śmierdziało tu jak zawsze mokrym torfem, rybimi odpadkami i stęchlizną. O tej porze słychać było jedynie odgłos jego kroków na chodniku.

Doszedł do drzwi wozowni. Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Od drewnianych ścian odpadały ciemnozielone płyty farby, całość wydawała się Paulowi większa, niż kiedy przychodził tutaj co rano. Zawiasy tak samo cienko skrzypiały przy otwieraniu drzwi, których skrzydło identycznie jak dawniej się zacinało, tak że trzeba je było mocniej pchnąć.

Wszedł do środka. U sufitu zwisiała goła żarówka. Końskie boksy, klepisko i fura węglarza.

A na niej Jürgen z pistoletem w ręku.

- Witaj, braciszku. Zamknij drzwi i podejdź z rękami do góry.

Jürgen miał na sobie tylko czarne spodnie i wysokie buty od munduru. Od pasa w górę był nagi, nie licząc opaski na oku.

- Umawialiśmy się, że nie będzie broni palnej - rzekł Paul, wolno podnosząc ręce do góry.

- Podciągnij koszulę - rozkazał Jürgen, wymachując pistoletem, gdy Paul wypełniał polecenie. - Powoli. Tak, bardzo dobrze. A teraz obróć się wolniutko. Świetnie. Wygląda na to, że zastosowałeś się do zasad, Paul. Wobec tego ja też będę ich przestrzegał.

Wyjął magazynek z pistoletu i odrzucił go daleko, ponad drewnianym przepierzeniem oddzielającym boksy dla koni. Na pewno wszakże jeden nabój pozostał w lufie wciąż wymierzonej w Paula, który rozejrzał się wokół.

Byli sami.

- I co? Wygląda tu jak dawniej? Mam taką nadzieję. Twój przyjaciel węglarz zbankrutował pięć lat temu, więc kupiłem tę budę za bezcen. Miałem nadzieję, że kiedyś wrócisz.

- Gdzie Alys?

Jürgen przesunął językiem po ustach, zanim odpowiedział.

- Ach, ta żydowska kurwa... Słyszałeś o Dachau, braciszku?

Paul powoli kiwnął głową. Obóz koncentracyjny w Dachau był miejscem, o którym mówiono niewiele, a jeśli już mówiono, to tylko źle.

- Na pewno dobrze jej tam. W każdym razie wydawała się zadowolona, kiedy mój przyjaciel Eichmann zabierał ją tam dzisiaj po południu.

- Parszywy z ciebie drań, Jürgen.

- Cóż mogę powiedzieć? Nie potrafisz chronić swoich kobiet, braciszku.

Usłyszawszy to, Paul zachwiał się na nogach, jakby otrzymał potężny cios. Teraz zrozumiał.

- Ty ją zabiłeś, prawda?... Zabiłeś moją matkę.

- Cholera, nie powiem, sporo czasu ci zajęło dojście do tego - zadrwił Jürgen, śmiejąc się wzgardliwie.

- Byłem przy niej, kiedy umierała. Powiedziała... powiedziała, że to nie ty.

- A co myślisz? Do samego końca kłamała, żeby cię chronić. Za to tutaj mówi szczerą prawdę - powiedział Jürgen, wyciągając list Ilsy Reiner. - Tutaj masz wszystko, całą historię od początku do końca.

- Dasz mi go? - zapytał Paul, z niepokojem patrząc na prostokątny plik kartek.

- Nie. Mówiłem ci już: nie ma mowy, żebyś wygrał. Własnoręcznie cię zabiję, braciszku. Gdyby jednak trzasnął we mnie piorun z nieba, na wszelki wypadek... zostawiam go tu. - Jürgen przechylił się i nadział list na gwóźdź wystający ze ściany. - A teraz zdejmij marynarkę i koszulę.

Paul rozebrał się posłusznie, rzucając na ziemię obie sztuki odzieży.

Stał z nagim torsem, który nie był już torsem chłopięcym, chudym, z wystającymi żebrami. Rozwinięte mięskły przeżyły się pod opaloną skórą poznaczoną drobnymi bliznami.

- Zadowolony?

- Proszę, proszę, widzę, że ktoś tu zażywał witaminy - rzekł Jürgen z namysłem. - Zastanawiam się, czy nie powinienem strzelić i oszczędzić sobie trudu.

- Zrób to, Jürgen. Zawsze byłeś podłym mięczakiem.

- Nie waż się tak mnie nazywać, braciszku.

- W siedmiu na jednego. Z nożami przeciwko nieuzbrojonemu. Jak coś takiego nazywasz, b r a c i s z k u ?

Wściekłym gestem Jürgen odrzucił pistolet i chwycił w rękę nóż myśliwski, który

leżał na koźle.

- Tam jest nóż dla ciebie, Paul - powiedział, wskazując drugi koniec fury. - Skończmy z tym.

Paul ruszył w stronę wozu. Przed czternastu laty on stał na nim, broniąc się przed bandą zabijaków.

To był mój okręt - pomyślał. - Okręt mojego ojca atakowany przez piratów. Dzisiaj role tak się odwróciły, że nie wiem już, kto jest dobry, a kto zły.

Podszedł do tyłu fury. Leżał tam nóż z czerwoną rękojeścią, taki sam jak ten, który trzymał w ręku jego brat. Ujął go w prawą dłoń czubkiem do góry, jak go nauczyli wojownicy z ludu Herero. Jürgen nóż trzymał skierowany do dołu, Paul wiedział zatem, że będzie musiał uważać na każdy jego ruch i robić uniki.

Może i jestem teraz silniejszy niż kiedyś, ale on i tak ma przewagę. Muszę go zmęczyć, nie mogę pozwolić, żeby mnie rzucił na ziemię albo przyparł do burty wozu. Muszę wykorzystać jego ograniczone pole widzenia po prawej.

- I kto jest teraz tchórzem, braciszku? - odezwał się Jürgen, przyzywając go gestem.

Paul wolną ręką oparł się na burcie fury i wskoczył na górę. Stali teraz twarzą w twarz po raz pierwszy od dnia, kiedy Jürgen stracił oko w bójce, którą wbrew wszelkim przewidywaniom przegrał.

- Jürgen, nie musimy tego robić. Moglibyśmy...

Brat nie słuchał. Wzniósłszy nóż, ciął na wysokości twarzy, mijając ją o włos, ponieważ Paul uchylił się na prawo. Omal przez to nie spadł z fury, musiał się zatem podeprzeć ręką o burtę, a wtedy bok Jürgenego znalazł się w zasięgu jego nóg. Wymierzył kopniaka, trafiając w kostkę. Jürgen zatoczył się do tyłu, dzięki czemu Paul zyskał odrobinę czasu i na powrót przybrał postawę.

Stali na wprost siebie w odległości dwóch kroków, nie odrywając wzroku od oczu przeciwnika. Paul cały ciężar ciała przeniósł na lewą nogę, co Jürgen zrozumiał jako zapowiedź ciosu nożem z przeciwnej strony i pragnąc wyjść mu naprzeciw, zaatakował od lewej. Na to właśnie Paul liczył - kiedy ramię Jürgenego poszło do przodu, skulił się i krótkim szybkim ruchem pchnął od dołu. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby go powierzchownie drasnąć. Czując ból, Jürgen wrzasnął, nie odskoczył jednak, czego spodziewał się Paul, lecz wymierzył dwa ciosy w odsłonięty bok Paula, który również krzyknął.

Cofnęli się obaj. Stojący na samym skraju wozu Paul odnotował, że łańcuch używany do podnoszenia i opuszczania burty podzwania przy każdym ich ruchu. Jürgen, mający tuż za plecami przednią część fury, czuł na karku krawędź koźła. Pierwszy przyciskał ręką obolące

żebra, drugi krwawił z rany na przedramieniu, długiej, chociaż płytkiej.

- Pierwsza krew jest moja. Zobaczymy, czyja będzie ostatnia - rzekł Jürgen.

Paul nie odpowiedział. Ledwie mógł oddychać po dwóch ciosach brata, a nie chciał, by ten zdał sobie z tego sprawę. Potrzebował paru sekund, aby się pozbierać, lecz nie było mu dane wytchnienie. Jürgen runął na niego z nożem w ręce uniesionej w morderczej wersji pozdrowienia nazistów. W ostatniej chwili, kiedy się wydawało, że już uderzy, przechylił się w lewo i zadał krótkie cięcie, mierząc w tors. Paul, który nie miał gdzie się cofnąć, musiał zeskoczyć z wozu, nie zdołał jednak uniknąć ostrza - przecięło mu skórę od lewej piersi do mostka.

Znalazłszy się na ziemi, nie zważał na ból, tylko szybko skrył się pod furą, by uniknąć ataku Jürgenego, który już zeskakiwał za nim. Paul przeturlał się po klepisku i krew, pot oraz pył utworzyły lepką maź na jego piersi. Wyłoniwszy się po drugiej stronie wozu, chciał od kozła znowu na niego wskoczyć, ale Jürgen okazał się szybszy. Rzucił się w stronę przodu fury gotów pchnąć nożem, ledwie Paul postawił nogę na deskach podłogi, tak że Paul musiał odstąpić.

Jürgen wsparł się na kozle i zeskoczył do Paula z nożem w wyciągniętej ręce. Paul potknął się, próbując zrobić unik. Upadł i byłby to jego koniec, gdyby między nim a bratem nie znalazł się dyszel wozu - Jürgen musiał się schylić, aby pod nim przejść. Paul, który próbował się podnieść, wykorzystał okazję i wymierzył mu kopniaka w głowę, po czym odczołgał się spoza zasięgu brata. Oszałały z gniewu Jürgen, z krwią zalewającą twarz, zdołał uchwycić go za nogę w kostce, lecz wypuścił ją, kiedy Paul kopnął go w ramię drugą nogą.

Ciężko dysząc, Paul zdołał się podnieść prawie równocześnie z Jürgenem, który zaraz się schylił, złapał dziurawy drewniany kubeł i cisnął nim w Paula. A Paul nie zdążył się uchylić i oberwał w pierś.

Z triumfalnym okrzykiem Jürgen rzucił się na niego. Oszołomiony uderzeniem kubła Paul runął na ziemię pod ciężarem brata. Potoczyli się obaj, zmagając ze sobą. Jürgen starał się nożem dosięgnąć szyi Paula, który za wszelką cenę próbował mu to uniemożliwić.

Zręcznie manewrując nożem, w końcu odsunął ręce Jürgenego od swojego gardła, lecz wiedział, że długo tak nie wytrzyma. Brat był jakieś dwadzieścia kilo cięższy, poza tym znajdował się na wierzchu. Wcześniej czy później Paulowi ręce osłabną i żelazo dotknie jego szyi.

- Już po tobie, braciszku! - wydyszał Jürgen, plując kropelkami krwi na twarz Paula.

- Odpierdol się!...

Wyteżywszy wszystkie siły, Paul zdołał kolaniem trafić w żebra i odepchnąć Jürgenego,

który przewalił się na bok, zaraz jednak znowu się zwarli. Jürgen lewą ręką złapał brata za gardło, a prawą usiłował wyswobodzić z jego uchwytu.

Zbyt późno uświadomił sobie, że stracił z oka rękę, w której Paul ścisnął swój nóż. Spojrzał w dół i zobaczył, że czubek ostrza jest o włos od jego brzucha. Ze strachem wypisanym na twarzy i drżącymi wargami znów popatrzył na Paula.

- Nie możesz mnie zabić. Jeśli mnie zabijesz, Alys umrze.

- Błąd, b r a c i s z k u . Jak ty umrzesz, Alys przeżyje.

Usłyszawszy to, Jürgen szarpnął się rozpaczliwie i zdołał uwolnić rękę z nożem. Wzniósł go i chciał wbić Paulowi w gardło, lecz naraz osłabł jakby, zwolnił, po czym ramię opadło mu bez sił.

W jego brzuchu po samą rękojeść tkwił nóż Paula.

ROZDZIAŁ 56

JÜRGEN OSUNĄŁ SIĘ NA PLECY.

Paul, kompletnie wyczerpany walką i ranami, leżał obok niego na wznak. Obaj łapczywie chwyтали powietrze, urywane dyszenie z wolna się uspokajało. Po minucie oddech Paula się wyrównał, Jürgen zaś wydał ostatnie tchnienie.

Z wielkim trudem Paulowi udało się podnieść na nogi. Miał połamane kilka żeber, powierzchowne rany na całym ciele i jedną paskudną na piersi pokrytej ziemią z klepiska. Potrzebna mu była jak najszybciej pomoc.

Musiał okraczyć zwłoki Jürgena, aby pozbierać swoje ubranie. Podarł na paski rękawy koszuli i wykorzystał je w charakterze bandaży, żeby opatrzyć rany na przedramionach. Płótno momentalnie przesiąkło krwią, teraz jednak nie miał do tego głowy. Na szczęście marynarka była ciemna, powinna więc to ukryć.

Wyszedł na zewnątrz. W tym stanie nie spostrzegł, że kiedy otworzył drzwi, w cieniach po prawej stronie uliczki ktoś się poruszył i cofnął w głąb. Paul nieświadom obecności szpiega przeszedł tak blisko, że mógłby go dotknąć, wyciągnąwszy rękę.

Dowlóknął się do samochodu. Sadowiąc się za kierownicą, poczuł w piersi tak dotkliwy ból, jakby zacisnęła się na niej gigantyczna dłoń.

Mam nadzieję, że nie przebił mi płuca - pomyślał.

Uruchomił silnik i ruszył, starając się zapomnieć o bólu. Nie czekała go długa droga. Kiedy jechał na spotkanie z Jürgensem, zauważył po drodze hotel, tani i raczej podły, z którego prawdopodobnie brat do niego dzwonił. Znajdował się jakieś siedemset metrów od wozowni.

Recepcjonista za kontuarem zbladł, gdy Paul wszedł do środka.

Muszę się marnie prezentować, skoro ludzie bledną na mój widok w takiej norze - zauważył Paul mimochodem.

- Jest tu telefon?

- Na tamtej ścianie.

Aparat był stary, ale działał. Po szóstym dzwonku odezwała się gospodyni pensjonatu głosem rzeńskim jak na tak późną porę. Spać zawsze kładła się późno, długo słuchała muzyki i

audycji radiowych.

- Słucham?

- Dobry wieczór, mówi Paul Reiner. Chciałbym mówić z panem Tannenbaumem...

- Pan Reiner! Bardzo się o pana martwiłam, zastanawiałam się, co się dzieje, że o tej porze pana nie ma. I jeszcze ci goście w pańskim pokoju...

- U mnie wszystko w porządku. Czy mogłaby pani...

- Tak, tak, pewnie, pan Tannenbaum. Już go wołam.

Pięć minut, które czekał Paul, niemiłosiernie się ciągnęło. Obejrzał się na recepcję i zauważył, że człowiek za kontuarem spogląda nań badawczo sponad rozłożonego egzemplarza „Volkischer Beobachter”.

Tylko tego mi brakowało! Sympatyka nazistów!...

Spuścił wzrok i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że z prawej ręki cieknie mu krew, spływa po dłoni i kapie na drewnianą podłogę, tworząc dziwaczny wzór. Podniósł rękę do góry, by przerwać kapanie, i przejechał butem po kropelkach na ziemi w nadziei, że rozmazane będą wyglądały jak zwyczajne błoto.

Znowu się obejrzał. Recepcjonista nie spuszczał go z oka, należało zatem przypuszczać, że jeśli spostrzeżł coś podejrzanego, powiadomi Gestapo, ledwie Paul wyjdzie z hotelu. A to by oznaczało koniec. Paul nijak by nie zdołał wytłumaczyć odniesionych ran ani dlaczego jeździ samochodem barona, którego trupa za parę dni ktoś znajdzie. Byle włóczęga wyczuje przecież smród rozkładającego się ciała, o ile Paul w porę się go nie pozbędzie.

Podejdz do telefonu, Manfred - błagał w duchu. - Podejdz, na Boga!

W końcu usłyszał przepelnięny niepokojem głos brata Alys.

- To ty, Paul?

- Tak.

- Do diabła, gdzieś ty się podziewał? Już chciałem...

- Posłuchaj uważnie, Manfred. Jeśli chcesz zobaczyć siostrę żywą, posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy.

- Gdzie jesteś? - spytał Manfred poważnie.

Paul podał mu adres wozowni.

- Weź taksówkę i przyjedź tu. Ale nie od razu. Najpierw znajdź dyżurną aptekę. Kup gązę, bandaże, coś do dezynfekcji i zestaw do zszywania ran. I koniecznie jakieś środki przeciwwzpalne. Zabierz walizkę z moimi rzeczami. Nie przejmuj się panią Frink, ma... - Urwał. Zaczynało mu się mącić w głowie z powodu zmęczenia i utraty krwi. Musiał się

przytrzymać aparatu, żeby się nie osunąć.

- Paul?

- ...ma zapłacone za dwa miesiące z góry.

- Załatwione.

- Pospiesz się, Manfred.

Odwiesił słuchawkę i ruszył w kierunku wyjścia. Mijając recepcjonistę, uniósł rękę w skróconym spazmatycznym pozdrowieniu nazistowskim, licząc, że ten człowiek nie zauważy plam z krwi. Recepcjonista odpowiedział „*Heil Hitler!*” wykrzyczanym z takim entuzjazmem, że wiszące na ścianach obrazki zakołysały się na zardzewiałych gwoździach, i czym prędzej podbiegł, by otworzyć Paulowi drzwi. Ze zdumieniem popatrzył na zaparkowanego błyszczącego mercedesa.

- Ale auto!

- No, niezłe.

- Dawno je pan ma?

- Parę miesięcy. Odkupiłem od kogoś.

Boże, człowieku, nie wzywaj policji. Widziałeś tylko zwykłego robotnika, który się zatrzymał, żeby zadzwonić.

Kiedy podchodził do samochodu, znowu czuł na karku podejrzliwy wzrok recepcjonisty. Wsiadając, musiał z całej siły zacisnąć zęby, aby nie krzyknąć z bólu.

Wszystko wygląda normalnie - myślał, gdy skupiony przede wszystkim na tym, by nie zemdleć, uruchamiał wóz. - Wracaj do gazety, przyjacielu. Wracaj do spokojnego nocnego dyżuru. Nie szukasz przecież kłopotów z policją.

Recepcjonista nie odwrócił wzroku, póki mercedes nie zniknął za rogiem, Paul nie miał jednak pewności, czy zwyczajnie podziwiał maszynę czy też zapamiętywał rejestrację. Na szczęście ze swojego miejsca nie mógł zobaczyć, że Paul jedzie do starej wozowni.

Kiedy dotarł do niej, osunął się bez sił na kierownicę, obejmując ją rękami, aby nie upaść.

Obudziło go stukanie w szybę. Zobaczył zmartwioną twarz Manfreda. I obok drugą, mniejszą.

Julian... Mój syn...

Następne minuty były ciągiem scen, których nie potrafił w pełni ogarnąć umysłem. Manfred wyciąga go z samochodu i prowadzi do wozowni. Oczyszcza mu i zszywa rany. Piekący ból. Julian podaje butelkę wody. A on pije i pije przez całą wieczność, nie mogąc zaspokoić pragnienia. Potem znowu ogarnia go cisza.

Kiedy otworzył oczy, Manfred i Julian siedzieli na furze, spoglądając nań w milczeniu.

- Co on tu robi? - spytał Paul ochryłym głosem.
 - A co niby miałem z nim począć? Nie mogłem go zostawić w pensjonacie.
 - Czekaj nas dzisiaj coś, z czym dzieci nie powinny mieć do czynienia.
- Julian zeskoczył z wozu, podbiegł i uściskał go.
- Już zrobiliśmy dużo.
 - Dzięki, żeście przyjechali - powiedział Paul, mierzwiąc mu włosy.
 - Mama też mi tak robi - zauważył chłopiec.
 - Znajdziemy ją, synku. Obiecuję.

Wstał i poszedł się ogarnąć do malutkiej umywalni w tylnej części wozowni. Znajdowało się w niej tylko wiadro - teraz zasnute pajęczynami - ustawione pod kranem, a na ścianie wisiało zniszczone poobtlukiwane lustro.

Paul uważnie oglądał swoje odbicie. Miał zabandażowane obydwie przedramiona i tors. Na lewym boku krew przesiąkła przez biały opatrunek.

- Paskudne miałeś niektóre rany. Ależ wrzeszczałeś, jak je dezynfekowałem! - odezwał się Manfred, stając w drzwiach.

- Nic nie pamiętam.

- Czyje to zwłoki?

- Faceta, który zabrał Alys.

- Julian, połóż ten nóż na ziemi! - krzyknął Manfred, który co rusz zerkał przez ramię na siostrzeńca, sprawdzając, co chłopiec robi.

- Żałuję, że mały widział trupa.

- To dzielny chłopiec. Cały czas trzymał cię za rękę, a słowo daję, to nie było przyjemne. Jestem inżynierem, nie lekarzem.

Paul potrząsnął głową, starając się odzyskać jasność myśli.

- Musisz mi kupić sulfonamidy. Która godzina?

- Siódma rano.

- Odpocznijmy trochę. W nocy pojedziemy po twoją siostrę.

- Gdzie ona jest?

- W Dachau.

Manfred otworzył szeroko oczy i przełknął ślinę.

- Wiesz, czym jest Dachau, Paul?

- To jeden z obozów koncentracyjnych, które naziści wyczarowali, żeby zamykać w nich swoich przeciwników politycznych. A mówiąc wprost, więzienie pod gołym niebem.

- Widać, że niedawno wróciłeś do Niemiec - zauważył Manfred, kręcąc głową. - Oficjalnie to wspaniałe letnie obozy dla nieposłusznych krnąbrnych dzieci. Ale jeśli posłuchać paru rzetelnych dziennikarzy, miejsca takie jak Dachau to istne piekło. Stamtąd nie da się uciec.

- Alys nie będzie uciekała.

Paul przedstawił mu z grubsza swój plan. Nie potrzebował do tego wielu słów, lecz kiedy skończył, Manfred minę miał jeszcze bardziej zatroskaną niż dotąd.

- Mnóstwo rzeczy może się nie udać.

- Ale też może się udać.

- Księżyc też może dzisiaj świecić na zielono.

- Pomożesz mi uratować swoją siostrę czy nie?

Manfred popatrzył na Juliana, który wspiał się na wóz i bawił się, odbijając piłkę od jego burt.

- Pewnie tak - odparł z westchnieniem.

- To teraz się prześpij. Jak wstaniesz, pomożesz mi zabić Paula Reinera.

Parę minut później, patrząc na Manfreda i Juliana, którzy ułożyli się na ziemi do snu, Paul uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Niemniej coś jeszcze musiał zrobić, zanim sam pozwoli sobie na odpoczynek.

Na ścianie wozowni nadziany na gwóźdź wisiał list jego matki.

Paul znowu musiał okraczyć zwłoki Jürgena, co teraz okazało się o wiele gorszym przeżyciem niż przedtem. Długą chwilę stał nad nim, patrząc na wytrzeszczone oko, rosnącą błądź skóry, w miarę jak krew opadała w dolne rejony ciała, na symetrię korpusu naruszoną nożem wbitym pod kątem w brzuch. Ten człowiek przez całe życie przysparzał mu tylko cierpień, a mimo to Paul czuł dla niego wielką litość.

Sprawy mogły się zupełnie inaczej potoczyć - pomyślał, decydując się wreszcie przebyć ścianę ciężkiego powietrza, które unosiło się nad trupem.

Z najwyższą ostrożnością zdjął list z gwoździa.

Znużenie działało jak balsam na jego nerwy, jednakże z ogromnym podnieceniem rozkładał kartki.

ROZDZIAŁ 57

Kochany Synu,

nie ma odpowiedniej formy, która by pozwoliła rozpocząć ten list. Właściwie to jeden z wielu, piszę je bowiem od nowa co cztery, pięć miesięcy. Po jakimś czasie, coraz to krótszym, muszę wziąć do ręki ołówek i znowu to wszystko napisać. Zawsze czekam, aż Ciebie nie będzie w pensjonacie, żebym zdążyła spalić poprzednią wersję i popiół rozsypać za oknem. Następnie zasiadam do pracy, żalostnej namiastki tego, czego faktycznie potrzebuję, i próbuję wyznać Ci prawdę. Prawdę o Twoim ojcu.

Kiedy byłeś mały, raz czy drugi zapytałeś o niego. Odpowiadałam wymijająco albo w ogóle nie odpowiadałam, ponieważ się bałam. W tamtych czasach nasze życie w pełni zależało od łaskawości von Schroederów, a ja byłam za słaba, aby szukać jakiegoś wyjścia. Gdyby wtedy... nie, nie zwracaj na to uwagi. W moim życiu wiele padło zdań tego typu i już dawno się zmęczyłam żałowaniem, że je wyraziłam.

Ty też dawno się zmęczyłeś dopytywaniem o ojca. W pewnym sensie bardziej mnie to zmartwiło niż Twoje uporczywe zainteresowanie nim, kiedy byłeś mały, ponieważ wiem, że masz obsesję na jego punkcie. Wiem, że nocami spędzała Ci sen z powiek, wiem, że gorąco pragniesz się dowiedzieć, jak to z nim było.

Nie mogę Ci tego wyjawić. Umysł już nie za dobrze mi działa, czasami tracę poczucie czasu, nie wiem, gdzie jestem, i mam tylko nadzieję, że w takiej chwili zaćmienia nie zdradzę Ci, gdzie trzymam ten list. Przez resztę czasu, kiedy mam jasność myśli, żyję w ciągłym strachu, że gdy poznasz prawdę, pognasz do ludzi, którzy się przyczynili do śmierci Hansa.

Tak, Paul, Twój ojciec nie zatonął wraz z okrętem, jak Ci mówiliśmy wszyscy, chociaż tego chyba się domyślałeś, jeszcze zanim nas wyrzuciono z pałacu barona. Niemniej zasłużył sobie na taką śmierć, jaką poniósł.

Hans Reiner urodził się w Hamburgu w roku 1876, lecz jego rodzice przenieśli się do Monachium, kiedy był dzieckiem. W sumie lubił obydwa te miasta, chociaż jego jedyną miłością było morze.

Był ambitnym człowiekiem. Chciał dowodzić okrętem i dopiął swego. Był już kapitanem, gdy poznaliśmy się na balu w pierwszych latach naszego wieku. Nie pamiętam

dokładnie daty, było to chyba pod koniec 1902 roku, ale nie jestem pewna. Poprosił mnie do tańca, a ja się zgodziłam. Zanim utwór się skończył, byłam w nim zakochana po uszy.

Między jednym a drugim rejsem zalecał się do mnie, w końcu przeniósł swój dom do Monachium, chociaż ze względu na jego profesję nie było to wygodne. Dzień, kiedy przyszedł do rodziców prosić o moją rękę, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Ojciec był bardzo wesołym wielkodusznym człowiekiem, ale tego dnia zachowywał się nader poważnie, uronił nawet łezkę. Szkoda, że go nie znałaś, na pewno byście się lubili.

Ojciec oświadczył, że trzeba to uczcić, wydać przyjęcie zaręczynowe, jak nakazuje zwyczaj. W sobotni wieczór, z dziesiątkami gości i prawdziwą ucztą.

W naszym małym domu nie było dość miejsca na takie przyjęcie, toteż ojciec zwrócił się z prośbą do mojej siostry, aby pozwolono mu je urządzić w wiejskim domu barona w Herrschingu. W tamtych czasach skłonność Twojego wuja do kart jeszcze była pod kontrolą, toteż von Schroederowie mieli wiele posiadłości w całej Bawarii. Brunhilda się zgodziła, choć raczej tylko dla utrzymania dobrych stosunków z naszą matką.

W dzieciństwie nigdy nie byliśmy z siostrą blisko. Ona lubiła otoczenie kawalerów, tańce i ciekawe podróże. Ja wolałam zostawać w domu z rodzicami. Bawiłam się jeszcze lalkami, gdy Brunhilda chodziła już na schadzki.

Ona nie jest zła, Paul. I nigdy nie była. Jest samolubna i rozpieszczona, ale nie zła. Kiedy wychodziła za mąż za barona kilka lat przed tym, zanim ja poznałam Twojego ojca, była najszczęśliwszą kobietą na świecie. Co mogło ją zmienić? Nie mam pojęcia. Może zmartwienia, może niewierność męża, który był niepoprawnym kobieciarzem, czego Brunhilda wcześniej nie zauważała, zaślepił ją bowiem blask jego pieniędzy i tytułu. Później naturalnie było to zbyt oczywiste, żeby nie zauważała wiarołomstwa barona. Urodziła mu syna, czego nigdy bym się nie spodziewała. Eduard był słodkim i bardzo samotnym dzieckiem, dorastał w otoczeniu służących i piastunek. Matka nigdy się nim specjalnie nie interesowała, ponieważ dziecko nie było pomocne w trzymaniu barona na krótkiej smyczy i z daleka od jego lafirynd.

Wróćmy jednak do przyjęcia zaręczynowego. W piątek w południe zaczęli się zjeżdżać goście. Promieniałam, spacerując z siostrą w słońcu i czekając na przybycie Twojego ojca, żeby ich sobie przedstawić. Zjawił się w końcu w mundurze i kapitańskiej czapce, z galową szpadą u boku, w białych rękawiczkach. Wystroił się tak, ponieważ - jak powiedział - ma się w sobotę zaręczyć, a chce na mnie zrobić wrażenie. Rozśmieszył mnie tym.

Kiedy przedstawiłam go Brunhildzie, stało się coś dziwnego. Ucałował ją mianowicie w dłoń, którą przytrzymał znacznie dłużej, niż wypadalo. A ona była jakby odurzona, olśniona. W tamtej chwili pomyślałam, głupia, że to przejaw nieśmiałości, z tym że

nieśmiałości akurat Brunhilda nigdy w sobie nie miała.

Twój ojciec wrócił właśnie z misji w Afryce. Przywiózł mi egzotyczne pachnidło wytwarzane przez krajowców w koloniach z olejku drzewa sandałowego i melasy, jak mi się zdaje. Miało charakterystyczny zapach, bardzo mocny, choć zarazem miły i delikatny. Ucieszyłam się jak ostatnia idiotka. Rozmarzona obiecałam, że skropię się nim na zaręczyny.

Nocą, kiedy wszyscy już spali, Brunhilda ukradkiem weszła do pokoju Hansa. Panowała w nim zupełna ciemność, a Brunhilda pod peniuarem nie miała na sobie nic oprócz woni pachnidła, którym obdarował mnie Twój ojciec. Bez słowa wsunęła się do jego łóżka i kochała się z nim. Dotąd nie mogę spokojnie o tym myśleć, Paul, chociaż minęło już prawie dwadzieścia lat.

Twój ojciec sądził, że to ja postanowiłam mu się oddać jeszcze przed nocą poślubną, dlatego nie protestował. Tak przynajmniej mi powiedział nazajutrz, ja zaś popatrzyłam na niego z miną stosowną do okoliczności.

Zaklinał się na wszystkie świętości, że nie miał pojęcia, kogo ma w łóżku, dopóki po wszystkim Brunhilda się nie odezwała. Powiedziała mu, że go kocha i że chce, aby razem uciekli. Twój ojciec delikatnie wyprosił ją z pokoju, a rano wziął mnie na stronę i opowiedział, co zaszło.

- Możemy anulować ślub - rzekł.

- Nie - odparłam. - Kocham cię i wyjdę za ciebie, jeśli przysięgniesz, że naprawdę nie wiedziałeś, że to moja siostra.

Twój ojciec przysiągł uroczyście i uwierzyłam mu. Po latach nie jestem już taka pewna, czy mówił prawdę, ale poważniejsze rzeczy leżą mi na sercu.

Zaręczyny odbyły się zatem, a trzy miesiące później ślub. Wtedy wypukły brzuch Twojej ciotki był już wyraźnie widoczny pod czerwoną koronkową suknią. Baron chodził dumny, że znowu będzie ojcem, wszyscy się radowali prócz mnie, bo doskonale wiedziałam, czyje to dziecko.

Ostatecznie baron także się dowiedział. Nie ode mnie. Ja nigdy nie czyniłam wyrzutów siostrze za to, co zrobiła, ponieważ jestem tchórzliwa. W ogóle nikomu o tym nie powiedziałam. Wcześniej czy później wszystko musiało się jednak wydać, a Brunhilda chyba rzuciła to w końcu baronowi w twarz w odwecie za jego niezliczone miłości. Stuprocentowej pewności nie mam, w każdym razie wiedział, przez co później stało się to, co się stało.

Potem ja także zaszłam w ciążę i Ty przyszedłeś na świat. Twój ojciec był wtedy w Afryce na misji - jak się okazało, ostatniej. Listy od niego dostawałam coraz posepniejsze, z jakiegoś nieznanego mi powodu Hans był coraz mniej dumny ze służby, którą sprawował.

Pewnego dnia listy przestały przychodzić. A później dostałam pismo z dowództwa marynarki informujące, że mojego męża uznano za dezertera i że jestem obowiązana powiadomić władze, jeżeli otrzymam jakiegokolwiek wieści o nim.

Strasznie się wtedy popłakałam. Ani nie wiedziałam, dlaczego zdezerterował, ani nie chciałam się dowiadywać. Za dużo różnych rzeczy odkryłam o Hansie Reinerze po jego śmierci, nic z tego nie pasowało do mojego o nim wyobrażenia. Dlatego nigdy nie opowiadałam Ci o ojcu. Przecież żaden z niego był wzór do naśladowania, nie mogłeś być z niego dumny.

Pod koniec roku 1904 Twój ojciec wrócił do Monachium, ale ja o tym nie wiedziałam. Zjawił się po kryjomu ze swoim adiutantem, niejakim Nagelem, który zawsze mu towarzyszył. Hans nie przyszedł do mnie, do domu, tylko poszukał schronienia u Twojego wuja von Schroedera. Stamtąd przysłał mi liścik tej dokładnie treści:

„Kochana Ilso, popełniłem wielki błąd i staram się go naprawić. Poprosiłem o pomoc Twojego szwagra i jeszcze jednego przyjaciela, ponieważ oni mogą mnie wesprzeć. Czasami największy skarb kryje przedmiot wyrządzający największą szkodę. Tak przynajmniej zawsze uważałem. Kochający Hans”.

Nigdy nie zrozumiałam, co Twój ojciec miał na myśli. Otrzymawszy ten liścik, wielokrotnie go czytałam, a w końcu spaliłam w obawie, że mógłby wpaść w niepowołane ręce.

O śmierci Twojego ojca wiem tyle, że doszło do niej w pałacu von Schroederów: wynikła tam nocą jakaś burzliwa dyskusja i w trakcie niej umarł. Jego zwłoki kilka osób wrzuciło z mostu do Izary pod osłoną świtu.

Nie wiem, kto zabił Twojego ojca. O wszystkim opowiedziała mi moja siostra, używając prawie tych samych słów co ja tutaj, chociaż nie było jej przy tym. Opowiedziała mi to ze łzami w oczach, a wtedy zrozumiałam, że ciągle go kochała.

Syn, którego wydała na świat Brunhilda, Jürgen, był skórą zdjętą z Twojego ojca. Nie dziwi zatem miłość i niezdrowa słabość, którą matka zawsze mu okazywała. Ale tamtej straszliwej nocy zaczęło się jeszcze coś chorego i niedobrego.

Byłam pozbawiona oparcia i w żałobie, przyjąłam więc propozycję Ottona, aby zamieszkać z nimi. Dla niego była to pokuta za to, co zrobili Twojemu ojcu, a zarazem kara dla Brunhildy, ponieważ ciągle miała przed oczami tę, którą Hans wolał od niej. Dla Brunhildy natomiast był to sposób ukarania mnie za to, że odebrałam jej mężczyznę, w którym się zakochała, mimo że nie należał do niej.

A dla mnie był to sposób na przetrwanie, po Twoim ojcu bowiem zostały same długi,

kiedy po kilku latach władze raczyły wreszcie uznać, że nie żyje. Jego ciała nigdy nie znaleziono. I ty, i ja musieliśmy znosić życie w tej posiadłości, w której wszechobecna była tylko nienawiść.

I jeszcze jedno. Nie uważałam nigdy Jürgena za Twojego przyrodniego brata, lecz po prostu za brata, bo chociaż urodził się z łona Brunhildy, dla mnie zawsze był jak syn. Nie mogłam go wziąć na ręce i przytulić, ale był częścią Twojego ojca, mężczyzny, którego kochałam całym sercem. Widząc go codziennie choćby przez kilka chwil, miałam poczucie, że Hans jest przy mnie.

Moje tchórzostwo i egoizm wpłynęły na Twoje życie, Paul. Nigdy nie chciałam, żeby wpłynęła na nie również śmierć Twojego ojca. Okłamywałam Cię i ukrywałam fakty, abyś nie szukał bezsensownej zemsty, kiedy dorośniesz. Proszę, nie rób tego.

Jeżeli ten list trafi kiedyś w Twoje ręce, w co szczerze wątpię, chcę, abyś wiedział, że bardzo Cię kocham i że wszystko, co robiłam, podyktowane było pragnieniem uchronienia Ciebie. Wybacz mi.

Twoja kochająca matka

Ilsa Reiner.

ROZDZIAŁ 58

PAUL DŁUGO PŁAKAŁ, SKOŃCZYWSZY CZYTAĆ.

Wylewał łzy nad Ilsa, która z miłości miała pełne cierpienie życie i zamykała oczy na prawdę. Wylewał łzy nad Jürgenem, który przyszedł na świat w najmniej odpowiednim miejscu. Wylewał łzy nad sobą, że opłakiwał niegdyś ojca, który na to nie zasługiwał.

Kiedy zasypiał, ogarnął go osobliwy spokój, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, jakkolwiek bowiem potoczy się szalona eskapada, którą przedsięwzięną za kilka godzin, on swój cel już osiągnął.

Obudził go Manfred, potrząsając za ramię. Julian w pobliżu zjadał kanapkę z kielbasą.

- Już czas. Jest siódma wieczór.

- Czemu nie obudziłeś mnie wcześniej?

- Musiałeś odpocząć. Ja w tym czasie poszedłem na zakupy i mam wszystko, co kazałeś przynieść. Ręczniki, stalową łyżkę, łopatkę, wszystko.

- No to zaczynamy.

Manfred podał mu sulfonamidy przeciwdziałające ropieniu ran, po czym kazali Julianowi iść do samochodu.

- Mogę go uruchomić?

- Ani się waż! - krzyknął Manfred.

Po czym we dwóch ściągnęli z trupa Jürgena spodnie i buty, a ubrali go w odzież Paula, do kieszeni marynarki wsunęli jego dokumenty. Następnie wykopali głęboki dół w klepisku i ułożyli w nim zwłoki.

- Powinno ich to zmylić na jakiś czas. Nie sądzę, żeby znaleźli ciało wcześniej niż za kilka tygodni, a do tej pory wiele z niego nie zostanie - rzekł Paul.

Zdjęli wiszącą na gwoździu kurtkę od munduru Jürgena, który był mniej więcej tego samego wzrostu co Paul, tyle że nieco cięższy. Grube opatrunki na rękach i piersi Paula załatwiły sprawę - mundur pasował. Buty nieco cisnęły, natomiast reszta była w porządku.

- Mundur leży jak ulał. Nijak tylko nie zgadza się to. - Manfred wskazał dowód osobisty Jürgena.

Dowód był w skórzanym portfelu razem z książeczką NSDAP i legitymacją SS. Z wiekiem podobieństwo Jürgena i Paula wzrosło. Obaj mieli mocno zarysowaną szczękę, niebieskie oczy, zbliżone rysy twarzy. Włosy Jürgena były ciemniejsze, lecz to się da załatwić dzięki brylantynie, którą Manfred kupił.

Na podstawie zdjęcia w dowodzie osobistym Paul mógłby uchodzić za Jürgena. Z zastrzeżeniem co do jednego drobnego detalu, na który zwrócił uwagę Manfred, wskazując go palcem. Otóż w rubryce „Znaki szczególne” jak wół widniały słowa: „Brak prawego oka”.

- Opaska może nie wystarczyć, Paul. Jeśli każą ci ją podnieść...

- Wiem. Dlatego musisz mi pomóc.

Manfreda zatkało. Patrzył na Paula bez słowa.

- Nie myślisz chyba o...

- Muszę.

- Oszalałeś?!

- Cały ten plan jest szalony. A to jego najsłabszy punkt.

W końcu Manfred się zgodził. Paul usiadł na koźle fury, całą pierś i kolana starannie okrył sobie ręcznikami, jakby siedział u golarza.

- Gotowy?

- Poczekaj - poprosił Manfred. - Powtórzmy jeszcze, żeby nie popełnić błędu.

- Wsunę sobie łyżkę pod prawą powiekę i wydłubię oko. Jak tylko je wyjmę, musisz mi zdezynfekować oczodół i nałożyć opatrunek z gazy. Wszystko jasne?

Manfred kiwnął głową. Z przejęcia i strapienia ledwie mógł mówić, a Paul zrozumiał, że przerażenie brata Alys jemu pozwala zapomnieć o własnym strachu.

- Gotowy? - powtórzył pytanie.

- Gotowy.

Dziesięć sekund później w wozowni rozbrzmiał straszny krzyk.

Do jedenastej wieczorem Paul zużył prawie cały flakon aspiryny z trzech kupionych przez Manfreda. Co kwadrans przemywał i okładał świeżym opatrunkiem ranę, która przestała w końcu krwawić.

Julian zaalarmowany krzykami przybiegł do wozowni, gdzie zastał ojca trzymającego się za głowę i wrzeszczącego ile sił w płucach oraz histerycznie pokrzykującego wuja, który chciał stamtąd uciec. Chłopiec czym prędzej wycofał się do mercedesa i tam zalał łzami.

Kiedy zapanował wreszcie względny spokój, Manfred udał się do siostrzeńca, by wyłożyć mu plan. Julian przyszedł potem do wozowni i zbliżył się do Paula.

- Zrobiłeś to tylko dla mojej mamy? - zapytał głosem, w którym brzmiało uwielbienie.

- I dla ciebie, synu. Bo chcę, żebyśmy byli razem.

Chłopiec nic na to nie powiedział, tylko mocno chwycił ojca za rękę i tak go trzymał, aż Paul stwierdził, że pora ruszać. Razem poszli do samochodu i usiedli na tylnej kanapie.

Szesnaście kilometrów dzielące ich od obozu koncentracyjnego Manfred przejechał z napięciem widocznym na twarzy. Zajęło im to prawie godzinę, ponieważ Manfred ledwie umiał prowadzić, tak że silnik gasł mu co chwila.

- Jak tam będziemy - odezwał się Paul zmartwiony - silnik nie może ci zgasnąć pod żadnym pozorem.

- Zrobię co w mojej mocy.

Kiedy dojeżdżali do Dachau, Paul zauważył, że okolica radykalnie się zmienia w porównaniu z Monachium. Nawet w ciemnościach nocy widział ubóstwo miasteczka. Chodniki były nierówne i brudne, znaki drogowe poobdrapywane, ze zniszczonych fasad budynków łuszczyła się farba.

- Przygnębiająco to wygląda - powiedział.

- W tyle miejsc mogli zabrać Alys, ale to jest chyba najgorsze.

- Dlaczego?

- Do naszego ojca należała tutejsza fabryka amunicji.

Paul chciał mu powiedzieć, że jego matka pracowała w tej fabryce, lecz została zwolniona, stwierdził jednak, że zbyt jest zmęczony na rozmowę.

- Szczytem ironii jest to, że ojciec sprzedał ten teren nazistom. A oni wybudowali tu obóz.

Ujrzeni w końcu żółtą tablicę z czarnym napisem informującym, że obóz znajduje się w odległości ośmiuset metrów.

- Zatrzymaj się, Manfred. Powoli wrzuć wsteczny i cofnij trochę.

Manfred wykonał polecenie i dojechali do niedużego budynku, który minęli kilka chwil wcześniej. Przypominał domek myśliwski, wyglądał jednak na dawno nie używany.

- Julian, posłuchaj uważnie - rzekł Paul, ujmując chłopca za ramiona i zmuszając, by spojrzał mu w twarz. - Wujek i ja pojedziemy do obozu i spróbujemy wyciągnąć stamtąd twoją mamę. Ty nie możesz z nami iść. Wsiądziesz teraz z auta, weźmiesz moją walizkę i poczekaasz na nas gdzieś na tyłach tego domku. Schowaj się tam dobrze, z nikim nie rozmawiaj, nie wychodź, póki nie usłyszysz, że cię wołamy. Zrozumiałeś?

Julian kiwnął głową, nie mogąc pohamować drżenia ust.

- Dzielny z ciebie chłopiec - pochwalił go Paul, całując.
- A jeśli nie wrócicie?
- Nawet o tym nie myśl. Na pewno wrócimy.

Zostawiwszy Juliana w kryjówece, Paul z Manfredem wsiedli do samochodu.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś, co ma zrobić, jeżeli nie wrócimy? - zapytał Manfred.
- Bo to bystry chłopak. Zjrzy do walizki, zabierze pieniądze, a resztę zostawi. I tak zresztą nie mamy nikogo, kto by go przyjął. Jak wygląda rana? - spytał Paul, zapalając światło w samochodzie i zdejmując opatrunek.

- Zaogniona, ale tylko trochę. Powieka nie jest zaczerwieniona. Boli?
- Potwornie.

Paul przejrzał się w lusterku wstecznym. W miejscu, gdzie niegdyś była gałka oczna, widniał płatek pomarszczonej skóry powieki. Z kącika oczodołu wypływała cieniutka strużka krwi niczym szkarłatna łza.

- Cholera, powinno to wyglądać na dawno zagojone.
- Może nie każą ci zdejmować opaski.
- Właśnie! Dzięki za przypomnienie.

Wyjął z kieszeni opaskę i nałożył, zdjęty opatrunek wyrzucił przez okno do przydrożnego rowu. Kiedy znów popatrzył na swoje odbicie, przebiegł go dreszcz.

Z lusterka spoglądał na niego Jürgen.

Zerknął na nazistowską opaskę na lewej ręce. Dotąd myślałem, że prędzej umrę, niż coś takiego nałożę - pomyślał. - I tak się stało. Paul Reiner nie żyje. Teraz nazywam się Jürgen von Schroeder.

Przesiadł się z fotela po prawej stronie kierowcy na tylną kanapę, starając się przypomnieć sobie jak najdokładniej, jaki był jego brat, jak wgardliwie się odnosił do innych, jak butnie zachowywał. Jaki miał sposób wyrażania, w pełni przystający do sposobu bycia i dający każdemu odczuć, że jest istotą niżej postawioną.

- Dam radę - pomyślał. - Próbujemy...
- Ruszaj, Manfred. Nie traćmy więcej czasu.

ROZDZIAŁ 59

PRACA CZYNI WOLNYM.

Takie słowa wykute w żelazie widniały nad bramą prowadzącą do obozu. I nic nie znaczyły, były tylko żelazem, któremu nadano formę liter, ponieważ nikt, kto tutaj trafił, nie odzyskiwał wolności dzięki pracy.

Kiedy mercedes zajechał pod obóz, zaspany wartownik w czarnym mundurze wyszedł z budki, pobieżnie zerknął do auta, świecąc sobie latarką, po czym dał znak, by jechali dalej. Brama natychmiast zaczęła się otwierać.

- No proszę, jakie to proste - szepnął Manfred.

- Znasz więzienie, do którego trudno wejść? Problemy zaczynają się przy wyjściu - zauważył Paul.

Brama otworzyła się już zupełnie, lecz samochód wciąż stał.

- Co jest, do diabła? Nie możesz tu tkwić!

- Nie wiem, gdzie jechać - odparł Manfred z rękami zaciśniętymi na kierownicy.

- Cholera!...

Paul opuścił szybę i skinął na strażnika, który przybiegł czym prędzej.

- Słucham, herr obersturmführer.

- Nieznośnie boli mnie głowa. Wytłumaczcie z łaski swojej mojemu nierozgarniętemu szoferowi, jak jechać do kogoś z kierownictwa. Przywożę rozkazy z Monachium.

- O tej porze tylko strażnicy tu zostali.

- W takim razie chcę mówić z dowódcą warty. Powiedźcie temu kretynowi, gdzie to jest, bo ja nie mogę się z nim dogadać.

Strażnik wskazał drogę Manfredowi, któremu nie pozostało nic innego, jak udawać obrażonego na „szefa”.

- Nie przesadziłeś trochę?

- Gdybyś wiedział, jak mój brat się odnosił do służby... To była próbka tego, co robił, kiedy miał dobry dzień.

Mercedes jechał po zamkniętym terenie. Po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego grupa więźniów biegła wokół słupa wbitego w ziemię. Każdy miał prawą nogę

przywiązaną do nogi poprzednika, tak że jeśli jeden się przewrócił, pociągał za sobą co najmniej czterech, pięciu.

- Dalej, psy! Będziecie biegać, póki nie zrobicie dziesięciu okrążeń bez upadku! - wrzeszczał strażnik, który ich pilnował.

- Na idyllę mi to nie wygląda - zauważył Manfred.

Samochód dojechał w miejsce wskazane przez wartownika przy bramie. Był to niski biały barak oświetlony reflektorami, u wejścia dwaj żołnierze stali na straży. Paul wyciągnął rękę do klamki, aby wysiąść z wozu, lecz Manfred go powstrzymał.

- Co robisz? - szepnął. - Szofer powinien ci otworzyć drzwi.

Paul w porę się opamiętał. Ból głowy znów przybrał na sile, a wraz z nim oszołomienie, trudno mu zatem było zachować jasność myśli. Obleciał go strach wobec perspektywy tego, co zamierzał zrobić. Korciło go przez moment, aby kazać Manfredowi zawrócić i uciekać gdzie pieprz rośnie. Zaraz się jednak opamiętał. Nie mogę zrobić tego Alys. Ani Julianowi, ani sobie. Muszę się tam dostać... za wszelką cenę.

Drzwi samochodu już były otwarte. Paul postawił nogę na betonie, a kiedy wychylił głowę, strażnicy wyprężyli się na baczność i wzniesli prawą rękę w pozdrowieniu. Paul wysiadł z mercedesa i odwzajemnił salut.

- Spocznij - rzucił, wchodząc do środka.

Wnętrze przypominało niezbyt duże biuro z paroma wysprzątanymi pustymi biurkami, na których stała tylko miniaturowa flaga nazistowska i pojemnik na ołówki, a jedyną dekoracją pomieszczenia był portret Führera na ścianie. Przy drzwiach znajdował się podłużny stół przypominający kontuar, za którym siedział funkcjonariusz ze skwaszoną miną. Na widok Paula poderwał się na nogi.

- *Heil Hitler!*

- *Heil Hitler!* - odpowiedział Paul, rozglądając się po sali. W głębi ujrzał szerokie okno, przez które widać było pomieszczenie wyglądające na świetlicę. W kłębach dymu siedział tam z tuzin żołnierzy grających w karty.

- Dobry wieczór, herr obersturmführer - przywitał go funkcjonariusz. - Czym mogę służyć o tej porze?

- Może pan służyć, jeśli się pospieszy. Mam zabrać do Monachium więźniarkę na... ostre przesłuchanie.

- Oczywiście, herr obersturmführer. Nazwisko?

- Alys Tannenbaum.

- A, ta co ją wczoraj przywieźli. Niewiele tu mamy kobiet, może z pięćdziesiąt.

Szkoda, że ją zabieracie. Ona jest z tych... znośniejszych - powiedział z lubieżnym uśmiechem.

- Chce pan powiedzieć: znośniejsza jak na Żydówkę.

- Ma się rozumieć. Jak na Żydówkę, herr obersturmführer. Oczywiście...

- Oczywiście. To na co pan czeka? Przyprowadzić!

- Tak jest, herr obersturmführer. Mogę prosić o rozkaz przeniesienia?

Paul, który ręce trzymał założone za plecami, zacisnął mocno pięści. Miał przygotowaną odpowiedź na to pytanie. Teraz musiał wygłosić małą przemowę. Jeśli zadziała, zabiorą Alys, wsiądą do auta i odjadą wolni jak ptaki. W przeciwnym razie dyżurny będzie chciał zatelefonować, może więcej niż raz. I po półgodzinie on i Manfred zostaną z honorami odprowadzeni za druty, tyle że w zupełnie innych ubrankach.

- Niech pan posłucha, panie...

- Faber, herr obersturmführer. Gustav Faber.

- Niech pan posłucha, Faber. Dwie godziny temu figlowałem sobie w łóżku ze śliczną panną z Frankfurtu, którą przez parę dni do tego namawiałem. Parę dni! Aż tu dzwoni telefon i wie pan, kogo słyszę?

- Nie, herr obersturmführer.

Paul się nachylił nad stołem i przybrał konfidencjonalny ton.

- Reinharda Heydricha we własnej osobie. Mówi mi: „Jürgen, przyjacielu, sprowadź mi tę Żydówkę, którą wczoraj posłaliśmy do Dachau, bo zdaje się, że nie wyciągnęliśmy z niej wszystkiego”. Ja na to: „Nie może tego załatwić kto inny?”. A on odpowiada: „Nie, bo chcę, żebyś w drodze nad nią popracował i zmiękczył ją tą swoją specjalną metodą”. Cóż miałem zrobić? Wsiadłem do samochodu i oto jestem. Czego się nie robi dla przyjaciół... Co nie zmienia faktu, że jestem w parszywym nastroju. Dlatego raz-dwa sprowadź mi tu tę żydowską kurwę, żebym zdążył wrócić do mojej przyjaciółeczki, zanim na dobre uśnie.

- Przepraszam, herr obersturmführer, ale...

- Czy ty wiesz, człowieku, z kim rozmawiasz?

- Nie wiem, herr obersturmführer.

- Jestem baron von Schroeder.

Twarz Fabera w jednej chwili się zmieniła.

- Och, czemu od razu pan nie powiedział? Jest pan blisko z Adolfem Eichmannem. Dużo mi o panu opowiadał - zniżył głos - wiem też, że panowie wykonują specjalne zadanie na polecenie herr Heydricha. Tak że proszę się nie martwić, natychmiast wszystkim się zajmę. Ta Żydówka zaraz tu będzie.

Poszedł do świetlicy i wywołał żołnierza wyraźnie niezadowolonego, że przerwano mu partię. Chwilę później zniknął za drzwiami, których Paul dotąd nie zauważył.

Tymczasem wrócił Faber. Wyjął z szuflady stołu fioletowy formularz i zaczął go wypełniać.

- Czy mogę poprosić o dokumenty? Muszę zapisać pański numer identyfikacyjny w SS.

Paul podał mu skórzany portfel.

- Tu ma pan wszystko. I proszę się pospieszyć.

Faber wyjął dowód osobisty i przez kilkanaście sekund wpatrywał się w zdjęcie. Paul uważnie go obserwował. To była decydująca chwila. Dostrzegł cień niepewności na twarzy dyżurnego, który podniósł na niego wzrok i na powrót opuścił go na zdjęcie. Paul zrozumiał, że musi coś zrobić. Odwrócić jego uwagę, pomóc mu w podjęciu decyzji, rozproszyć wątpliwości.

- Coś nie pasuje? Mam okazać miejsce po oku?

Kiedy dyżurny spojrział na niego zdziwiony, Paul na moment uniósł opaskę i zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Nie... nie, herr obersturmführer. Już zanotowałem. - Zwrócił mu portfel z dokumentami. - Przepraszam, herr obersturmführer... nie lubię się wtrącać... ale ma pan krew na oku.

- A, dziękuję, Faber. Lekarz usuwał mi zrosty, które z czasem się porobiły. Mówił, że może mi dopasować szklane oko. Na razie muszę cierpieć z powodu jego działań. W sumie...

- Już jest, herr obersturmführer. Proszę spojrzeć, prowadzą ją.

Za Paulem otworzyły się drzwi, te same, przez które on tutaj wszedł, i rozległy się kroki. Nie odwrócił się, by na nią popatrzeć, ze strachu, że na twarz wypłyną mu emocje albo że co gorsza, Alys go rozpozna. Toteż kiedy popchnięto ją, by podeszła bliżej, tylko zerknął na nią z ukosa.

Alys, ubrana w coś w rodzaju sukienki z szorstkiej tkaniny, stała z głową pochyloną i oczyma wlepionymi w ziemię. Była boso, ręce miała skute kajdankami.

Nie myśl o niej jako o Alys - nakazał sobie Paul. - Myśl tylko o tym, jak ją stąd wyciągnąć żywą.

- Cóż, jeśli to wszystko...

- Tak, herr obersturmführer. Proszę podpisać tu i tu.

Fałszywy baron ujął w rękę pióro, bardzo się starając złożyć podpis nieczytelny. Następnie ujął Alys za ramię i odwrócił się do wyjścia, ciągnąc ją za sobą.

- Jeszcze jedno, herr obersturmführer.

Paul obrócił się na pięcie.

- Czego, do diabła? - zezłościł się.

- Muszę zatelefonować do pana Eichmanna, żeby zezwolił na wyjście więźniarki, bo on ją tutaj przyjmował.

Przerażony Paul rozpaczliwie się zastanawiał, próbując coś wymyślić, cokolwiek, byle przeszkodzić dyżurnemu.

- I pana zdaniem koniecznie trzeba zawracać głowę pocziwemu Adolfowi z powodu takiej błahostki?

- To potrwa minutkę, herr obersturmführer - zapewnił dyżurny, który już trzymał słuchawkę w ręku.

ROZDZIAŁ 60

NO TO PO NAS - POMYŚLAŁ PAUL.

Na czole zebrała mu się kropla potu, spłynęła niżej, omijając brew, i zawisała nad zdrowym okiem. Mrugnął dyskretnie, aby ją strząsnąć, lecz to była pierwsza kropla z wielu. W pomieszczeniu było bardzo ciepło, na dodatek Paul stał akurat pod żarówką, która oświetlała wejście. Czapka Jürgena, odrobinę za ciasna, jeszcze dokładała swoje.

Nie mogą zauważyć, że jestem zdenerwowany.

- Herr Eichmann?... - Donośny głos dyżurnego słychać było w całym pomieszczeniu. Należał do ludzi, którzy rozmawiając przez telefon, podnoszą głos, by przewodom łatwiej było go ponieść. - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam o tej porze. Jest tu baron von Schroeder, przyjechał po więźniarkę... - Przerwy w wyjaśnieniach dyżurnego przynosiły ulgę uszom Paula, dla nerwów natomiast były istną torturą. Oddałby wszystko, aby słyszeć drugą część dialogu. - Tak... Tak, istotnie... Tak jest, rozumiem. - Tu dyżurny podniósł głowę i popatrzył z powagą na Paula, który wytrzymał jego wzrok, czując kolejną kroplę potu płynącą dróżką wytyczoną przez poprzednie. - Tak jest... Oczywiście... Tak zrobię.

Wolno odłożył słuchawkę.

- Panie baronie?

- O co chodzi?

- Czy byłby pan łaskaw zaczekać chwilkę? Zaraz wracam.

- No dobrze, ale niech pan się pośpieszy.

Dyżurny szybko pomaszerował do drzwi prowadzących do świetlicy. Paul widział przez szybę, że podchodzi do jednego z żołnierzy, ten zaś rusza zaraz do pozostałych.

Przejrzeli nas - przeraził się Paul. - Znaleźli zwłoki Jürgena i teraz nas aresztują. Nie rzucili się na mnie, bo chcą wszystkich wziąć żywcem. Ale niedoczekanie!

Wpadł w rozpacz. Paradoksalnie głowa mniej go bolała, niewątpliwie pod wpływem strumienia adrenaliny, która płynęła teraz w jego żyłach. Przede wszystkim jednak miał świadomość dotyku skóry Alys, którą trzymał za rękę. Odkąd weszła, ani na chwilę nie podniosła głowy. Po jej drugiej stronie żołnierz, który ją przyprowadził, czekał, niecierpliwie stukając butem w podłogę.

Jeśli po nas przyjdą, ostatnie co zrobię, to ją pocałuję.

Z tych samych drzwi, za którymi dyżurny zniknął, wyłonił się teraz w towarzystwie dwóch żołnierzy. Przy stole grupka zrobiła zwrot i Paul obrócił się na pięcie, aby stanąć przodem do nich, zmuszając Alys, by uczyniła to samo.

- Panie baronie?

- Tak?

- Rozmawiałem z herr Eichmannem, który przekazał mi zaskakującą wiadomość. Musiałem podzielić się nią z kolegami. Ci żołnierze chcą z panem mówić.

Przybyli z dyżurnym żołnierze wyprężyli się na baczność.

- Proszę o zgodę na uściśnięcie dłoni w imieniu całej kompanii, herr obersturmführer.

- Wyrażam zgodę - zdołał powiedzieć oniemiały Paul.

- To zaszczyt poznać prawdziwego weterana - rzekł żołnierz, wskazując malutki order na piersi Paula: orzeł z rozłożonymi skrzydłami zrywający się do lotu, wsparty na wieńcu laurowym. Order Krwi.

Paul, który nie miał bladego pojęcia, co to za odznaczenie, skłonił tylko głowę i uściśnił prawicę żołnierzy i dyżurnego.

- Czy wtedy stracił pan oko, herr obersturmführer? - zapytał dyżurny z uśmiechem.

Paulowi w głowie odezwał się dzwonek alarmowy. To mógł być podstęp. Ale nie nasuwała mu się żadna odpowiedź, nie wiedział także, do czego Faber może nawiązywać. Do diabła, co Jürgen mówił ludziom na ten temat? - zastanawiał się. - Opowiadał, że to był wypadek podczas idiotycznej bójki gówniarzerii, czy kłamał, żeby uchodzić za kogoś, kim nie był?

Żołnierze wpatrywali się w niego z uwagą, czekając na jego słowa. Cokolwiek powie, będzie, co ma być.

- Całe życie poświęciłem Führerowi, towarzysze. Ciało również - rzekł, starając się zyskać na czasie.

- A więc doszło do tego podczas zamachu stanu w dwudziestym trzecim roku? - naciskał dyżurny.

Jürgen był jednooki długo przed zamachem. Nie odważyłby się opowiadać tak ewidentnego kłamstwa. Czyli odpowiedź brzmi: nie. Ale jak on to tłumaczył?

- Żałuję, towarzysze. To był wypadek w domu.

Żołnierze wydawali się lekko zawiedzeni, lecz z twarzy dyżurnego nie schodził uśmiech.

Może jednak to nie był podstęp - pomyślał Paul z ulgą.

- Skończył pan z tymi swoimi formalnościami, Faber?

- Właściwie nie, herr obersturmführer. Herr Eichmann polecił panu coś przekazać - rzekł, podając Paulowi niedużą kasetkę. - To wiadomość, o której wspomniałem.

Paul wziął od dyżurnego kasetkę i otworzył. Wewnątrz zobaczył zapisany na maszynie arkusik wielkości pocztówki i coś zawiniętego w bibułę.

Drogi Przyjacielu,

gratuluje wzorowego wypełnienia zadania. Wedle mojej opinii zrealizował je Pan w stu procentach. Dzięki wykazom, które Pan sporządził, już wkrótce zaczniemy działać. Mam także zaszczyt przekazać Panu osobiste powinszowania od Führera. Pytał mnie o Pana w prywatnej rozmowie, a kiedy się dowiedział, że nosi Pan już na piersi Order Krwi i złotą odznakę partyjną, prosił o radę, jakie specjalne odznaczenie moglibyśmy Panu przyznać. Zastanawialiśmy się przez kilka minut i Führer wpadł na wyśmienity pomysł. To człowiek o wielkim poczuciu humoru, zaraz też zlecił wykonanie swojemu zaufanemu jubilerowi.

Zapraszam jak najrychlej do Berlina. Mam wobec Pana rozległe plany.

Z wyrazami życzliwości

Reinhard Heydrich.

Nic z tego liściku nie rozumiejąc, Paul wyjął przedmiot zapakowany w bibułę i odwinął go. Był to order ze złota ozdobiony wprawionym diamentem, widniał na nim dwugłowy orzeł na tle krzyża teutońskiego. Proporcje były tu nieprawidłowe, zastosowano materiały mające być w założeniu obraźliwą parodią, mimo to Paul od pierwszego rzutu oka rozpoznał, z czym ma do czynienia.

Był to order masona 32. stopnia.

Jürgen, coś ty zrobił?

- Towarzysze - odezwał się dyżurny, wskazując Paula - brawa dla barona von Schroedera, człowieka, który jak mi powiedział herr Eichmann, wykonał zadanie tak ważne dla Rzeszy, że sam Führer wymyślił dla niego osobiste odznaczenie.

Żołnierze klaskali, kiedy stropiony Paul kierował się z więźniarką do wyjścia. Dyżurny im towarzyszył, otworzył przed nimi drzwi i coś włożył Paulowi do ręki.

- Klucz do kajdanek, herr obersturmführer.

- Dziękuję, Faber.

- Byłem zaszczycony, herr obersturmführer.

Samochód kierował się do bramy. Manfred, obróciwszy lekko głowę z twarzą wilgotną od potu, zapytał:

- Co tak długo, do diabła?

- Potem ci powiem. Najpierw stąd wyjedźmy - szepnął Paul.

Namacał dłonie Alys, lecz bez słowa je wyszarpnęła. Jechali zatem w milczeniu, póki nie znaleźli się za bramą obozu.

- Alys - rzekł wtedy Paul, ujmując ją za brodę - uspokój się. To my.

Nareszcie podniosła głowę. Całą twarz miała posiniaczoną.

- Wiedziałam, że to ty, odkąd wzięłeś mnie za rękę tam, w środku. Och, Paul, tak bardzo się bałam! - powiedziała, opierając głowę na jego piersi.

- Jesteś cała? - zapytał Manfred.

- Tak - odparła słabym głosem.

- Ten drań coś ci zrobił? - wypytywał ją brat, któremu Paul nie wyjawiał przechwałek Jürgena o rzekomym zgwałceniu i poturbowaniu Alys.

Nie od razu odpowiedziała, a kiedy w końcu to zrobiła, unikała wzroku Paula.

- Nie.

Nikt nigdy się o tym nie dowie, Alys - pomyślał Paul. - A co najważniejsze, ty nigdy nie będziesz wiedziała, że ja wiem.

- Całe szczęście. W każdym razie ucieszy cię, że Paul własnoręcznie ukatrupił skurwysyna. Nie masz pojęcia, do czego się posunął, żeby cię stąd wyciągnąć.

Alys spojrzała Paulowi w twarz i wtedy zrozumiała, na czym zasadzał się plan, jak bardzo ojciec jej syna się poświęcił. Podniosła skute kajdankami ręce i zsunęła mu opaskę z oka.

- Paul!... - krzyknęła, powściągając szloch.

Przytulił ją.

- Ciii... nic nie mów.

Manfred zjechał z szosy i zaparkował koło domku myśliwskiego. Paul zdjął kajdanki z rąk Alys.

- Chodźmy po niego wszyscy. Będzie miał wielką niespodziankę.

- Po kogo? - zdziwiła się.

- Po naszego syna, Alys. Czeka w tym domku.

- Julian? Przywlekliście tu Juliana? Czy wyście powariowali? - krzyknęła.

- Nie było innego wyjścia - bronił się Paul. - Mieliliśmy naprawdę mało czasu.

Nie słuchała, wyskoczyła z samochodu i biegiem ruszyła za dom.

- Julian!... Skarbie, to ja, mama! Gdzie jesteś?

Paul z Manfredem pospieszyli za nią w obawie, że się przewróci i coś sobie zrobi w tym wzburzeniu. Natknęli się na nią za rogiem, który wyraźnie się rysował w blasku reflektorów mercedesa, jawiąc się niczym ostatni bastion światła przed wszechwładzą zarośli spowitych w czerń. Tam właśnie przystanąła kompletnie stropiona Alys, patrząc na coś szeroko otwartymi oczami.

- Alys, co się dzieje? - spytał Paul.

- To się dzieje, przyjacielu - dobiegł głos z ciemności - że wszyscy troje macie się sprawować jak należy, jeśli nie chcecie, żeby coś się przydarzyło temu młodzieńcowi.

Paul powściągnął okrzyk strachu i gniewu, kiedy jakiś człowiek postąpił parę kroków, wszedł w zasięg reflektorów mercedesa i przystanął, nie doszedłszy do miejsca jasno oświetlonego.

Człowiekiem tym był Sebastian Keller. Trzymał w ręku pistolet z lufą przytkniętą do głowy Juliana.

ROZDZIAŁ 61

- KELLER!

- Witaj, Paul. Do twarzy ci w mundurze.

- Mamo! - krzyknął Julian przerażony. Stary księgarz lewą ręką trzymał go za szyję, a prawą przystawiał lufę pistoletu do głowy. - Przepraszam, zaskoczył mnie. On przeszukał walizkę, znalazł pistolet...

- Kochanie, tym się teraz nie martw - powiedziała Alys spokojnie. - Ja...

- Milczeć wszyscy! - rozkazał Keller. - To prywatna sprawa między Paulem a mną.

- Słuchajcie go - rzekł Paul.

Chciał usunąć Alys i Manfreda z linii strzału, lecz Keller mu nie pozwolił, zaciskając mocniej rękę na szyi Juliana.

- Spokojnie, Paul. Dla chłopca lepiej będzie, jeśli będziesz stał za panną Tannenbaum.

- Tchórz z ciebie, Keller. Tylko tchórzliwa gnida kryje się za bezbronnym dzieckiem.

Księgarz zaczął się powoli wycofywać ze strefy oświetlonej, aż skrył się w ciemności, tak że słyszeli tylko jego głos dobiegający z odległości jakichś czterech, pięciu metrów.

- Przykro mi, Paul. Naprawdę mi przykro. Ale nie chcę skończyć jak Clovis i twój brat.

- Skąd...?

- Skąd o tym wiem? Nie spuszczałem cię z oka, odkąd trzy dni temu zjawiłeś się w księgarni. A ostatnie dwadzieścia cztery godziny były nadzwyczaj pouczające. Jestem już zmęczony, chciałbym się przespać, bądź więc tak dobry i daj mi to, czego szukam, a ja wypuszczę twojego syna.

- Do diabła, Paul, kim jest ten wariat? - wtrącił się Manfred.

- To człowiek, który zabił mojego ojca.

Zaskoczenie Kellera było wyczuwalne, mimo że jego twarzy nie widzieli.

- No proszę... A więc nie jesteś taki naiwny, na jakiego wyglądasz.

Paul wysunął się nieco do przodu, stając między Alys i Manfredem, którzy w milczeniu słuchali tej przerażającej rozmowy.

- Czytałem list mojej matki, która napisała, że ojciec był wtedy ze szwagrem, Nagelem

i kimś jeszcze, kogo nazwała „przyjacielem”. Wtedy zrozumiałem, że manipulowałeś mną od samego początku.

- Tamtej nocy twój ojciec mnie poprosił, żebym się wstawił za nim u wpływowych osób. Chciał, żeby wszelkie wzmianki o morderstwie, które popełnił, i o dezercji zniknęły z jego papierów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Było to dość trudne, chociaż może byśmy to załatwili we dwóch z twoim wujem. W zamian twój ojciec proponował nam dziesięć procent kamieni. Dziesięć procent!

- Toteż zabiliście go.

- Przypadkowo w ferworze dyskusji. On wyjął pistolet, ja się na niego rzuciłem... Czy to teraz ważne?

- Co innego było ważne, prawda, Keller?

- Liczyliśmy, że w jego papierach znajdziemy mapę z miejscem ukrycia skarbu, ale niestety. Wiedzieliśmy, że posłał coś w kopercie twojej matce, liczyliśmy więc, że to zachowała i że kiedyś... Lata jednak mijały i nic.

- On wcale jej nie posłał mapy, Keller - rzekł Paul, który naraz zrozumiał wszystko. Ostatni element łamigłówek trafił na swoje miejsce, dopasowując się do reszty idealnie.

- Znalazłeś ją? Tylko nie kłam, bo potrafię czytać w tobie jak w otwartej księdze.

Paul rozejrzał się dokoła, zanim odpowiedział. Sytuacja wyglądała parszywie. Keller trzymał Juliana, a oni troje byli bezbronni. Miał ich jak na dłoni w świetle reflektorów samochodu, sam zaś skrywał się w cieniach przy domku. Nawet gdyby Paul zdecydował się zaatakować i Keller odsunąłby broń od głowy chłopca, bez problemu trafiłby doskonale widocznego Paula.

Muszę odwrócić jego uwagę. Tylko jak?

Jedyny pomysł, jaki mu przyszedł do głowy, to drażnić prawdę.

- Ojciec niczego nie kazał mi przekazać, zgadza się?

Keller zaśmiał się drwiąco.

- Twój ojciec, Paul, był chyba największym łajdakiem, jakiego w życiu spotkałem. Był rozpustnikiem, łgarzem i tchórzem, ale przy tym wesołym kompanem. Zabawa z nim była przednia, choć jedyną osobą, o którą Hans dbał przez całe swoje życie, był sam Hans. Historyjkę o czymś, co dla ciebie zostawił, wymyśliłem w charakterze bodźca dla ciebie, żebyś poruszył kurz, który się nagromadził przez lata. Kiedy odzyskałeś mauzera, Paul, odzyskałeś broń, z której zabiłem twojego ojca. I gdybyś dotąd tego nie zauważył, zwracam ci uwagę, że to ta sama, którą przystawiam do głowy twojego syna.

- Przez cały ten czas...

- Przez cały ten czas czekałem na nagrodę. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat, Paul. Przy odrobinie szczęścia czeka mnie jeszcze dobre dziesięć lat życia. Niewątpliwie skrzynia diamentów znacznie umili mi emeryturę. A teraz gadaj, gdzie ta mapa, bo wiem, że ją znalazłeś.

- Jest w mojej walizce.

- Nie wierzę. Przetrzęsnałem ją dokładnie.

- Jest tam na pewno.

Przez kilka chwil panowała cisza.

- No dobrze - powiedział w końcu Keller. - Zrobimy tak: panna Tannenbaum wycofa się w cień i przyniesie do światła walizkę. Wtedy ty się schylisz i wyciągniesz mapę. Jasne?

Paul kiwnął głową.

- Pytam jeszcze raz: jasne? - powtórzył Keller, podnosząc głos.

- Alys?... - odezwał się Paul.

- Tak, jasne - odparła bezbarwnie i zaczęła się wycofywać ze światła.

Zaniepokojony tonem jej głosu Paul przytrzymał ją za rękę.

- Alys, nie zrób jakiegoś głupstwa.

- Nie zrobi. Nie martw się, Paul - zapewnił Keller tonem większej niż dotąd pogroźki.

Alys uwolniła rękę z uchwytu Paula. W jej postawie, w pozornej obojętności, w tym, jak wyszła ze strefy oświetlonej i zagłębiła się w mrok, nie okazując ani cienia emocji, było coś, co sprawiło, że Paulowi ścisnęło się serce. Naraz ogarnęło go pełne rozpaczy przekonanie, że całe jego poświęcenie poszło na darmo. Że za parę minut w lesie po czterykroć rozbłyśnie lufa pistoletu i na łożu ze szpilek sosnowych legną cztery ciała, martwym wzrokiem spoglądając na czarne pnie drzew.

Alys jednak zbyt się bała o Juliana, aby cokolwiek przedsięwziąć. Posłusznie wykonywała lakoniczne polecenia Kellera, które rzucał oschłym głosem, po czym znów się wyłoniła na oświetlonym terenie, dźwigając otwartą walizkę pełną skłębionych ubrań.

Paul się schylił i zaczął grzebać w stercie rzeczy.

- Tylko pamiętaj: ostrożnie - napomniął go Keller.

Paul się nie odezwał. Złapał trop, do którego doprowadziły go słowa ojca: „Czasami największy skarb kryje przedmiot wyrządzający największą szkodę”. Znalazł to, czego szukał.

Mahoniową kasetę, w której ojciec trzymał pistolet.

Bardzo wolno, trzymając obie dłonie na widoku, Paul otworzył kasetę. Wsunął palce pod wymodelowaną elegancką wyściółkę z czerwonego filcu i szarpnął. Tkanina oderwała się

z cichym trzaskiem, we wgłębieniu na pistolet zobaczył poskładaną kartkę. Ujął ją w końce palców i rozłożył. Widniały na niej od ręcznie skreślone chińskim atramentem jakieś rysunki i liczby.

- I jak, Keller? Jak się czujesz, wiedząc, że przez wszystkie te lata miałeś mapę w zasięgu ręki? - spytał, unosząc kartkę, która jaśniała wyraźnie w świetle reflektorów mercedesa.

Przez chwilę panowała cisza. Paul wiele by dał, żeby zobaczyć złość i zawód rysujące się niechybnie na obliczu starego księgarza.

- No dobra - powiedział w końcu Keller ochryple. - Teraz oddaj kartkę Alys, a sam podejdź tu wolno.

Paul spokojnie wsunął kartkę do kieszeni spodni.

- Nie.

- Słyszysz?! Natychmiast!

- Powiedziałem: nie!

- Paul, zrób, co każe! - wtrąciła się Alys.

- On zabił mojego ojca.

- A teraz zabije naszego syna!

- Musisz go posłuchać, Paul - poparł ją Manfred.

- No dobra - ustąpił Paul, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kartkę. - W takim razie...

Jednym szybkim ruchem zgniótł papier, włożył do ust i zaczął gryźć.

- Niiieeee!

Wściekły ryk Kellera rozbrzmiał w całej okolicy. Księgarz wyłonił się z mroku, popychając przed sobą Juliana z pistoletem nadal przystawionym do głowy. Znalazłszy się jednak bliżej Paula, wycelował w niego.

- Ty przekłety skurwysynu!

Podejdź bliżej - pomyślał Paul, szykując się do skoku.

Keller przystanął, lecz wciąż był poza zasięgiem Paula.

Bliżej!

Stary zaczął odvodzić kurek. Paul naprężył mięśnie. Jeśli strzał padnie, chciał, by dosięgnął go w skoku.

- Diamenty są moje!

Ostatnie słowo przerodziło się w przenikliwy niewyraźny krzyk. Strzał z pistoletu padł, lecz księgarz chybił - kula poszła w górę. Keller puścił Juliana i wykonał dziwny obrót,

jakby chciał osiągnąć czegoś, co się znalazło za nim. Kiedy się odwrócił, światło rozblysło czerwono na czymś wystającym mu z pleców.

Na rękojeści noża myśliwskiego, który dwadzieścia cztery godziny wcześniej wypadł z ręki Jürgena von Schroedera.

Julian przez cały czas miał broń za paskiem spodni, wyczekując chwili, kiedy Keller przestanie w niego celować z pistoletu, by z całych sił wrazić ją w ciało prześladowcy. Wbił nóż pod dziwnym kątem i jednak za słabo, tak że rana tylko rozwścieczyła Kellera. Wyjął z bólu, stary przyłożył broń do głowy chłopca.

W tej chwili Paul rzucił się naprzód, powalając na ziemię Kellera, który próbował się podnieść, lecz nie miał szans: Paul już na nim siedział, okładając go po głowie pięściami bez chwili wytchnienia, kolanami przytrzymując rozłożone ramiona.

Wymierzał cios za ciosem, nie czując bólu w dłoniach - na drugi dzień będzie je miał potwornie opuchnięte - ani skóry zdartej na kostkach, nie uświadamiając sobie, że gdzieś zniknęły wszelkie skrupuły prawego człowieka, a w ich miejsce zagościł brutalny zwierzęcy gniew. Liczył się teraz jedynie ból, który zadawał, toteż katował Kellera, dopóki nie opadł z sił.

- Zostaw, Paul - rzekł Manfred, kładąc mu rękę na ramieniu. - On nie żyje.

Paul się obejrzał: Julian był w ramionach matki, która mocno tuliła jego głowę do piersi. Podziękował w duchu niebiosom, że syn nie widział tej ostatniej sceny. Zrzucił mundur Jürgena powalany krwią Kellera i podszedł do Alys i syna.

- Nic ci nie jest?

- Przepraszam, że nie posłuchałem wtedy i nie odłożyłem tego noża - powiedział chłopiec i rozplakał się.

- Bardzo dzielnie się zachowałeś, synu. Uratowałeś nas wszystkich.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A teraz zabierajmy się stąd - rzekł Paul, ruszając do samochodu. - Ktoś mógł słyszeć strzał.

Alys i Julian zajęli miejsca na tylnej kanapie, Paul usadowił się z przodu obok kierowcy. Manfred wrzucił bieg i wyprowadził wóz na szosę.

- Jedno mnie ciekawi, Paul - odezwał się Manfred, szeptem przerywając ciszę w aucie pół godziny później, kiedy Alys i Julian zasnęli.

- Mianowicie?

- Na tej kartce naprawdę była mapa do skrzynki diamentów?

- Tak sędzę. Do skrzynki zakopanej w Afryce Południowo-Zachodniej.

- Ach tak... - W głosie Manfreda zabrzmiało rozczarowanie.

- Chciałbyś jej poszukać?

- Musimy wyjechać z Niemiec. Poszukiwanie skarbu to niezły cel. Szkoda tylko, żeś pożarł tę mapę.

- Prawdę powiedziawszy... - mruknął Paul, grzebiąc w kieszeni i z trudem wydłubując z niej pogniecioną kartkę. - Prawdę powiedziawszy, zjadłem powiadomienie o tym, że mojemu bratu przyznano odznaczenie. Myślę, że tam gdzie teraz przebywa, jest mu to zupełnie obojętne.

EPILOG

CIEŚNINA GIBRALTARSKA

12 MARCA 1940 R.

PAUL ZACZAŁ SIĘ MARTWIĆ, KIEDY FALE UDERZYŁY W ICH KRUCHĄ ŁÓDŻ. Rejs nie miał być trudny - kilkanaście mil po spokojnym morzu, pod osłoną nocy.

Potem wszystko się skomplikowało.

Nic zresztą nie było normalne w ciągu ostatnich kilku lat. Zdołali bez przeszkód opuścić Niemcy przez granicę austriacką i na początku roku 1935 wylądowali w Afryce.

Nastąpiła epoka zaczynania wszystkiego od nowa. Alys zaczęła się znowu uśmiechać, na powrót stała się taką samą jak wcześniej silną upartą kobietą. Julian potwornie bał się ciemności, powoli jednak zaczął się pozbywać strachu. Manfred zaś zaczął się świetnie dogadywać ze szwagrem przede wszystkim dlatego, że wygrywał z nim w szachy.

Poszukiwanie skarbu Hansa Reinera okazało się znacznie trudniejsze, niż zrazu się wydawało. Paul przez kilka miesięcy pracował w kopalni diamentów razem z Manfredem, który dzięki dyplomowi inżyniera był jego przełożonym. Alys natomiast została niebawem oficjalnym fotografem dokumentującym wydarzenia społeczne i polityczne na terytorium mandatowym.

Wspólnie zaoszczędzili kwotę wystarczającą na zakup niedużego gospodarstwa w dolinie rzeki Oranje - tego, z którego trzydzieści jeden lat wcześniej Hans Reiner i Clovis Nagel zrabowali diamenty. W ciągu tych trzech dekad gospodarstwo tyle razy zmieniało właściciela, aż wielu mówiło, że jest przeklęte. Wielokrotnie ostrzegano Paula, że zmarnotrawi tylko pieniądze, kupując tę posiadłość.

- Nie jestem przesądny - odpowiadał Paul. - I mam przeczucie, że tam odmieni się mój los.

Zachowywali ostrożność. Oczekali kilka miesięcy, zanim wyruszyli na poszukiwanie miejsca, gdzie Hans ukrył diamenty. Udali się tam we czwórkę pewnej letniej nocy przy pełni księżyca w roku 1936. Doskonale znali okolice, ponieważ przemierzali je co niedziela objuczeni kosztami piknikowymi, udając, że jeżdżą na wycieczki.

Mapa Hansa okazała się niezwykle dokładna, czego można było się spodziewać po człowieku, który pół życia spędził pochylony nad mapami nawigacyjnymi. Widniała na niej polna droga i strumyk, a w miejscu gdzie się przecinały, znajdowała się skała w kształcie grotu strzały. Trzydzieści kroków na północ od skały wbili łopaty w ziemię. Była miękka, toteż szybko natrafili na skrzynię. Manfred aż cicho sapnął, kiedy ją otworzyli i w świetle laterek ujrzeli nieoczyszczone kamienie. Julian zaczął się nimi bawić, a Alys zatańczyła z Paulem szalonego fokstrota, choć przygrywał im tylko szmer strumyka.

Trzy miesiące później pobrali się w miejscowym kościółku. Pół roku po ślubie Paul zjawił się w biurze szacowania diamentów działającym przy kopalni i oświadczył, że w strumieniu płynącym przez swoją posiadłość znalazł parę kamieni. Wyjął kilka najmniejszych i z duszą na ramieniu patrzył na taksatora, kiedy ów oglądał je pod światło, skrobał na filcowej podkładce, podkręcał węża i wyczyniał wszelkie te zbędne czary-mary, które specjaliści z upodobaniem stosowali, aby dodać sobie powagi.

- Są dostatecznie dobrej jakości - orzekł wreszcie. - Sprzedam ci sito, chłopie, i zacznij szukać w tej wodzie. Kupię wszystko, co przyniesiesz.

Przez dwa lata „wydobywali” diamenty ze skrzyni. Wiosną roku 1939 Alys wyczuła, że sytuacja w Europie zdecydowanie się pogarsza.

- Południowoafrykańczycy opowiadają się po stronie Anglii. Niedługo staniemy się w koloniach osobami niepożądanymi.

Paul zrozumiał, że pora wyjechać. Sprzedali za jednym razem większą niż zwykle partię kamieni - taksator musiał aż poprosić zarządcę kopalni, żeby go wspomógł gotówką - i pewnej nocy opuścili gospodarstwo, nie żegnając się z nikim i zabierając tylko najniezbędniejsze rzeczy osobiste oraz pięć koni.

Podjęli ważną decyzję dotyczącą pieniędzy uzyskanych za diamenty. Ruszyli na północ, na płaskowyż Waterberg, gdzie klepali biedę pozostali przy życiu Hererowie - lud, do którego eksterminacji ojciec Paula przyłożył ręki, lud, wśród którego Paul długo mieszkał za swojej wcześniejszej bytności w Afryce Południowo-Zachodniej. Kiedy Paul wjechał do wioski, szaman plemienia odśpiewał pieśń powitalną.

- Wrócił Paul Mahaleba, Paul biały myśliwy - zawołał, wymachując swoją przybraną piórami laską. - Radujcie się!

Paul udał się prosto do naczelnika wioski i wręczył mu grubą teczkę, która zawierała trzy czwarte pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży diamentów.

- To dla Hererów. Aby przywrócić godność twojemu ludowi.

- To ty odzyskujesz przez to godność, Paulu Mahalebo - rzekł na to naczelnik. -

Hererowie nigdy jej nie stracili. Ale twój dar z wdzięcznością przyjmie cały nasz lud.

Paul z pokorą skłonił głowę wobec mądrości zawartej w tych słowach.

Spędzili w wiosce kilka cudownych miesięcy, pomagając w odbudowie tego, co zostało zniszczone. Aż pewnego dnia Alys usłyszała straszne wieści z ust wędrownego handlarza, który od czasu do czasu przejeżdżał przez Windhuk.

- W Europie wybuchła wojna.

- Już dosyć zrobiliśmy tutaj - rzekł Paul w zamyśleniu, spoglądając na syna. - Pora teraz pomyśleć o Julianie. Ma piętnaście lat i potrzebuje normalnego życia w miejscu, które ma przyszłość.

I tak zaczęli długą podróż na drugi brzeg Atlantyku. Najpierw statkiem popłynęli do Mauretanii, stamtąd do francuskiego Maroka, skąd zamierzali w ten sam sposób dotrzeć do Portugalii, lecz pech chciał, że Portugalia zamknęła granice przed każdym, kto nie miał wizy wjazdowej. A tej formalności nie mogła niestety dopełnić Żydówka bez dokumentów i człowiek, który oficjalnie nie żył, a w charakterze dokumentu posiadał jedynie zniszczony dowód osobisty zaginionego oficera SS.

Paul pogadał z różnymi uciekinierami i w końcu postanowił, że spróbują przebyć Cieśninę Gibraltarską, wyruszając z miejscowości położonej w okolicach Tangeru.

- Poradzimy sobie. Warunki są dobre, a to raptem kilkanaście mil.

Morze jednak lubi postąpić wbrew nierozważnie rzuconym słowom ufnych ludzi - tej nocy nieoczekiwanie rozszalał się sztorm. Długo się z nim zmagali, w końcu Paul kazał się wszystkim przywiązać linami, aby fale nie zmyły jego rodziny z pokładu lichej barki, za którą zapłacił majątek przemytnikowi z Tangeru.

Gdyby zrzędzeniem losu nie pojawił się ten hiszpański patrolowiec, wszyscy czworo niechybnie znaleźliby śmierć w morzu.

Paradoksalnie Paul o wiele większy strach przeżywał w ładowni fregaty niż podczas spektakularnej akcji ratunkowej, kiedy to zawisł za burtą okrętu na trwające wieczność sekundy. Znalazłszy się szczęśliwie na pokładzie, wszyscy czworo drżeli, że trafią do Kadyksu, przez co mogliby na powrót wylądować w Niemczech. Paul wyrzucał sobie, że nie starczyło mu przezorności i nie nauczył się choć paru słów po hiszpańsku.

Według planu mieli dotrzeć do plaży koło Tarify, gdzie powinien czekać na nich partner przemytnika, od którego kupili barkę, i przewieźć ich ciężarówką do Portugalii. Nigdy nie zdołali się przekonać, czy istotnie czekał.

Siedząc w ładowni, Paul wiele godzin szukał wyjścia z sytuacji. Dotykał ukrytej kieszeni w kurtce, gdzie schował kilkanaście największych diamentów, ostatnich ze skrzynki Hansa Reintera. Tyle samo mieli przy sobie Manfred, Julian i Alys. Może jeśli przekupią załogę garścią kamieni...

Zdumiał się ogromnie, kiedy hiszpański kapitan wyprowadził ich nocą z ładowni, spuścił im szalupę i na migi wskazał, gdzie jest wybrzeże portugalskie.

W świetle latarni morskiej padającym na pokład Paul popatrzył w twarz tego człowieka, który był chyba mniej więcej w tym samym co on wieku. W tym samym wieku co jego ojciec, gdy umarł. I wykonywał ten sam zawód co Hans Reiner. I nasunęło mu się pytanie, jak by się po toczyło jego życie, gdyby jego ojciec nie popełnił morderstwa i gdyby on nie poświęcił większej części swojej młodości na poszukiwanie ludzi, którzy Hansa zabili.

Włożył rękę pod ubranie i wyjął jedyną pamiątkę po tamtych czasach. Wzięła się z niegodziwego czynu jego ojca, była orderem za zdradę dla jego brata. Może życie Jürgena też inaczej by się potoczyło, gdyby jego ojciec był prawym człowiekiem - pomyślał.

Zastanawiał się, jak by to wytłumaczyć kapitanowi fregaty. Włożył mu order do ręki, po czym wyraźnie wymówił dwa słowa.

- Zdrada - rzekł, stukając się palcem w pierś. - Ocalenie - powiedział, stukając w pierś Hiszpana.

Może kiedyś kapitan spotka kogoś, kto mu wyjaśni, co znaczą te słowa.

Wskoczył jednym susem do szalupy i wszyscy chwycili za wiosła. Kilka minut później usłyszeli huk wody uderzającej o brzegi rzeki i poczuli, że kil szura o kamienie na dnie morza.

Byli w Portugalii.

Zanim wysiadł z łodzi, rozejrzał się dokoła, aby mieć pewność, że nic im nie zagraża, lecz nikogo w pobliżu nie widział.

Dziwne - pomyślał. - Odkąd wydlubałem sobie oko, muszę stale kręcić głową, żeby widzieć, co się wokół mnie dzieje. A mimo to widzę wszystko dużo wyraźniej.

Santiago de Compostela, czerwiec 2008

NOTA AUTORA

TO JUŻ KONIEC POWIEŚCI, CZYTELNIKU, ALE NIE KONIEC HISTORII orderu zdrajcy. I ona zasługuje na wyjaśnienia.

Kiedy trzy lata temu poznałem Juana Carlosa Gonzáleza, nie miałem pojęcia, dokąd nas zawiedzie ta znajomość. Był już wtedy kierownikiem znanej w Vigo księgarni (nazwy nie wymienię, aby nie naruszać jego prywatności). W pewne gnuśne popołudnie bardzo pobieżnie streściłem mu fabułę powieści, do której właśnie zbierałem materiały i której w tej chwili, Czytelniku, możesz jeszcze nie mieć. Gdyby nie to, Juan Carlos nie otworzyłby ust i nie powiedziałby:

- Chcesz usłyszeć historię, która nadaje się na powieść?

Zrezygowany przytaknąłem z grzeczności. Gdyby mi dawano dziesięć eurocentów, ilekroć słyszałem to zdanie, mógłbym zaprosić rodzinę na obiad w dobrej restauracji.

Tym razem jednak było inaczej.

Tym razem historia naprawdę nadawała się na powieść.

Juan Carlos opowiedział mi, jak patrolowiec, na którym służył jego ojciec, uratował przed pewnym utonięciem czworo tajemniczych Niemców, a w zamian kapitan otrzymał od jednego z nich odznaczenie ze szczerego złota. Jego opowieść - w odróżnieniu od mojej - miała ciąg dalszy, ponieważ pan González senior spotkał się później z człowiekiem, który go obdarował orderem - w miejscu oddalonym o pięć tysięcy kilometrów i dwadzieścia lat później. Ale to już zupełnie inna historia i może kiedyś gdzieś ją opowiem.

Pożegnałem się z Juanem Carlosem, lecz zanim z Monchem Pazem, przyjacielem dziennikarzem, wsiedliśmy do samochodu, oświadczyłem, że przykro mi, ale choć to ciekawa opowieść, książki z niej nie będzie. W domu jednak nie mogłem się pohamować i usłyszała ją Katuxa, moja żona.

- Widzę, że zmieniasz temat - rzekła, kręcąc głową.

- Nie da się napisać książki na podstawie tego. Brakuje uniesień, odcieni, konfliktów...

To tylko anegdota. Poza tym skończyłem zbierać materiały do [ocenzurowano].

- Głowę daję, że to opiszesz - oświadczyła Katuxa z tą zuchwałą pewnością siebie, która sprawia, że tak bardzo ją kocham i równocześnie nie cierpię jej.

Odkryłem - dzięki niej - że gdy z uporem twierdzę, że czegoś nie lubię albo że coś mi się nie podoba, wszyscy w moim otoczeniu natychmiast wiedzą, że tylko to mi teraz siedzi w głowie. Przez następne dziesięć tygodni zatem próbowałem każdemu z osobna udowodnić, że jest w błędzie.

Oczywiście ostatni zrozumiałem, że to ja się myliłem.

Szczęśliwie wtedy już miałem stosy książek i tysiące stron notatek. To co najważniejsze dawało się streścić w paru zdaniach:

W okresie dyktatury nazistowskiej w Niemczech wolnomularze byli prześladowani: ponad osiemdziesiąt tysięcy braci masonów zginęło w obozach koncentracyjnych. Masońska legenda podaje, że do upadku łóż w Niemczech przyczynił się jeden tylko wolnomularz, który wydał wszystkich nazistom.

Legenda mówi również, że pragnąc go za to wynagrodzić, Hitler zamówił u swego zaufanego jubilera złoty krzyż, prześmiewczą replikę mosiężnego orderu masona 32. stopnia. Jubiler wprawił w odznaczenie szczególniej diament, jeden z tych, które były częścią zdekompletowanego diamentowego garnituru należącego niegdyś do siostrzenicy - i kochanki - Hitlera, Geli Raubal.

Czy będący w posiadaniu Juana Carlosa Gonzáleza przedmiot ze szczerego złota jest osławionym orderem zdrajcy? Z całą pewnością tego nie wiadomo, ale na podstawie sposobu wykonania niezależni eksperci potwierdzają, że to możliwe. Co w połączeniu z faktem, że Juan Carlos otrzymywał bardzo interesujące oferty ze strony wolnomularzy wyższych stopni, którzy dowiedzieli się p r z y p a d k o w o o tym przedmiocie...

Legenda czy nie, w tym momencie zrozumiałem, że ta historia owszem, nadaje się na książkę. Niemniej brakowało mi w niej zasadniczego składnika, jakim byłby motyw dopuszczenia się takiej zdrady. I w tym miejscu moja opowieść zupełnie się rozmija z legendą, zagląda bowiem w dusze Paula, Jürgena i Alys, którzy walcząc z grzechami ojców, popełniają własne. Ostatecznie jak w każdej dobrej opowieści moi bohaterowie i ich przeżycia wyrosli z tego, co usłyszałem.

Jak pod koniec powieści zauważa Paul, rytuały wolnomularskie istotnie są potwornie nudne. Z tego powodu opisy ceremonii masońskich zdecydowanie skróciłem dla utrzymania tempa narracji (i żeby nie uśpić czytelnika).

Inspirację do niniejszej książki czerpałem z trzech źródeł. Przede wszystkim z opowieści

Juana Carlota González, historii orderu i jego legendy. Po drugie, z autobiografii Sebastiana Haffnera i Viktora Klemperera, które pomogły mi zrozumieć złożoną mentalność Niemców w okresie międzywojnia. Trzecim źródłem była powieść „Hrabia Monte Christo” Aleksandra Dumasa, której moja w niczym nie przypomina (nad czym ubolewam), tyle że punkt wyjścia jest taki sam: motyw zemsty po latach.

Ponadto wymienię tu jeszcze jedno źródło natchnienia, ważne zwłaszcza dla Czytelniczki. W moim zamyśle Alys jest wyrazicielką uczuć, o których mówi piosenka „Who's gonna ride your wild horses”, jeden z najlepszych utworów rockowej grupy wszech czasów: U2. Szczególne uznanie należy się za napisanie pierwszej zwrotki:

You're dangerous 'cause you're honest

You're dangerous 'cause you don't know what you want...

W Niemczech okresu międzywojennego pojawiła się w społeczeństwie europejskim kobieta niezależna, wyzwolona seksualnie, domagająca się równych praw przynajmniej w pewnym stopniu, zważywszy na okoliczności. Swoją pozycję osiągnęła bez niczyjej pomocy, chociaż wielu rzucało jej kłody pod nogi.

Zapłonęło wtedy po raz pierwszy światło, które już nigdy nie zgasło.

PODZIĘKOWANIA

PODZIĘKOWANIA NIECHAJ PRZYJMA:

Jak zwykle Antonia Kerrigan za to, że jest najlepszą agentką literacką na świecie, jak również Lola Gulias i Victor Hurtado za znakomitą pracę.

W Vigo - Juan Carlos González, który dostarczył mi pomysłu na napisanie tej książki.

W Monachium - Isold i Berdy Brugmannowie, którzy nieustrudzenie oprowadzali mnie po mieście; nieznajomy osobnik, który ukradł mi teczkę w autobusie, dzięki czemu od podszewki poznałem bawarskie komisariaty oraz agentów Schmidta i Zieglera - kiedy im opowiedziałem, co jest przedmiotem moich poszukiwań, pokazali mi mieszkanie Hitlera przy Prinzregentenplatzu usytuowane piętro niżej niż mieszkanie rodziny Tannenbaumów. Lokal należy teraz do policji i jedynym meblem po dyktatorze jest regał, na którym stoją trofea sportowe funkcjonariuszy.

W Nowym Jorku - Tom i Elaine Colchie, którym jestem wdzięczny nie tylko za to, że moje książki cieszą się taką popularnością w świecie anglosaskim, ale także za serdeczność i uwagę, z jaką je czytają i służą mi radami.

W Madrycie - Erie Frattini, u którego zaciągnąłem dług wdzięczności po wydaniu „Szpiega Boga”.

W Santiago de Compostela - Manuel Soutino, który nie dosypiał, by w imię przyjaźni czytać moje rękopisy.

W Pontevedrze - Manuel Loureiro, który uważa, że Brunhilda jest zbyt złą postacią. A mówi to autor horrorów wypełniający swoje opowieści tysiącami upiorów!

W Bueu - Araceli i Sebastian, którzy troszczyli się o mnie i karmili mnie najlepszymi na świecie sardynkami i radami na ostatnim etapie pisania książki. Bez nich w życiu bym nie skończył!

W Maladze - Javier Sierra, niemogący usiedzieć na miejscu dziennikarz, autor wysokonakładowych książek, poszukiwacz niezwykłości. Z naszego pokolenia ty pierwszy wszedłeś ze swoimi książkami na światowe rynki, a mimo to jesteś dobrym kolegą.

W moim domu - Katuxa za to, że słuchała mnie i pouczała, szczególnie podczas powstawania tej książki, którą tak trudno było mi pisać, i za to, że potrafiła się zdobyć na

wyjątkowe poświęcenie; za nie do końca życia - a nawet jeszcze dłużej! - nie zdołam się odwdziżyć.

Również w moim domu - Andrea i Javi za to, że każdego dnia mi przypominali, co jest najważniejsze na świecie.

Dziękuję także Tobie, Czytelniku. Za to, że moje dwie pierwsze powieści odniosły sukces w czterdziestu krajach; za to, że doczytałeś aż dotąd; za to, że piszesz do mnie i dzielisz się opiniami o książce. Naprawdę Ci dziękuję.

juan@juangomezjurado.com